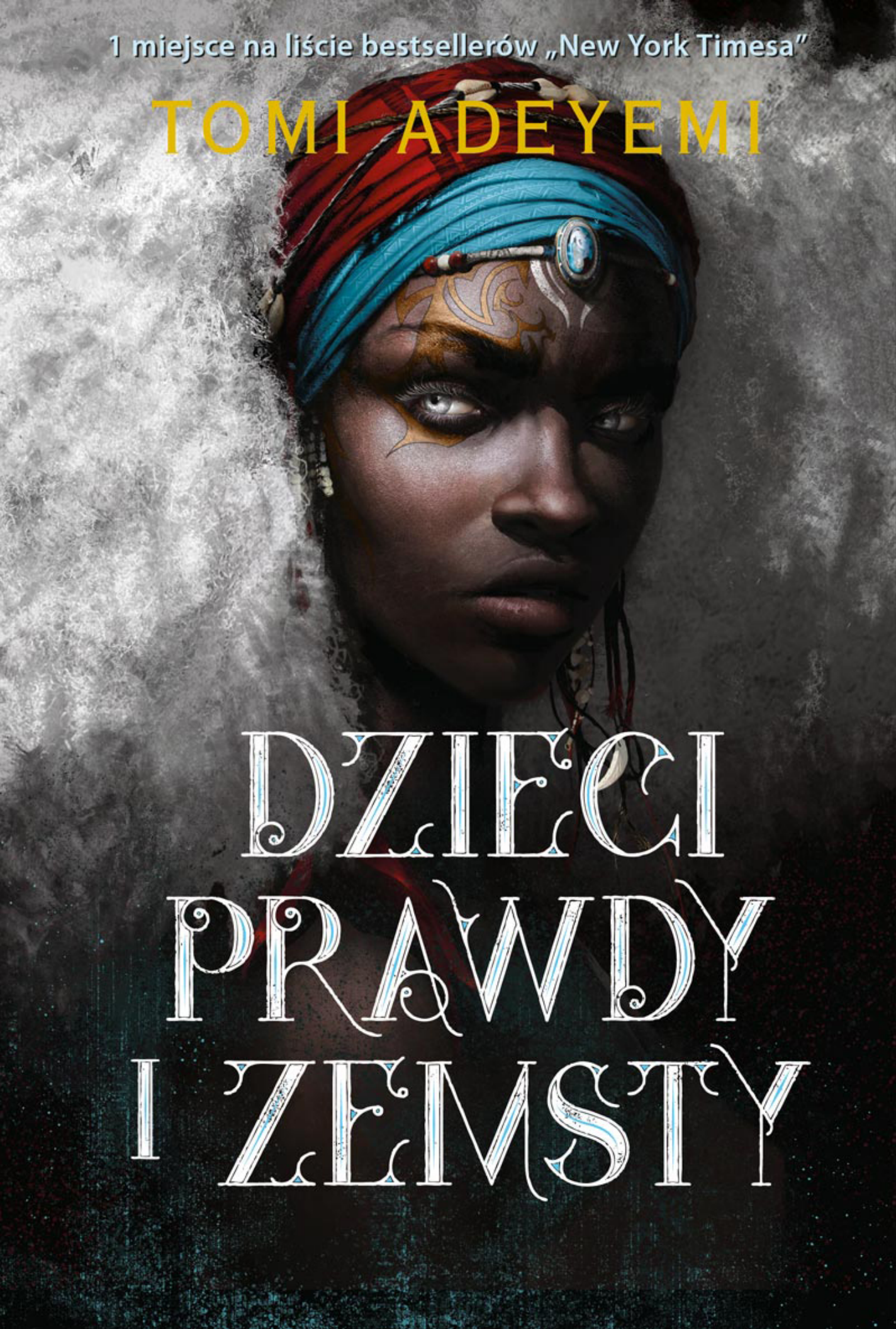
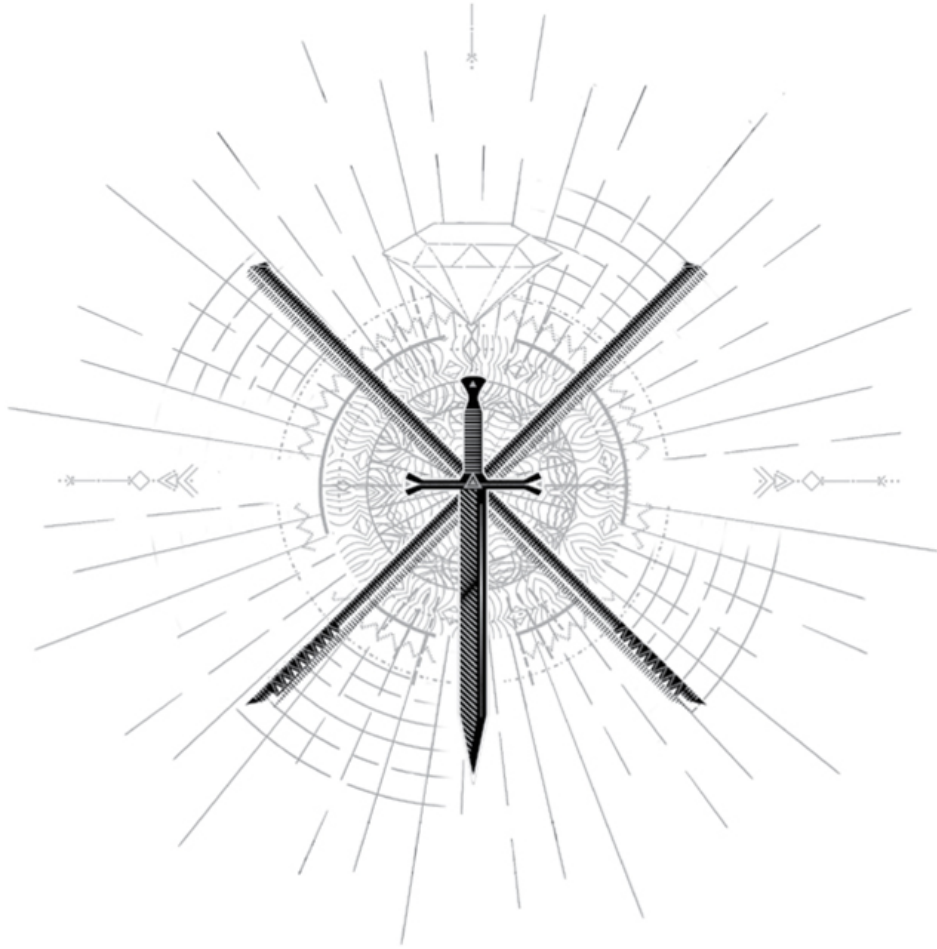


1 miejsce na liście bestsellerów „New York Timesa”

TOMI ADEYEMI



DZIECI
PRAWDY
I ZEMSTY



POLECAMY:

DZIECI
KRWI I KOŚCI

DZIECI
PRAWDY I ZEMSTY

TOMI ADEYEMI



DZIECI
PRAWDY I ZEMSTY

Przełożył z angielskiego
Łukasz Witeczak



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału

Children of Virtue and Vengeance

Projekt okładki i typografii

RICH DEAS, MALLORY GRIGG, KATHLEEN BREITENFELD

Ilustracja na okładce

SARAH JONES

Projekt mapy

KEITH THOMPSON

Koordinacja projektu

SYLWIA MAZURKIEWICZ-PETEK

Redakcja

ANNA JACKOWSKA

Korekta

IWONA HUCHLA

Redakcja techniczna

KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © 2019 by Tomi Adeyemi Books Inc.

All rights reserved.

Polish translation © Łukasz Witczak MMXX

Polish edition © Publicat S.A. MMXX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-6028-7

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Strona redakcyjna

Dedykacja

Klany magów

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39

Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63

Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73
Rozdział 74
Rozdział 75
Rozdział 76
Rozdział 77
Rozdział 78
Rozdział 79
Rozdział 80
Rozdział 81
Rozdział 82
Rozdział 83
Rozdział 84
Rozdział 85
Rozdział 86
Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Epilog

*Tobemu i Toniemu.
Kocham Was bardziej, niż potrafią wyrazić słowa*

KLANY MAGÓW

IKÚ

MAGOWIE ŻYCIA I ŚMIERCI

TYTUŁ: ŻNIWIARZ, ŻNIWIARKA

BÓSTWO: OJA

ÈMÍ

MAGOWIE UMYSŁU, DUCHA I SNÓW

TYTUŁ: KONEKTOR, KONEKTORKA

BÓSTWO: ORÍ

OMI

MAGOWIE WODY

TYTUŁ: FALUN, FALUNKA

BÓSTWO: JEMO.DŻA

INÁ

MAGOWIE OGNI

TYTUŁ: OGNIARZ, OGNIARKA

BÓSTWO: SÀNGÓ

AFÉFÉ

MAGOWIE POWIETRZA

TYTUŁ: TAJFUN, TAJFUNKA

BÓSTWO: AJAO

AIJE

MAGOWIE ZIEMI I ŻELAZA

TYTUŁ: ZIEMIOWIEC, ZIEMIARKA + SPAJACZ, SPAJACZKA

BÓSTWO: ÒGÚN

ÌMÓLÈ

MAGOWIE ŚWIATŁA I CIEMNOŚCI

TYTUŁ: ŚWIETLARZ, ŚWIETLARKA

BÓSTWO: OSZUMARE

ÌWÒSÀN

MAGOWIE ZDROWIA I CHOROBY

TYTUŁ: UZDROWICIEL, UZDROWICIELKA + KANCER, KANCERKA

BÓSTWO: BABALÚAJÉ

ARÍRAN

MAGOWIE CZASU

TYTUŁ: JASNOWIDZ, JASNOWIDZKA

BÓSTWO: ORÚNMILA

E.RANKO

MAGOWIE ZWIERZĄT

TYTUŁ: POSKRAMIACZ, POSKRAMIACZKA

BÓSTWO: OXOSI



OPISZA

ROZDZIAŁ 1



ZÉLIE

Staram się o nim nie myśleć.

Ale kiedy mi się zdarza, słyszę fale.

Baba był ze mną, gdy usłyszałam je po raz pierwszy.

Kiedy po raz pierwszy je poczułam.

Ich szum był jak kołysanka, prowadził nas lasem ku morzu. Bryza rozwiewała mi luźno opadające kosmyki. Przez rzednące listowie sączyły się promienie słońca.

Nie wiedziałam, co tam znajdziemy. Jakie dziwy kryje w sobie ta kołysanka. Wiedziałam tylko, że muszę tam dotrzeć. To było tak, jakby w tych falach znajdował się brakujący kawałek mojej duszy.

W końcu je zobaczyliśmy, a moja drobna dłoń wyslizgnęła się z dłoni Baby. Otworzyłam usta w osłupieniu. W tej wodzie była magia. Pierwsza magia, jaką poczułam, odkąd ludzie króla zabili Mamę.

– Zélie róra o! – zawołał Baba, gdy szłam w kierunku fal.

Wzdrygnęłam się, kiedy morska piana obmyła mi stopy. Jeziora na Ibadanie zawsze były zimne – ale ta woda była ciepła jak zapach ryżu mamy. Ciepła jak blask jej uśmiechu. Baba poszedł za mną i podniósł głowę ku niebu.

Wyglądał, jakby kosztował promieni słońca.

Potem złapał mnie za rękę; wsunął zabandażowane palce między moje i spojrzał mi w oczy. Wiedziałam w tamtej chwili, że choć Mama odeszła, wciąż mamy siebie. Możemy przetrwać.

A teraz...

Otwieram oczy i widzę zimne szare niebo; wyjący ocean uderza o skalne klify Dżimety. Nie mogę pozostać w przeszłości.

Nie mogę utrzymać ojca przy życiu.

Szykując się do pochowania ciała, wciąż myślę o rytuale, który Baba przypłacił życiem. Jego cierpienie rozsadza mi serce; myślę o ofierze, którą poniósł, aby jego

córka mogła przywrócić magię.

– Już dobrze.

Mój starszy brat Tzain staje przy mnie i podaje mi rękę. Choć oliwkowa skóra twarzy porosła mu brodą, wiem, że Tzain mocno zaciska szczękę.

Chowa moją dłoń w swojej. Delikatna mżawka przechodzi w ulewny deszcz. Przenika nas okropny ziąb. Czyżby nawet bogowie nie mogli powstrzymać się od płaczu?

Przepraszam, zwracam się w duchu do Baby, żałując, że nie mogę mu tego powiedzieć osobiście. Ciągąc za linę, którą przywiązano trumnę do skalistego brzegu Dzimety, dziwię się swojej naiwności: z jakiegoś powodu sądziłam, że pogrzeb jednego z rodziców przygotowuje mnie na pochowanie drugiego. Ręce wciąż mi się trzęsą od niewypowiedzianych słów. Gardło piecze od zdławionych krzyków, które wydostają się na zewnątrz w postaci łez. Tłumiąc to wszystko w sobie, sięgam po słoik z resztką oleju pogrzebowego.

– Ostrożnie – mówi Tzain, widząc, że drżącą ręką uroniłam odrobinę.

Zdobycie odpowiedniej ilości oleju zajęło nam trzy tygodnie, więc każda kropla tej substancji jest na wagę złota. Wylewam resztkę na pochodnię, a Tzain ze łzami na policzkach zaczyna krzesać iskry. Nie marnując czasu, przygotowuję słowa ìbùkún – specjalnego błogosławieństwa, które Żniwiarka przekazuje zmarłym.

– Dar życia pochodzi od bogów – szepczę w języku joruba – i bogom trzeba go zwrócić. – Dziwnie się czuję, wypowiadając tę formułę. Jeszcze parę tygodni temu żaden Żniwiarz ani Żniwiarka nie władali magią niezbędną do wykonania ìbùkún. Tak było przez jedenaście lat. – Bèèni ààyé tàbí ikú kò le yà wá. Bèèni ayé tàbí òrun kò le sin wá nítorí èyin lè ngbé inú ù mi. Èyin la ó máa rí...

Magia nagle mnie wypełnia, zapiera mi dech. Moje dłonie jaśnieją fioletowym światłem aszê, boskiej energii, która zasila nasze święte dary. Ostatni raz czułam jej ciepło podczas rytuału, który przywrócił Oriszy magię. Gdy duch Baby wdarł się do moich żył.

Zataczam się do tyłu na nogach jak z waty. Magia spycha mnie w przeszłość, na próżno stawiam jej opór.

– *Nie!* – *Krzyk odbija się echem od murów świątyni. Łąduję ciężko na kamiennej posadzce, a chwilę później z głuchym łoskotem upada na nią Baba, sztywny jak deska.*

Zrywam się, żeby mu pomóc, ale jego otwarte oczy są nieruchome, patrzą niewidzącym wzrokiem. Z piersi wystaje grot strzały.

Tunika zalewa się krwią...

– Zél, uważaj!

Tzain rzuca się, by złapać upuszczoną przeze mnie pochodnię. Jest szybki, ale jego refleks nie wystarcza. Żagiew wpada między huczące fale i gaśnie.

Tzain usiłuje zapalić ją ponownie, ale pakuły nie chcą się zająć. Wzdrygam się, gdy rzuca bezużyteczną szczapę w piach.

– I co my teraz zrobimy?

Zwieszam głowę, bo nie wiem, co mu odpowiedzieć. Królestwo jest pogrążone w chaosie; zdobycie oleju może nam zająć kolejnych parę tygodni. Trwają zamieszki, brakuje jedzenia, dziś trudno nawet o worek ryżu.

Poczucie winy mnie dusi, zamyka w grobowcu moich własnych błędów. Może to znak, że nie zasłużyłam na to, by pochować Babę.

W końcu zginął przeze mnie.

Tzain ściska dwoma palcami grzbiet nosa.

– Przepraszam – wzdycha.

– Nie masz za co przepraszać – odpowiadam przez zaciśnięte gardło. – To wszystko moja wina.

– Zél...

– Gdybym nie dotknęła tego zwoju... Gdybym się nie dowiedziała o tym rytuale...

– Daj spokój – przerywa mi. – Baba oddał życie, żebyś mogła przywrócić magię.

I w tym sek, myślę. Chciałam odzyskać magię, żeby Baba był przy mnie bezpieczny, a tymczasem sprowadziłam na niego śmierć. Na co mi te moce, skoro nie mogę chronić swoich najbliższych?

Na co mi magia, skoro nie mogę wskrzesić Baby?

Tzain chwyta mnie za ramiona. Mam przed sobą brązowe oczy naszego ojca; oczy, które wybaczą, nawet kiedy nie powinny.

– Przystań się obwiniać – słyszę. – Jeśli nie przestaniesz teraz, nie przestaniesz nigdy. Jesteśmy sami, musimy na sobie polegać. Tylko to nam zostało.

Wydycham powietrze i ocieram łzy. Tzain bierze mnie w objęcia. Choć oboje przemokliśmy do suchej nitki, robi mi się trochę cieplej. Tzain pociera mi plecy, tak

jak to robił Baba, kiedy mnie ścisnął.

Oglądam się na trumnę Baby: unosi się wśród fal, czekając na ogień, którego nie dostanie.

– Jeśli nie możemy go spalić...

– Czekajcie! – Amari zbiega po żelaznym trapie okrętu, który od czasu rytuału pozostaje naszym domem. W przemokniętej białej tunice, która lepi się do jej oliwkowej skóry, ani trochę nie przypomina oriszańskiej księżniczki strojonej w kolorowe szaty i zawoje. Po chwili staje przed nami obok huczących fal. – Macie. – Podaje Tzainowi zardzewiałą pochodnię z kajuty kapitańskiej i dzban oleju z własnych skromnych zapasów.

– A co ze statkiem? – pyta Tzain, marszcząc brwi.

– Przeżyjemy. – Amari wyciąga pochodnię w moją stronę.

Mój wzrok pada na biały kosmyk przylepiony do mokrego policzka dziewczyny. To dowód na to, że w jej żyłach płynie teraz magia. Podobnie jak w żyłach setek innych oriszańskich arystokratów.

Odwracam się, żeby nie dojrzała w moich oczach bólu. Ilekroć przypominam sobie rytuał, który obdarzył ją mocą – i chłopaka, który złamał mi serce – ścisną mnie w żołądku.

– Gotowa? – pyta Tzain.

Kiwam potakująco głową, choć to nieprawda. Tzain zapala pochodnię krzesiwem, a ja opuszczam płomień na linę.

Ogień zaczyna szybko wędrować po nasączonym olejem sznurze. Gdy chwilę później trumna staje w płomieniach, odruchowo chwytam się za serce. Czerwone i pomarańczowe języki tańczą na tle szarego horyzontu.

– Títí di òdí kejì. – Szepcząc słowa sakramentu, Tzain pochyla głowę.

Zaciskam zęby i robię to samo.

Títí di òdí kejì.

Do zobaczenia po tamtej stronie.

To wypowiedziane na głos zdanie przenosi mnie w czasie do pogrzebu Mamy. Znowu staje mi przed oczami jej płonące ciało. Myślę o wszystkich, którzy mogli razem z nią spocząć w aláfii. O wszystkich, którzy zginęli po to, abyśmy mogli wskrzesić magię.

O Lekanie, dzielnym sêntaro, który poświęcił się, aby obudzić we mnie moc.
O Salimie i Zulajsze, przyjaciółach zamordowanych przez królewskich żołnierzy
w dniu naszego święta.

O Mamie Agbie, Jasnowidzce, która zawsze opiekowała się mną i pozostałymi
ibawitami z Ilorinu.

O Inanie, księciu, którego – tak mi się wydawało – pokochałam.

Títí di òdí kejì, zwracam się do ich duchów. Przypominają mi o mojej misji.

Nasza bitwa jeszcze nie jest skończona.

Wręcz przeciwnie, dopiero się zaczyna.

ROZDZIAŁ 2



AMARI

Ojciec zwykł mawiać, że Orisza na nikogo nie czeka.

Na żadnego człowieka.

Na żadnego króla.

Tymi słowami potrafił usprawiedliwić dosłownie wszystko. Uzasadnić każdy postępek.

Patrzę, jak ogień trawi trumnę z ciałem Baby, a miecz, którym przebiłam pierś własnemu ojcu, wisi ciężko u mojego pasa. Zwłoki Sarana zniknęły bez śladu.

Nie mogłabym go pochować, nawet gdybym chciała.

– Pora wracać – stwierdza Tzain. – Wkrótce nadejdzie odpowiedź od twojej matki.

Zostaję kilka kroków w tyle za nim i za Zélie. Wspinamy się na pokład żelaznego okrętu, który przejeśliśmy, aby dotrzeć na świętą wyspę. Choć mieszkamy na nim od paru tygodni, wryte na burtach śnieżne lampartusy wciąż przyprawiają mnie o ciarki. Ilekroć mijam dawny ojcowski symbol, chce mi się krzyczeć albo płakać. Sama nie wiem, co powinnam wtedy czuć – ani czy w ogóle cokolwiek powinnam czuć.

– Wszyscy na pokład!

Oglądam się w kierunku, z którego dobiegł ten okrzyk. Widzę całe rodziny ustawione w długiej kolejce, płacące złotym kruszcem za wejście na niewielki statek najemników. Ludzie tłoczą się pod zardzewiałym pokładem, byle uciec z Oriszy do innych, spokojniejszych krajów. Kłuje mnie w sercu, gdy patrzę na ich zapadłe twarze. Ja liżę rany, ale okaleczone królestwo jeszcze długo nie dojdzie do siebie po tym, co zrobił mój ojciec.

Nie mogę się już ukrywać. Muszę zasiąść na tronie Oriszy. Tylko ja będę umiała zaprowadzić pokój. Jako królowa naprawię to wszystko, co zniszczył król Saran.

Z tym gorącym postanowieniem schodzę do zimnej kabiny kapitańskiej. To jedno z niewielu pomieszczeń na statku wolnych od majacytu – minerału, za pomocą

którego monarchia zwalczała magów i neutralizowała ich moc. Abyśmy mogli tu wytrzymać, trzeba było usunąć wszystkie wygody.

Tzain siedzi na gołej ramie łóżka i wygrzebuje z kubeczka ostatnie ziarenka ryżu. Zélie odpoczywa na metalowej podłodze zanurzona w złocistej sierści swojej lworożki. Wierzchacz leży jej na kolanach, co jakiś czas unosi łeb, by zlizać łzy, które wypływają ze srebrnych oczu dziewczyny. Odwracam wzrok i sięgam po własną porcyjkę ryżu.

– Masz. – Oddaję ją Tzainowi.

– Jesteś pewna?

– Ja i tak nie zjem, za bardzo się denerwuję. Pewnie bym wszystko zwymiotowała.

Wiadomość do Lagos wysłałam zaledwie pół miesiąca temu, ale mam wrażenie, że na odpowiedź matki czekam wieczność. Jeśli mnie wesprze, będę mogła objąć tron Oriszy. Naprawić krzywdy wyrządzone przez ojca. Razem stworzymy kraj, w którym magowie nie będą musieli żyć w strachu. Możemy zjednoczyć królestwo i wymazać podziały od wieków trapiące Oriszę.

Tzain ściska mi ramię.

– Nie martw się. Cokolwiek odpowie, coś wymyślimy.

Odwraca się w stronę Zélie, a mnie robi się duszno. Nienawidzę siebie za to, jak bardzo im zazdrozczę tego, co mają. Minęły dopiero trzy tygodnie, odkąd ojciec przebił mojego brata mieczem, a mnie coraz trudniej przypomnieć sobie groźną nutę w głosie Inana. Może gdy zobaczę się z matką, ziejąca rana w moim sercu zacznie się goić.

– Ktoś idzie.

Zélie wskazuje na postać w ciemnym korytarzu. Cała sztywnieję, gdy wytarte drzwi z jękiem otwierają się na oścież. Nasz posłaniec Roën otrząsa krople deszczu z posklejanych czarnych włosów, które opadają mu za kanciastą szczękę. Ze skórą w kolorze pustynnego piasku i oczami jak dwie wielkie łzy zawsze wyróżnia się wyglądem w towarzystwie Oriszan.

– Najla?

Lworożka strzyże uszami, a Roën klęka i wyjmuje z sakwy spory pakunek. Gdy go rozwija, odsłaniając szereg lśniących ryb, Najla omal go nie przewraca. Ku mojemu zaskoczeniu nawet na twarzy Zélie pojawia się delikatny uśmiech.

– Dziękuję – szepcze.

Roën spogląda jej w oczy i kiwa głową. Dopiero na moje chrząknięcie zwraca się twarzą do mnie.

– No to słuchamy – mówię z westchnieniem. – Co powiedziała?

Roën wypycha językiem policzek i spuszcza wzrok.

– Doszło do ataku. Nie ma kontaktu ze stolicą.

– Ataku? – Serce we mnie zamiera na myśl o matce osaczonej w pałacu. Wstaję. – Jak to? Kiedy? Dlaczego?

– Mówią o sobie *iyika* – wyjaśnia Roën. – To znaczy rewolucja. Magowie po odzyskaniu mocy dokonali szturm na Lagos. Podobno przedarli się aż do pałacu.

Opieram się o ścianę i osuwam na kratownicową podłogę. Usta Roëna wciąż się poruszają, lecz nie wiem, co mówi. Niczego nie słyszę.

– Królowa... – jąkam się. – Czy oni... Czy ona...

– Słuch po niej zaginął. – Roën odwraca wzrok. – A ponieważ ty się ukrywasz, ludzie myślą, że dynastia wygasła.

Tzain się podnosi, ale daję mu znak, żeby został na swoim miejscu. Jeśli się do mnie zbliży, całkiem się rozkleję. Wszystkie moje plany i nadzieje prysnęły w ułamku sekundy. Jeśli matka nie żyje...

Nieba.

To znaczy, że naprawdę jestem zdana na siebie.

– Czego chcą ci rebelianci? – pyta Tzain.

– Trudno powiedzieć – stwierdza Roën. – Ich siły są niewielkie, ale śmiertelnie groźne. W całej Oriszy dochodzi do zabójstw arystokratów.

– Czyli nikt związany z monarchią nie może czuć się bezpieczny? – Zélie marszczy brwi i nasze spojrzenia się spotykają.

Od czasu rytuału i jego feralnego finału prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Miło, że wciąż się o mnie martwi.

Roën wzrusza ramionami.

– Na to wygląda. Ale z powodu tej rebelii armia urządza polowanie na magów. Ofiarą czystek padają całe wioski. Nowy admirał w zasadzie wypowiedział im wojnę.

Zamykam oczy i przesuwam dłońmi po włosach, do niedawna prostych, a teraz falistych. W czasie poprzedniej wojny niewiele zabrakło, a Ogniarze wymordowaliby wszystkich członków rodziny królewskiej. Po latach ojciec w odwecie przeprowadził

Obławę. Jeśli znowu wybuchnie wojna, nikt nie będzie bezpieczny. Królestwo samo się rozszarpie.

Orisza na nikogo nie czeka, Amari.

Głos ojca dudni mi w głowie. Przeszyłam go mieczem, aby uwolnić Oriszę od tyranii, a teraz w kraju panuje zamęt. Nie ma czasu na żałobę ani na otarcie łez. Przrzekłam, że będę lepszą królową.

Skoro zabrakło matki, muszę sama wypełnić to przyrzeczenie.

– Wygłoszę odezwę do ludu – postanawiam. – Przejmę stery królestwa. Zakończę wojnę i zaprowadzę porządek. – Staję na nogach. Moje plany są teraz ważniejsze niż mój smutek. – Roën, wiem, że jestem twoją dłużniczką, ale jeśli mogę cię prosić o jeszcze jedną przysługę...

– Mam nadzieję, że to żart. – Z twarzy najemnika w jednej chwili znika całe współczucie. – Zdajesz sobie chyba sprawę, że jesteś mi winna tyle, ile ważę, w złocie? To, że twoja matka przepadła bez wieści, niczego nie zmienia.

– Dałam ci ten okręt! – krzyczę.

– Okręt, na którym nadal koczujesz? – Roën unosi brew. – Okręt, który przejęli moi ludzie? Mnóstwo osób czeka na przeprawę przez morze. Ten okręt nie jest żadną zapłatą. Przeciwnie, z każdym dniem twój dług rośnie!

– Kiedy wstąpię na tron, będę miała dostęp do królewskiego skarbcza – mówię. – Pomóż mi zorganizować wiec, a zapłacę ci podwójnie. Za kilka dni to złoto będzie twoje!

– Daję ci jedną noc. – Roën podnosi kaptur peleryny. – Jutro ten statek wypływa. Jeśli z niego nie zejdziecie, każę was wyrzucić za burtę. Nie macie czym zapłacić za przeprawę.

Próbuję zająć mu drogę, ale omija mnie i wychodzi. Gdy odgłos jego kroków ginie wśród szumu deszczu, tłumiona rozpacz prawie się ze mnie wylewa.

Tzain staje u mojego boku.

– Nie potrzebujemy go. Możesz sama objąć tron.

– Nie mam złamanego grosza. Kto uwierzy, że jestem prawowitą następczynią?

Tzain milknie, a Najla przechodzi między nami z nosem przy kratownicowej podłodze. Zjadłaby jeszcze parę ryb. Myślę o tych, którymi poczęstował ją Roën, i spoglądam na Zélie, lecz ona kręci głową.

– Już raz odmówił.

– Bo to ja go prosiłam! – Ruszam pędem w jej stronę. – Tobie udało się go namówić, żeby zabrał swoich ludzi na poszukiwanie legendarnej wyspy pośrodku oceanu. Na pewno zdołasz go przekonać, żeby nam pomógł.

– Jesteśmy mu winni złoto – mówi. – Powinniśmy się cieszyć, że pozwala nam opuścić Dżimetę w jednym kawałku.

– On jest naszą jedyną nadzieją – stwierdzam. – Skoro po odrodzeniu się magii Lagos upadło, to znaczy, że Orisza prawie od miesiąca nie ma władcy. Jeśli nie obejmę tronu teraz, już nigdy mi się to nie uda!

Zélie pociera kark, przesuwa palcami po złotych symbolach, które zdobią jej skórę od czasu rytuału. Delikatne zawijasy i kropki mienia się niczym tatuaż wykonany najcieńszą z igieł. Piękne, prastare znaki, lecz Zélie chowa je przed światem tak samo jak swoje blizny. Wstydzi się ich.

Jak gdyby nie mogła znieść ich widoku.

– Zélie, błagam cię! – Klękam przed nią. – Musimy spróbować. Wojsko ściga magów...

– Jak długo mam dźwigać na swoich barkach przyszłość mojego ludu?

Chłód tych słów zbija mnie z tropu, ale nie daję za wygraną.

– W takim razie zrób to dla Baby. W końcu oddał życie dla tej sprawy.

Zélie zwiesza głowę i zamyka oczy. Bierze głęboki wdech. Wreszcie wstaje. Kamień spada mi z serca.

– Niczego nie obiecuję.

– Rozumiem, ale daj z siebie wszystko – odpowiadam, kładąc dłoń na jej dłoni. – Zbyt wiele poświęciłyśmy, żeby teraz przegrać.

ROZDZIAŁ 3



ZÉLIE

Gdy schodzę z Najlą z okrętu, napięcie z całego dnia spływa ze mnie razem z kroplami deszczu. Wyjący wiatr dmucha w nas słodkim zapachem wodorostów; to miła odmiana po swądzie palonego drewna i popiołu. Wielkie łapy Najli odciskają się w piasku na drodze między portem a labiryntem krętych uliczek Dżimety. Moja lworożka biegnie z wywieszonym jężorem. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio pędziłyśmy przed siebie pod gołym niebem w blasku księżyca.

– Tak jest, Najlo.

Mocno trzymając wodze, zapuszczam się w doliny i zakamarki piaskowcowych klifów Dżimety. Wydrążone w skarpie siedziby ludzkie ciemnieją, mieszkańcy gaszą lampy, aby zaoszczędzić drogocenny olej. Mijamy drewniane windy, którymi marynarze wjeżdżają na górne piętra klifów. Za jednym z zakrętów otwieram szeroko oczy na widok czerwonego malowidła na skale. Wcześniej go tam nie było. Rozjarzone księżycowym blaskiem karmazynowe kropki różnej wielkości układają się w literę I.

Przypominam sobie słowa Roëna. *Mówią o sobie iyika. To znaczy rewolucja. Magowie po odzyskaniu mocy dokonali szturm na Lagos. Podobno przedarli się aż do pałacu.*

Ściągam cugle i próbuję sobie wyobrazić magów, którzy to namalowali. Z tego, co mówił Roën, nie była to zgraja buntowników. Z jego opowieści wyłaniał się obraz prawdziwej armii.

– Mamo, zobacz!

Spomiędzy postrzępionych namiotów wychodzi na ulicę mała dziewczynka. Przyciska do piersi czarną porcelanową lalkę. Gdyby nie ta ubrana w jedwabny strój lalka o malowanej twarzy, nigdy w życiu bym się nie domyśliła, że dziewczynka pochodzi z arystokratycznej rodziny. Jest tylko jednym z setek nowych mieszkańców, którymi zapelniają się ciasne, z każdym dniem coraz ciaśniejsze ulice Dżimety:

ścieżynki obstawione rzędami namiotów. Zastanawiam się, ja wyglądało życie tej dziewczynki, zanim los rzucił ją tutaj. I przed czym uciekła.

– Jeszcze nigdy nie widziałam lworozca! – Z błyskiem w oku wyciąga drobną rączkę w stronę potężnych rogów Najli.

Uśmiecham się do niej, gdy jednak podchodzi bliżej, spostrzegam w jej włosach białe pasmo.

Kolejna tytanka.

Staram się ukryć odruchowy grymas. Według doniesień Roëna około jednej ósmej ludności Oriszy władza teraz magią. Spośród nich mniej więcej jedna trzecia posiadała magię tytańską.

Tytani pojawili się wśród arystokratów i wojskowych po rytuale. Ich magia przypomina magię dziesięciu klanów, lecz w odróżnieniu od naszej nie wymaga żadnych inkantacji. Podobnie jak w Inanie, drzemią w nich duże moce.

Wiem, że sama je obudziłam, popełniając jakiś błąd w trakcie rytuału. Ale to nie zmienia faktu, że ilekroć ich widzę, coś mnie ściska w gardle.

Patrząc na białe pasma w ich włosach, chcąc nie chcąc myślę o nim.

– Likka!

Matka dziewczynki wybiega na deszcz i zakrywa głowę małej grubą żółtą chustą. Chwyta córkę za nadgarstek, a kiedy spostrzega moje białe włosy, cała sztywnieje.

Cmokam na Najlę i odjeżdżam. Choć nawet jej córka posiadała magiczne moce, nie przeszkadza to kobiecie nienawidzić mnie za moją magię. Zsiadam dopiero na końcu ścieżki, przed jaskinią Roëna i jego świty.

– No proszę – dobiega mnie chropawy głos, gdy zbliżam się do wejścia. Najemnik zsuwa czarną maskę – to Harun, prawa ręka Roëna.

Zirytowana przewracam oczami. Ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, powaliłam go na ziemię. Podobno połamałam mu zebra, tak później twierdził Roën. Od tamtej pory Harun omijał mnie szerokim łukiem. Teraz jednak dostrzegam w jego oczach groźbę.

Przewiesza mi ciężkie łapsko przez szyję.

– Bardzo jestem ciekaw, co tu sprowadza moją ulubioną glistę.

Strząsam jego rękę i szybkim ruchem dobywam kij.

– Skończ te gierki, nie jestem w nastroju.

Uśmiecha się, wyszczerzając pozółkłe zęby.

– Spacery po zmroku mogą być niebezpieczne. Zwłaszcza dla takiej glisty.

– Jeszcze raz nazwij mnie glistą.

Na sam dźwięk wyzwiska, które król Saran wyciął mi na plecach, czuję mrowienie w bliznach. Z cienia wyłaniają się kolejni najemnicy. Zaciskam palce na kiju. Ich jest pięciu, ja sama. Za plecami mam skalną ścianę.

Harun robi krok naprzód i przebiega wzrokiem po złotych znakach na moim ciele.

– Wyznaczono nagrodę za twoją głowę, glisto. Od początku wiedziałem, że da się na tobie zarobić, ale kto by pomyślał, że aż tyle! – Uśmiech znika mu z twarzy, dostrzegam błysk ostrza. – Dziewczyna, która przywróciła magię. We własnej osobie.

Właśnie ta magia kipi we mnie, gdy słucham tych gróźb. Moja aszê jest jak piorun gromadzący się w burzowej chmurze, tylko czeka, aż ją uwolnię zaklęciem.

Ale choćby zjawilo się jeszcze nie wiem ilu najmitów, nie wolno mi jej wyzwolić. To przez magię zginął Baba. Użycie jej teraz byłoby zdradą...

– Co my tu mamy?

Od strony miasta nadchodzi Roën. Nie przyspiesza leniwego kroku, przekrzywia tylko głowę. Zanim przestępuje próg jaskini, promień księżycowego światła pada na podbródek umazany krwią. Trudno powiedzieć, czy cudzą, czy własną.

Staje przede mną w odprężonej pozie, z lisielczym uśmiechem, ale stalowoszare oczy tną jak noże.

– Chyba nie bawicie się beze mnie? – mówi. – Wiecie, że potrafię być bardzo zazdrosny.

Krag najemników spontanicznie się przed nim rozstępuje. Harun zgrzyta zębami, gdy herszt, podchodząc bliżej, wyciąga scyzoryk i zaczyna sobie wydłubywać brud z paznokci.

Harun obrzuca mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym odchodzi, a za nim reszta, jeden po drugim. Zostaję z gorzkim smakiem w ustach – i sam na sam z Roënem.

– Dzięki – mówię.

Roën chowa ostrze, przygląda mi się spod zmarszczonych brwi. Kręci głową i daje mi znak, żebym szła za nim.

– Cokolwiek masz mi do powiedzenia, moja odpowiedź nadal brzmi „nie” – oznajmia.

– Przynajmniej mnie wysłuchaj – odpowiadam.

Roën idzie żwawo, ledwo za nim nadążam. O dziwo, nie prowadzi mnie do kryjówki najemników, lecz rusza krętym skalnym występem na tyłach groty. Ścieżka pnie się w górę i coraz to zwęża, lecz Roën jeszcze przyspiesza kroku. Idę przyklejona do ściany, w dole białe fale roztrzaskują się u stóp skarpy.

– Nie bez powodu fatygowałem się do was na okręt w tym deszczu – mówi Roën. – Zdajesz się zapominać, że moi ludzie nie podzielają mojej słabości do twojej nadąsanej buzi.

– O co chodziło Harunowi? – pytam. – Ktoś wyznaczył nagrodę za moją głowę?

– Zītsōl, przywróciłaś magię. Nie brakuje ludzi gotowych sięgnąć głęboko do kieszeni, byle dostać cię w swoje ręce.

Docieramy na kraniec skalnej półki. Roën wchodzi do wielkiej drewnianej skrzyni wzmocnionej żelaznymi sztabami. Zaprasza mnie gestem. Waham się, obrzucam wzrokiem pęk sznurów, które łączą prymitywną windę z czymś na górze.

– Tam, skąd pochodzę, Zītsōl to czułe słowo. Zītsōl, czyli „ta, która się boi tego, co nie może jej skrzywdzić”.

Przewracam oczami, ale wchodzę na skrzypiące deski. Roën się uśmiecha i pociąga za linę. Przeciwwaga opada, a my jak ptaki zaczynamy się wznosić ku niebu.

Gdy osiągamy wysokość, z której widać wszystkie namioty przybyszów do Dżimety, z wrażenia aż chwytam się wytartej krawędzi kabiny. Z pokładu okrętu doliczyłam się kilkudziesięciu prowizorycznych domków, teraz jednak widzę, że wzdłuż skalistego wybrzeża stoją ich setki.

W oddali dostrzegam sznur białowłosych magów i ciemnowłosych kosidan; posuwają się wolno naprzód w kierunku skromnej łajby. Patrząc, jak całe rodziny znikają pod pokładem, znów czuję się winna. Aż trudno uwierzyć, że chaos spowodowany odrodzeniem magii wygnał z domów już tyłu Oriszan.

– Zamiast patrzeć na dół, lepiej spojrz w górę – mówi Roën.

Podnoszę wzrok i mimo woli otwieram usta. Na tej wysokości niebosiężne klify Dżimety wrzynają się w niebo ciemnymi sylwetkami. Jasno świecące gwiazdy są jak

brylanty wszyte w tkaninę nocy. Ten widok uzmysławia mi, jak bardzo tęsknię za Babą; on zawsze lubił wpatrywać się w gwieździste niebo.

Potem jednak znów kieruję wzrok na dół. Trochę żałuję, że nie wchodzę na statek razem z tymi ludźmi. Jak by to było pożeglować za marzeniem o pokoju? Zamieszkać w kraju, gdzie magów nie uważa się za wrogów? Gdybym zostawiła za sobą całe dotychczasowe życie, czy zdołałabym się uwolnić od cierpienia, jakim dziś okupiony jest każdy mój oddech?

– Myślisz, że za morzem będą szczęśliwsi? – pytam.

– Wątpię – odpowiada Roën. – Słabi wszędzie będą słabi.

Moja fantazja pryska, poczucie winy boleśnie ściska żołądek. Dopiero gdy Roën obejmuje mnie w talii, ból zmienia się w motyle.

– Poza tym jak można być szczęśliwszym z dala ode mnie?

– Daję ci trzy sekundy, potem utnę ci rękę.

– Całe trzy sekundy? – Roën się uśmiecha, a winda staje.

Jesteśmy na samej górze, z windy wychodzi się prosto do skromnie urządzonej grotty. Otaczam się ramionami i ruszam przed siebie. Mój wzrok pada na wyciosane w skale krzesło i stół. Za łóżko służy kilka futer z panterozców. Nie sądziłam, że Roën mieszka w tak surowych warunkach.

– To wszystko?

– A czego się spodziewałaś? Pałacu? – Roën podchodzi do jedynego mebla z prawdziwego zdarzenia, marmurowej szafy, w której trzyma miecze i inną broń. Wyjmuje z kieszeni i odkłada na półkę dwa mosiężne kastety. Widać na nich zaschniętą krew.

Staram się nie myśleć o człowieku, którego nimi potraktował. Szukam słów, które sprawią, że Roën spełni naszą prośbę. Nie chcę zbyt długo być z nim sam na sam. Nie chodzi nawet o jego awanse; raczej o to, że sobie ufam jeszcze mniej niż jemu.

– Doceniamy wszystko, co dla nas zrobiłeś – oświadczam. – Cierpliwość, jaką nam okazałeś...

– Błagam, daruj sobie te głodne kawałki. Amari naprawdę nie umiała wymyślić nic lepszego? – Roën już ma usiąść, lecz krzywi się nagle i sięga ręką za kark.

Zdejmuje koszulę przez głowę, a mnie robi się gorąco na widok jego wyrzeźbionych mięśni poprzecinanych starymi i nowymi bliznami. Dopiero po chwili

dostrzegam świeżą ranę pod barkiem.

Podnoszę z ziemi mokrą szmatę i korzystam z pretekstu, żeby podejść bliżej. Roën zmrużonymi oczyma patrzy, jak płuczę ją w wiadrze z deszczówką, a potem przemywam mu ranę.

– Uroczą jesteś, Zītsōl. Ale ja się nie bawię w przysługi.

– Nie chodzi o przysługę – odpowiadam. – Pomóż nam, a zarobisz dwa razy więcej niż do tej pory.

Roën przekrzywia głowę.

– Oświeć mnie, proszę. Ile to będzie dwa razy zero?

– Gdyby rytuał przebiegł zgodnie z planem, Amari zasiadałaby teraz na tronie. A ty już dawno dostałbyś swoje złoto.

I Baba by żył.

Prędko odpędzam tę myśl, zanim się do mnie przyczepi. Gdybanie, co mogłoby być, raczej nie pomoże mi przekonać Roëna do współpracy.

– Posłuchaj, Zītsōl, może i mam dużo wdzięku, ale naprawdę nie chcesz mieć u swojego boku takich ludzi jak ja albo Harun. A już na pewno nie chcesz być naszą dłużniczką.

– Jeśli Amari nie wstąpi na tron, kto inny przejmie władzę.

Roën wzrusza ramionami.

– To chyba jej problem. Dlaczego tak cię to obchodzi?

– Bo... – Właściwa odpowiedź sama ciśnie mi się na usta. *Bo w niej cała nadzieja. Tylko ona może kazać wojsku przerwać polowanie na magów.*

Ale patrzę Roënowi w oczy i nie chcę go okłamywać.

Z jakiegoś powodu to byłoby jak okłamywanie siebie.

– Myślałam, że Orisza stanie się lepszym miejscem. – Kręcę głową. – Dzięki magii. – Kłuje mnie w sercu, kiedy wypowiadam prawdę na głos. Czuję się, jakbym miała się rozpaść na kawałki. – Śmierć Baby, tytani, polowanie na magów. – Wzdycham. – Ci wszyscy uciekinierzy... Nie minął jeszcze nawet miesiąc, a wydaje się, że magia zrujnowała całe królestwo. Wszystko jest gorzej, niż było. – Wyżymam szmatę. Tak bardzo chciałabym cofnąć czas. – Teraz, gdy odzyskaliśmy magię, przestało mi na niej zależeć. Żałuję, że chciałam ją odzyskać.

Wzdycham drżąco i próbuję znów obmyć mu ranę, lecz Roën chwyta mnie za nadgarstek i zmusza, żebym spojrzała mu w oczy. Jego dotyk przyprawia mnie o gęsią skórkę. Jesteśmy sami po raz pierwszy od tamtej nocy na okręcie. Wtedy staliśmy pod żółtym księżycem i zwierzałyśmy się sobie ze swoich traum i koszmarów.

Teraz Roën patrzy na mnie tak, że skóra mi cierpnie, a jednocześnie w tym spojrzeniu jest coś magnetycznego. Jakby przebił się stalowymi oczyma przez mój pancerz i ujrzał mnie taką, jaka jestem naprawdę, rozbitą i zagubioną.

– Skoro nie chcesz już magii, to czego chcesz?

To pytanie daje mi do myślenia. Chcę tylko odzyskać ludzi, których utraciłam. Im dłużej się jednak zastanawiam, tym bardziej przypominam sobie objęcia Mamy. Ucieczkę w ciepłą śmierć.

– Chcę być wolna – szepczę. – Chcę mieć to wszystko za sobą.

– No to miej. – Przyciąga mnie i wpatruje się we mnie jak w supel, który trzeba rozwiązać. – Po co prosić mnie o pomoc, skoro wystarczy dać sobie spokój?

– Bo jeśli Amari nie zasiądzie na tronie, to będzie oznaczało, że wszystko poszło na marne. Że mój ojciec zginął na marne. A wtedy... – Ścisną mnie w dołku na samą myśl. – Wtedy już nigdy nie będę wolna. Nie z takimi wyrzutami sumienia.

Roën przygląda mi się uważnie. Już ma na końcu języka słowa sprzeciwu, ale postanawia chyba zachować je dla siebie. Chwytam go delikatnie za brodę i wycieram z niej resztki krwi.

Opuszcza wzrok, a moje spojrzenie pada na rzędy kresek na ramieniu, najgorsze ze wszystkich jego blizn. Powiedział mi kiedyś, że oprawcy wycinali mu kreskę za każdym razem, gdy na jego oczach zabijali któregoś z jego ludzi. Dwadzieścia trzy kreski, dwudziestu trzech zabitych. Przypuszczam, że to właśnie przez te blizny Roën postanowił opuścić rodzinny kraj. I że właśnie dzięki nim rozumie mnie jak mało kto.

– Ja nie dam drugiej szansy, Zītsōl. A to byłaby twoja trzecia.

– Możesz mi zaufać. – Wyciągam rękę. – Przrzekam na życie Baby. Pomóż nam doprowadzić rzecz do końca, a odwdzięczymy ci się złotem.

Roën kręci głową, lecz chwilę później wsuwa swoją dłoń w moją. Ogarnia mnie fala ulgi.

– Dobrze – mówi. – Wyruszymy dziś wieczorem.

ROZDZIAŁ 4



AMARI

Na drugi dzień rano w ciasnej kabinie kapitańskiej mój głos rozbrzmiewa echem. Zbliżamy się do brzegów Zarii, a ja usiłuję napisać odezwę, która przekona mieszkańców Oriszy, by wsparli mnie w zabiegach o tron.

– Nazywam się Amari Olúborí – oznajmiam. – Jestem córką króla Sarana. Siostrą zmarłego następcy tronu.

Stoję przed pękniętym lustrem i próbuję poczuć moc zawartą w tych słowach. Ale choć powtarzam je wiele razy, brzmią jakoś fałszywie.

Zresztą nie tylko one.

Ściągam przez głowę czarną tunikę i rzucając ją na rosnącą stertę ubrań na łóżku. Przez wiele tygodni musiało mi wystarczyć tyle rzeczy, ile byłam w stanie udźwignąć; teraz dziwnie się czuję, przebierając w ubraniach zdobytych dla mnie przez ludzi Roëna.

Przypominają mi się poranki w pałacu; to, jak się gryzłam w język, gdy służące na rozkaz matki wpychały mnie w coraz to nowsze stroje. Ona nigdy nie była zadowolona z tego, jak wyglądam. W jej bursztynowych oczach zawsze byłam zbyt ciemna. Zbyt duża.

Podnoszę z podłogi złoty zawój. Matka lubiła ten kolor. Naciągając zawój na skronie, mam w uszach jej głos.

Tym to można co najwyżej podetrzeć zad lampartusowi.

Robi mi się sucho w gardle. Odkładam zawój. Tak długo starałam się ją w sobie zagłuszyć. Teraz nie mam wyboru.

Skup się, Amari.

Sięgam po granatową tunikę i ściskam jedwab w palcach, żeby się nie rozpłakać. Jakie mam prawo do żałoby, skoro Orisza tyle wycierpiała przez grzechy mojej rodziny?

Naciagam na siebie tunikę i znów staję przed lustrem. Nie ma czasu na łzy.

Dziś muszę odpokutować za tamte grzechy.

– Staję przed wami, aby ogłosić koniec dawnych podziałów! – wołam. – Nadszedł czas zjednoczenia. Razem będziemy... – Urywam w pół zdania, zmieniam pozę i oglądam swoje pęknięte odbicie.

Na ramieniu, na tle skóry w kolorze dębu, niczym błyskawica odcina się nowa szrama. Przez lata ukrywałam przed światem bliznę po ranie, którą zadał mi brat. Dziś po raz pierwszy musiałam też ukryć bliznę po ojcu.

Dziwna to szrama, jakby miała w sobie coś z żywej istoty. Jakby nienawiść ojca wciąż we mnie krążyła. Chciałabym się jej pozbyć. Albo raczej pozbyć się jego...

– Nieba!

Moje palce rozbłyskują niebieskim światłem aszê. Krzywię się, mrużę oczy, próbuję zgasić granatowy blask, którym jaśnieje moja dłoń, lecz magia wciąż we mnie wzbiera, pokój zaczyna wirować.

Z czubków palców niczym iskry wystrzeliwiają granatowe nitki. Ręce mnie pieką, skóra mi pęka, blizny się otwierają. Z gardła wyrywa się bolesny jęk.

– Pomocy! – wołam.

Zaraz potem wpadam na lustro. Na moim odbiciu odciska się szkarłatna plama. Ledwie oddycham, tak wielki to ból. Krew spływa mi na piersi. Upadam na kolana. Próbuję krzyczeć, ale wydobywam z siebie tylko charkot.

– Amari!

Głos Tzaina, podobny do tłuczonego szkła, wyrywa mnie z niemocy. Fale obezwładniającego bólu z wolna słabną.

Dochodzę do siebie na mokrej podłodze, na wpół rozebrana, z jedwabną tuniką w zaciśniętej pięści. Rozmazana krew, którą jeszcze przed chwilą widziałam na lustrze, zniknęła bez śladu.

Moje blizny też wyglądają całkiem normalnie.

Tzain okrywa mnie szalem i bierze na ręce. Przywieram do niego, a mięśnie robią mi się ciężkie, jakby wyczerpane przypiływem magii.

– To już drugi raz w tym tygodniu – zauważa.

Tak naprawdę to czwarty. Ale nie mówię mu tego, bo widzę po nim, jak bardzo się martwi. Nie musi wiedzieć, że mi się pogarsza. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Wciąż nie wiem, co sądzić o tych nowych zdolnościach. Co to znaczy być Konektorką, tytanką. Rytuał sprawił, że magowie odzyskali utracone moce, ale tytani, ludzie tacy jak ja, nigdy przedtem nie władali magią.

Z tego, co mi wiadomo, tytani pochodzą z arystokracji: to ludzie błękitnej krwi nieświadomi, że wywodzą się od magów. Co by rzekł ojciec, gdyby się dowiedział, że w żyłach jego dzieci płynie krew tych, których znienawidził? Których nazywał glistami?

– Bogowie. – Tzain ogląda moją dłoń. Skórę mam czerwoną i wrażliwą na dotyk, usianą żółtymi pęcherzykami. – Magia nie powinna boleć. Gdybyś porozmawiała z Zélie...

– Zélie nie używa swojej magii. Przyglądanie się mojej to pewnie ostatnia rzecz, na jaką ma teraz ochotę.

Chowam biały kosmyk między włosy. Najchętniej po prostu bym go sobie obcięła. Być może Tzain nie zauważył, jakim wzrokiem Zélie na niego patrzy; mnie jej grymas nie umknął ani razu. Dość się wycierpiała z powodu swojego daru, a teraz jak na ironię ci, którzy najbardziej ją skrzywdzili, sami władają magią.

Doskonale rozumiem, dlaczego Zélie znienawidziła magię, czasem jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to mną gardzi. A przecież teoretycznie łączy nas przyjaźń. Jak zareagują inni magowie, gdy się dowiedzą, że stałam się tytanką?

– Coś wymyślę – mówię z westchnieniem. – Gdy tylko zdobędę tron. – Znów wtulam się w szyję Tzaina, wodzę palcami po jego zaroście.

– Próbujesz mi coś powiedzieć?

Uśmiecham się szelmowsko.

– Dobrze ci z brodą. Podoba mi się.

Przesuwa kciukiem po mojej twarzy. Jego dotyk wznieca pożar niemal tak potężny jak moja magia. Wstrzymuję oddech, gdy zbliża swoją głowę do mojej. Już prawie stykamy się ustami, gdy nagle szarpnięcie okrętu wyrzywa nas ze swoich objęć.

– Nieba, co to było? – Wstaję prędko i przyciskam czoło do brudnej szyby iluminatora.

Przez ostatnie trzy tygodnie rozciągał się za nią tylko szary bezkres morza. Teraz w turkusowej wodzie widać barwne rafy koralowe.

Wybrzeże Zarii wypełnia już cały horyzont. Nasz okręt ostrożnie wpływa między porośnięte bluszczem klify. Z gulą w gardle spoglądam na tłum, który zebrał się na

białym piasku. Setki ludzi.

Kto wie, czy nie tysiące.

– Gotowa?

Tzain staje za mną i obejmuje mnie w talii.

– Nawet nie wiem, co na siebie włożyć.

– Mogę ci pomóc.

Unoszę brew.

– Pomożesz mi wybrać ubranie?

Tzain się śmieje.

– Dużo ci się przyglądam, Amari. We wszystkim wyglądasz pięknie.

Czuję gorący rumieniec na policzkach. Tzain zerka na stertę odrzuconych ubrań.

– Ale dziś żadnej tuniki. Bądź co bądź jesteś królową Oriszy. – Zwraca się w stronę zbroi, którą miałam na sobie w świątyni podczas rytuału.

Wciąż widnieje na niej krew przeciwników, których dosięgnął mój miecz. Królewską pieczęć z przodu splamiła ciemna krew ojca.

– Nie mogę tego włożyć! – wykrzykuję. – Ludzie się przerażą!

– O to chodzi. Ja na widok tej pieczęci dostawałem gęziej skórki ze strachu. Ale kiedynosisz ją ty... – Na twarzy Tzaina rozkwita uśmiech pełen słodyczy. – Kiedy ta pieczęć jest na tobie, nie tylko się nie boję, ale wręcz czuję się bezpieczny. – Opiera brodę na czubku mojej głowy i znów chwyta mnie za dłoń. – Jesteś królową, Amari. Niech ludzie złączą tę pieczęć z nową twarzą. Twoją twarzą.

ROZDZIAŁ 5



ZÉLIE

Kiedy trap opada cicho na mokry piasek, mieszkańcy Zarii nie wiwatują. Stoją w zupełnym bezruchu.

Tylko patrzą.

Wzdłuż ścieżki prowadzącej do miejsca wiecu stoją arystokraci, niektórzy z białymi pasmami w ciemnych włosach. Za nimi gromadzą się kosidanie, w ich tłumie są też oficerowie i zwykli żołnierze. Ludzie tacy jak ja, o białych włosach wystających spod kapturów, stoją na obrzeżach.

Cisza i bezruch potęgują wrażenie doniosłości chwili. Otwieramy nowy rozdział w historii Oriszy. Nie mogę uwierzyć, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, wreszcie tu dotarliśmy. *Bogowie*, myślę.

To się dzieje naprawdę.

– Nie czuję nóg.

To Amari stanęła obok mnie. Wygląda imponująco w swojej zbroi. Na królewskiej pieczęci wciąż widnieje krew. Starannie dobrany hełm całkiem zakrywa pasmo bieli we włosach.

Ja też mam na sobie ukradziony pancerz. Tam, gdzie poprzedni właściciel trzymał miecz, wetknęłam kij.

Chce mi się wymiotować, lecz Amari nie musi o tym wiedzieć.

– Nie takie rzeczy już robiłaś – mówię, poklepując ją po ramieniu. – Dasz sobie radę.

Amari kiwa głową, lecz ręce wciąż jej się trzęsą. Ostatni raz widziałam u niej taki strach na targowisku w Lagos, kiedy jeszcze się nie znałyśmy. Wtedy była tylko księżniczką, która uciekła z pałacu. A ja – córką ubogiego rybaka. Wtargnęła znienacka do mojego życia – i przez to Orisza już nigdy nie będzie taka sama.

– Dasz radę – powtarzam. Choć wiele mnie to kosztuje, zmuszam się, by spojrzeć jej w oczy.

Na szczęście ukryła biały kosmyk pod hełmem; dzięki temu łatwiej mi zobaczyć jej twarz, a nie twarz jej brata, który złamał mi serce.

– Ojciec i Inan szykowali się do tej roli przez całe życie – odpowiada Amari. – A ja miałam na to niecały miesiąc.

– Ale już teraz dałaś królestwu więcej niż wszyscy twoi poprzednicy i poprzedniczki. Bez twojej pomocy nie zdołałabym przywrócić magii. – Chwytam ją za rękę i splatam nasze palce. – Bogowie cię wybrali. Tak jak wcześniej wybrali ciebie, żebyś wykradła ten pergamin. – Choć wypowiadam te słowa z uśmiechem, w środku czuję ból.

Jeśli bogowie ją wybrali do tego zadania, to mnie wybrali do cierpienia.

Wybrali mnie, żebym straciła Babę.

– Naprawdę w to wierzysz? – Amari odwraca wzrok. – Mimo że jestem tytanką?

Nerwowo zaciskam usta. Lecz mój stosunek do takich jak ona nie ma w tej chwili znaczenia. Moje rany, śmierć Baby – wszystko to nabierze sensu, gdy Amari zostanie królową. Będę mogła zrzucić z siebie wielki ciężar. Wreszcie uwolnię się od bólu.

Nachylam się bliżej.

– Ja to wiem. To przeznaczenie. Bogowie się nie mylą.

Amari przytula mnie z taką siłą, że aż tracę równowagę. Śmiejąc się, obejmuję ją w pasie. Zdążyłam zapomnieć, jakie to miłe uczucie.

– Dziękuję ci – szepcze w moje warkocze głosem na krawędzi płaczu.

– Jesteś gotowa – odpowiadam jej szeptem. – Będziesz najlepszą królową w historii Oriszy.

– Nie zapomnij o najważniejszym – wtrąca się Roën. Wyrósł jak spod ziemi, w zębach trzyma papierosa. – Jako królowa będziesz rozporządzała królewskim skarbcem.

Amari przewraca oczami.

– Przy tobie trudno o tym zapomnieć choć na chwilę. Czy twoi ludzie są rozstawieni?

– Droga wolna. – Roën wskazuje gestem trap, a potem puszcza do mnie oko. – Czekamy na twój sygnał, królowo.

Amari wzdycha, potrząsa dłońmi, zaczyna mamrotać pod nosem swoją przemowę.

– Nazywam się Amari Olúborí. Nazywam się Amari Olúborí.

Gdy tak chodzi w kółko, podnoszę dwa palce do ust i gwizdzę. Natychmiast dobiega mnie zgrzytanie pazurów o metalową podłogę. Parę sekund później Najla jest już obok.

Amari unosi brwi.

– Co robisz? – pyta, widząc, że odpinam Najli pas, do którego przymocowane są cugle i siodło.

– To musi być wjazd godny królowej. – Splatam dłonie w koszyczek, by pomóc jej dosiąść wierzchacza. – No i nie zapominaj, że jesteś Lworożką.

Gdy Amari na grzbiecie Najli schodzi po trapie na ląd, w tłumie rozlega się zbiorowy jęk zachwytu. Sama też jestem pod wrażeniem. Za mną Tzain mruga, jakby chciał się pozbyć łzy z oka.

Odbite od zbroi Amari promienie słońca migoczą przy każdym ruchu Najli. Powiedzieć, że Amari z rękoma opartymi na rogach mojej lworożki wygląda królewsko, to nie powiedzieć nic.

Wygląda bosko.

– Bądź czujna – szepcze mi do ucha Roën. – To nie jest koronacja.

Podążam za jego wzrokiem w stronę chudego żołnierza, który stoi na obrzeżach tłumy z dłonią na rękojeści miecza. Przeciska się obok arystokratów i kosidan, na jego pancerzu połyskuje w słońcu królewska pieczęć. Harun na znak Roëna przechwytuje żołnierza, zanim ten zdąży się zbliżyć do Amari, po czym odciąga go na bok.

– Nie rozumiem – mówię. – Myślałam, że naszym jedynym zmartwieniem są *iyika*.

– Wieść, że królowa jednak żyje, nie wszystkich ucieszyła – wyjaśnia Roën. – Wojsko wie, że Amari sympatyzuje z magami. Myślano o niej dużo cieplej, kiedy nie żyła.

Ciało mi sztywnieje. Zerkam na Amari w nadziei, że niczego nie zauważyła. Inni żołnierze co prawda nie dobywają mieczy, ale trudno powiedzieć, żeby bili pokłony przed nową władczynią. Dwójki patrolują tłum po obu stronach piaszczystej ścieżki; tytanów pozdrawiają skinieniem głowy, ale magom przyglądają się nieufnie, z dłońmi zawieszonymi nad bronią o majacytowych ostrzach.

Armia urządza polowanie na magów. Nowy admirał w zasadzie wypowiedział im wojnę.

Przypominam sobie te słowa Roëna i znów spoglądam na członków mojego ludu, którzy pozostają na obrzeżach tłumu, bojąc się podejść bliżej. Mimo prażącego słońca większość ukrywa się pod wzorzystymi opończami. Choć odzyskaliśmy nasze dary, nadal żyjemy w strachu.

– Jeszcze tylko kawałek. – Roën wskazuje ruchem głowy wielką piaskową kopułę kilkadziesiąt metrów przed nami.

Stoi na samym brzegu morza, spienione fale rozbijają się o zdobiący ściany budowli deseń z prostokątów. Kopuła jest tak wysoka, że niemal przesłania słońce.

– O rety – dobiega mnie z góry szept zachwyconej Amari. Radość rozjaśnia jej twarz, szybko jednak gaśnie na widok czerwonej plamy na ścianie kopuły. Choć farba została rozmazana, wciąż wyraźnie widać kształt litery I.

Amari zerka w moją stronę. Dla otuchy ściskam ją za kostkę u nogi.

– Nic się nie martw. Nie pozwolę żadnemu rebeliantowi się do ciebie zbliżyć.

– Jagunjagun!

Spoglądam przed siebie i widzę drobnego maga z odstającymi uszami i pieprzykiem na brodzie. W odróżnieniu od reszty stoi w pierwszym szeregu, kręcone białe loki wystają mu spod kaptura. Choć słowo, które szeptem wypowiedział, oznacza w języku joruba żołnierza, raczej nie chodzi mu o królewską pieczęć na moim pancerzu. Kiedy się do niego uśmiecham, robi wystraszoną minę, aż oczy prawie wychodzą mu z orbit.

Baba właśnie tego chciał, uświadamiam sobie nagle. Dla niego i wszystkich takich jak on. Od dziś nie będą już musieli się ukrywać. Nadszedł czas, by moi ludzie stanęli w słońcu.

Amari powściąga Najlę przed sklepionym wejściem do kopuły i zeskakuje na piasek. Bierze głęboki wdech, po czym wchodzi do środka.

Nie odstępuję jej na krok.

ROZDZIAŁ 6



AMARI

Widok, który zastajemy wewnątrz, jest tak niesamowity, że odbiera mi mowę. Jeszcze nigdy nie musiałam się zwracać do takiego tłumu.

Piaskowe ściany kopuły są pokryte kolorową płaskorzeźbą: mnóstwem ludzkich ciał złączonych w tańcu i pieśni. Przez wielki otwór rozpościera się widok na morze. Fale liżą piasek u naszych stóp.

– O rety... – mamrocze Tzain, idąc u mojego boku.

Unoszę głowę ku słońcu, które wpada przez okrągły otwór w sklepieniu; w jego ciepłym blasku kąpie się tłum oraz drewniane podium wzniesione przez najemników Roëna.

Morze ludzi rozstępuje się, gdy zmierzamy w stronę platformy pośrodku sali. Rozchodzą się przede mną tak jak dawniej przed ojcem. Wchodząc po schodach, słyszę jego głos.

Amari, atakuj!

Choć inaczej sobie wyobrażał moje przeznaczenie, trudno mi się oprzeć wrażeniu, że przygotowywał mnie na ten dzień. To on mnie nauczył, że ręka nigdy nie może mi zdrześć, nawet jeśli moim przeciwnikiem będzie ktoś bliski.

Amari, walcz!

Biorę głęboki oddech, prostuję ramiona, wypinam pierś. Kiedy przebiłam ojca mieczem, coś mu przyrzekłam. Teraz wszystko się rozstrzygnie: albo obejmę tron, albo go stracę.

– Nazywam się Amari Olúborí. – Moje słowa odbijają się gromkim echem od zakrzywionych ścian. – Jestem córką waszego zmarłego króla. Siostrą nieżyjącego następcy tronu.

Ktoś w tłumie rusza w moją stronę. Serce mi przyspiesza, szykuję się na atak. Gdy kosidanin tylko przede mną klęka, w zdumieniu rozchylam usta.

Tego się nie spodziewałam.

– Wasza Królewska Mość.

Chłopak kłania mi się tak nisko, że wręcz dotyka czołem piasku. Jego ukłon przenosi się na całą salę: reszta zgromadzonych bierze z niego przykład i pada na kolana. Ludzie na zewnątrz też klękają. Oblewa mnie fala ciepła.

W ich ukłonach jest coś uświęconego. Czy na pewno jestem tego godna? Gdy opuszczałam pałac, byłam przestraszona księżniczką uciekinierką.

Teraz od tronu dzieli mnie jedno przemówienie.

– Dwa miesiące temu mój ojciec na moich oczach zamordował w pałacu moją najbliższą przyjaciółkę. Na imię miała Binta, była ibawitką, która zawiniła jedynie tym, że w jej żyłach płynęła krew pełna magii. – Przerywam, żeby odchrząknąć. Każde słowo cofa mnie boleśnie do tamtego dnia, tamtej rozpaczki. – Mój ojciec zmusił Bintę, by wbrew sobie wzbudziła swój dar. A gdy jej moc się objawiła, z miejsca ją zabił.

W tłumie rozlegają się pomruki niezadowolenia. Niektórym oczy szklą się od łez, inni kręcą głowami. Gdzieś w głębi grupka magów przeciska się do przodu. Dwaj rośli żołnierze pod ścianą wymieniają spojrzenia.

Pokój wydaje się w tej chwili kruchy jak szkło, ale już nie mogę się lękać prawdy. Magowie zbyt długo mieli knebel w ustach. Jeśli teraz nie wstawię się za nimi, kto inny to zrobi?

– Mogliście nie słyszeć o Bincie, ale na pewno znacie jej historię. To historia niesprawiedliwych prześladowań, które przez dziesiątki lat dotknęły niezliczonych ibawitów oraz magów zamieszkujących nasz kraj. Od pokoleń historia Oriszy jest historią podziału. Historią przemocy i prześladowania, którym musimy dziś położyć kres.

Sama jestem zaskoczona donośnym brzmieniem swojego głosu. Prawie go widzę, jak rozchodzi się po sali. Ktoś okrzykiem przyznaje mi rację, pozostali zaczynają wtórować. Patrzą z niedowierzaniem, jak coraz więcej osób przyłącza się do wiwatów.

Ośmielona tą manifestacją wiary przemierzam platformę. Orisza moich marzeń wydaje się w zasięgu ręki.

Ale wtedy dostrzegam rebeliantkę.

Stoi pośrodku sali, przez jej lewe oko biegnie gruba szrama. W przeciwieństwie do innych magów nie ukrywa białych loków, lecz nosi je dumnie, spadające kaskadą na

oliwkowe ramiona. Dłonie ma umazane czerwoną farbą – w tym samym kolorze, który widziałam wcześniej na ścianie kopuły. Choć w ogóle się nie rusza, grymas na jej twarzy mówi wszystko.

Ona nie chce, żebym objęła tron.

Pocę się pod hełmem. Przebiegam wzrokiem po tłumie, szukając innych rebeliantów. Podnoszę rękę, by się upewnić, czy mój biały kosmyk się nie odsłonił. Dopiero gdy znów spoglądam na magiczkę, doznaję olśnienia.

Ona się przede mną nie ukrywa. Nie udaje kogoś, kim nie jest. Dlaczego ja mam udawać?

Amari, atakuj!

Drżącymi palcami łapię hełm. Nie wiem, czy to, co zamierzam zrobić, jest najmądrzejsze. Ale jeśli stchórzę i zacznę ukrywać prawdę, nie będę lepsza od Inana.

Odwagi, Amari.

Biorę ostatni wdech. Chwilę później hełm upada z brzękiem na ziemię, odsłaniając biały kosmyk.

– Ona jest jedną z nich!

– Królowa jest tytanką!

Przez tłum przetaczają się okrzyki niedowierzania. Kilku magów przeciska się do przodu. Żołnierze rzucają się za nimi w pogoń. Robi się coraz niespokojniej.

Najemnicy Roëna stają pierścieniem wokół sceny. Głos więźnie mi w gardle, ale zaschnięta krew na pancerzu przypomina, ile mam w sobie siły. Tylko ja mogę zjednoczyć Oriszę. Sprawić, żeby wszyscy ci ludzie poczuli się bezpieczni.

– Chciałam ukryć prawdę o sobie! – wołam. – Ukryć strach przed tym, kim się stałam. Ale powrót magii i narodziny tytanów są namacalnym dowodem na to, że wreszcie wracamy do Oriszy, jakiej pragnęli dla nas bogowie! Tyle mamy w sobie nienawiści i strachu, że zapomnieliśmy, jakim błogosławieństwem są darowane nam moce. Przez wieki były kością niezgody, a przecież bogowie obdarzyli nas magią, aby lud Oriszy mógł rozkwiąć!

Zamęt cichnie, moje słowa wywarły na ludziach wrażenie. Pokój wciąż jest kruchy, ale dopóki mnie słuchają, nie wszystko stracone.

– Pomyślcie o Ziemiowcach, którzy mogliby uprawiać naszą ziemię. O Falunach, którzy oszczędziliby rybakom wiele trudu. O Spajaczach, którzy w kilka dni

wznosiliby nowe miasta. O Uzdrowicielach, którzy chroniliby naszych bliskich przed chorobą i śmiercią!

Zwracam się do buntowniczkę ze szramą na oku. Do młodego żołnierza z zaciętą miną. To dla nich odmalowuję słowami wizję kraju, którą sama widzę niemal tak wyraźnie jak płaskorzeźbę na sklepieniu kopuły.

– Pod moimi rządami Orisza stanie się krajem, w którym nawet najubożsi będą mieli co jeść, gdzie mieszkać, w co się ubrać. Królestwem, które chroni wszystkich i każdego akceptuje. Koniec z dawnymi podziałami! – Wyciągam ręce przed siebie i podnoszę głos. – Nastaje nowa Orisza!

Tym razem aplauz jest ogłuszający. Promienieję ze szczęścia. Wezwania do jedności rozbrzmiewają głośnym echem.

– Kí èmí olá ó gùn Ayaba! – woła ktoś, a reszta zaczyna skandować razem z nim.

– Kí èmí olá ó gùn Ayaba. Niech żyje królowa – tłumaczy Zélie.

Czuję się tak lekka, że mogłabym wzlecieć w powietrze. Okrzyki tłumu rozbrzmiewają w moim wnętrzu, budzą te cząstki, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Cofam się na moment do tamtej cudownej chwili w Chândomblé, kiedy Lekan ożywił malowidła na suficie. Teraz widzę ten sam ład i szczęście. Ta sama magia jest na wyciągnięcie...

– Kłamstwa!

Grzmiący okrzyk rozlega się ponad harmidrem i wszystkie głosy naraz cichną. Ludzie zwracają głowy w stronę wejścia. Zaciskam palce na rękojeści miecza. Słyszę skrzypienie piasku pod metalowymi podszwami.

Spoglądam na Zélie, a ona kiwa głową na znak, że jest gotowa do walki. Gdy jednak ludzkie morze się rozstępuje, broń wypada mi z ręki.

Postać, która rzuciła mi wyzwanie, skrywa twarz pod kapturem, lecz i tak rozpoznałam ją po chodzie.

– Matko?

Chwytam się za serce i wybucham spontanicznym śmiechem.

Ruszam ku niej, nie dowierzając własnym oczom. Dopiero gdy unosi głowę i napotykam nienawistne spojrzenie bursztynowych oczu, staję jak wryta.

ROZDZIAŁ 7



ZÉLIE

A więc stąd wzięły się bursztynowe oczy Amari. Domyśliłabym się prawdy, nawet gdybym nie widziała tej miny. Królowa Nehanda jest równie piękna jak jej córka, lecz w przeciwieństwie do niej rysy ma ostre i wyraziste. Jej zbroja lśni złotem; wypukły pancerz uzupełniają ząbkowane naramienniki oraz kunsztownie rzeźbione rękawice.

– Co robimy? – pyta Tzain, zaciskając palce na trzonku topora.

Wbrew doniesieniom ludzi Roëna królowa Nehanda nie zginęła. Monarchini posuwistym krokiem przemierza biały piasek, wiatr znad morza unosi jej fioletową pelerynę. Precyzja jej ruchów ma w sobie coś znajomego i niebezpiecznego.

Blizny na plecach zaczynają mnie świerzbić.

– Ty żyjesz! – Amari się uśmiecha, lecz matka nawet nie raczy na nią spojrzeć.

Toczy wzrokiem po sali, świadoma tego, że wszystkie oczy utkwione są w niej.

I tego, że jednym słowem, jak trzaśnięciem biczem, zepchnęła Amari na drugi plan.

– Śmiałe obietnice – odzywa się w końcu. – Piękne kłamstwa. Ale to nie jest mowa świątłej przywódczyni, lecz jad tyranki spragnionej władzy.

Dla Amari te słowa są jak siarczasty policzek. Aż się od nich zachwiała. W tłumie słyhać niespokojny szmer, niezadowolenie rozlewa się niczym woda z przerwanej tamy.

– Matko, co to znaczy? – Amari robi krok do przodu. – Myślałam, że nie żyjesz...

– Niedoczekanie twoje! – przerywa jej królowa. – Nasłałaś na mnie magów i najemników...

– Nieprawda...

– Mówisz ludziom, że ich król zginął, lecz ani słowem nie wspominasz, że masz na sumieniu zbrodnię królobójstwa? Mówisz o zmarłym bracie, ale nie chcesz się przyznać, że to ty i magowie zabiliście prawowitego spadkobiercę tronu?

Na całej sali rozlegają się okrzyki trwogi. Jeszcze parę chwil temu w powietrzu wyczuwało się nadzieję; teraz jest ono ciężkie od podejrzeń i odrazy.

– To nieprawda! – woła Amari.

– Wypierasz się tego, że zabiłaś własnego ojca?

– Nie, ale... – Amari robi się czerwona na twarzy. Bierze głęboki oddech. – Owszem, król zginął z mojej ręki, ale to nie ja zabiłam Ina...

Lecz tłum nie daje jej dokończyć. Szacunek, jaki zdołała wzbudzić w ludziach, przysł.

– Zdrada! – krzyczy ktoś.

– Oszustka! – dołączają inni. Ich wściekłość jest coraz większa, rośnie jak fala, przed którą nie ma ucieczki. Rozlewa się nawet na rozrzuconych po sali magów.

Amari podnosi ręce, jakby dało się ich w ten sposób uspokoić. Wygląda jak bezradny szczeniak przed grotą śnieżnych lampartusów.

– Przed wami stoi zdrajczyni – oznajmia Nehanda. – Buntowniczką, która zmówiła się z kłamcami i ze złodziejami. Zuchwałe dziecko, które naraziło nas wszystkich na niebezpieczeństwo ze strony magii, bo chciało zostać królową!

– Matko, proszę! – błaga ją Amari. – Pozwól mi wyjaśnić... – Lecz jej głos łamie się jak drewno pod żelaznym głosem Nehandy.

Chwilę później milknie, bo do hali wkracza straż królowej. Jej znakiem rozpoznawczym są złote pancerze i ostre miecze. W jasnym blasku złotych pieczęci na zbrojach widzę ciało Mamy.

Czuję żar płomieni, które strawiły trumnę Baby.

– Nie pozwolę tobie ani twoim zbuntowanym magom zniszczyć królestwa! – krzyczy Nehanda. – Jesteś aresztowana za zbrodnie przeciw koronie! Wszyscy twoi pomocnicy zostaną ukarani!

Wybucha panika. Strażnicy ruszają przed siebie, dobywają szklane kule wypełnione płynem czarnym jak noc.

– Co oni mają w rękach? – wołam do Tzaina.

– Nie wiem, ale musimy wydostać stąd Amari! – Tzain rusza biegiem ku podwyższeniu, ale się spóźnia.

Nehanda nasuwa na twarz złotą maskę, a jej żołnierze ciskają kulami w piach.

ROZDZIAŁ 8



ZÉLIE

Co to jest, na bogów?

Cofam się i opieram o drewniany podest. Płyn rozlewa się czarną falą po piasku. Najpierw zaczyna się pieniść, a potem podnoszą się z niego opary.

Ciemna chmura zasnuwa tłum. Kosidanom nie robi żadnej krzywdy, tytani jedynie pokaszają.

Za to magowie wrzeszczą jak obdzierani ze skóry.

– Ratunku!

Młody mag rozpaczliwie drapie się po szyi. Jego śniada cera pokrywa się bąblami. Chłopak próbuje krzyczeć, lecz dławi go czarny dym.

Nagle wszystko staje się dla mnie jasne. Atakują nas majacytem, ale nie w łańcuchach ani w mieczach.

Tym razem majacyt jest w powietrzu.

Jest gazem.

– Uciekajcie! – wołam do Tzaina i Amari, wdrapując się na podwyższenie. Strach uderza we mnie jak taran. Czuję, jak drętwieją mi stopy.

Chmura majacytu przesuwana się po hali, rośnie i gęstnieje. Magowie pierzchają na wszystkie strony, wśród przerażonych okrzyków tratują się nawzajem w drodze do wyjść.

– Nie pozwólcie się wymknąć ani jednemu buntownikowi! – grzmi Nehanda. – Trzeba uchronić Oriszę przed ich szaleństwem!

– Matko, błagam! – woła Amari, lecz Tzain ściąga ją z podestu.

Chwyta mnie za ramię i rusza naprzód, przedzierając się przez chaotyczny tłum.

Strażnicy królowej napierają zewsząd, błyskają złotymi pancerzami. Tak jak Nehanda mają złote rękawice i maski.

– Do ataku! – rozkazuje władczyni.

Spodziewam się kolejnych majacytowych ostrzy albo szklanych kul, a tymczasem ręce strażników zaczynają świecić na zielono.

To nie jest zwyczajna straż królewska.

To osobisty oddział tytanów.

Z przerażeniem patrzę, jak wyzwalają swoje moce i biorą na cel grupkę uciekających magów. Piasek pod ich stopami twardnieje niczym cement. Piaskowe słupy wystrzelują spod ziemi, uderzając w plecy moich braci i sióstr.

Z gardła wrywa mi się wściekły okrzyk. Tytani Nehandy na moich oczach bezczeszczą magię Ziemiowców. Jak śmiać używać naszych darów przeciwko nam? Dopiero gdy jeden z tytańskich żołnierzy wyszczerza zęby w grymasie bólu, uświadamiam sobie, że nie rozumieją delikatnej magii, którą posiadli.

– Pomocy! – woła.

Wokół niego robi się pusto. Piasek, na którym stoi, zaczyna się trząść. Tytan stracił panowanie nad swoją magią, skóra mu się łuszczy.

Raptem jego pierś eksploduje zielonym światłem. Brązowe oczy w jednej chwili gasną.

Tytan upada na piasek, jego zwłoki są deptane.

– Zél, pospiesz się! – Tzain ciągnie mnie za sobą.

Ledwie trzymam się na nogach. Kiedy tamten żołnierz krzyczał, przez chwilę wydawało mi się, że czuję to samo, co on.

To moc, której magom używać nie wolno. Moc tak potężna, że pożera tych, którzy nią władają.

To moc magii krwi.

A tytani jakimś sposobem ją posiadli.

– Morderczyni!

Amari podskakuje z piskiem, gdy jeden z arystokratów chwytą ją za warkocz i ciągnie do tyłu. Tzain rzuca się za nią i powala napastnika ciosem w brodę.

– Tzain! – Staram się ich nie zgubić, lecz po chwili giną w tłumie. Bez brata nie sforsuję ściany ludzkich ciał, którą mam przed sobą. – Tzain, potrzebuję cię!

Serce wali mi w piersi. Z przodu nacierają żołnierze, z tyłu zbliża się ciemna chmura. Próbuję się przedzierać, lecz wkrótce majacyt zaczyna mi lizać szyję. Mogę już tylko krzyżeć.

ROZDZIAŁ 9



ZÉLIE

Na miłość Oi.

Majacytowy opar atakuje ze wszystkich stron. Szczypią mnie oczy, skóra mi płonie, jakby ktoś mnie piętnował gorącym żelazem.

Trucizna opala mi łydkę, parzy płuca i blizny na plecach. Czuję się tak, jakby Saran znów rozcinał mnie nożem.

– Nie pozwólcie uciec zdrajczyń!

Krzyki Nehandy wciąż niosą się po wielkiej sali. Choć obraz rozmazuje mi się przed oczyma, widzę, jak idzie naprzód, wytrząsając loki spod złotego hełmu. Gdy dostrzegam na jej policzku biały kosmyk, nie wierzę własnym oczom. *Niemożliwe...*

Królowa Oriszy jest tytanką.

Ona też przywołuje swoją magię. W jednej chwili zmienia się powietrze. Zielone światło aszê otacza jej dłonie, ale to nie wszystko. Świeci również w jej wnętrzu, tak jasno, że widzę cienie żeber.

Szmaragdowy blask trzaska jak błyskawica. Królowa wzywa moc, której nie rozumiem. Wyciąga ręce, a jej żołnierze nieruchomieją. Z drzeniem patrzę, jak wysysa z nich aszê.

Jak to możliwe? Próbuję zrozumieć to, co widzę. Zielone nitki aszê sączą się przez skórę tytanów jak dym i wędrują do rąk Nehandy. Żołnierze jeden po drugim padają na kolana. Królowa wysysa z ich drżących ciał życiową energię. Jeden z tytanów dostaje ataku konwulsji, po czym nieruchomieje.

– Zapłacisz za swoje zbrodnie! – Nehanda kroczy naprzód, nic sobie nie robiąc z cierpienia, jakie zadaje własnym poddanym. Unosi dłonie, oczy jarzą jej się szmaragdowo. Krzyczy coś i uderza pięścią w ziemię.

I wtedy grunt zaczyna się rozstępować.

– Wracaj!

Salę wypełnia jeden wielki wrzask. Ludzie padają na kolana, nie mogąc ustać na trzęsącym się piasku.

Nehanda utrudniła magom ucieczkę, lecz widzę po jej wielkich oczach, że traci kontrolę. Ziemia trzęsie się z coraz większą siłą.

Nagle słyszę, jakby coś pękało.

O nie.

Ze ściśniętym żołądkiem spoglądam do góry. Szczelina pojawiła się również na kopule; pękające sklepienie błyskawicznie pokrywa się pajęczyną rys.

Wstawaj, krzyczę sama do siebie, widząc, jak słońce prześwieca przez rosnące szczeliny. Paraliżuje mnie jednak rozpacz. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko tak się kończy.

Cały nasz wysiłek. Cała nasza ofiara.

Wszystko na nic.

Baba nie odniesie pośmiertnego zwycięstwa. A ja nigdy nie uwolnię się od poczucia...

– Zélie, rusz się!

Roën rzuca się na mnie z boku i lądujemy w piasku. Turlamy się przez chwilę, potem słyszę, jak przeklina trafiony w rękę odłamkiem z sufitu.

– Roën!

Dusząc się w chmurze majacytu, idę na czworakach, aż go znajduję. Roën przyciska mi do nosa zakrwawiony metalowy przedmiot. To złota maska. Biorę haust świeżego powietrza.

– Trzymaj mocno! – Obejmuje mnie i chowamy się pod kamienną płytą.

Deszcz odłamków nie ustaje ani na moment. Wzdrygam się, ilekroć jakiś większy kawałek uderza w nasze schronienie.

Ktoś woła moje imię; wystawiam głowę i widzę, że Tzain i Amari na grzbiecie Najli pędzą w naszą stronę. Amari na mój widok rozkłada szeroko ręce.

– Złapcie się!

Chwytny się z Roënem jej rąk. Amari zaciska zęby i opiera się o Tzaina. W końcu udaje nam się wdrapać na grzbiet Najli.

Lworożka z wściekłym rykiem unika spadających kamiennych bloków.

Uciekamy z plaży. Niedługo potem cała kopuła wali się z hukiem na ziemię.

ROZDZIAŁ 10



AMARI

Pędzimy z boczem skalistej góry, a mnie w głowie kotłuje się tysiąc pytań. Z tyłu Zaria, ledwie plamka w oddali, znika wśród wieczoru. Ogień, który matka wznieciła swoją nienawiścią, wciąż tam płonie. Strażnicy pewnie zdążyli już przeszukać całe miasto i niedługo ruszą naszym śladem.

Jak to się stało?

Chowam twarz w dłoniach. Wciąż nie mogę się z tym wszystkim oswoić. Matka żyje. Jeszcze wczoraj to było moje największe marzenie.

Powinnyśmy paść sobie w ramiona. Razem opłakiwać Inana. Matka powinna poprzeć moje pretensje do tronu.

A tymczasem żąda mojej głowy.

Pomyśl, Amari.

Otaczam się ramionami. Drżą mi usta. Kiedy zamykam oczy, widzę uczestników wiecu. Czuję drgania wiwatującego tłumu.

Przez krótką chwilę wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Że nastanie pokój i zjednoczenie. Słońce Oriszy nareszcie wschodziło.

A potem zjawiała się matka.

– Tam.

Otwieram oczy. Tzain skręca gwałtownie w prawo i sprowadza Najlę z kamienistej ścieżki. Dzięki instrukcjom Roëna trafiamy na leśną polanę, do awaryjnego punktu zbiórki. Miałam nadzieję, że nie będzie nam potrzebny. Ze wszystkich stron otaczają nas omszałe drzewa o grubych konarach. W powietrzu niosą się odgłosy kroków i ciężkich łap – to inni magowie uciekający przed żołnierzami matki.

– Niech to szlag! – przeklina pod nosem Roën, gdy się zatrzymujemy. Zeskakuje z grzbietu Najli i mamrocząc coś po sutoriańsku, grzebie w kieszeniach. Wyciąga papierosa i chwyta go zębami.

Gdy nasze spojrzenia się spotykają, prędko odwracam wzrok. Wciąż nie mam ani złamanego dukata.

Jak mu zapłacę?

– Zél, co się stało? – Tzain odsuwa mnie i przysuwa się do siedzącej z tyłu siostry. Chwyta ją za podbródek i przygląda się oparzeniom na jej ciemnej skórze.

– To był majacyt. – Zélie patrzy na złotą maskę, którą trzyma w dłoniach. – Monarchii udało się zamienić go w gaz.

Majacyt?

Dotykam swojej twarzy, co prawda posiniaczona i pokaleczona, ale wolnej od jakichkolwiek oparzeń. Skoro majacyt zrobił jej krzywdę, dlaczego ja wysłałam bez szwanku?

Tzain już chce zadać kolejne pytanie, ale milknie, gdy Zélie zakrywa usta drżącą ręką. Jeszcze nigdy nie wydawała mi się tak pokonana. Tak pusta. Tak smutna.

– Strasznie mi przykro. – Wyciągam ku niej rękę, lecz ucieka przed nią, trzęsąc się i powstrzymując szloch.

– Daj jej trochę przestrzeni – szepcze do mnie Tzain i odwraca się z powrotem do siostry, a ja czuję, jak gula rośnie mi w gardle. Zeskakuję z grzbietu Najli i zostawiam ich samych.

Zmierzam szybkim krokiem w stronę pniaka na drugim końcu polany. Czuję się tak, jakby moje ciało mogło się w każdej chwili rozpaść na kawałki.

Myślałam, że uda mi się odpokutować za grzechy i zbrodnie mojej rodziny, ale najwyraźniej w dziedzinie grzechów i zbrodni moja rodzina nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

– To będzie sześćset dukatów.

Oglądam się i widzę Roëna usiłującego jedną ręką skrzesać ogień. Drugą ma zawiniętą w krwawą szmatę, która ledwie zakrywa poszarpaną ranę.

– Słucham?

– Tyle byłaś mi winna przed swoją przerwana koronacją. Kiedy Harun dotrze tu z resztą moich ludzi, cena razem z kosztami egzekucji wzrośnie dwukrotnie.

Tysiąc dwieście dukatów? Staram się ukryć przerażenie.

– Naprawdę uważasz, że to dobry moment, żeby się wyklócać o pieniądze?

– Nie prowadzę działalności charytatywnej, księżniczko.

Roën kłania się drwiąco. Zaciskam zęby.

– Aj, gdzie moje dobre maniery? Królowo – poprawia się. Potem dmucha mi w twarz dymem.

Odwracam się, żeby mu się nie odciąć. Mam teraz na głowie ważniejsze rzeczy niż pojedynki na złośliwości. Matka w tej chwili zapewne obmyśla swój następny ruch. Wyobrażam sobie chłodny wyraz jej twarzy, złotą maskę, która jeszcze bardziej podkreśla jej bezduszne piękno. Wciąż nie wiem, czy naprawdę uwierzyła, że to ja zabiłam Inana, czy tylko chce wszystkich nastawić przeciwko mnie.

Za tym jej szalem na pewno kryje się coś więcej. Widowisko dla samego widowiska nie jest w jej stylu.

Tak śmiałe posunięcie musi być częścią większego planu, inaczej by się nie odważyła.

– Zdobędę dla ciebie to złoto – oznajmiam Roënowi. – Po prostu potrzebuję czasu.

Najemnik kręci głową i wydmuchuje wstęgę dymu.

– Sęk w tym, że czas ci się skończył.

– Posłuchaj...

– Nie, to ty mnie posłuchaj.

Cofam się instynktownie, gdy obnaża zęby. W jednej sekundzie staje się innym człowiekiem. Pierwszy raz tak wyraźnie widzę w nim mordercę, którym jest.

– Jeśli mi nie zapłacisz, matka będzie twoim najmniejszym zmartwieniem. Ja potrafię nad sobą zapanować – mówi niskim głosem. – Ale moi ludzie nie za bardzo.

– Czy to groźba? – Robię krok naprzód.

Roën zerka na moją rękę. Niebieskie smużki magii opadają z moich palców jak deszcz. Migotliwa aszê pali mi skórę.

Nigdy wcześniej nie przywoływałam swojej magii. Palce mnie od niej pieką, lecz gdy Roën ustępuje, doznaję przyjemnego dreszczu.

– To nie groźba – mówi, kręcąc głową. – To obietnica.

Przerywa nam tupot zbliżających się łap. Spodziewam się kolejnych zbiegłych magów, lecz okazuje się, że to Harun i pozostali najemnicy na ukradzionych gepardonach. Roën wystawia w moją stronę dwa palce.

– Pamiętaj: od ciebie zależy, co się wydarzy. – Nie czekając, aż odpowiem, gwizdże na swoich ludzi, a ci prostują się jak surykatki. – Ruszamy w drogę –

oznajmia.

– Ze złotem? – pyta Harun.

– Nasza droga księżniczka go nie ma.

– Co za niespodzianka. – Harun uśmiecha się złowieszczo. – Ale coś mi mówi, że po tym żalonym wiecu znajdzie się ktoś, kto zapłaci nam dwa razy więcej.

Jego słowa są jak wiadro lodowatej wody. Po tym, co powiedziała matka, wielu chętnie zapłaci za moją głowę. I będą to ludzie majątni.

– Jakoś się dogadamy. – Z drżącym sercem idę za Roënem. Zbroja, która jeszcze niedawno dawała mi poczucie siły, teraz tylko mnie spowalnia.

Roën wyrzuca papierosa i podchodzi do najbliższego gepardona. Dopiero na dźwięk swojego imienia zastyga nieruchomo. Ale to nie ja go wołam. To Zélie.

– Roën, poczeka!

Zélie zsuwa się z grzbietu Najli, lecz nasycone majacytem płuca dają o sobie znać przy lądowaniu. Nogi się pod nią uginają i przewraca się na ziemię.

Roën zwalnia kroku, wzdycha, dotyka palcami czoła. Potem ku mojemu zdziwieniu zawraca, by pomóc Zélie; jakby był kawałkiem metalu przyciąganym przez jej magnes.

– Przepraszam – szepcze Zélie ze łzami w srebrnych oczach.

Jedna z tych łez wylewa się na policzek, a Roën wyciera ją kciukiem niezabandażowanej ręki.

Patrzą na siebie w taki sposób, jakbyśmy wszyscy zniknęli. Ich oczy prowadzą rozmowę bez słów. Wreszcie Roën wstaje z opuszczoną głową.

– Ja ciebie też. – Po tych słowach odchodzi i dosiada gepardona.

Ze ściśniętym żołądkiem obserwuję, jak odjeżdżają w mrok leśnej gęstwiny. Tętent wierzchaczy milknie w oddali.

Nie wiem już, kogo powinnam się bardziej obawiać: matki i jej tytanów czy może Roëna.

ROZDZIAŁ 11



AMARI

Przez jakiś czas wszyscy stoją w miejscu. Cisza, jaką pozostawił po sobie herszt najemników, trwa niezmacona. Wiem, że powinniśmy uciec jak najdalej od królowej, na razie jednak nie mogę się zmusić do zrobienia choćby kroku. Groźba Roëna wisi mi nad głową razem ze słowami matki.

Dokąd mamy się udać, skoro cała Orisza chce nas dopaść?

– Coś wymyślę – mówię bez przekonania. – Z-znajdę sposób na powstrzymanie matki. Zdobędę złoto dla Roëna...

Tzain podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na plecach.

– Teraz odpocznij. Wiele przeszłaś. Nie musisz od razu mieć odpowiedzi na wszystkie pytania.

Chcę mu wierzyć. Chcę się ukryć w jego bezpiecznych objęciach. Ale nawet kojący dotyk Tzaina nie jest w stanie zagłuszyć płaczu Zélie. Choć sama cierpię, myślę tylko o jednym: jak sprawić, żeby ona nie cierpiała. Wymykam się Tzainowi i klękam przy niej.

– Naprawię to – szepczę. – Obiecuję. Nikt nie zna mojej matki tak dobrze jak ja. Jeśli odgadnę jej plan, będę wiedziała, jak z nią walczyć.

– Walczyć? – Zélie przekrzywia głowę, jakbym mówiła do niej w obcym języku. – Przecież widziałaś, co ona zrobiła. Prawie zginęliśmy pod gruzami. Jak na miłość Oi zamierzasz ją pokonać?

Głos Zélie trzęsie się ze strachu. Chciałabym ją uspokoić, ale nie wiem, co powiedzieć. Nigdy nawet nie słyszałam o tak potężnej mocy jak ta, którą pokazała dzisiaj matka. To, że potrafiła wyrwać magię z cudzych żył, było czymś zdumiewającym, nawet u tytanki.

– To prawda, że jej magia jest potężna – przyznaję powoli. – Być może nie ma sobie równych. Ale każda moc ma słaby punkt. Dajmy sobie trochę czasu, a może go znajdziemy. – Przypominam sobie tytanów, z których wysała energię. Może tu

należy szukać odpowiedzi? – Jeśli zbudujemy własne siły i zrozumiemy, jak działa jej moc, będziemy mogli zniwelować jej przewagę. Zmusić ją do ustąpienia z tronu.

– A jeśli odmówi?

Jeśli odmówi?

Wbijam paznokcie w skórę głowy. Nie chcę tego mówić na głos. Zaledwie parę godzin temu miałam przed sobą wiwatujących kosidan, magów i tytanów gotowych się zjednoczyć. Matka w kilka sekund rozbiła tę jedność i wprowadziła chaos.

Jeżeli to będzie zależało od niej, zginą wszyscy magowie. Mieszkańcy Oriszy znów będą cierpieć. Z matką na tronie królestwo zazna jedynie wojny. Muszę ją powstrzymać.

Nieważne, że jest moją matką.

Wstaję, dobywam miecz i drżącymi rękoma wbijam go w ziemię.

– Jeśli matka odmówi, to ją zabiję – oznajmiam. – Zakończę wojnę i wstąpię na tron.

Nastaje pełna napięcia cisza.

– A co z arystokracją? – pyta Tzain. – Z tymi wszystkimi możnymi i tytanami po jej stronie?

Żołądek się we mnie przewraca na myśl, że miałabym położyć kres tylu ludzkim istnieniom. Nie chcę walczyć z własnymi rodakami, a tym bardziej z innymi tytanami i tytankami. Matkę w wojnie z magami na pewno wspierają setki, jeżeli nie tysiące. Jeśli spróbuję wszystkich się pozbyć, nie będę lepsza niż ojciec. Stanę się jeszcze jednym potworem.

– Zanim na wiecu pojawiła się matka, kraj był po mojej stronie. Gdy ją pokonam, znów mnie poprą.

– Nieprawda. – Głos Zélie mrozi mnie bardziej niż chłodne wieczorne powietrze. – Tę bitwę już przegraliśmy. Monarchia posiadała magię i wciąż nas nienawidzi. Tutaj nigdy tak naprawdę nie chodziło o magię!

– Zél... – odzywa się Tzain, ale jego siostra nie daje sobie przerwać.

– Zabicie twojej matki to nie jest żadne rozwiązanie – wyrokuje. – Zamiast niej pojawi się jakiś inny władca nienawidzący magów. Pora dać sobie spokój. Wybrać wolność. Opuścić Oriszę, póki jeszcze żyjemy!

Tęsknota w jej głosie zbija mnie z tropu. Nic nie rozumiem. Ucieczka? To zupełnie nie w jej stylu.

– Wiem, może się wydawać, że stoimy na straconej pozycji – bronię się. – Ale przecież nie zostawimy tych ludzi na pastwę matki. Musimy uratować Oriszę. Nie mamy wyboru...

– Owszem, mamy. – Zélie wstaje. – Właśnie że mamy wybór. Próbowaliśmy ratować Oriszę. Dwa razy. Teraz czas ratować siebie!

– Jestem królową Oriszy – odpowiadam. – Ich królową, nawet jeśli mnie nie chcą. Cokolwiek by się działo, nie mogę uciec. Moim obowiązkiem jest służyć wszystkim mieszkańcom, chronić ich!

Zélie spogląda w stronę Tzaina, jakby oczekiwała pomocy. Ale Tzain krzyżuje ramiona.

– Zél, ona ma rację. Baba zginął, żebyśmy mogli...

– Baba zginął za kłamstwo! – Zélie wali pięścią w drzewo. – Oddał życie za magię i kto nią teraz włada? Nehanda jest potężniejsza od wszystkich magów, których znam! – Jej głos niesie się echem wśród drzew. Zélie bierze głęboki oddech. Jej gniew na chwilę się rozwiewa, odsłaniając ukryty głęboko ból. – Zawsze na pierwszym miejscu jest królestwo, magia, magowie – wszystko, tylko nie ja. Mam tego dość. To nasza szansa na wolność! Drugiej może już nie być.

Gdy tak na mnie patrzy, czuję się, jakbym trzymała jej serce w dłoniach. Bardzo bym chciała je uzdrowić. Uwolnić ją od bólu. Ale nie tylko jej ból spędza mi sen z powiek.

Zamykam oczy i przygotowuję się na wybuch gniewu, który sama wywołam. Orisza na nikogo nie czeka.

Nawet na tę dziewczynę, którą kocham.

– Zélie...

– Na litość bogów! – Zélie wyrzuca ręce do góry i odchodzi, kuśtykając.

– Dajmy temu spokój. – Tzain stara się ją ułagodzić. – To nie jest dobra pora na tę rozmowę. Jesteśmy wyczerpani i ranni.

– Wcale nie. – Lód w głosie Zélie gasi ciepło spojrzenia jej brata. – Tobie ten gaz nie zrobił krzywdy. Na nich też nie działa. – Wskazuje mnie ruchem głowy.

Na nich.

Aż odruchowo zaciskam pięść.

Żadne słowo matki nie zabolalo mnie tak bardzo jak to.

– A co z boskim planem? – pytam. – Co z trzymaniem mojej strony?

– Jak mam trzymać twoją stronę, skoro Baba umarł tylko po to, żeby twoja podła matka i jej tytani mogli urosnąć w siłę?

– To nie w porządku.

Jej słowa są niczym uderzenia, od których płoną mi policzki. Zélie wpatruje się we mnie jak w potwora. Jakbym to ja wypuściła strzałę, która zabiła jej ojca.

– Ja też straciłam bliskich.

– Że niby co, mam opłakiwać twojego ojca, tego łotra? – pyta Zélie. – Albo żałować tego słabeusza, którego nazywałaś swoim bratem? Przez twojego ojca boję się oglądać własne plecy w lustrze! Przez ciebie i twoją rodzinę zginęli moi rodzice! – Kulejąc, Zélie podchodzi do Najli. Choć mięśnie drżą jej z wyczerpania, zaczyna się wdrapywać na grzbiet lworożki. – Nie porównuj swoich ran z moimi, księżniczko. Jesteś w czepku urodzona.

– W czepku urodzona? – powtarzam z niedowierzaniem. – Żartujesz sobie? Ty miałaś rodziców, którzy kochali cię do samego końca. Masz brata, na którego zawsze możesz liczyć. Moi rodzice próbowali mnie zabić! Oboje! Żeby chronić ciebie i magów, zgładziłam własnego ojca! – Głos mi się łamie, łzy napływają do oczu, ale nie pozwalam, aby się wylały. Nie dam Zélie tej satysfakcji. Nie doprowadzi mnie do płaczu. – Przykro mi, że moja rodzina wyrządziła ci tyle zła – mówię dalej – ale nie próbuj pomniejszać mojego cierpienia. Nie tylko ty nosisz blizny, Zélie! Mnie też skrzywdzono.

Zélie milczy lodowato. Chcę jakoś zasypać ten rów między nami, ale każde wypowiedziane słowo tylko nas od siebie oddala. Zélie przez dłuższą chwilę przygląda mi się tym okropnym, pustym spojrzeniem. Potem się odwraca, pociąga Najlę za sierść i wsiada na jej grzbiet.

Tzain rusza za nią.

– Zél, daj spokój. To zaszło za daleko. Wszyscy jesteśmy rozgoryczeni. Wszyscy cierpimy. Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to się pokłócić.

Zélie opiera język na dolnej wardze.

– Jak szybko „ty i ja” zmieniło się w „ty i Amari”.

– Na bogów, Zél...

– Słyszałeś mnie? – przerywa mu. – Kiedy skóra mi płonęła i nie mogłam oddychać? Słyszałeś, jak cię wołałam, czy byłeś zbyt zajęty troszczeniem się o Amari?

Tzain rozchyła usta. Czoło mu się marszczy. Jest zawstydzony.

– To nie w porządku – mówi. – Wiesz, że to nie w porządku.

– Jesteście sobie warci. – Zélie ściska boki Najli, żeby wstała. – Pozdrów ode mnie jej matkę. Na pewno lubi synów ubogich rybaków tak samo jak magów.

– Przysięgam na bogów...

– Jazda!

Najla na komendę Zélie rusza biegiem w las.

– Zélie!

Tzain próbuje ją gonić, ale siostra po chwili znika mu z oczu. Najpierw zanurza dłonie we włosach, a potem zaczyna okładać pięścią najbliższe drzewo.

– Wróci – mamrocze do pnia. – Trzeba jej dać trochę przestrzeni.

Siadam ciężko na ziemi i kiwam głową, lecz w duchu myślę co innego.

Kogo on próbuje oszukać?

ROZDZIAŁ 12



ZÉLIE

Pędzę ze łzami w oczach przez las Adichie. Ręce ześlizgują mi się z rogów Najli. Trudno się jedzie bez siodła; to cud, że jeszcze nie spadłam.

Zaciskam mocniej uda. Po bokach migają skarpy i tumany liści. Udaję przed sobą, że tempo biegu Najli to jedyny powód, dla którego nie mogę oddychać.

Bogowie, pomóżcie.

Zacinam zęby, duszę to w sobie. Lecz wszystkie moje błędy wracają jednocześnie, są jak morski prąd, który porywa mnie na dno.

Nie, myślę. Nie bogowie. To przecież wiara w nich doprowadziła do tej katastrofy.

To przez nich Baba nie żyje.

Teren zaczyna opadać. Zbiegamy teraz po zboczach, las staje się rzadszy. Najli ślizgają się łapy, muszę trzymać ją mocno za sierść, żeby nie spaść. Choć kiedy myślę o tym, jak bogowie się mną posłużyli, mam ochotę się puścić i runąć na ziemię.

Przez cały czas wierzyłam, że bogowie mają plan. Że prowadzą mnie ścieżką do celu. Ale na końcu tej ścieżki było tylko cierpienie. Szpetne blizny na plecach. Otwarta rana w sercu. Bogowie posłużyli się mną jak pionkiem, a gdy magia się odrodziła, odrzucili mnie na bok. Przestałam im ufać.

Mamo, zabierz mnie.

Słowa nowej modlitwy przychodzą same. Tęsknię za jedyną rzeczą, w którą jeszcze wierzę. Wyobrażam sobie, że stoję w alafii razem z rodzicami. Znajduję ukojenie w śmierci i w ramionach Mamy.

Mówiła, że Orisza mnie potrzebuje, że mam tu coś do zrobienia. Ale przywrócenie magii okazało się zmianą na gorsze. Magom grozi teraz jeszcze większe niebezpieczeństwo niż wcześniej.

Zamykam oczy i całą sztywnieję na wspomnienie królowej Nehandy wypruwającej aszê z żył swoich tytanów. Magia była naszą jedyną bronią, a teraz nawet nie może się równać z jej magią.

Choćbym nie wiem co robiła, jak bardzo się starała, magowie nigdy nie będą wolni.

Na tym świecie czeka nas tylko boleść.

– Mamo, zabierz mnie do siebie! – krzyczę w niebo. Porywy wiatru tną mnie po oparzonej twarzy. Krew miesza się ze łzami. – Zabierz mnie – szepczę, wtulając się w sierść Najli.

Nigdy więcej zmagania z monarchią. Nigdy więcej walki o przetrwanie. Nigdy więcej łez, trudu i cierpienia.

Nigdy więcej Tzaina.

Dziura w moim sercu powiększa się do rozmiarów kanionu. Niewiele brakuje, żebym zawróciła Najlę i pognała z powrotem w ramiona brata.

I Amari...

Oddycham głęboko. Chciałabym cofnąć wszystkie wykrzyczane przy niej słowa. Nie wiem, jak jej powiedzieć, że to nie jej wina. Że krzyczę na nią, bo nie mogę krzyżeć na Inana...

– Ła! – wołam, gdy las się kończy.

Srebrny księżyc wisi pośrodku nocy, rzucając światło na czarne kontury masywu Olasimbo. Teren znienacka opada stromo w dół, a my wraz z nim. Najla z rykiem próbuje hamować pazurami. Wzbijamy kłęby kurzu, pryska żwir.

– Stój! – Ciągnę ją z całej siły za rogi.

Moja lworożka ze skomleniem przewraca się na bok. Gdy uderza o ziemię, spadam z jej grzbietu.

Przez chwilę frunę, wymachując rękoma i nogami. Wpadam w gąszcz cienkich gałęzi i uderzam o pień drzewa – z taką siłą, że rozlega się trzask pękających żeber.

Robi mi się ciemno przed oczyma. Z krwią w ustach opadam na ziemię. Leżę zwinięta w kłębek przez dłuższą chwilę, dopóki nie odzyskuję wzroku.

Niedługo potem czuję na twarzy mokry język Najli. Jej wilgotny nos ociera się o moje czoło. Świat odplywa, lecz tym razem nie próbuję go zatrzymać.

Zabierz mnie do siebie, modlę się znowu. Mama nie miała racji, że mnie zostawiła na ziemi.

Jestem zbyt rozbita, żeby komukolwiek pomóc.

Mamo, błagam...

Poddaję się ciemności, otwieram przed nią drzwi. Lecz kiedy podnoszę powieki,
widzę biel.

Widzę piasek.

Widzę trzciny.

ROZDZIAŁ 13



ZÉLIE

Nie wiem, czy to sen, czy koszmar.

Choć nie spętano mnie żadnym łańcuchem, nie mogę się ruszyć.

Płuca wypełnia mi rześkie powietrze, ale nie mogę oddychać.

Otaczają mnie zwiędłe szare trzciny, zza których wyziera biała mgła. Na skórze czuję ziarenka piasku; opadają ze mnie, gdy się podnoszę.

Jak to?

Zadaję sobie to pytanie, rozglądając się po krainie snu. Ostatnim razem znalazłam się w niej po tym, jak Saran okaleczył mi plecy. Płakałam wtedy i całowałam Inana.

Teraz nie ma bujnego lasu ani szemrzących potoków.

Tylko ja.

I on.

Inan leży wśród umierających trzcin. Nie wiem, czy istnieje tylko w mojej głowie.

Czy jest żywy, czy martwy.

Ale na sam widok jego twarzy coś mnie ściska za gardło. I chwyta za serce. A gdy Inan budzi się i wstaje, wszystko się we mnie wali.

Robię krok do tyłu. Inan stęka pod nosem, coś do siebie mamrocze. Jego brązowe ciało, nagie od pasa w górę, wychudło, skóra zmatowiała. Biały kosmyk lśni jasno wśród niesfornych włosów, opada mu na środek czoła, między bursztynowe oczy. Inan mruga, staje na szeroko rozstawionych nogach. Na mój widok się ożywia.

– Zélie?

Moje imię w jego ustach sprawia, że ręce zaczynają mi się trząść. Jakby użył noża, który zanurza się i obraca w najgłębszych zakamarkach mojego serca.

To się nie dzieje naprawdę. Z niedowierzaniem kręcę głową. To tylko złudzenie.

Lecz Inan stoi przede mną. Przykłada rękę do blizny na brzuchu, jakby dotykał krwawiącej rany. Oczy mu się rozszerzają i widzę, że wszystko sobie przypomina.

Tamten ból w chwili, gdy ojciec przeszył go mieczem.

Sięgam za siebie i dotykam palcami wyciętego na moich plecach słowa GLISTA. Pomyśleć, że kiedyś kraina snu była miejscem, w którym mogliśmy oboje zapomnieć o tym, co nas boli. Wiele się od tamtego czasu zmieniło.

– Nie kazałem im strzelać – wyrzuca z siebie Inan. – Musisz mi uwierzyć. Zabroniłem!

Zakrywam usta dłonią, lecz nie udaje mi się powstrzymać szlochu.

Każde jego słowo rozbudza magię, którą w sobie duszę. Choć bardzo się staram, nie potrafię jej okiełznać. Nie potrafię zapanować nad wspomnieniami...

Nie!

Krzyk rozbrzmiewa mi echem w głowie. Odbija się od świętych murów. Tym razem widzę jego źródło. To nie mój brat, lecz Inan.

Upadam ciężko na kamienną posadzkę. Chwilę potem z głuchym odgłosem ląduje na niej Baba.

Strzała przebiła mu pierś.

Pod moimi palcami zbiera się kałuża ciepłej krwi.

– Błagam... – mówi dalej Inan. – Myślałem, że robię dobrze.

Ledwie go słyszę przez szum w skroniach. Moja magia chce, bym dobrała mu się do skóry.

– Zaufałam ci.

Nie jestem pewna, czy usłyszał te słowa, tak cicho je wypowiedziałam. Serce kłuje mnie jak potłuczone szkło. To on je roztrzaskał.

Inan kręci głową.

– Tak mi przykro. Naprawdę...

Wyciąga rękę i znowu wracają wspomnienia. Biedny wystraszony książę. Usta, które obiecywały mi wszystko. Dłonie, które mnie pieściły.

– Naprawię to – mówi. – Obiecuję. Choćbym miał to przypłacić życiem.

Ale wcześniej też mi obiecywał.

A potem poprowadził Babę na śmierć.

– Zélie...

Nie mogę dłużej tłumić magii. Ryczę jak lworożka.

Zapala się we mnie ogień, jakiego nie czułam od czasu rytuału.

Spod ziemi wyrastają olbrzymie drzewa, które całkiem przesłaniają słońce. Moja magia przesiąka wszystko dookoła. Kraina snu zmienia kształt, staje się zwierciadłem, w którym odbija się moja krzywda.

– Zélie, proszę cię!

Wielkie czarne korzenie oplatają Inanowi łydkę. Wiją się po jego ciele jak węże, odciągają go do tyłu. Nie wiem, jakim cudem przejęłam kontrolę nad snem Inana, ale to nieważne. Korzenie przyciskają go do pnia drzewa, chwytają w pasie, łapią za szyję.

– Poczekaj! – woła.

Zwieram pięść i czarne pędy zaciskają mu się na gardle. Dusi się, nie może dobrać głosu. Szorstka kora rani mu plecy do krwi. Czuję na łopatkach echo jego bólu, ale nie dbam o to.

Ważne, że Inan cierpi.

– Zélie.

Zaciskam pięść jeszcze mocniej. Oczy robią mu się czerwone. Nie może oddychać. Pod naporem korzeni pęka mu obojczyk.

– Uciekaj – szepczę przez zęby. – Módl się. – Zbliżam twarz do jego twarzy i zaciskam palce z taką siłą, że paznokcie ranią mi skórę. – Kiedy z tobą skończę, będziesz żałował, że nie umarłeś wtedy. – Ściskam pięść po raz ostatni.

Inanowi wywracają się oczy.

Głowa opada mu bezwładnie.

Kraina snu się rozplywa.

ROZDZIAŁ 14



INAN

Zélie, nie!

Otwieram oczy i natychmiast chwytam się za gardło. Dławiący kaszel targa całym moim ciałem. Opieram się o coś. Ból jest obezwładniający. Widzę tylko ciemność.

W moim mózgu toczy się wojna.

Uciekaj. Słowa Zélie dzwonią mi w uszach. *Módl się.* Jej nienawiść mnie otrzeźwia. Zemsta, którą mi poprzysięgła. Choć wciąż się krztuszę, zaczynam się wynurzać z odmętów bólu.

Nie udało się...

Magia odżyła.

To wspomnienie zagłusza we mnie ból. Przez chwilę nic nie czuję, o niczym innym nie myślę.

Poświęciłem wszystko, by zapobiec odrodzeniu się magii. Zdradziłem siostrę i dziewczynę, w której się zakochałem. Ojciec przeszył mi brzuch mieczem.

A mimo to wciąż mam w żyłach tę truciznę.

Policz do dziesięciu. Zwijam palce i powoli wydecham powietrze. Opadam na przepoconą poduszkę. Ból powraca. Drżącą ręką dotykam grubej blizny po mieczu ojca. Wciąż jest wrażliwa na dotyk.

Przesuwając palcami po zgrubieniu na skórze, przypominam sobie grymas na ojcowskiej twarzy. Groźny pomruk z głębi jego krtani. Szał w piwnych oczach, kiedy zatopił we mnie ostrze zatrute majacytem.

Jak to się stało? Szukam odpowiedzi we mgle, która spowija mój umysł. Gdy runąłem w kałużę własnej krwi, nie sądziłem, że kiedyś jeszcze się podniosę. Ostatnie, co pamiętam, to to, że Amari przybiegła mi z odsieczą. Sama rzuciła wyzwanie ojcu.

Nie wiem, jak trafiłem do krainy snu. Ani ile czasu minęło od tamtego straszego dnia. Co się stało z ojcem i siostrą. Gdzie teraz leżę...

A-uuuuuuuu!

Podrywam głowę. Monotonne wycie syreny wzmagają się, by po chwili osiągnąć siłę tysiąca rogów. Moje łóżko zaczyna drżeć. Przenika mnie mróz. Co to za alarm? Kojarzy mi się z terrorem, śmiercią, rozlewem krwi.

Z wojną.

Nieba, co się dzieje? Uwalniam się z jedwabnej pościeli. Moje nogi są jak z waty. Uginają się pode mną, gdy próbuję na nich stanąć. Upadam do przodu.

Podnoszę obolałą głowę z aksamitnego dywanu. Syrena wciąż wyje. Zastygam nieruchomo pod spojrzeniem zielonych oczu wyhaftowanego śnieżnego lampartusa.

– Co tu jest grane? – szepczę do siebie.

Pytania mnożą się z każdą sekundą. Oczy zaczynają mi się przyzwyczajać do półmroku; w mętym świetle świecy dostrzegam karmazynowe ściany, marmurowe sklepienia i drogie obicia. Jestem w pałacowych komnatach ojca.

Alarm rozbrzmiewa coraz głośniejsze. Spoglądam ku złotym oknom. Zza grubych zasłon dolatują krzyki. Gdy widoczny w prześwicie kawałek nocnego nieba nabiera czerwonego odcienia, włos jeży mi się na karku.

– Wasza Królewska Mość, błagam!

Otwierają się drzwi, do komnaty wlewa się światło z korytarza. Oślepiiony cofam się i wpadam na ścianę. Do środka wkracza generałka w asyście żołnierzy w zbrojach.

– Prędko! – Generałka podbiega do łóżka. – Trzeba go przenieść do piwnicy!

Dopiero gdy wchodzi na łóżko, spostrzegam, że to nie żadna generałka.

To moja matka.

W złotej zbroi trudno rozpoznać jej drobną sylwetkę. Włosy, dawniej proste, teraz opadają na ramiona falami. A co najdziwniejsze, za uchem dostrzegam biały kosmyk.

– Gdzie on jest? – wydziera się, rozrzucając pościel. – Gdzie mój syn?

Żołnierze odciągają ją ku drzwiom.

I wtedy mnie spostrzega.

– Inan?

Krew odpływa jej z twarzy. Ręka zatrzymuje się na rozchylonych ustach. Bursztynowe oczy zachodzą łzami. Matka zgina się jak od ciosu w brzuch.

– Zbudziłeś się!

Nie mam pojęcia, ile czasu minęło od naszego ostatniego spotkania. Sądząc po tym, jak się od siebie oddaliliśmy, można by pomyśleć, że całe życie. Matka wciąż ma brązową skórę i ostry podbródek. Ale światło w jej oczach przygasło.

– Matko...

Chcę ją spytać, co się dzieje, lecz dwaj strażnicy chwytają ją pod pachy i unoszą w powietrze.

– Zostawcie mnie! – rozkazuje matka, jednak oni nic sobie z tego nie robią.

– Do piwnicy! – woła oficer.

Żołnierze podnoszą i mnie. Mama coś krzyczy, lecz po chwili znika na schodach, po których ją znoszą.

– Co się dzieje? – wołam. – Kto nas atakuje?

Syrena zza pałacowych murów ryczy jeszcze głośniejsze. Na niebie wciąż widać czerwoną łunę. Żołnierze wywlekają mnie z komnaty ojca i znoszą po schodach z kości słoniowej. Im więcej widzę, tym więcej pytań mam w głowie.

Nieskazitelne marmurowe podłogi to już przeszłość. Podobnie jak smukłe wazy na korytarzach. Służący i żołnierze biegają po spękanych kafkach. Ogołoczone ściany straszą pokrzywionymi ramkami i potłuczonym szkłem.

Na dole nie wierzę własnym oczom. Całe wschodnie skrzydło pałacu leży w gruzach.

Zostały z niego sterty kamieni i połamanych filarów.

To sen. Zamykam oczy. Koszmar. Nic więcej.

Lecz bez względu na to, ile bym mrugał, nie mogę się obudzić.

– Co się dzieje? – powtarzam pytanie, ale nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Nie mogę tak po prostu uciec i się ukryć.

Muszę sam znaleźć odpowiedź.

Znienacka stawiam nogi na ziemi i wyrzutem łokci do tyłu trafiam obu trzymających mnie strażników w gardło. Wyrrywam się i puszczam biegiem w kierunku balkonu. Krzyczą za mną, ale nawet się nie oglądam.

Bolesny spazm szarpie mi brzuch, lecz nie pozwalam drżącym nogom się zatrzymać. Odsuwam worki z piaskiem spod drzwi balkonowych.

Jak to się mogło stać?

Choć widzę wszystko na własne oczy, wciąż trudno mi uwierzyć. Kiedy ostatnim razem wróg wtargnął na teren pałacu, nie było mnie jeszcze na świecie. Ogniarze spustoszyli królewską siedzibę i wymordowali całą rodzinę ojca. To właśnie po tamtym ataku ojciec postanowił oczyścić Oriszę z magii. Poprzysiągł, że pałac już nigdy nie stanie się celem napaści.

Z głową pełną opowieści ojca odsuwam ostatni worek piasku i otwieram drzwi. Spoglądam przed siebie i uniesiona ręka opada mi bezwładnie.

Lagos już nie ma.

– Nie...

Padam na kolana. Czuję się tak, jakby grunt usunął mi się spod nóg. Nie poznaję tego strasznego widoku. Moje miasto wygląda, jakby przetoczyła się przez nie wojna.

Zniknęły pastelowe budynki dzielnicy kupieckiej oraz kolorowe namioty i wozy pobliskiego placu targowego. Widać tylko spalone rumowiska z dziurami po oknach. Ulice są usiane trupami.

Połowa domów ibawickich stoi w ogniu. Swąd unosi się w wieczornym powietrzu. Z otaczającej miasto palisady również niewiele zostało. Teraz jego granice wyznaczają hałdy gruzu.

Chwytam się za brzuch; ból jest tak silny, że ledwie mogę ustać na nogach. Nie chce mi się wierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Nie chce mi się wierzyć, że tak wygląda mój dom.

A-uuuuuuuuuuuu!

Syrena wyje jeszcze głośniejsze niż do tej pory. Wreszcie dociera do mnie, co jest przyczyną alarmu. Nad usypanymi z gruzu wałami obronnymi Lagos wznosi się ogromna kula ognia, czerwone słońce, które rośnie w oczach.

Choć dzieli mnie od niego wiele kilometrów, czuję na skórze pałacy żar. Powietrze wypełnia się trzaskiem ognia.

Po chwili czerwone słońce wybucha.

– Nieba...

Jak skamieniały przyglądam się mknącym po nieboskłonie ognistym kulom. Wybuchają w zetknięciu z ziemią. Są jak deszcz ognia.

Noc rozbrzmiewa okrzykami trwogi. Spadające pociski pustoszą to, co zostało z Lagos. Dwa wielkie płomienie górują nad zniszczoną bramą pałacową. Próbuję się

wycofać, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa, są zbyt powolne.

– Na ziemię! – woła ktoś.

Silne ręce chwytają mnie za ramiona i wciągają do wnętrza pałacu. Oglądam się na strażnika o zachrypniętym głosie i dostrzegam na jego szyi oparzenia.

– Ojore? – Nie wierzę własnym oczom. Nie widziałem kuzyna, odkąd ukończył akademię morską.

Ojore wciąga mnie do środka i rzuca na worki z piaskiem pod ścianą. Zakrywa mnie własnym opancerzonym ciałem, a komnatę zalewa oślepiająco biały błysk.

BUM!

Wstrząs przenika mnie do kości. Podmuch eksplozji tłucze szyby w oknach. Szkło spada nam na głowy deszczem odłamków.

Pałac drży w posadach, do środka wpełzają kłęby czarnego dymu. Trzymam się za uszy, kuzyn zakrywa mi nos i stawia mnie na nogi.

– Nic ci nie jest?

Potakuję, choć głowa mi pęka. Nie ma takiej części mnie, której nie rozdzierałby ból.

– Co to było? – pytam.

Ojore zakrywa nos. Kaszląc, ciągnie mnie w stronę piwnicy.

– *Iyika* – tłumaczy. – Witaj na wojnie.

ROZDZIAŁ 15



ZÉLIE

Jakieś światło rozrzedza ciemność mojego umysłu. Budzę się z jękiem, cała obolała.

Ból rozsadza mi głowę, jakby walczyło w niej stado nosorogów. Z każdą falą przemykają mi przez umysł obrazy z dziwnej krainy snu.

– Trzymajcie ją – rozlega się zachrypnięty głos.

Otwieram oczy i widzę rozmazane twarze. Tzain pochyla się nade mną, zasłaniając promienie porannego słońca. Przypominam sobie ucieczkę na grzbiecie Najli, upadek i zderzenie z drzewem, po którym znalazłam się w krainie snu.

– Tzain...

Próbuję usiąść, lecz brat mi nie pozwala. Amari zjawia się przy nim i przyciska mi nogi do ziemi, choć unika mojego wzroku. Młoda magiczka o wydatnych kościach policzkowych i szeroko osadzonych oczach klęka nade mną i opiera smukłą dłoń na moim mostku. Grube białe warkocze spływają jej po plecach aż do pasa.

– Babalúayé, şışé nípasè mi. Babalúayé, şışé nípasè mi – recytuje głucho.

Za jej plecami, na skraju lasu pełni wartę jeszcze dwójka magów. Przyglądają się bacznie tumanom kurzu w oddali.

– Są coraz bliżej, Safija! – woła jeden z magów. – Pospiesz się.

– Królowa? – pytam z wysiłkiem.

Magiczka zaprzecza ruchem głowy.

– Jej tytani.

Pomarańczowa poświata wokół rąk Safiji zaczyna ciemnieć od wyzwolonej aszê. Duchowa energia rozgrzewa opuszki jej palców, zwiększa siłę jej magii.

Czuję, jak ten gorący dotyk czerpie aszê także ze mnie. Przeszywa mnie coś jakby ognista igła. Mięśnie mi się napinają i...

TRRRACH!

Aż podskakuję z wrażenia. Moje połamane żebra łączą się jak magnesy. Uzdrawiane kości głośno trą jedna o drugą. Zaciskam zęby, inaczej nie zniosłabym piekącego bólu. Mimo wszystko czuję wielką ulgę; nareszcie mogę odetchnąć pełną piersią. Płuca wypełniają mi się chłodnym powietrzem, a myśli wędrują z powrotem do Inana.

On żyje.

Na wspomnienie pnączy, którymi opłotłam mu gardło, odruchowo podnoszę rękę do szyi. Nie wiem, jakim cudem przeżył, ale czuję w sobie jego energię. Mój wzrok pada na Amari. Zastanawiam się, co dalej.

Jak mam powiedzieć, że jej brat żyje – po tym, gdy sprawiłam jej tyle bólu?

– Safijo, ruszajmy.

Uzdrowicielka zabiera dłonie. Po jej brązowej skórze ciekną kropelki potu. Wyczerpana zwiesza głowę, oddycha powoli, z wysiłkiem.

– Przepraszam – mówi. – Ale musimy ruszać w drogę. Tytani Nehandy robią oblawę na wszystkich magów na wschód od Zarii. Całe wioski trafiają do lochów twierdzy w Gusau.

Gusau? Myślę o wiosce położonej kilka dni drogi na wschód. Zastanawiam się, czy tamtejsi magowie są już w kajdanach. Czy kaleczy się ich, tak jak swego czasu okaleczono mnie.

Kładę rękę na kolanie Safiji.

– Dziękuję.

Uśmiecha się.

– To ja dziękuję, Jagunjagun. To dla mnie zaszczyt uzdrawiać Wojowniczkę Śmierci.

Marszczę brwi, lecz magiczka już odchodzi w głąb lasu Adichie. Zostajemy sami. Unikamy swojego wzroku. W końcu zbieram się na odwagę i przerywam ciszę.

– Jak mnie znaleźliście?

Tzain ruchem głowy wskazuje Najłę, która siedzi skulona za moimi plecami.

– Przybiegła zdenerwowana i przyprowadziła nas tutaj. A Safiję spotkaliśmy przypadkiem, akurat tędy przechodzili.

Patrzę zatroskana na ślady, które na złotej sierści mojej lworożki odcisnęły kamyki i gałęzie. Przednią łapę ma spuchniętą i zabandażowaną. Mimo bólu podnoszę się i głaszczę ją po pysku. Najla w rewanzu przeciąga szorstkim językiem po moim czole.

Zbliżam jej głowę do twarzy Tzaina. Brat zamyka oczy i krzywi się, gdy lworożka go liże.

– Czy to są twoje przeprosiny? – pyta.

– Mogą być, jeżeli je przyjmujesz.

Najla jakby zrozumiała moje słowa, bo zasypuje Tzaina mokrymi pocałunkami. Tzain ją odpycha, lecz nie jest w stanie powstrzymać uśmiechu.

– Przepraszam. – Wyciągam do niego rękę. – Wiem, że to było niemądre.

Tzain kręci głową.

– Przysięgam na pamięć Baby, że jak znów nam wywiniesz taki numer...

– Nie wywinę. – Splatam jego palce ze swoimi. – Ty i ja?

Kiwa głową.

– Ty i ja. Nawet kiedy zachowujesz się jak oślica.

Uśmiecham się szeroko, lecz mój uśmiech gaśnie, gdy Tzain zerka w stronę Amari. Sądząc po workach pod oczami, przez całą noc nie zmrużyła oka. Twarz wciąż ma czerwoną od płaczu.

Odwraca wzrok i zanurza palce w pofalowanych włosach. Z każdym dniem coraz bardziej się kręczą. Zastanawiam się, czy to wina przebudzonej w niej magii.

– Przepraszam. – Zwieszam głowę. Wstydzę się tych wszystkich strasznych rzeczy, które jej powiedziałam. – Żałuję tamtych słów. Byłam zdenerwowana.

Amari kiwa głową, ale usta nie przestają jej drzeć. Odślaniam obolałe zębra.

– Jak chcesz, możesz mnie kopnąć.

– Czy wtedy będziemy kwita?

– Nie, ale zawsze od czegoś trzeba zacząć.

Amari wciąż nie patrzy mi w oczy, ale na jej wargach zamigotał delikatny uśmiech. Wyciągam rękę i chwytam ją za dłoń. W oczach Amari pojawiają się łzy.

Widzę, że moje przeprosiny przyniosły jej ulgę, ale to nie zmienia faktu, że jesteśmy na wojnie. Mamy przeciwko sobie całe rzesze żołnierzy i tytanów. Oraz jej potężną matkę, którą Amari może będzie musiała zabić.

– Nadal zamierzasz zabić Nehandę? – pytam.

– Nie widzę innego wyjścia. – Amari garbi plecy. – Ale to moja walka. Nie oczekuję od ciebie, że znów się w nią włączysz.

– Rozmawialiśmy o tym – informuje mnie Tzain. – Jeśli naprawdę chcesz opuścić Oriszę, pomożemy ci uciec. Mogę mieć inne zdanie, ale wiem, że dość się nacierpiałaś. Rozumiem, dlaczego pragniesz być wolna.

Wolna.

To słowo wydaje się teraz odległym wspomnieniem. Nawet zza grobu Inan trzymał moje serce na łańcuchu. Teraz, gdy wiem, że nie zginął, ten łańcuch parzy mnie jak majacyt.

Nie znajdę wolności poza granicami Oriszy. Dopóki mały księżę żyje. Dopóki wygrywa.

Jeśli chcę być wolna, nie mogę uciekać.

Muszę go zabić.

– Nie zamierzam więcej uciekać – mówię. – Skoro chcą wojny, będą ją mieli.

Amari zaciska palce na moim udzie. Wymieniają z Tzainem spojrzenia.

– Nie rozumiem. Co się zmieniło?

Czuję, jak napinają mi się mięśnie. Biorę głęboki oddech. Nie chcę znów jej skrzywdzić. Ale musi znać prawdę. Musi wiedzieć, z kim poza matką przyjdzie jej walczyć.

– Wydaje mi się, że twój brat żyje. Ale to ja go zabiję.

ROZDZIAŁ 16



AMARI

Wydaje mi się, że twój brat żyje.

Mijają kolejne dni, a słowa Zélie wciąż nie dają mi spokoju. Myślę o nich w czasie nocnej przeprawy przez masyw Olasimbo. Po ścieżce otulonej gęstą mgłą wspinamy się na szczyt, z którego ujrzymy w dole twierdzę w Gusau. Powinnam się skupić na uwolnieniu więzionych tam magów – muszę przecież stworzyć armię i rzucić wyzwanie matce – jednak ciągle myślę o Inanie.

Co mam zrobić, jeśli żyje? Nie mogę pozwolić, by tron Oriszy przypadł matce, ale co, jeśli zasiada na nim Inan? Czy wtedy również powinnam uwolnić magów z Gusau? Czy Inan jako król będzie kontynuował wojnę?

Kiedy ojciec zatopił miecz w ciele mojego brata, czułam się tak, jakby wbił mi to ostrze w serce. Jeżeli Inan naprawdę przeżył, nie chcę z nim walczyć.

Chcę mu się rzucić w ramiona.

– Znów o nim myślisz.

Mrugam zaskoczona. Tzain dogania mnie z łagodnym wyrazem twarzy. Odgarnia mi kosmyk włosów za ucho i delikatnie przesuwa palcami po kręgosłupie.

– Dziwisz się? – pytam zniżonym głosem, zerkając na idącą z przodu Zélie. – Jeśli jest tak, jak ona mówi... Jeśli Inan naprawdę żyje...

Już samo imię brata wypowiedziane na głos przenosi mnie z powrotem do łzawych nocy po rytuale. Mój szloch odbijał się od żelaznych ścian zimnego okrętu. Tyle wtedy płakałam, że moja pościel przez cały czas była mokra.

Mimo wszystkich cierpień, do jakich doprowadził, nie umiałam się pogodzić z myślą, że nigdy więcej go nie zobaczę. A teraz, gdy się okazuje, że nie umarł – nie wiem, co robić.

Odgłos zbliżających się kroków przyprawia mnie o szybsze bicie serca. Widzę przed sobą trzy wielkie cienie. Gdy ich właściciele wyłaniają się zza drzew, serce omal mi nie pęka.

Cienie należą do dzieci.

– *Arábìnrin*, czy macie coś do jedzenia? – zwraca się do nas młoda magiczka, najwyższa z całej trójki.

Wszyscy mają wytarte ubrania. Nie wiem, czy są ze sobą jakoś spokrewnieni, czy łączy ich jedynie biel włosów.

Zélie sięga do skórzanej sakwy, ale jestem od niej szybsza. Wyjmuję ze swojej kawałek suszonego mięsa z hienotra. Zawsze mogę sobie coś upolować.

– Dzięki ci, *Ìyáawa*. – Dziewczynka uśmiecha się i dzieli mięso na troje, a ja zadaję sobie pytanie, czyje rządy – ojca czy matki – uczyniły te dzieci sierotami.

Patrząc za nimi, myślę znów o wojnie, o naszej armii, która gdzieś tam w dole czeka na oswobodzenie. Każdy kolejny dzień wojny oznacza cierpienie dla mojego ludu.

Z Inanem czy bez, muszę pokonać matkę i wstąpić na tron.

– Tam jest.

Zélie kuca nad urwiskiem. W dolinie sześćdziesiąt metrów pod nami widać już cel naszej wędrówki. Twierdza w Gusau wielkością dorównuje tej w Gombe; to żelazne więzienie na skraju rolniczej wioski. Otoczona polami manioku forteca rzuca cień na swoich wartowników. Żołnierze patrolują każdy metr, ich surowe twarze migoczą w blasku pochodni.

– Otworzyć bramę! – woła jeden ze strażników.

Robi mi się sucho w gardle na widok złotej zbroi oświetlonej ogniem pochodni. Nie muszę zaglądać pod hełm, by się domyślić, że wartownik ma we włosach biały kosmyk. Odruchowo chowam własny.

Na patrolu dostrzegam jeszcze dwóch innych tytanów. Zastanawiam się, czy któryś z nich jest równie potężny jak matka.

– Patrzcie. – Zélie wskazuje na wóz ciągnięty przez panterożce.

Gdy dociera na miejsce, żołnierze wyprowadzają z niego magów skutych łańcuchami. Więźniowie jeden po drugim wchodzą do twierdzy przez masywne wrota. Głowy mają zwieszane na piersi.

Gotuje się we mnie, gdy widzę ich sińce i oparzenia. Każda zgębiona twarz wzbudza nową falę wyrzutów sumienia. Gdybym to ja została królową, ci ludzie byłiby wolni. Ramię w ramię budowalibyśmy Oriszę naszych marzeń.

– Twoja rodzina nie marnuje czasu – odzywa się Zélie z wyrzutem, od którego ściska mi się żołądek.

– Matka lubi działać szybko – przyznaję. – Dlatego my musimy działać jeszcze szybciej.

Wiem, że Zélie słyszy imię, którego nie wypowiadam na głos, ale nic mnie to nie obchodzi. Znam swojego brata; jeżeli żyje, na pewno nie przyłożył do tego ręki. Zbyt wiele przeszedł, by teraz walczyć metodami ojca.

Ja zresztą też.

– Poobserwujmy ich trochę – postanawiam. – Musimy wiedzieć, kiedy się zmieniają, wtedy wybierzemy odpowiedni moment do ataku. Skoro królewscy organizują pogromy, ich siły muszą być mocno rozproszone. Jeśli uwolnimy magów, będziemy mieli zaczątek własnej armii.

– Jesteś pewna, że damy im radę? – pyta Tzain. – W Gombe mieliśmy do pomocy Kenjona i resztę.

– Poza tym nie toczyła się wojna – odzywa się ktoś za nami. – Tym razem armia będzie przygotowana.

Rozcinam powietrze mieczem, a Zélie jednym zwinnym ruchem dobywa kij. Opuszcza go jednak, widząc, kto wyłania się z zarośli.

– Roën? – Zélie robi krok w tył.

Najemnik staje przed nami na ścieżce. Zmęczony wspinaczką, opiera się o drzewo. W blasku księżycy miga nowa blizna na jego policzku.

– Daj spokój, Zītsōl – mówi. – Naprawdę myślałaś, że tak łatwo będzie się mnie pozbyć?

– Nieba, co ty tu robisz? – Ruszam do przodu z zaciśniętymi zębami i przeczesuję wzrokiem las. – Jak nas znalazłeś? Kto cię przysłał? Gdzie reszta twoich ludzi?

– Spokojnie, księżniczko. – Roën unosi ręce. – Wiesz, jak pracuję. Gdybym chciał was schwytać, już dawno bylibyście w skórzanym worze. Przybywam w dobrych zamiarach.

– Kłamca.

Podchodzę bliżej i przystawiam mu ostrze do szyi.

– Co ty robisz? – szepcze Zélie.

– Ty nie słyszałaś, jak nam groził po wiecu.

Roën wpatruje się w moją klingę i cmoka językiem.

– Dam ci jedną szansę, żebyś opuściła broń.

Nie daję się nastraszyć i tylko mocniej zaciskam palce na rękojeści. Jeszcze centymetr i poleje się krew.

– Nie słuchaj go – mówię. – Pewnie chce mnie porwać i zgarnąć nagrodę za moją głę...

Roën znenacka chwyta mnie za nadgarstek. Mimo woli wypuszczam broń. Roën jednym płynnym ruchem wykręca mi rękę za plecy. Potem odpycha mnie na bok i zajmuje moje miejsce na skraju urwiska.

– Tak jak powiedziałem – rzuca – gdybym chciał się was pozbyć, nie byłoby tej rozmowy. – Wskazuje gestem na twierdzę. – Rebelianci próbowali już organizować ucieczki więźniów. Teraz każde więzienie w Oriszy jest przygotowane.

– Gaz majacytowy? – zgaduje Zélie.

Roën kiwa głową.

– Teren wokół twierdzy jest zaminowany. Ładunek majacytu trzy razy większy niż na wiecu. Żaden mag nie wyjdzie stamtąd żywy.

– W takim razie zdobędziemy maski – mówię. – Znajdziemy sposób, żeby sobie poradzić z gazem.

– Nawet jeśli, to strażnicy i tak prędzej wymordują wszystkich więźniów, niż pozwolą uciec choćby jednemu.

Czuję, że krew odpływa mi z twarzy.

– To niemożliwe. – Potrząsam głową. Wiem, że trwa wojna, lecz nawet matka nie byłaby tak okrutna.

– Lagos jest obleżone – wyjaśnia Roën. – Wojsko nie może sobie pozwolić na utratę kolejnego miasta. A już na pewno nie mogą dopuścić do tego, żeby rebelianci urosli w siłę.

Wpatruję się w leżące na ziemi patyki. Mój plan sypie się jak zamek z piasku. Byłam dobrej myśli, bo przecież udało nam się odbić Zélie z twierdzy w Gombe. Uwolnienie więźniów i utworzenie z nich własnej armii było kluczowym elementem całego przedsięwzięcia, pierwszym krokiem na drodze do odzyskania tronu. Skoro jednak matka jest gotowa zabić wszystkich magów, którzy mogliby nas wzmocnić...

Nieba.

Nawet nie stanęliśmy do walki, a już mam poczucie, że matka wygrała.

– To jeszcze nie tłumaczy twojej obecności tutaj – zauważa Tzain. Staje między Roënem a Zélie. – Myślisz, że ci uwierzymy, że przebyłeś ten szmat drogi tylko po to, by nas ostrzec?

Roën się uśmiecha.

– Daj spokój, bracie. Jak miałbym na tym zarobić? Przychodzę po was, żeby móc potem odebrać zapłatę od jedynej osoby w Oriszy, która nie pragnie waszej śmierci.

– Wiedziałam. – Cofam się o krok. – Nigdzie z tobą nie idę.

– I bardzo dobrze. Możesz tu zostać. Im chodzi o Zélie.

Roën wyciąga z kieszeni świstek. Widzę na nim czerwone I, które widywaliśmy już wcześniej.

– *Iyika*? – Zélie wyciąga rękę po skrawek pergaminu. – To oni mnie szukają?

– Wynajęli mnie, żebym cię doprowadził do Ibadanu. Zapłacili z góry. Możesz pójść po dobroci albo użyję tego worka, o którym mówiłem.

Wyrwam pergamin z ręki Zélie i przyglądam się literze z czerwonych kropek. Przypominam sobie buntowniczkę, która na wiecu patrzyła na mnie wyzywająco, z nienawiścią w oszpeconym oku.

– Rebelianci chcą zabić mnie i wszystkich przedstawicieli monarchii – mówię. – Nie możemy do nich pójść.

Roën przewraca oczami.

– Wszyscy życzą wam śmierci. Trudno im się dziwić. Ale na waszym miejscu zamiast marnować czas na wdzieranie się do niezdojanych więzień, przyłączyłbym się do magów, którzy wygrywają.

Posyłam Zélie wymowne spojrzenie, lecz ona tylko wzrusza ramionami.

– Mamy jakieś inne wyjście? – pyta.

Roën uśmiecha się zwycięsko, po czym daje nam znak, żebyśmy ruszyli za nim.

– Chodź, księżniczko. Zobaczmy, czy *iyika* rzeczywiście chcą ci się dobrać do skóry tak bardzo jak twoja matka i moi najemnicy.

ROZDZIAŁ 17



INAN

Oglądam swoje odbicie i nie wiem, co myśleć. Nie poznaję człowieka w lustrze.

Rozdartego wewnątrznie chłopaka, któremu pisany jest tron Oriszy.

Od leżenia w łóżku tak bardzo straciłem na wadze, że tonę w karmazynowej sukni ojca. Królewski jedwab wciąż pachnie wodą kolońską z drzewa sandałowego. Gdy oddycham zbyt głęboko, mam wrażenie, że jego dłonie znów zaciskają mi się na gardle.

Nie jesteś moim synem.

Zamykam oczy, bolesny spazm szarpie mi brzuch, aż zgrzytam zębami. Jak gdyby miecz ojca wciąż we mnie tkwił. Szykując się do pierwszego zgromadzenia, odruchowo zaciskam palce na widmowym pionku do sênetu. Gardzę sobą za to, że mi go brakuje.

Przede wszystkim jednak nienawidzę ojca za to, że mi go dał.

– Czy Wasza Królewska Mość jest ubrany? – Drzwi się uchylają i Ojore wtyka do środka brodatą twarz. – Słyszałem legendy o tym, co skrywają twoje szaty, ale jestem zbyt niewinny, żeby się przekonać na własne oczy.

Śmieję się mimo bólu w boku. Kuzyn zawsze potrafi mnie rozbawić. Zapraszam go ruchem dłoni. Promienny uśmiech rozjaśnia mu ciemnobrązową twarz.

– Dobrze wyglądasz. – Klepie mnie po ramieniu. – Jak król. I proszę! – Szczypie mnie w policzek. – Nabrałeś nawet koloru!

Odpycham go.

– Nie ufaj pozorom. Matka kazała mnie upudrować.

– Jakoś trzeba ukryć tę szpetną twarz.

Ojore wypełnia zimną komnatę ojca dziwnym ciepłem. Wysoki, szczupły, przystojny, w nowej admiralskiej zbroi, wygląda jak malowany. Tylko zza pancerza na szyi wyzierają ślady oparzeń.

Był moim kapitanem w akademii morskiej, potem nie mieliśmy kontaktu, lecz mimo to wciąż myślę o nim jak o bracie, którego nie miałem. Jak gdyby czytając w moich myślach, Ojore obejmuje mnie za ramię i przygląda się naszemu odbiciu w lustrze.

– Admirał i król – mówi, kręcąc głową.

Uśmiecham się szeroko.

– Wszystko zgodnie z planem.

– No, niezupełnie.

Ojore targa mi włosy i zwraca uwagę na biały kosmyk. Choć robi dobrą minę, wyczuwam jego niechęć.

– Masz z nim problem.

– Z nim. – Odwraca wzrok. – Nie z tobą.

Patrzę w lustrze na ten biały zygzak, dowód mojej klątwy. Odkąd się zbudziłem, ilekroć sięgam po swoją magię, czuję się tak, jakby ktoś mi wbijał topór w czaszkę. Nie wiem, czy to ma związek z tym, co Zélie zrobiła mi we śnie, czy to święty rytuał tak podziałał na moją moc.

Ale po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie mam nawet pewności, czy chcę jeszcze korzystać z magii. W końcu to z jej powodu ojciec próbował mnie zgładzić.

– A tytani w twoich szeregach? – pytam. – Nie tylko matka miała na sobie złotą zbroję.

– Toczy się wojna. Mamy się porywać na ich ogień gołymi mieczami? – Ojore masuje kciukiem oparzone miejsce; choć minęło wiele lat, blizna wciąż się łuszczy. – To, że potrzebujemy tytanów, aby raz na zawsze rozprawić się z glistami, nie zmienia faktu, że magia jest przekleństwem.

Chce mi się śmiać; jeszcze dwa miesiące temu powiedziałbym to samo. Dziś jestem mądrzejszy, lecz nie łudzę się, że zdołam przekonać Ojorego, by inaczej spojrzął na magię. Wszystko zdecydowało się w dniu, w którym Ogniarze wdarli się do pałacu i spalili żywcem jego rodziców. Ojore miał szczęście, że w jego przypadku skończyło się tylko na paru oparzeniach.

– Myślałem, że ciebie też dopadli. – Kuzyn zniża głos, oczy ma utkwione w podłozie. – Kiedy cię znalazłem w świątyni, wszędzie była krew. Nawet gdy się okazało, że żyjesz, nie sądziłem, że jeszcze kiedyś się obudzisz.

Wracam myślami do mojego snu. Do umierających trzciny, szarej mgły. Kto wie, może gdyby Zélie mnie nie odnalazła, pozostałbym tam już na zawsze.

– Uratowałeś mnie. Jestem twoim dłużnikiem.

– O, żebyś wiedział! Kiedy już wojna się skończy, chcę dostać tytuł. I złoto. I ziemię!

Śmieję się i kręcę głową.

– Mówisz to tak, jakby to była tylko kwestia czasu.

– Bo jest, mój królu. Teraz, gdy wróciłeś.

– Inanie?

Odwracam się; nawet nie zauważyłem, kiedy drzwi znów się otworzyły. Matka stoi w progu, jej karmazynowa suknia odbija promienie słońca. Wyszywana koralikami tkanina spływa jej z ramion aż do talii, tworząc jakby pelerynę. Matka posuwistym krokiem wchodzi do środka.

Ojore gwizdże pod nosem.

– Moja cioteczka nawet na wojnie trzyma fason.

– Milcz, chłopcze. – Matka mruży oczy, zaraz jednak się uśmiecha i chwyta Ojorego za podbródek.

Choć nie łączą ich więzy krwi, Ojore mógłby uchodzić za jej starszego syna. Przygarnęła go, kiedy został sierotą, i wychowywała, dopóki sam nie zaczął się piąć po stopniach żołnierskiej kariery.

Potem matka zwraca się do mnie.

– Wszyscy są już w sali tronowej. Czekamy tylko na ciebie.

– Ale najbezpieczniej jest w piwni...

Matka przerywa mi ruchem dłoni.

– Tradycja nakazuje, by poddani poznali swojego nowego króla w sali tronowej. Nie będziemy się chować w podziemiach.

Ojore kiwa głową na znak aprobaty.

– Niełatwo cię złamać.

– Nie możemy sobie pozwolić na słabość – odpowiada matka. – Obecna będzie cała rada, na czele z generałką Dżokôje. Musisz im się pokazać jako dobry dowódca, który poprowadzi armię do zwycięstwa.

Robi mi się tak sucho w gardle, że muszę przełknąć ślinę. Chciałbym mieć więcej czasu, żeby się przygotować. Wiem, moim zadaniem jest uwolnić Lagos i Oriszę od gniewu rebeliantów, lecz mam wrażenie, że sytuacja mnie przerasta. Drogi są pablokowane, brakuje żywności, w każdej chwili mogą na nas spaść kolejne bomby. Jak mam temu wszystkiemu zaradzić, skoro nie potrafiłem nawet zapobiec odrodzeniu się magii?

– Jeszcze pewien drobny szczegół. – Matka pstryka palcami, błyskają w powietrzu jej pomalowane paznokcie.

Do komnaty natychmiast wchodzi służący z aksamitną poduszką, na której spoczywa ojcowska korona, cała z polerowanego złota. Na jej widok czuję skurcz w żołądku.

– Poczekam za drzwiami. – Ojore ostatni raz poklepuje mnie po plecach. – Ale jesteś gotowy. Ojciec byłby z ciebie dumny.

Choć wszystko się we mnie skręca, zmuszam się do uśmiechu. Znika z moich ust, dopiero gdy matka bierze koronę do rąk i daje mi znak, żebym się pochylił. Ten lśniący symbol władzy przypomina dwupoziomowy tort. Wśród zawijasów z brylantów widnieje podobizna elefantaury – dawny herb królewski. Na szczycie błyszczący rubin ciemny jak krew.

– Wiem, wiem. – Matka w zamyśleniu wpatruje się w koronę. – Gdybym mogła, tobym ją spaliła.

– Przynajmniej nie musisz chodzić w jego szatach.

– Każę ci uszyć nowe, gdy tylko się da.

Umieszcza koronę na mojej głowie. Twarda skorupa chłodnej królowej Nehandy na chwilę mięknie. Matka przyciska palce do ust i głośno wydycha powietrze.

– Nieba. Matko, proszę cię, nie płacz.

Zbывa mnie strzepnięciem dłoni, po czym zaczyna mi poprawiać kołnierz. Nie podoba mi się, że traktuje mnie jak dziecko, ale cieszy mnie jej uśmiech.

– Twój ojciec nie był dobrym człowiekiem – przyznaje. – Ale był dobrym królem. Robił wszystko, aby chronić tron. Jesteś jego następcą i masz ten sam obowiązek. – Kładzie mi ręce na ramionach i obraca mnie w stronę zwierciadła.

Teraz, gdy widzę obok siebie jej głowę, chłopak w lustrze wydaje mi się bardziej znajomy.

– Nie chcę być jak on, matko. Nie mogę.

Matka chwyta mnie za rękę.

– Nie bądź swoim ojcem, Inanie. Bądź królem, jakim on być nie potrafił.

ROZDZIAŁ 18



ZÉLIE

– Poczekaj!

Tłumię w sobie pomruk zniecierpliwienia i wykonuję rozkaz Roëna. Opieram się o rozłożyste drzewo. Najla ziewa i rozciąga się na ziemi obok mnie. Jej łapa nie zagoiła się jeszcze na tyle, byśmy mogli jechać na lworożce. Stoimy wśród rzednącego lasu deszczowego na górskim zboczu pośrodku masywu Olasimbo. Choć od spotkania z rebeliantami w Ibadanie dzieli nas jeszcze co najmniej pół miesiąca drogi, każda chwila zwłoki wydaje się wiecznością.

– Nie patrz tak na mnie, Zītsōl. – Roën wymachuje mi palcem przed oczami. – Niedługo stracimy osłonę lasu. Lepiej zachować ostrożność.

Tupię cicho. Roën rusza przodem. Drzew jest coraz mniej, choć wciąż otacza nas bujna zieleń pnączy i liściastych gałęzi. W końcu las przechodzi w nagie trawiaste zbocze rozciągnięte u podnóża górskich szczytów. Z bezchmurnego nieba leje się na nie jasny słoneczny żar.

– I jak, droga wolna? – wołam za Roënem. – Czy mamy poczekać, aż sprawdzisz uzbrojenie owiec?

– Myślę, że ci magowie wiele by dali za moją eskortę.

Roën robi dwa kroki w bok, odsłaniając zagłębienie w ziemi. Podchodzę bliżej i serce podskakuje mi do gardła.

U jego stóp leży dwóch magów, obaj nieco tylko starsi ode mnie. Na wytartych tunikach widać zaschniętą krew, przede wszystkim wokół głębokich ran na piersiach. Oparzenia wskazują, że potraktowano ich majacytem.

– Nie ma co się gapić. – Tzain szturcha mnie w ramię i rusza dalej.

Amari bierze cugle Najli i podąża za nim.

– Dar życia pochodzi od bogów – szepczę na klęczkach – i bogom trzeba go zwrócić.

Wypowiadam słowa ibùkún, pożegnania dusz zmarłych, trochę wbrew sobie, bo wcale nie mam ochoty poczuć przyływu magii. Oczy zaczynają mnie szczypać na wspomnienie śmierci Baby, lecz szybko się otrząsam i wstaję. Roën krzyżuje ramiona.

– Pierwszy raz od czasu rytuału widzę, jak uprawiasz magię.

Mijam go bez słowa. Nakrywam zabitych magów liśćmi palmy i ruszam w dalszą drogę.

– Serio? Ty znowu swoje? – Roën mnie dogania. – Będziemy teraz udawać, że wcale nie chciałaś, żebym ci pomógł?

– Będziemy teraz udawać, że pomogłeś?

Roën wypycha policzek językiem. Na jego ustach igra zalotny uśmiezek.

– Powiedz mi chociaż, co się zmieniło – mówi. – Myślałem, że chcesz być wolna.

Skupiam się na górskiej ścieżce, po której idę, omijając duże kamienie rozrzucone wśród trawy. Zdarza się jeszcze, że moje myśli wędrują ku morzu. Ku łądom, które czekają gdzieś z dala od tego wszystkiego. Zawsze jednak staje mi wtedy przed oczami twarz Inana. To ona trzyma mnie na tej ziemi.

– Moje plany się nie zmieniły – oznajmiam. – Po prostu najpierw muszę załatwić ważną sprawę.

– Rozumiem. – Roën się uśmiecha. – Mam nadzieję, że ta sprawa cieszy się życiem, póki może.

Rzucam mu złowrogie spojrzenie. Znowu mnie przejrzał. Czyta w moich myślach prawie jak Inan, lecz w jego wypadku nie można tego wytłumaczyć żadną magiczną mocą.

– Tak naprawdę dlaczego zawróciłeś? – pytam. – Mogłeś nas sprzedać. Tak byłoby najłatwiej.

– Szczerze? – Roën ujmuje mnie za podbródek i stajemy w miejscu.

Choć wolałabym nie czuć nic, jego dotyk rozpala we mnie jakiś tłący się węgielek. Jak wtedy po wiecu, gdy musnął mnie dłonią w policzek. Do tej pory pamiętam szorstki dotyk jego stwardniałych palców. Prosty, ale treściwy gest. Teraz sama nie wiem, co myśleć o jego powrocie.

– Gdy się dowiedziałem, co się stało – mówi dalej, kręcąc głową – nie dawało mi to spokoju. Wiedziałem, że mnie lubisz, ale żeby wjechać w drzewo z rozpacz, że

odjechałem?

Odpycham go, a on śmieje się z figlarnym błyskiem w stalowych oczach.

– Jesteś niemożliwy.

– Nie ma się czego wstydzić, słońce. Nie ty pierwsza straciłaś chęć życia z powodu rozłąki ze mną...

– Zélie!

Obracamy głowy w lewo – tam, skąd nadleciał donośny głos Tzaina. Zaraz potem powietrze rozdziera huk pękającej skały. Włoski na karku stają mi dęba. Roën chwyta mnie za ramię, lecz nie daję mu się zatrzymać i rzucam się do biegu. Dolatują mnie kolejne okrzyki.

– Tam! – woła Amari, unosząc palec.

Hen, wysoko w górze, ze skraju urwiska obserwuje nas grupa żołnierzy. Ich zbroje lśnią złotem w blasku słońca. Na moment wszyscy zamieramy.

Potem trzech strażników skacze i zaczynają zjeżdżać po stromej skarpie. To tytańscy Ziemiowcy; mkną w dół z niesamowitą prędkością, jakby kamienie na ich drodze były śniegiem.

Zdumiewa mnie ich sprawność: panują nad swoją mocą o wiele bardziej niż tytani, którzy zaatakowali nas w trakcie wiecu. Pędzą ku nam, podczas gdy reszta żołnierzy Nehandy zaczyna się opuszczać na linach.

– Ja ich załatwię! – Amari wybiega im naprzeciw, jej palce świecą na niebiesko.

– Amari, nie! – Przypominam sobie tytana, który zginął na moich oczach. – Nie wiesz, jak używać magii!

Niebieska poświata otacza jej dłoń. Amari wyciąga rękę przed siebie, lecz niebieski płomień, zamiast razić wrogów, wybucha jej w twarz. Amari krzyczy z bólu i upada na ziemię.

Nie mam wyboru.

Jeśli nie użyję własnej magii, niechybnie zginiemy.

– Ęmí àwọn tí ó ti sùn...

Czas zwalnia, aszê wre w moich żyłach. W powietrzu gęstnieją duchy, są jak tumany czarnego piasku. Ręce mi się trzęsą, magia szuka ujścia.

Czuję, jak duchy przelatują przez moje kości. Jeden po drugim powstają z piachu. Mija chwila, zanim uświadamiam sobie, że nie są jedynymi ożywioncami.

– Ẹmí àwọn tí ó ti sùn...

Jakiś drągał w złotej zbroi powtarza moje zaklęcie. Marszczy czoło. Czuję duchy, które przyzywa, lecz nie przybierają one postaci pojedynczych żołnierzy, tylko splatają się w jedno wielkie monstrum. Patrzę w osłupieniu na tę rosnącą w oczach żwirową bestię. Jest tak ogromna, że przesłania słońce.

Stoimy jak wryci, moi ożywieńcy także zastygli w bezruchu. Żołnierz podchodzi bliżej i zdejmuje złoty hełm, odsłaniając głowę porośniętą białymi włosami.

– Na miłość Oi, to ty! – Chłopak wpatruje się we mnie z rozdziawionymi ustami. Na oko ma nie więcej niż piętnaście lat. Ma też – podobnie jak jego ożywieniec – odstające uszy.

– Musisz jeszcze trochę popracować nad kształtem – odzywa się inna postać, zmierzając kulawo w moim kierunku. – Ale i tak jestem pod wrażeniem. To był kawał dobrego zaklęcia.

Gdy zdejmuje hełm, na moment tracę oddech. Jasnowidzka przygląda się moim ożywieńcom, tak jak dawniej przyglądała się mojej postawie, gdy pod jej okiem ćwiczyłam walkę kijem.

– Mama Agba? – szepczę.

Na jej brązowych ustach rozkwita szeroki uśmiech. Oczy w kolorze mahoni szklają się od łez. Mama Agba otwiera ramiona.

– Mówiłam ci, że jeszcze się spotkamy.

ROZDZIAŁ 19



ZÉLIE

Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej wylałam tyle łez co teraz w ramionach Mamy Agby. Przenikający spod jej zbroi zapach świeżej tkaniny przenosi mnie w czasie. Przypomina mi się huk fal w Ilorinie, trzask uderzających o siebie dębowych kijów – i wybucham kolejnym szlochem. Trzymam Mamę mocno, jakbym się bała, że gdy ją puszcze, sen pryśnie.

– Pèlé – szepcze mi we włosy i opiera brodę na czubku mojej głowy. Klepie mnie po plecach i śmieje się cicho. – Już dobrze, moje dziecko. Jestem z tobą.

Kiwam głową, lecz zacieśniam uścisk. Mam wrażenie, jakbym obejmowała ducha matki w alâfii. Wtedy nie zdążyłam się nią nacieszyć. Jeśli znów stracę kogoś takiego, chyba tego nie przeżyję.

– Twoje włosy! – Śmieję się przez łzy, dotykając jej białych loków.

Mama Agba się uśmiecha.

– Pewna młoda wojowniczką przywróciła magię. Nie miałam ochoty się dłużej ukrywać.

Przyglądam się pieprzykowi na jej brodzie, nowym plamom i zmarszczkom na ciemnobrązowej skórze. Utyka bardziej, niż zapamiętałam, ale to naprawdę ona. Mama Agba we własnej osobie.

– Chodź. – Całuje mnie w czoło, a potem ściska Amari i Tzaina.

Ocieram resztki łez i przyglądam się żołnierzom za jej plecami. Wszyscy mają kręcone białe włosy – jak moje. Ich pełne blasku twarze tworzą całą paletę odcieni, od czerni po jasny brąz.

Młody Żniwiarz o wielkich uszach i jasnych oczach występuje naprzód; na jego twarzy maluje się szeroki uśmiech pełen niedowierzania.

– To zakłęcie... Jak to zrobiłeś? – pytam. – Nigdy w życiu nie widziałam ożywieńca olbrzyma.

– Wszyscy Żniwiarze w mojej rodzinie to potrafili! – Chłopak aż promienieje z dumy. – Zamiast tworzyć gromadę ożywieńców łączymy ich w jednego.

– Niesamowite.

– Ty jesteś niesamowita! – Zaciska zęby, pada na kolana i oddaje mi pokłon. – Zaklinam cię, Jagunjagun Ikú, uczyni mnie swoim Drugim!

– Na bogów, Mâzeli! – śmieje się magiczka z koralikami wplecionymi w białe warkocze. – Dopiero co przysłała. Pozwól jej trochę odpocząć.

– Nie słuchaj ich. – Mâzeli chwyta mnie za rękę i patrzy na mnie okrągłymi oczyma. – Będę ci wiernie służył, dopóki sam cię nie zastąpię na czele klanu Żniwiarzy. Ale do tego czasu zakochamy się w sobie. – Gdy próbuję mu się wyrwać, zaciska palce jeszcze mocniej, a jego głos wpada w coraz wyższe tony. – Zostaniesz matką moich dzieci. Będę służył naszej rodzinie do ostatniego tchu...

– Niedługo możemy się tu spodziewać patroli wojskowych – wtrąca Mama Agba, poklepując chłopaka po głowie. – Może dokończycie tę rozmowę za murami?

– Czy on zawsze jest taki? – pytam Mamę Agbę, gdy ruszamy w drogę.

– Ma dużo determinacji, jak każdy mag z zadatkami na wielkiego Żniwiarza.

Uśmiecham się, ale tylko na moment, bo widzę, że Roën został w tyle. Jeden z magów wręcza mu worek ze złotem. Roën nie podąża za nami w głąb lasu deszczowego. Czuję ukłucie w piersi.

– A więc to tak? – pytam. – Znów nas opuszczasz?

– Zrobiłem swoje. Jestem umówiony z moimi ludźmi w Lagos.

– W Lagos? Pracujesz dla przeciwnej strony?

– Na wojnie można nieźle zarobić, Zītsōl. Jeśli pójdziesz po rozum do głowy, może uszczkniesz coś dla siebie.

Kręcę głową; sama nie wiem, dlaczego spodziewałam się po nim czegoś więcej.

– Czy dla ciebie liczy się cokolwiek poza pieniędzmi?

– Stoję tu przed tobą, nieprawdaż? – Roën nachyla się tak blisko, że widzę blade piegi na jego policzku. – Nie martw się – szepcze, prawie muskając ustami moje ucho. – Coś mi mówi, że nasze drogi jeszcze się przetną.

Magowie zbaczają z głównego szlaku przez dżunglę i prowadzą nas wzdłuż rwącej rzeki. Woda przecina las na pół, dzieli zielony gąszcz na dwie części. Pagórkowaty

teren to wznosi się, to opada. Zapach świeżej darni i dziko rosnących kwiatów jest coraz intensywniejszy. Ogromne drzewa rozkładają nad nami swoje imponujące szmaragdowe korony.

Za rękę z Mamą Agbą przemykamy pod wysokimi korzeniami. Tzain, Amari i ja trzymamy się blisko siebie, w skupieniu słuchając jej opowieści o początkach rewolucji.

– Nadal nie rozumiem – przyznaje Tzain. – To ty wszczęłaś rebelię?

Mama Agba kiwa głową.

– Poniekąd. Ale na początku to był rodzaj samoobrony. W połowie drogi z twoim ojcem do Oronu miałam wizję: ujrzałam waszą trójkę w osadzie ibawitów. Nie dotarliśmy tam w porę, by zapobiec atakowi sił królewskich, ale udało nam się znaleźć ocalałych. – Wspiera się na moim ramieniu, gdy przekraczamy powalony pień. – Prowadziliśmy ich tutaj, gdy napadli nas kolejni żołnierze.

Mama Agba milknie, a ja przypominam sobie o śmierci Zulajchy i Salima. Wymieniamy z Tzainem spojrzenia. Wszystko układa się w całość. To dlatego Baba wpadł w ręce Inana. To dlatego zginął.

Mama Agba wzdycha.

– Przysięgam, że w walce daliśmy z siebie wszystko. Ale wasz ojciec nie chciał, żeby stała nam się krzywda. Sam oddał się w ręce strażników, a wtedy oni zgodzili się nas oszczędzić.

Kiedy tego słucham, staje mi przed oczami płonąca trumna Baby. Choć mijamy wonne kwiaty, czuję smród popiołu.

– Tak mi przykro. – Mama Agba kręci głową. – Nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Niepotrzebnie. – Ściskam jej dłoń. – To nie twoja wina.

Wspomnienie Inana prowadzącego Babę na śmierć przypomina mi, dlaczego tu jestem. Z pomocą rebeliantów możemy pokonać Inana i Nehandę. Będę mogła dobrać mu się do gardła.

Mâzeli podejmuje przerwana opowieść Mamy Agby:

– Po upadku obozu zdaliśmy sobie sprawę, że nadarza się dla nas okazja. Nikt inny nie wiedział, że magia powróci. Wykorzystaliśmy tę wiedzę do planowania ataku.

– W noc solstycjum setnego roku razem z innymi magami zebraliśmy się na obrzeżach Lagos – włącza się do rozmowy drobna magiczka. – Gdy nasze moce

wróciły, przypuściliśmy atak na miasto. Monarchia nie wiedziała, co się dzieje.

Amari posepnieje, lecz ja słucham z błyskiem w oczach. Nie mieści mi się w głowie, że pokładali tyle nadziei w mojej misji; że moje poświęcenie koniec końców pozwoliło moim braciom i siostram podjąć walkę.

– I co? – dopytuję.

– To było niesamowite – szepcze Mâzeli. – Zdobylibyśmy pałac, gdyby nie Nehanda. Ale z tobą będziemy nie do powstrzymania. Teraz, gdy jest wśród nas Wojownicza Śmierci, zwycięstwo mamy w garści!

Magowie reagują na te słowa entuzjastycznymi okrzykami. Dochodzimy do ściany wysokiego urwiska. Naprzód występuje Ziemiowiec.

– Starszy Kâmarū – przedstawia go Mama Agba.

W nosie ciemnoskórego Ziemiowca połyskuje srebrny kolczyk. Sterczące białe loczki tworzą gęstą czuprynę. Jedną nogę ma wykutą w żelazie, przyczepioną w połowie uda. Robię krok do tyłu, lecz on staje przede mną i dotykając żelaznym kolanem ziemi, posyła mi ukłon.

– Opowieści nie oddają ci sprawiedliwości – stwierdza.

Rumienię się na twarzy, a Mâzeli staje między nami.

– Kâmarū, nie obchodzi mnie, że jesteś ode mnie dwa razy większy. Wybij to sobie z głowy.

Ziemiowiec uśmiecha się i odchodzi. Błyskając kolczykiem w nosie, zajmuje pozycję. Kładzie ogromne dłonie na ścianie urwiska i wpiera je mocno w skałę.

– Nie zapomnij oddychać – odzywa się Mama Agba znajomym nauczycielskim tonem.

Kâmarū zamyka oczy, bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze. Potem zaczyna recytować.

– Se ifé inú mi...

Wsluchuję się nieruchomo w słowa zaklęcia. Od lat nie słyszałam tego miarowego rytmu właściwego wszystkim zaklęciom Ziemiowców.

Stopy Kâmarū zaczynają jaśnieć szmaragdowym blaskiem, który po chwili rozprzestrzenia się na ręce.

– Nogi szerzej! – instruuje go Mama Agba i Kâmarū spełnia jej polecenie.

Rośliny porastające zbocze góry znikają jedna po drugiej, zwijają swoje długie pnącza. Sypią się piasek i kamyki.

Kâmarū robi krok do tyłu, a góra rozsuwa się z jękiem. Z zapartym tchem patrzymy, jak światło dnia wlewa się do szczeliny. Widzę początek niekończących się schodów. W moim sercu rozbłyskuje iskierka nadziei.

Iyika są dużo potężniejsi, niż sądziliśmy.

– Doskonała robota. – Mama Agba poklepuje Kâmarū po plecach.

W jej brązowych oczach dostrzegam błysk entuzjazmu, jakiego nie widziałam u niej od lat.

Odsuwa się na bok i zaprasza nas gestem do środka.

– Śmiało. – Wpycha mnie na pierwszy stopień schodów. – Witaj wśród rebeliantów.

ROZDZIAŁ 20



AMARI

– Nieba...

Po wyjściu z długiego tunelu rozdziawiam usta. Widzę przed sobą stojące w trójkącie trzy góry o spłaszczonych szczytach. Wznoszą się tak wysoko, że można odnieść wrażenie, jakbyśmy byli ponad chmurami. Na każdej z gór pyszną się wspaniałe świątynie i wieże z lśniącego czarnego kamienia.

Tzain mruży oczy.

– Wybudowaliście to wszystko w miesiąc?

Mama Agba wybucha serdecznym śmiechem.

– Ile Ijosin stworzyli przed wiekami przywódcy dziesięciu magicznych klanów. Po raz pierwszy zobaczyłam to miejsce, gdy zostałam starszą klanu Jasnowidzów. To sanktuarium jest prawie tak stare jak sama Orisza.

Oddycham świeżym powietrzem wypełnionym wonią kwitnących kwiatów. Pośrodku doliny znajduje się wodospad, u jego stóp kąpią się młodzi ibawici. W dali ostre skalne granie, podobne do kamiennych rogów, wrzynają się w chmury. Widok zapiera dech w piersi. Nie wyobrażam sobie, żeby wojna mogła nas tutaj osiągnąć.

– Tędy. – Mama Agba wskazuje gestem obsydianową wieżę po lewej. Dziesięć pięter niczym dziesięć zespawanych ze sobą ozdób. – Dodaliśmy nowy szpital, ale wciąż mamy tam ogrody i centrum medytacji. A na drugiej górze przekształcamy stare wieże w dormitoria. – Wskazuje za kamienny most łączący oba szczyty.

Druga góra jest większa, pełno tam niedokończonych budowli. Zmierzając w stronę dormitoriów, przypominam sobie nagle, jak Zulajcha oprowadzała nas po obozie ibawitów. Tamtejsze kolorowe namioty i drewniane wozy były z całą pewnością wytworami ludzkich rąk. To miejsce wygląda jak dzieło bogów.

– Wyobraź sobie takie sanktuaria w całej Oriszy – szepczę do Tzaina. – Wyobraź sobie miasta budowane w ten sposób.

– Kiedy obejmiesz tron, nie będziemy musieli sobie niczego wyobrażać.

Jego słowa podnoszą mnie na duchu, ale przypominają też, po co tu jestem. Siły rebeliantów dają mi nadzieję na obalenie matki. Razem możemy zbudować nową Oriszę.

– Zanim zapomnę. – Mama Agba chwyta Tzaina za ramię i zwraca go w stronę trzeciej, najwyższej góry. To po jej zboczu spływa wodospad. Nad falującymi graniami króluje dziesięć świątyń, każda poświęcona innemu klanowi. – Proszono mnie, żebym cię skierowała do Świątyni Ogniarzy. Jeśli dobrze zrozumiałam, grałeś w agböna z ich starszym.

– Z Kenjonem? – Tzainowi rozjaśnia się twarz. – On tu jest?

Starych znajomych Tzaina z boiska nie widzieliśmy od czasu rytuału na wyspie. Gdyby nie oni, nie udałooby nam się uratować Zélie z rąk mojego ojca.

– A bliźniaczki? – pyta Zélie. – Chani i Imani?

Mama Agba potakuje głową.

– Chani jest starszą klanu Uzdrawicieli, a Imani jej Drugą. To one założyły szpital na pierwszej górze.

– Chodźmy. – Nie czekając, aż Mama Agba zmieni zdanie, Tzain zaczyna ją prowadzić ku trzeciej górze. Daje nam znak ręką, żebyśmy szli dalej. – Później was znajdę!

Uśmiecham się, a obowiązki naszego przewodnika bierze na siebie Mâzeli. Po drodze zaczynam liczyć mijanych żołnierzy, a moje myśli znów kierują się ku wojnie i Nehandzie. Rebelianci w mosiężnych zbrojach przywodzących na myśl staranne kroje Mamy Agby wyraźnie odróżniają się od ibawitów. Ich smukłe metalowe rękawy i naramienniki mienia się kolorami poszczególnych klanów.

Dwanaście, dwadzieścia osiem, czterdzieści dwa... pięćdziesiąt siedem... siedemdziesiąt dziewięć. Wyobrażałam sobie rebeliantów jako bezładną zbieraninę, ale tych osiemdziesięciu żołnierzy wydaje się zwartych i gotowych do walki. Potencjał tej armii przechodzi moje najśmielsze oczekiwania. Jeśli zdołam ich przeciągnąć na swoją stronę, może uda mi się zakończyć wojnę znacznie szybciej, niż sądziłam.

– Jagunjagun!

W naszą stronę zmierza piękna ciemnoskóra magiczka. Jej ogolona głowa z daleka rzuca się w oczy. W prawym uchu ma trzy srebrne kółka.

– Kâmarū nie kłamał – mówi. – Jesteś miła dla oka. – Psozny uśmiech uwydatnia szeroki nos i pełne usta. Magiczka przyklęka w ukłonie, odsłaniając rękaw z tatuaży na prawym ramieniu. – Nâomi – przedstawia się. – Ale przyjaciele mówią na mnie Nâo, więc... – Przewiesza wytatuowane ramię przez szyję Zélie i uwalnia ją od Mâzelego.

– Co robisz? – pyta Mâzeli. – Mama Agba kazała mi ich oprowadzić.

– To może poczekać. Teraz trzeba ją przedstawić Ramai i pozostałym starszym. – Nâo odciąga Zélie.

Ruszam za nimi, lecz Mâzeli chwyta mnie za ramię.

– Jesteś pewna, że chcesz tam iść? – pyta. – Starsi nie są twoimi wielbicielami, że się tak wyrażę.

Spogląda znacząco na mój biały kosmyk, a ja oblewam się rumieńcem. Na myśl o spotkaniu z magami, którzy zaatakowali Lagos, pot zrasza mi skronie.

– Starsi są gospodarzami sanktuarium? – pytam.

Mâzeli kiwa twierdząco głową.

– I przywódcami rebelii.

– W takim razie nie mam wyboru. Zaprowadź mnie do nich.

ROZDZIAŁ 21



INAN

Dźwięk bębnow przetacza się przez korytarze niczym burzowe grzmoty. Czuję te drgania wewnątrz czaszki. Czekamy z matką i Ojorem przed wejściem do sali tronowej, gdzie po raz pierwszy wystąpię publicznie jako król. Z portretów na ścianach spoglądają na mnie wielcy monarchowie i monarchinie z przeszłości.

Staram się nie myśleć o tym, że gdyby nie ta wojna, wisiałby na ścianie również portret ojca.

– Wypadniesz doskonale. – Matka poprawia mi koronę i wygładza materiał na ramionach.

– No nie wiem – przekomarza się Ojore. – Moim zdaniem tak sobie.

Uśmiechamy się do siebie, lecz matki to nie bawi.

– Nie czas na żarty. Przekonanie do siebie mieszkańców nie będzie łatwe, ale przede wszystkim musisz przekonać do siebie swoich doradców.

Kiwam głową, pomny jej słów. Bez wsparcia rady królewskiej nie będę w stanie kontrolować armii, a bez tego nie pokonam rebeliantów, nie zakończę wojny.

Matka daje znak tytanom pełniącym straż u drzwi sali tronowej. Pozdrawiają ją salutem, po czym zapraszają do środka. Gdy dębowe wrota na powrót się zamykają, ogarnia mnie paralizujący strach. Zawsze myślałem, że to Amari będzie mi pomagała w ostatnich przygotowaniach do tej chwili. Że to ojciec, gdy nadejdzie pora, przekaze mi swoją koronę.

Chciałem, by rozpieęła go duma.

– Coś mi podpowiada, że to ci się może przydać. – Ojore sięga do kieszeni spodni.

Ku mojemu zdumieniu wydobywa z niej brązową monetę. Na moment wracam pamięcią do osady ibawitów, w której Zélie nauczyła mnie zaklęcia.

Co to? – spytałem, gdy wręczyła mi monetę.

Coś, czym możesz się bawić, nie robiąc sobie krzywdy.

– Znalazłem ją przy tobie w świątyni – tłumaczy Ojore. – Już miałem wyrzucić, ale zdałem sobie sprawę, że w życiu nie widziałem, żebyś tykał się pieniędzy. Pomyślałem, że skoro miałeś ją przy sobie w czasie walki, to musi dla ciebie coś znaczyć. Ty nigdy nie wiedziałeś, co zrobić z rękoma. – Kładzie mi ją na dłoni.

Zaciskam palce na wytartym metalu, przesuwam kciukiem po grawerunku przedstawiającym gepardona.

– Nie masz pojęcia, jak wiele dla mnie znaczy – mówię przez ściśnięte gardło. – Dziękuję.

– To tylko moneta. – Ojore klepie mnie po plecach. – Nie ma co płakać. A teraz chodźmy. Ludzie czekają na swojego nowego króla.

Kiwam głową i żołnierze otwierają przed nami wrota sali tronowej. Szczelina się rozszerza, zalewając nas światłem dnia. Gdy przekraczam próg, w środku cichnie gwar.

Ogromna sala jest wypełniona po brzegi rzędami ludzi, tak że prawie nie widać wyłożonej kaflami podłogi. Mam wrażenie, jakby stała przede mną połowa mieszkańców Lagos. Dziesiątki innych czekają przed pałacową bramą.

Nieba...

Ciężar ich spojrzeń zgniata mi pierś jak elefantaur. Nie mogę uwierzyć, że przyszli tu dla mnie. Że ich przyszłość spoczywa na moich barkach.

– Przed wami król Inan Olúborí! – krzyczy oficer. – Dwudziesty trzeci władca Oriszy!

Jeden po drugim rzędy zgromadzonych chylą się w ukłonach. Patrząc na to z zapartym tchem, otrzeźwia mnie dopiero widok byłych doradców ojca. Stoją na przodzie, w zwartym szeregu naprzeciw tronu. Zwalniam kroku, by lepiej im się przyjrzeć.

– Wasza Wysokość. – Generałka Dżokôje, drobna kobieta o ceglastej skórze, posyła mi ukłon.

Choć nie wyższa od miotły, jest poważaną przez wszystkich dowódczynią naszej armii, najstarszą stażem ze wszystkich doradców ojca. Przygląda mi się podejrzliwie zza okularów w mosiężnych oprawkach. Gdy się podnosi, zwracam uwagę na jej misterny warkocz. Jest w nim białe pasmo, którego dawniej tam nie było.

– Generałka jest tytanką? – szepczę do Ojorego, a ten kiwa głową.

– Stała się Tajfunką. Razem z twoją matką zabiega o to, by do naszych sił dołączyło jak najwięcej tytanów. Szkoli ich nawet.

Pozdrawiam Dżokôje delikatnym ruchem brody i przenoszę wzrok na pozostałych doradców. W skład rady zgodnie z tradycją wchodziło siedem osób, ale po niedawnym ataku na Lagos zostało się tylko pięć. Z trzydziestu do jedenastu zmalała też liczba siedzących w pierwszym rzędzie arystokratów. Za nimi, w oknach sięgających od podłogi do sufitu, roztacza się widok na spustoszone miasto.

Zdobęde wasze uznanie. Ściskając kciukiem monetę od Zélie, wchodzę po marmurowych stopniach na podium tronowe. Ojore, stróż mojego bezpieczeństwa, zajmuje miejsce po mojej lewej ręce. Z matką u prawego boku siadam na złotym krześle. Nie jestem już księciem.

Muszę stać się królem, jakim ojciec być nie potrafił.

– Wiem, że nastał straszny czas – zwracam się do zebranych. – Przykro mi, że musieliście tyle wycierpieć. Że tyle straciliście. Broniąc Oriszy przed powrotem magii, doznałem poważnych ran i długo leżałem bez czucia. Ale oto jestem. – Ściskam poręcz tronu i toczę wzrokiem po tłumie kosidan i tytanów. – Mam plan, jak wyzwolić Lagos i pobić rebeliantów. Obiecuję na nowo zaprowadzić pokój!

Rozlegają się okrzyki entuzjazmu. Czekaając, aż wrzawa ucichnie, ściskam brązową monetę; łatwiej mi wtedy zachować kamienną twarz. Matka uśmiecha się u mojego boku.

– Wydarzenia ostatniego miesiąca przysparzają nam niezliczonych kłopotów – mówię dalej. – Proszę was jednak, abyście bez wahania mnie o nich informowali. Zrobię, co w mojej mocy, aby wam pomóc.

– Przepraszam... – odzywa się łagodny głos z tyłu sali.

Ludzie rozstępują się przed młodą kobietą, matką z dwójką dzieci. Z płaczącym niemowlęciem przyciśniętym do piersi mija arystokratów i doradców. Drugie dziecko, chłopczyk o zapadłych policzkach, trzyma się jej wzorzystej spódnicy.

– Wasza Królewska Mość. – Kobieta składa ukłon u stóp tronu.

Z bliska widzę, jacy są wymizerowani: mają wzdęte brzuchy, a skóra zwisa im z kości.

– Proszę mi wybaczyć czelność, ale... żywimy się ochłapami. Gdyby znalazło się trochę jedzenia...

Moja matka nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Drogi są zablokowane i żywność nie dociera. Targ od tygodni stoi pusty. Spłonął podczas pierwszego ataku.

Kiwam głową. Przypominam sobie bazar pełen wonnych przypraw i czerwonych mięs. Rozglądam się po tłumie.

– Kto jeszcze jest w potrzebie?

Jedna po drugiej unoszą się ręce. Wzdycham w duchu. To najbogatsze miasto Oriszy, stolica królestwa, a jednak wojna sprawiła, że ludzie przymierają głodem.

– Kapitanie Kunle – zwracam się do człowieka, który u ojca odpowiadał za pobór podatków, łysiejącego mężczyzny o krzaczastych brwiach i rumianych policzkach. – Ile mamy zapasu żywności?

– Na dwa miesiące, Wasza Królewska Mość. Ale to zapas dla pałacu. Wszystko, co zostaje, trafia do arystokratów i oficerów.

– Rozdzielcie zapasy – postanawiam. – Chcę, żeby wszyscy poddani otrzymywali racje żywnościowe.

Na dźwięk moich słów arystokraci powstają z miejsc. Wśród tłumu rozchodzi się szmer zdumienia.

– Szczodrość Waszej Królewskiej Mości jest godna podziwu – odzywa się generałka Dżokôje, występując przed szereg. – Ale jak Wasza Królewska Mość zamierza wykarmić pałac? Wojsko? Siebie?

– Po zwycięstwie nad rebelią drogi zostaną odblokowane. Zdaję sobie sprawę z ryzyka.

– Na nieba, pomrzemy z głodu! – woła Dżokôje.

– Wszyscy umrą, jeśli nie zakończymy wojny. – Zamykam jej usta surowym spojrzeniem. – Jeszcze dziś na placu targowym ma powstać ruchomy punkt dystrybucji żywności. To rozkaz.

Moje słowa, odbite echem od ścian sali tronowej, wywołują poruszenie. Zachowuję jednak zimną krew i tylko ściskam w dłoni brązową monetę. Niezadowolenie arystokratów narasta, lecz dla mnie ważniejsze są łzy w oczach ubogiej kobiety.

Matka ściska mi ramię. Czuję w tym dotyku ciepło jej dumy. Uśmiecham się odruchowo. Tymczasem przed tronem formuje się kolejka interesantów. Przyzywam gestem następną osobę.

– Słucham. Czego wam trzeba?

Poddani jeden po drugim podchodzą i przedstawiają mi swoje problemy. Opowiadają o zwłokach na ulicach, o małych sierotach, o setkach ludzi bez dachu nad głową. Obietnica dodatkowych racji żywności motywuje ludzi do pracy. Udaje się zorganizować grupy do sprzątania zwłok. Pod moim naciskiem arystokraci zgadzają się otworzyć swoje domy przed tymi, którzy nie mają się gdzie podziać.

Właśnie o to chodzi. Uśmiecham się, gdy kilku tytanów zgłasza się do służby w siłach matki. Czuję, że mój autorytet rośnie z każdym rozkazem. Jako król nareszcie dysponuję prawdziwą władzą. Miesiąc temu podobne życzenia były jedynie moimi fantazjami, teraz w jednej chwili stają się obowiązującym prawem. Nawet moi oponenti nie mogą się sprzeciwić mojej woli.

– Wasza Królewska Mość, jeśli wolno. – Generałka Dżokôje z rękoma złączonymi za plecami zbliża się do tronu. Mimo drobnej sylwetki rozacza wokół siebie aureę wielkiej siły. Strażnicy, gdy obok nich przechodzi, odruchowo się prostują. – Podziwiam twoją dobroć, ale to są półśrodki, a nie rozwiązania. *Iyika* trzymają nas w szachu. Prędzej czy później wrócą, by dokończyć to, co zaczęli.

Słowa generałki są jak gęste chmury, które zaćmiewają słońce. Twarde wojenne realia gaszą promyk nadziei, który na chwilę rozbłysł w sali tronowej.

– Możemy ich wytropić...

– Nie uda się – ucina prędko Dżokôje. – Ilekroć wysyłamy żołnierza do lasu, tamci odpowiadają atakiem. A nasi zwiadowcy nigdy nie wracają żywi.

Poprawiam kołnierz na spoconym karku.

– W takim razie przeprowadzimy zmasowaną ofensywę. Rozprawimy się z nimi, zanim zdążą nam zagrozić.

– Wyprowadzając wojsko z Lagos, wydamy wyrok na ruiny, które stanowią obecnie nasze jedyne umocnienia. – Dżokôje poprawia okulary na nosie. – Czy Wasza Królewska Mość naprawdę jest gotów podjąć takie ryzyko, zważywszy, że nie znamy dokładnego położenia wrogich sił?

Jej słowa tną moje propozycje niczym brzytwy. Generałka nawet nie próbuje ukrywać pogardy. Atmosfera niezadowolenia jest coraz bardziej namacalna.

– To ważne pytania – przychodzi mi z pomocą matka. – Najlepiej będzie, jeśli omówimy je przy zamkniętych drzwiach.

– Co nam po dyskrecji, jeśli wszyscy umrzemy? – pyta retorycznie Dżokôje. – Dopóki nie zdusimy rebelii, szkoda naszych wysiłków.

Obracam brązową monetę w palcach i spoglądam przez wysokie okna. Ojciec zawsze cenił Dżokôje za szczerość. Wszystkie rozmowy cichną, zebrani oczekują mojej odpowiedzi. Biorę głęboki oddech i wstaję z tronu.

– Przedstawię plan działania. Potrzebuję tylko trochę czasu...

Nagle z korytarza dobiegają okrzyki. Wzdrygam się na dźwięk tłuczonego szkła.

Czyżby rebelianci przypuścili kolejny atak?

Strażnicy odgradzają mnie i matkę kordonem, a poddani rozbiegają się na wszystkie strony. Ojore rusza w stronę drzwi, zza których dobiega hałas. Żołnierze kierują nas ku zejściu do pałacowych podziemi, przedtem jednak dobiega mnie okrzyk napastniczki:

– Przepuście mnie!

Zawracam na przekór strażnikom. Na posadzce leży rozbita waza. W korytarzu walają się bochenki czerstwego chleba. Młoda złodziejka szarpie się z Ojorem, który powalił ją na kolana. Zerwany z głowy kaptur odsłania bielutką czuprynę.

– Wasza Królewska Mość, nie podchodź za blisko. – Dżokôje dobywa miecz i przystawia go do szyi magiczki, po czym wskazuje dłonią czerwony symbol na piersi dziewczyny, znak przynależności do rebeliantów. – To jedna z nich.

Unoszę rękę.

– Spokojnie, generałko. To tylko głodne dziecko.

– Nie było tu Waszej Królewskiej Mości, gdy Lagos upadało – rzuca gniewnie Dżokôje. – U magów nawet dziecko potrafi być groźnym wojownikiem.

Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żeby ta dziewczyna mogła nam zagrozić. Co z tego, że jej brązowe oczy są pełne wściekłości, skoro cała się trzęsie i ciężko dyszy? Matka usiłuje utrzymać mnie przy sobie, lecz brązowa moneta pali mnie w dłoni. Odsuwam Dżokôje na bok, podchodzę do młodej magiczki i klękam, by mieć jej twarz na wysokości wzroku.

– Nie obchodzi mnie, że jesteś królem – wyrzuca z siebie. – Spalę cię żywcem!

– Jak ci na imię? – pytam.

Mruga zaskoczona, zaraz jednak przymyka skośne oczy.

– Jestem Raifa. I zamierzam dożyć dnia, w którym na tym tronie zasiądzie mag.

Dżokôje doskakuje do niej, lecz powstrzymuję generałkę gestem. Podnoszę rozsypany chleb i wkładam go z powrotem do bawełnianego worka Raify.

– Nie musisz kraść – mówię jej. – Rozdajemy świeże jedzenie każdemu.

– Inanie! – syczy matka z błyskiem niepokoju w oczach.

Zza pleców dobiega mnie głośne cmoknięcie Dżokôje. Czuję na karku świdrujące spojrzenia żołnierzy. Tracę poparcie, którego tak bardzo potrzebuję, lecz patrząc na tę dziewczynę, nie umiem zapomnieć o słowie danym Zélie. Nie chcę po prostu być królem.

Chcę być królem, którym nie potrafił być mój ojciec.

Wręczam Raifie jej worek.

– Zanieś to swoim ludziom i przekaz im tę nowinę. Niech wiedzą, że każdy buntownik, który zgłosi się na ochotnika do odbudowy miasta, otrzyma podwójne racje żywności.

Matce krew odpływa z twarzy. Nogi się pod nią chwieją, siada na krześle. Sala rozbrzmiewa gniewnymi pomrukami. Przekazuję Raifę Ojoremu. Tylko do niego mam zaufanie.

– Dopilnuj, żeby cała wróciła do lasu.

Ojore zgrzyta zębami, ale zmusza się do ukłonu. Ludzie z wściekłością patrzą, jak ich admirał wyprowadza buntowniczkę za drzwi.

– Wasza Królewska Mość pluje nam w twarz! – rzuca oskarżycielsko Dżokôje, na co jej żołnierze reagują okrzykami aprobaty. – Te glisty zniszczyły nasz dom. Mordują naszych bliskich...

– Tak samo jak my! – przerywam jej. – Od lat. My atakujemy ich, oni atakują nas. To błędne koło!

Matka tak zbladła, jakby miała zaraz omdleć. Nie rozumie mnie, bo nie widziała tego co ja. Nikt tutaj nie wie, co przeżyłem.

– Gdybyście byli magami i gdyby przywrócono wam wasze moce, co byście zrobili? – zwracam się do zebranych. – Za panowania mojego ojca wymordowano im rodziny. Połowę tych ludzi wzięliśmy w dyby! Do tej pory mieli tylko dwie możliwości: walczyć z nami albo znosić prześladowania. Teraz będą mogli wybrać inną drogę. Pierwszy raz będzie im dana szansa na trwałą pokój.

Szukam w tłumie głosów poparcia, lecz nikt nie przychodzi mi w sukurs. Doradcy mierzą mnie chłodnymi spojrzeniami. Jeśli nawet wojskowi okazywali mi pewną przychylność, to szybko ją utraciłem.

– Możecie się nie zgadzać z moimi metodami, ale to szansa na pokój. – Znowu zwracam się do Dżokôje. – Jeśli chcemy przetrwać, obie strony muszą złożyć broń.

Generałka kręci głową, lecz nie próbuje kwestionować mojej woli. Ojciec cenił ją także za lojalność. Gdybym zdobył jej zaufanie, na pewno też bym ją docenił.

– A co z tymi, którzy do nas nie dołączą? – pyta Dżokôje. – Z tymi, którzy na propozycję Waszej Królewskiej Mości odpowiedzą splunięciem?

– Magowie, którzy dokonają takiego wyboru, ściagną na siebie mój gniew. Przyrzekam, że nie będę miał wobec nich żadnych skrpułów.

ROZDZIAŁ 22



AMARI

Não i Mâzeli prowadzą nas obok wąskich dormitoriów i nieukończonych wież. Na drugiej z trzech gór zaczyna się robić tłok; to dlatego, że wieść o naszym przybyciu rozchodzi się lotem błyskawicy.

– Z drogi! – Mâzeli napawa się poruszeniem, jakie wzbudzamy. – Idzie Wojowniczką Śmierci!

Tytuł Zélie wywołuje szepty wśród tłumu. Ludzie patrzą na nią jak na boginię. Na mnie – jak na robaka.

Nie wiem, czy spoglądają wrogo dlatego, że wiedzą kim jestem, czy dlatego, że mam biały kosmyk. Staram się go ukryć, gdy przechodzimy pod obrośniętym bluszczem łukowatym wejściem do największej z wież drugiego wzgórza.

– Piętra są zajęte przez starszych – tłumaczy Não. – Ale na parterze urządziliśmy stołówkę.

– Niebom niech będą dzięki. – Od zapachu kurczaka w przyprawach i smażonych plantanów zaczyna mi cieknąć ślinka.

Pod ścianą stoi rząd półmisków z dżolofem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam tyle jedzenia. Szybko jednak zapominam o apetycie, bo Não prowadzi nas do stołu, przy którym siedzą starsi. Choć mają na sobie takie same zbroje jak ich podkomendni, pięcioro naczelników klanów emanuje naturalną mocą.

Mâzeli wysuwa się naprzód.

– Dostojna Rado, pozwólcie, że przedstawię wam przyszłość klanu Żniwiarzy. Żywą legendę tej krainy. Przyszłą matkę moich trzech synów...

– Mâzeli, zamknij się! – Não trzepie go w głowę, po czym siada na wolnym stołku. – Dostojni, Wojowniczką Śmierci nareszcie jest wśród nas.

Zélie cała sztywnieje. Wszyscy starsi przerwali swoje rozmowy i kierują wzrok w jej stronę. Zewsząd słychać dwa słowa: Jagunjagun Ikú.

Odchrząkuję, czekając, aż Nào przedstawi również mnie, ale nastaje cisza. Jakby mnie tam w ogóle nie było. Żaden ze starszych nic sobie nie robi z mojej obecności.

– Jagunjagun. – Pierwsza odzywa się dziewczyna z blizną na lewym oku. Jest parę lat starsza od nas, siedzi plecami do ściany, z ręką na kolanie.

Przyglądam się białym kędziorom wokół jasnobrażowej twarzy, piegom na płaskim nosie. Skądś ją znam.

Rebeliantka z wiecu!

Wtedy miała ręce umazane czerwoną farbą i patrzyła na mnie wyzywająco z tłumu. Sądząc po tym, jak inni zerkają w jej stronę, jest ich nieformalną przywódczynią.

– Ramaja – przedstawia się, klękając na jedno kolano. – Starsza klanu Konektorów. To dla mnie zaszczyt poznać wojowniczkę, która przywróciła magię.

– Nie zrobiłam tego w pojedynkę. – Zélie wskazuje na mnie.

Ramaja prześlizguje się po mnie wzrokiem, jakbym była przezroczysta. Zbliża się do Zélie i wyciąga rękę.

– Będziemy szczęśliwi, jeśli zasiądziesz razem z nami w radzie.

– Och, sama nie wiem – odpowiada Zélie. – Chcę tylko wygrać tę wojnę.

– Wygrana to dopiero początek – upiera się Ramaja. – Dzięki twojej mocy możemy zniszczyć Nehandę i jej tytanów. Pozbędziemy się rodu królewskiego i wprowadzimy cię na tron.

– Co takiego? – Zélie obraca głowę i nasze spojrzenia się krzyżują.

Nie wiem, co jej powiedzieć. Głos uwiązł mi w gardle.

– Kto ma nas prowadzić, jeśli nie Wojowniczką Śmierci? – pyta Ramaja.

Robię nieśmiały krok naprzód. Już prawie otwieram usta, gdy do stołówki wpada inna starsza.

– Są wieści z Lagos. – Poskramiaczka siada przy stole.

To krągła dziewczyna o szerokich barkach, w różowo połyskującej zbroi. Wokół słoneczników w jej bujnych lokach fruują kolibry. Z dzioba żółtego ptaszka, który siedzi jej na ramieniu, Poskramiaczka wyjmuje mały pergamin i wręcza go Ramai.

– To żart? – Na twarzy Konektorki maluje się niedowierzanie. – Książę żyje?

Inan? Pochylam się, by odczytać czarne pismo.

– No wiem. – Poskramiaczka przewraca oczami. – Walka z królewskimi to jak zabijanie karaluchów. – Spogląda w oczy Zélie i kiwa głową, potrząsając białymi lokami. – Na’ima – przedstawia się. – Ukłoniłabym się, ale ja się nikomu nie kłaniam.

– To bez sensu. – Ramaja kręci głową. – Po co król miałby oferować żywność i złoto magom, którzy zdezerterują?

Zélie wyciąga rękę po pergamin, ale jestem od niej szybsza. Ramai nie podoba się, że biorę doniesienie, lecz nawet jej złość nie jest w stanie przyćmić blasku dekretu Inana. Z dłonią przyciśniętą do serca czytam jego obietnice, śmiałą wizję pokoju. Żaden monarcha przed nim nie posunął się tak daleko.

Wiedziałam, że mój brat może być właśnie takim królem.

– Zélie, spójrz. – Z gulą w gardle wpycham jej pergamin do ręki. – Dotrzymał słowa!

W pośpiechu rozważam możliwe konsekwencje dekretu. Sądziłam, że muszę usunąć matkę z tronu Oriszy, że tylko w ten sposób uda się zbudować królestwo, w którym magowie będą się czuli bezpieczni. Ale skoro Inan jest gotów udzielić amnestii wszystkim rebeliantom, może wcale nie trzeba sięgać po broń.

Gdyby udało mi się z nim porozmawiać, moglibyśmy dojść do porozumienia zadowalającego obie strony. Zażegnać krwawy konflikt między magami a monarchią.

– Ty znasz nowego króla – zwraca się do Zélie Ramaja. – Co o tym sądzisz?

Zélie z kamienną twarzą kończy czytać doniesienie, po czym – o zgrozo – rzuca pergamin na ziemię.

– Jeśli mały księżę proponuje magom żywność, to pewnie jest zatruta.

– Zélie, nie! – szepczę.

Jej słowa rozbudzają gniew starszych.

– Umie pięknie mówić – dodaje – ale trzeba być głupcem, żeby uwierzyć w choć jedno jego słowo.

– Co proponujesz? – pyta Na’ima. – Jak odpowiemy?

– Ta żywność to wszystko, co im zostało – stwierdza Zélie. – Trzeba ją spalić, a padną z głodu.

– Nie! – Przepycham się do przodu i opieram ręce na stole. – Nie wolno wam spalić tych zapasów. Nie tylko narazicie w ten sposób mieszkańców Lagos, ale

jeszcze zaostrzycie konflikt, który król próbuje zakończyć!

Po moim wybuchu w całej stołówce robi się cicho. Ramaja patrzy na mnie zdziwiona, jakby nie sądziła, że potrafię mówić.

– Przepraszam. – Odchrząkam. – Nie przedstawiłam się.

– Och, ja wiem, kim ty jesteś. – Lodowaty chłód jej głosu przenika mnie do kości. – To przez twoją matkę straciliśmy Lagos. To przez twojego ojca mam tę bliznę. – Wstaje z miejsca, inni schodzą jej z drogi. – Nie wiem tylko, dlaczego masz czelność w ogóle oddychać w mojej obecności.

Robi mi się gorąco. Wszystkie oczy są teraz skierowane na mnie. Nie ma w tych spojrzeniach żadnej serdeczności. Tylko jeden Mâzeli współczująco unosi brwi.

– Pomogłam przywrócić magię – oznajmiam, wypinając pierś do przodu. – I sama też ją posiadam.

– To przekleństwo, które nazywasz magią, nie daje ci prawa do miejsca przy tym stole. Ani do wygłaszania swoich opinii. – Ramaja taksuje mnie wzrokiem, a następnie zwraca się do Zélie: – Nie mogę się doczekać posiedzenia rady z twoim udziałem. Zgłosimy nową pretendentkę i jutro oficjalnie zostaniesz wyniesiona.

– A co z dekretem króla? – pyta Não.

– Jestem tego samego zdania co Zélie. Prześlijcie rozkazy naszym żołnierzom na froncie. Do jutra zapasy żywności mają spłonąć.

– Ramaja, poczekaj. – Próbuję ją chwycić za ramię, lecz osadza mnie spojrzeniem.

– Jeszcze raz się odezwiesz przy moim stole, a wyrwę ci język gołymi rękami.

Wzdycham drżąco. Konektorka odchodzi, a pozostali starsi natychmiast ruszają za nią. Wargi mi się trzęsą od niewykrzyczanych słów. Nie mogę uwierzyć w to, jak łatwo przyszło im odrzucenie pokojowej propozycji Inana.

– Co ty wyprawiasz? – Patrzę na Zélie. – Mogłaś ich przekonać, żeby dali szansę pokojowi!

Zélie kręci głową.

– To nie była propozycja pokoju, tylko przynęta. Inan używa jedzenia, tak jak wcześniej posłużył się Babą. Zabije każdego maga, który się do niego zgłosi.

Już otwieram usta, by zaprzeczyć, lecz dociera do mnie, że nic jej nie przekona. Po tym, co się między nimi wydarzyło, Zélie nie da mojemu bratu drugiej szansy.

– Po prostu trzymajmy się planu – mówi. – Z pomocą rebeliantów możemy obalić twoją rodzinę. Starsi cię polubią, muszą tylko najpierw nabrać do ciebie zaufania.

– Nigdy mi nie zaufają. – Patrzę tępo w stół, na którym siedziała Ramaja. Wciąż czuję żar jej pogardy, nienawiści do mnie za to, kim jestem. – Ale może nabiorą do mnie szacunku... – Urywam i przenoszę wzrok na bliznę na mojej ręce.

– Co ci przyszło do głowy? – pyta Zélie.

– Musisz mi pomóc z moją magią...

ROZDZIAŁ 23



INAN

Z duszą na ramieniu przemierzam z matką dzielnicę kupiecką, by powitać rebeliantów, którzy odpowiedzieli na mój apel. Od czasu ostatniego ataku nasze wojsko nie próżnowało. W parę dni uprzątnięto z targu wszystkie ciała.

Przekraczamy hałdy gruzu; zepchnięto go na skraj ulicy, aby umożliwić przejazd wozom z dostawami nowej żywności. Stoiska otwarto o świcie, lecz kolejka oczekujących nadal sięga domów ibawickich.

– Inanie, jesteś pewien? – Matka chwyta cugle mojego śnieżnego lampartusa i przyciąga mnie do siebie. Za nami żołnierze spędzają mieszkańców do podziemnych bunkrów stworzonych przez matkę i jej tytánów. – Dżokôje miała rację. Niepotrzebnie wdałeś się w rozmowę z tą glistą. Świetnie sobie radzisz w nowej roli, ale masz prawo zmienić zdanie.

Wyraża na głos myśli, które przez całą noc tłukły mi się po głowie. Nie mam pojęcia, czy mój plan zadziała. Ani czy na pewno będzie najlepszy dla Oriszy.

Mijamy pozostałości po ibawickich slumsach. Sam już nie wiem, czy widok ruin pcha mnie do przodu, czy każe zawrócić. Tamte kolorowe budy na obrzeżach mojego miasta miały w sobie coś pięknego. Teraz to jedno wielkie pogorzelisko.

Zatrzymuję się przed wzgórzem, na którym dawniej stało pięćdziesiąt szałasów; dziś z piachu sterczą jedynie płyty malowanej blachy.

– Czy to robota rebeliantów?

– Nie. – Matka potrząsa głową. – Moja.

W jej bursztynowym spojrzeniu dostrzegam jakąś nieznaną dzikość. Do tej pory każda próba użycia magii kończyła się dla mnie utratą przytomności; za to matka posiadała, zdaje się, moc bogów.

– Dopóki glisty nas nie zaatakowały, nie zdawałam sobie sprawy, że jestem inna niż reszta. Nowi tytani robili sobie magią krzywdę, ale ja potrafiłam chłonać ich moc. Zyskałam siłę, z jaką nie może się równać żaden mag. – Matka mówi coraz głośniejsz,

z coraz większym przekonaniem. – Długo byliśmy bezbronni wobec spustoszenia, jakie sięją magowie, ale teraz i my doczekaliśmy się błogosławieństwa bogów. Jesteśmy potężni, Inanie. Możemy ich zniszczyć. Jediną szansą na trwały pokój jest oczyszczenie kraju z glist.

Czuję, jak krew odpływa mi z palców. Oczyszczenie Oriszy z magów byłoby dokończeniem tego, co zaczął ojciec. Oznaczałoby kolejną Oblawę.

Gdy dojeżdżamy do usypanych z gruzu szańców oddzielających Lagos od lasu, czuję się tak, jakby ciężar świata spoczywał na moich barkach. Nie mam już więcej czasu. Muszę dokonać wyboru.

– Mogę zrobić wyrwę w tym wale – oznajmia matka. – Ale nie będę w stanie go naprawić. Na pewno chcesz zaryzykować nasze jedyne zabezpieczenie dla paru zbuntowanych glist?

Generałka Dżokôje i reszta doradców obserwują nas z daleka, lecz ich dezaprobata wisi w powietrzu jak dym. Jeśli się pomyliłem, może nas to słono kosztować. Ale jeśli mam rację...

Zapadnięte piwne oczy Raify znów przebijają się do mojej wyobraźni. Młoda Ogniarka co prawda splunęła mi w twarz, lecz tak jak wielu innych poddanych miała obwisłą skórę i sterczące kości.

– Musimy spróbować. – Wzdycham głęboko. – Muszę spróbować.

To moja szansa, by zapewnić pokój, którego nie udało się wprowadzić mojemu ojcu.

Matka zaciska usta, w końcu jednak kiwa głową i zsiada z wierzchacza. Na jej znak tytani stają kręgiem naokoło, groźni w swoich złotych zbrojach.

Dżokôje kręci głową, gdy dołączam do niej i do pozostałych członków królewskiej rady.

– Wasza Królewska Mość, to błąd.

– Znam twoje zdanie, generałko, ale magowie potrzebują pokoju tak samo jak my.

– Oni nie dbają o pokój – mamrocze Ojore, dotykając śladów po oparzeniach na szyi.

Podnoszę wzrok ku niebu. *Błagam*, ślę modlitwę do bogów, kimkolwiek są. *Pokażcie, że mam rację. Że to oni się mylą.*

Gdy matka uwalnia swoją moc, wszystkie rozmowy cichną. Powietrze zaczyna wirować. Królowa otwiera dłonie, w jej piersi płonie szmaragdowe światło. Wokół złotej zbroi trzaskają zielone błyskawice, na szyi matki pęcznieją żyły. Wyciąga palce i krąg tytanów całkiem nieruchomieje.

– Nieba! – przeklinam, bo widok jest zatrważający.

Tytani dostają drgawek, stękają i jęczą, gdy matka wyciąga z nich aszê.

Jeden po drugim upadają na kolana, podczas gdy oczy matki świecą się zielono. Z głuchym warknięciem wyrzuca ręce przed siebie i szmaragdowe światło przecina zwały gruzu jak nóż.

Zasłaniamy wzrok od jasnej eksplozji, która rozrzuca w powietrzu kawałki metalu i cegieł. Po chwili dym zaczyna się rozwiewać – i serce podskakuje mi do gardła. Na szczycie najwyższego wzgórza z widokiem na Lagos stoi siódemka rebeliantów.

Zaczynamy.

W ciszy przyglądam się zbuntowanym magom. Mają brud na twarzach i białych włosach. Postrzępione kaftany na nich wiszą. Spojrzenia tych ludzi wydają się mało przyjazne, ale najważniejsze, że przyszli. To pierwszy dobry prognostyk.

Pierwszy znak, że pokój może mieć przyszłość.

– Raifa. – Uniesieniem ręki pozdrawiam stojącą z przodu młodą Ogniarkę.

Robi krok w naszą stronę. Ja robię to samo.

– Cieszę się, że przyszliście.

Matka próbuje mnie zatrzymać, żebym nie wychodził poza mur, lecz ją odpycham. Jeżeli to ma się udać, muszą zobaczyć, że im ufam. Muszą uwierzyć, że nie ma we mnie strachu.

– Bez obaw. – Daję znak pozostałym, aby się zbliżyli. – Nic wam nie grozi. Jesteście chronieni moim rozkazem.

Raifa się nie odzywa. Z daleka słyszę, jak ciężko oddycha. Dopiero po kilku kolejnych krokach wyciąga do mnie rękę. Uśmiecham się i odwzajemniam gest.

Lecz wtedy z opuszek jej palców zaczynają się sypać iskry.

– Chronić króla! – Ostry krzyk matki rozdziera powietrze.

Rozpętuje się chaos. Żołnierze odciągają mnie do tyłu, tytani matki ruszają do ataku, rzucają bomby z majacytem.

Słysząc brzęk tłuczonych kul. Ktoś wciska mi na twarz złotą maskę. Kręci mi się w głowie od trującego gazu, który zasnuwa pole bitwy, tak że niewiele widać.

– Matko!

Piecze mnie blizna. Czekam, aż dym się rozwieje. Gdy zaczyna się przerzedzać, uwalniam się. Patrząc na leżące na ziemi ciała, modlę się, aby to nie byli moi żołnierze.

– Czy wszyscy są cali? – pytam łamiącym się głosem, podchodząc do maga leżącego na poczerwiałej ziemi.

Spalone ciała rebeliantów są nie do poznania. Skóra jeszcze im skwierczy od wiszącego nad zwłokami majacytu.

Paru moich żołnierzy ma siniaki i zadrapania, lecz obyło się bez poważniejszych obrażeń. Matka ociera krew z ust i splota.

– Brudne glisty.

– Przepraszam. – Zataczam się, ledwo stoję na nogach.

Powoli dociera do mnie, co się stało, i cały zaczynam się trząść. Sądziłem, że robię pierwszy krok w stronę pokoju. Postawiłem wszystko na jedną kartę, aby przejść do historii jako król inny niż poprzednicy. A *iyika* od razu nas zaatakowali – nawet nie weszli do miasta.

Ojore miał rację; magowie nie chcą pokoju.

Chcą zwyciężyć za wszelką cenę.

Twój matka łagodnieje; ona widzi moją rozpacz. Wzdycha i chwytą mnie za rękę.

– Chciałeś okazać serce, lecz musisz zdać sobie sprawę, że nie wszyscy mieszkańcy Oriszy na to zasługują.

Zmuszam się do skinienia głową i ściskam w dłoni brązową monetę, żeby opanować drżenie rąk.

– Drugi raz nie popełnię tego błędu.

– Chwila moment.

Podnosimy głowy. Ojore zbliża się do nas, przestępując zwęglone zwłoki.

– Widzę tylko sześć ciał – mówi. – A na wzgórzu stało ich siedmioro.

Podbiegam, a gdy dociera do mnie, kogo brakuje, nerwowy skurcz ściska mi żołądek.

– Gdzie dziewczyna? – wołam. – Gdzie Raifa?

Żołnierze zaczynają jej wypatrywać w lesie, lecz po chwili dostrzegam chudą sylwetkę za wyrwą w szańcu. Na dźwięk swojego imienia obraca się na pięcie. Na twarzy ma złotą maskę.

Wielkie piwne oczy dziewczyny napęniają się strachem. Spogląda ku ścieżce wiodącej na plac targowy. Dopiero wtedy uświadamiam sobie jej prawdziwy cel.

Reszta miała tylko odwrócić naszą uwagę.

– Zatrzymać ją! – rozkazuję.

Raifa zrywa maskę i biegnie ile sił w patykowatych nogach. Białe włosy podskakują jej na plecach, gdy mknie obok dawnych siedzib ibawitów, aż dociera do ruin dzielnicy kupieckiej.

Żołnierze broniący wozów z jedzeniem zastępują jej drogę, lecz Raifa wyciąga przed siebie rękę i strzelając z palców iskrami, woła:

– Iná òrìsà, gbó ipè mi!

Jeden z tytanów przewraca ją na ziemię, ale ogniki zdążyły wzbić się w powietrze. Rosną i jaśnieją w oczach. Po chwili są już wielkimi płomieniami. Podążam za nimi wzrokiem pełnym trwogi.

Pięć ognistych komet mknie w stronę wozów z jedzeniem. Ludzie pierzchają na boki. Gdy komety dosięgają celu, serce we mnie zamiera.

Racje żywnościowe momentalnie stają w ogniu.

– Nie! – Padam na kolana i chwytam się za pierś. Widok płonącej żywności dosłownie pozbawia mnie tchu. Zalewa mnie wściekłość tak silna, jakby nie była moja.

Połowa naszych zapasów.

Zniszczona w kilka sekund.

– To dopiero początek! – krzyczy Raifa, wrywając się żołnierzom, którzy powalili ją na łopatki. Na widok Ojorego zaczyna się trząść, lecz nie przestaje krzyczeć: – Wasz czas dobiega końca! Puścimy z dymem całe Lagos! Wojowniczką Śmierci przyjdzie i...

Gdy Ojore ucisza ją mieczem, wzdrygam się mimo woli.

Wojniczka Śmierci.

Domyślałem się, czyj to tytuł. Zélie przyrzekła, że się ze mną rozprawi. Nie spodziewałem się jednak, że zaatakuje tak szybko. Nie doceniłem sił, którymi

dysponuje.

– Wasza Królewska Mość jest z siebie zadowolony? – Stojąca za mną Dzokôje aż kipi z gniewu. – Nie wiem, co byśmy zrobili bez jego ideałów!

Raifa leży w kałuży krwi, żołnierze próbują ugasić pożar, lecz jedzenia nie da się już uratować. Choć trzęsie mną gniew, serce mam pełne rozpacz.

Udziela mi się furia żołnierzy, żal doradców. Widzę, jak w oddali z podziemnych tuneli wyłaniają się mieszkańcy. Co zrobią, gdy zrozumieją, że skazałem ich na śmierć z głodu albo z rąk buntowników?

– Naprawię to! – krzyczę. – Obiecuję.

Sęk w tym, że nie wiem jak.

ROZDZIAŁ 24



AMARI

Pochylona nad wysoką trawą, z piekącym gardłem wpatruję się w kałużę własnej żółci. Jakimś cudem wyczuwam w niej słodką woń smażonych plantanów. Ten zapach znów przyprawia mnie o mdłości.

Od paru godzin trenujemy z Zélie na pagórkach koło rebelianckiego sanktuarium. Nie rozumiem, co robię nie tak. Choć staram się jak mogę, używanie magii tytanów to dla mnie istna męka. Nie jestem w stanie zapanować nad swoimi mocami.

– Może to jednak zły pomysł. – Zélie odwraca się szybko, widząc, że po raz kolejny zbiera mi się na wymioty. – Jak tak dalej pójdzie, tylko zrobisz sobie krzywdę.

Podnoszę rękę, by wytrzeć żółć z brody, ale nie jest łatwo, gdy dłoń tak bardzo piecze. Zélie spogląda na moje oparzenia, na czerwoną, pokrytą bąblami skórę, i kręci głową.

– Nic mi nie jest – mówię. – Trening czyni mistrza.

– W tym wypadku prędzej trupa. Chyba nie chcesz się zabić?

Kładę się na trawie. Ręce wciąż mi się trzęsą. Po kilku godzinach jałowych ćwiczeń palą mnie płuca, każdy wdech sprawia ból. Ilekroć jednak myślę o tym, żeby się poddać, staje mi przed oczami blizna Ramai.

Jeszcze raz się odezwiesz przy moim stole, a wyrwę ci język gołymi rękami.

Iyika nigdy nie zaczną mnie szanować, jeśli nie pokażę im, że potrafię być groźna. Aby ich sobie zjednać, muszę zapanować nad swoją magią.

Zagryzam wargi i wstaję, lecz Zélie nie pozwala mi znów przywołać swoich mocy.

– To nie jest kwestia treningu. – Wzdycha. – Chodź ze mną. Wy tłumaczę ci.

Podążam za nią w jedną z dolin dżungli. Schylam głowę przed wiszącymi lianami, omijam olbrzymie drzewa. Noc rozbrzmiewa dzwonieniem cykad. W górze pawiany przeskakują z pnącza na pnącze.

Choć wszystko mnie boli, spokój tego miejsca przynosi mi pewną ulgę. Docieramy do rzeki płynącej wzdłuż ścieżki do sanktuarium. Zélie wskazuje na stertę dużych kamieni w rzeczonym korycie.

– Pomyśl o tej wodzie jak o naszej aszê – wyjaśnia. – Duchowej energii, którą mamy we krwi. Gdy mag używa zaklęcia, to tak, jakby podnosił jeden z tych kamieni. Magia płynie wtedy swobodnie, dzięki czemu możemy bezpiecznie czarować.

Podnosi kamień. Patrząc, jak woda zmienia swój bieg, przepływa przez naturalną zaporę. Wyobrażam sobie lawendową magię w żyłach Zélie, wypełniającą jej ciało na podobieństwo świecącej pajęczyny.

– To jak nawlekanie igły?

– Coś w tym rodzaju. – Zélie kiwa głową. – Ta wolno płynąca energia nie jest tak potężna jak twoja, ale za to jest precyzyjna. Można nią więcej działać. – Zélie przez chwilę przygląda się kamieniom, aż jej wzrok zatrzymuje się na największym. – Jako tytanka używasz naturalnie magii krwi. To znaczy, że nie masz precyzji. Nie masz kontroli. – Unosi ciężki kamień, a woda natychmiast przelewa się wartko nowym torem. – To tak, jakbyś uwolniła naraz całą swoją aszê.

Oglądam swoje zaczerwienione ręce i zaczynam rozumieć, dlaczego tak cierpię. Skąd to uczucie, jakby płonął we mnie ogień i przypiekał mnie od wewnątrz, ilekroć próbuję użyć mocy.

– Jeśli porównamy moją magię do igły, to twoja jest młotem – mówi Zélie. – Dopóki nie masz nad nią kontroli, ty i ludzie wokół ciebie będą cierpieć. Uwolnienie zbyt dużej ilości aszê nie tylko zaboli. Po prostu w niej utoniesz.

Znów zagryzam wargi i zastanawiam się nad jej słowami. Jeśli to prawda, co mówi, każdy tytan stanowi zagrożenie dla samego siebie. Ilu już zginęło od własnej magii?

– A moja matka? – pytam. – Żaden inny tytan nie ma takiej mocy jak ona. Dlaczego jej to nie zabiło?

– Nie wiem. – Zélie lekko się otrząsa. – Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Jakby ona... była inna.

Biorę głęboki oddech. Zamiast odbierać słowa Zélie jako krytykę, próbuję znaleźć w nich rozwiązanie mojego problemu.

– Skoro w naturalny sposób używam magii krwi, to brakuje mi jedynie kontroli – stwierdzam. – Możemy temu zaradzić, jeśli nauczysz mnie zaklęcia!

Zélie rozdyma nozdrza i robi krok w tył. Widzę, jak napina ramiona.

– Język joruba jest dla nas świętością. Nie można się go tak po prostu nauczyć.

– Pewne rzeczy są chyba ważniejsze. – Macham ręką. – Na litość niebieską, toczymy wojnę...

– Nasza magia jest ważniejsza niż wojna! – krzyczy Zélie. – Nasze zaklęcia to historia naszego ludu. To je chciał zniszczyć twój ojciec! – Potrząsa głową, pierś jej faluje. – Wystarczy, że tytani skradli nam już magię. Tego nie ukradniecie.

– Ukradniecie? – Przekrzywiam głowę. – Zélie, o czym ty mówisz? Jak inaczej mam się nauczyć kontroli?

– Nie potrzebujesz kontroli – odpowiada. – Wcale nie musisz używać swojej magii.

– Jeżeli nie zapanuję nad własną mocą, to na kim niby miałabym polegać? – Rozkładam ręce. – Wystarczyło pięć minut wśród rebeliantów, żebyś wbiła mi nóż w plecy!

– Nóż w ple... – Zélie sama sobie przerywa prychnięciem. – A więc o to chodzi. Po tym wszystkim, co ci zrobił, nadal jesteś gotowa mu zaufać.

Robi mi się gorąco. Odwracam się i obejmuję ramionami. Nie potrafię jej tego przekonująco wytłumaczyć, ale... znam swojego brata. Nie wierzę, żeby jego propozycja była nieszczerą. Skoro zaproponował ludziom żywność, to znaczy, że naprawdę była szansa zakończyć tę wojnę. A Zélie bez mrugnięcia okiem ją zaprzepaściła.

– Moje plany się nie zmieniły – oznajmia. – Dalej mam nadzieję, że obejmiesz tron. Ale nie zamierzam przeproszać za to, że nie wierzę w kłamstwa twojego brata. Nie dam się znowu nabrać.

Nastaje głucha cisza, od której w dżungli robi się jakby chłodniej. Chcę ufać Zélie, lecz w głębi duszy czuję, że nasze interesy się rozchodzą. Koniec końców Inan jest moim rodzonym bratem. Dla niej to tylko drań, który złamał jej serce.

Nie mogę zostawić tej walki Zélie, tak samo jak nie mogę jej zostawić Ramai. Jeśli mam wygrać wojnę, potrzebuję własnej siły.

– Nie prosiłabym cię o to, gdybym miała wybór. – Wzdycham. – Ale sama widziałaś, do czego jest zdolna moja matka. Nie mogę polegać jedynie na mieczu. Twoją powinnością jest walka w obronie magów, ale jako królowa czuję się

odpowiedzialna za wszystkich. Muszę myśleć o kosidanach, którzy uciekają w strachu. O tytanach, z których matka wysysa życie. Nawet o magach, którzy mnie nienawidzą. Jak mam im wszystkim pomóc, jeśli nie będę miała własnej mocy?

– Nie, Amari. – Zélie robi krok do przodu. Jej głos brzmi teraz łagodniej. – To nie tak, że cały ten ciężar spoczywa na tobie. Nikt od ciebie nie oczekuje, że zbawisz Oriszę.

– Kto, jeśli nie ja? – pytam. – Sama przyznałaś, że nie wierzysz, by Inan dotrzymał słowa. – Pocieram zmęczone oczy. Myślę o wszystkich ludzkich istnieniach przerwanych z mojej winy. O wszystkich ludziach, którzy zginęli, bo nie objęłam tronu Oriszy. – Tylko ja walczę za wszystkich. Bez magii nie dam rady. Jeśli nie chcesz mi pomóc... twój wybór. Znajdę kogoś, kto się zgodzi.

Chcę odejść, lecz Zélie chwyta mnie za ramię. Robię okrągłe oczy. Zélie wzdycha i wzrusza ramionami.

– Pomożesz mi? – pytam.

– Pod jednym warunkiem. Nauczę cię zaklęcia, jeśli obiecasz, że będziesz go używać przeciwko tytanom. Nie przeciwko magom.

Kiwam głową, świadoma wagi jej słów.

– Obiecuję. Będę go używać tylko przeciw matce i jej żołnierzom.

Zélie jeszcze chwilę się ociąga, lecz w końcu staje przede mną i unosi ramiona.

– Dobra. – Układa mi ręce. – Nogi prosto i powtarzaj za mną.

ROZDZIAŁ 25



ZÉLIE

Rano oczy same mi się zamykają. Amari uparła się, żeby trenować przez całą noc. Do sanktuarium wróciliśmy o świcie. Teraz dwie Żniwiarki przygotowują mnie do ceremonii wyniesienia, podczas gdy ja walczę ze sobą, by nie uciec z tej bezpiecznej kryjówki. Chciałam tylko znaleźć sposób na wygranie wojny.

Nie jestem gotowa do roli starszej klanu.

– Weź czystą wodę – mówi Bimpe, starsza z dwójki.

Młode Żniwiarki krzątają się wokół mnie w źle dopasowanych szatach sêntaro. Bimpe jest tak wysoka, że tkanina ledwo sięga jej do kolan. Jaśniejsze plamy wokół oczu i ust pięknie się komponują z brązową skórą dziewczyny.

Z kolei trzynastoletnia Mári wręcz tonie w grubej czarnej szacie. Uśmiechając się do mnie, odsłania uroczą szparę między przednimi zębami.

Dzięki ich towarzystwu surowe wnętrze Świątyni Żniwiarzy wydaje się cieplejsze. Malowane kafle nad naszymi głowami układają się w fioletowo-czerwoną mozaikę z wizerunkami starszych klanu Żniwiarzy sprzed lat. Z wiszących pod sklepieniami lamp w kształcie łez sączy się lawendowe światło. Przyglądam się tym lampom, podczas gdy Bimpe szoruje mnie od stóp do głów, a potem naciera cytrynowymi olejkami.

– Wiesz już, kto będzie twoim Drugim? – szepcze Mári, ignorując karcące spojrzenie Bimpe. – Bo jeśli nie...

Bimpe daje jej po głowie.

– Jagunjagun, nie zwracaj na nią uwagi – mówi. – Ona wie, że przed podniesieniem nie wolno ci przeszkadzać.

Mári wystawia język, a ja muszę tłumić śmiech. Gdy Bimpe na chwilę odchodzi po grzebień, Mári się nachyla.

– Potrafię przywołać czterech ożywieńców.

– Czterech? – Unoszę brwi. – No, no.

– Będzie jeszcze więcej, jeśli mnie nauczysz – szepcze. – I może nawet przerosną ożywieńców Mâzelego! – Milknie jak nożem uciął na widok wracającej Bimpe, lecz wymieniamy porozumiewawcze uśmiechy.

Nic nie mówię, gdy Bimpe rozczesuje mi włosy żelaznym grzebykiem. Mári tymczasem wsuwa mi na palce ciężkie złote pierścienie. Na koniec dziewczyny pomagają mi się wcisnąć w zwiewną czerwoną spódnicę z długim trenem, który ciągnie się po kamiennej podłodze. Bimpe dobiera do niej pasujący odcieniem kawałek czerwonego jedwabiu.

– Prawie gotowe – mówi.

Staram się nie myśleć o odsłoniętych bliznach, gdy Bimpe i Mári drapują na mnie tkaninę. Szpetne szramy na plecach ukrywają pod grubą kokardą.

– Te znaki... – szepcze Mári z ręką zawieszoną przy złotych tatuażach, które zaczynają się nad moim obojczykiem. – Mamy je zakryć?

– Nie całkiem – odpowiada Bimpe. – One są częścią niej.

Pochylam głowę, a Bimpe zdejmuje tradycyjny kołnierz i zapina mi na szyi złotą obręcz. Sznury lśniących koralików spływają aż do skórzanych sandałów. Wyglądam teraz jak Mama.

Jak żywe wcielenie Oi.

– Już.

Bimpe kłania się, a Mári powtarza jej gest.

– Wyglądasz niesamowicie! – Jej brązowe oczy aż się zaświeciły. – Dużo ładniej niż Mâzeli!

– Dziękuję. – Uśmiecham się, a one znów posyłają mi ukłon.

Kiedy jednak wychodzą za drzwi, robi mi się duszno z nerwów.

Choć Świątynia Żniwiarzy stoi na szczycie trzeciej góry, słyszę gwar rozmów, które toczą między sobą magowie czekający u jej podnóża. Nie wiem, jak mam chronić cały klan, skoro nie potrafiłam ochronić Baby. Nawet siebie nie umiem ochronić.

Gdy siadam, przepływają mi przed oczami statki, które widziałam z kryjówki Roëna. Wiem, że bycie starszą pomoże mi pokonać Inana, jednak z każdym upływającym dniem utęskniona wolność wydaje się coraz bardziej odległa.

– O rany.

Odwracam się. Stojący w progu Tzain cicho gwizdże. Na twarzy ma lekko osłupiały uśmiech.

– Wyglądasz, jakbyś brała ślub.

– Można tak powiedzieć. – Zanurzam się w jego ramionach. – Tylko że zamiast związać swoje życie z jedną osobą wiążę się z całym klanem.

– Och, daj spokój. Przed Obławą w kółko mówiłaś o tym, że kiedyś dołączysz do innych Żniwiarzy.

– Byłam dzieckiem. A teraz... – Milknę i zamykam oczy, bo nie wiem, co powiedzieć.

– Za dużo się wydarzyło? – pyta mnie Tzain.

– Za dużo nam odebrano.

Zapada milczenie. Znów siadam. Myślę o wszystkim, co utraciliśmy. O wszystkim i o wszystkich. Dawniej dzięki magii czułam, że żyję; teraz nie potrafię jej używać bez myśli o ludziach, którzy zginęli.

Wiem, że nie mam wyboru, nie pokonam Inana bez pomocy rebeliantów. Ale czy naprawdę muszę zostać starszą? Wziąć na siebie tę uświęconą rolę?

Coś się we mnie buntuje.

– Boisz się. – Tzain klęka przede mną. – Ale nikt nie nadaje się do tej misji bardziej niż ty. Mów, co chcesz, ale dobrze pamiętam, jak ci się zaświeciły oczy, kiedy razem z Mamą patrzyłaś na podnoszenie Żniwiarki do rangi starszej.

Tamto wspomnienie wraca do mnie z wielką siłą. Widzę piękną ciemną skórę Mamy; koronę jej gęstych białych włosów.

Na ostatnią uroczystość podniesienia starszego Żniwiarzy udałyśmy się aż do Lokodzy. Gdy rytuał się zaczynał, Mama ścisnęła mnie za rękę. Jej dłonie zawsze pachniały olejem z kokosa.

Pamiętam, jak z zapartym tchem patrzyłam na fioletowe światło, znak obecności Oi, a potem na czarny dym, który zasnuł miejsce ceremonii, całkiem przesłaniając starszego.

Co się dzieje? – spytałam szeptem.

To isípáyá. Każdy starszy klanu w chwili wyniesienia otrzymuje część boskiej mądrości. Proroctwo ma mu pomóc w byciu dobrym przywódcą.

Ja też chcę mieć isípáyá! – odparłam, na co Mama się roześmiała.

I ja. Uścisnęła mnie mocno. Kiedyś może nam się uda.

Wtedy jeszcze nie rozumiałam, co to znaczy być starszym. Wiedziałam tylko, że muszę mieć wszystko to, czego pragnie Mama.

– Dasz radę. – Tzain pomaga mi wstać. – Jestem pewien. Musisz tylko sama to sobie udowodnić.

Kiwam głową i wzdychając, spoglądam ku drzwiom.

– Dobrze – mówię. – Chodźmy.

Gdy Mama Agba wkracza w kamienny krąg u podnóża trzeciej góry, tłum magów cichnie. Dookoła zebrało się prawie osiemdziesięciu członków *iyika*, jak również wielu ibawitów. Mama Agba w wysokim srebrnym zawoju i wzorzystej pelerynie, z białą farbą podkreślającą kości policzkowe oraz brwi, wygląda jak bogini. Lśniący jedwab sunie za nią na środek kręgu.

– Dziś bogowie się uśmiechają – zaczyna przemawiać. – Wasi przodkowie też się uśmiechają. Zawsze gdy nowy starszy obejmuje przywództwo klanu, tchniemy życie w to, co nasi wrogowie usiłowali zniszczyć!

Wtórują jej entuzjastyczne okrzyki. Biorę głęboki wdech. Chciałabym, żeby Baba to zobaczył. Pierwszy raz czuję, że jego śmierć nie poszła na marne.

– Przed Obławą rola starszego była zarezerwowana dla najpotężniejszego maga danego klanu – przypomina Mama Agba. – Jeśli ktoś uważał, że tytuł należy się jemu, miał prawo się domagać, aby pozwolono mu tego dowieść. Urzędujący starszy mógł też sam dostrzec nowego lidera i przed nim ustąpić. Z tego, co mi powiedziano, właśnie z taką sytuacją mamy teraz do czynienia. – Mama Agba klaszcze w dłonie i zwraca się do trzech Żniwiarzy stojących z boku.

Choć w sanktuarium nasz klan jest najmniejszy ze wszystkich, na widok tylu Żniwiarzy w jednym miejscu wzruszenie ścisła mi gardło. Jeszcze parę miesięcy temu w Oriszy nie było ani jednego.

– Mâzeli Adesanja, starszy klanu Żniwiarzy. Pojawiła się pretendentka. Ustępujesz przed nią czy przyjmujesz wyzwanie?

Mâzeli nadyma pierś i wkracza na posadzkę z czarnych kamieni. Ma na sobie spływającą z ramion ciemną szatę z charakterystycznymi dla Żniwiarzy fioletowymi akcentami.

– Z radością ustępuję – oznajmia, po czym posyła mi ukłon. – Kto inny miałby stać na czele Żniwiarzy, jeśli nie Wojowniczką Śmierci?

Na dźwięk tych słów wybucha ogólny entuzjazm. Wiwaty powinny mi dodawać otuchy, tymczasem na skronie występują mi krople potu. Wstając, mam poczucie, że dźwigam ciężar całego świata. Każdy krok po kamieniach krwawnika wydaje się wiecznością.

Myślę o swojej fantazji, by odpłynąć do innego kraju. Blizny mnie pieką. Lecz gdy stoję pośrodku kręgu twarzą w twarz z Mamą Agbą, nie mogę dłużej udawać przed sobą, że tego nie pragnę.

– Zélie Adebola – zwraca się do mnie Mama Agba wzruszonym głosem, gdy przed nią klękam. Mahoniowe oczy lśnią jej od łez.

Sama muszę wbić paznokcie w dłoń, żeby powstrzymać się od płaczu.

– Śé o gba àwọn ènìyàn wònyí gégé bí ara rẹ? Śé ìwọ yòò lo gbogbo agbára rẹ láti dábòbò wón ni gbogbo ònà?

Czy bierzesz tych ludzi pod swoją opiekę?

Czy przyrzekasz zawsze chronić ich swoją mocą?

Ciężar tych pytań uciska mi serce. Patrzę na Żniwiarzy zebranych wokół Mâzelego. Bimpe przygląda się wszystkiemu z palcami na ustach. Mári gorączkowo wymachuje ręką, jakby odporna na powagę tej chwili. Choć znam je od paru godzin, już myślę o nich jak o rodzinie. Dawno przy nikim nie czułam się tak dobrze. Prawie jak w domu.

– Jaka jest twoja odpowiedź? – pyta Mama Agba.

Prostuję ramiona i kiwam głową. Pierwszy raz od czasu Obławy widzę nasz potencjał. Piękno, jakie kryje nasza przeszłość.

– Mo gbà. Mà á se é. – Słowa przysięgi wymawiam ze ściśniętym gardłem. – Będę chronić tych Żniwiarzy ze wszystkich sił.

Mama Agba ociera samotną łzę, a potem zanurza kciuk w pojemniku z błyszczącym fioletowym barwnikiem. Kreśli mi na czole półksiężyc, a potem jeszcze długą linię wzdłuż szczęki. Wreszcie kończy błogosławieństwo zawiłym wzorem nad lewym okiem. Wszystko odbywa się w zupełnej ciszy. Stoję nieruchomo i patrzę, jak Mama Agba składa u moich stóp dary w postaci cynamonu i słodkiej trawy.

– Wiem, że rodzice są z ciebie dumni. – Całuje mnie w czoło. – Tak samo jak ja.

Uśmiecham się. Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby tu byli. Mama zostałaby najmłodszą starszą Żniwiarzy w dziejach. A tak ten zaszczyt przypadł mnie.

– Podaj mi rękę, dziecko.

Wyciągam dłoń przed siebie, a Mama Agba sięga po czarny sztylet.

– Niech twoja przysięga zapisze się krwią – mówi. – Wobec twojego ludu. Wobec twoich bogów! – Nacina mi dłoń po wewnętrznej stronie i przyciska ją do centralnego punktu kręgu.

Kamień się rozświecła. Magia ogrzewa powietrze. Z mojego wnętrza wypływa coś więcej niż krew.

W tłumie rozlegają się stłumione okrzyki, gdy moja ręka łączy się z kamienną posadzką. Fioletowe światło rozsnuwa się jak nitki ogromnej pajęczyny. Wokół mojej głowy trzaskają ogniki. Czuję, że nabrzmiewają mi żyły.

Potem światło pod spodem błyska i eksploduje kłębami fioletowego dymu, tak gęstego, że nawet Mama Agba znika mi z oczu. Dym zagłusza też wszystkie dźwięki.

Mam ciemno przed oczami. Góra w jednej chwili przestała istnieć. Słyszę tylko szmer tatuaży na szyi.

Wreszcie w mroku pojawia się jasna postać Oi.

Bogowie...

Jej moc za każdym razem zapiera mi dech – teraz też ledwie oddycham. Oja wiruje przede mną, jej spódnice kręcą się niczym czerwone tornado. Obsydianowa skóra emanuje fioletową poświatą. Kropelka aszê odrywa się od jej dłoni i spadając przez ciemność, jaśnieje coraz mocniej.

Odruchowo napinam wszystkie mięśnie, przygotowując się na jej dar, świętą mądrość, którą może dać tylko *isípayá*. To właśnie olśnieniu jednego z Poskramiaczy zawdzięczamy nasze potężne wierzchacze. *Isípayá* Żniwiarza dała początek pierwszym ożywieńcom. Teraz czekam z otwartymi rękoma na własne objawienie, a głód wiedzy, który mnie przepelnia, w niczym się nie różni od tego, który czułam jako dziecko.

Kropla aszê ląduje w moich dłoniach, oczy jaśnieją mi fioletowym blaskiem. Skórę mam coraz gorętszą. Zaczyna się *isípayá*.

Najpierw z piersi wystrzela mi cienka wstęga fioletowego światła. Potem z mroku wyłania się złota, do której po chwili dołączają kolejne – w pomarańczowych

i szmaragdowych odcieniach. Przeplatają się niczym korzenie drzew mamucich, a narastaniu ich mocy towarzyszy jakby ryk lworożca.

Z głową pełną pytań wyciągam rękę przed siebie, ku wirującej tęczy. Ledwie jednak dosięgam jej palcami, wstęgi gorącego światła znikają.

Wracam do terażniejszości.

– Uch! – Padam z jękiem na kolana. Podnoszę drżącą dłoń, lecz nie ma na niej ani śladu nacięcia.

Gdy dym się rozwiewa, Mama Agba podaje mi rękę. Z jej ciemnych oczu bije duma. Pomaga mi wstać.

Kiedy obraca mnie przodem do tłumu, wciąż mam pod powiekami tęczę objawienia. Dusza we mnie śpiewa, gdy Mama Agba unosi moją rękę, a wszyscy zgromadzeni zaczynają głośno wiwatować.

ROZDZIAŁ 26



INAN

O zachodzie słońca podejmuję decyzję. Wiem już, jak odpowiemy na atak rebeliantów i zniszczenie naszych zapasów. Teraz stanowimy łatwy cel, ale jeżeli uda nam się odkryć ich obóz, będziemy mogli przejść do kontrofensywy.

Jeśli nie uwolnię Lagos od zagrożenia, nigdy nie wygramy tej wojny. Wróg sforsuje nasze dziurawe umocnienia albo zwyczajnie poczeka, aż umrzemy z głodu.

Muszę działać, dopóki nie jest za późno.

Czekam, aż zapadnie noc. Aż zgasną świece przy drzwiach do ojcowskiej komnaty. Wreszcie w pałacu robi się cicho. Na zadymionym niebie świeci już półksiężyc.

Wychodzę z łóżka i przebieram się z haftowanej szaty w obdarty kaftan. Spod poduszki wyjmuję ukradziony pojemnik z czarną farbą i używam jej do zamaskowania białego kosmyka we włosach.

Oby to wystarczyło. Obracam się przed zwierciadłem ojca, oglądając swoje odbicie. Ostatni raz taki ubogi strój miałem na sobie w obozie ibawitów, jeszcze z siostrą i z Zélie. Teraz wydaje mi się to zamierzchłą przeszłością. Byłem tylko księciem. A Zélie nie była Wojowniczką Śmierci.

To dopiero początek! Złowieszcze słowa Raify wdzierają mi się do głowy. *Puścimy z dymem całe Lagos!*

Jeśli nie znajdę sposobu na powstrzymanie rebelii, upadek Oriszy będzie moją winą.

Uchylam okno i spoglądam w dół. Komnata ojca znajduje się na piątym piętrze, ale po drodze jest kilka balkonów. Jeśli dobrze wymierzę...

– Mam nadzieję, że wymykasz się na spotkanie z dziewczyną.

Omial nie spadam z wrażenia. W progu komnaty stoi Ojore i uśmiecha się do mnie chytrze znad skrzyżowanych ramion.

– Jeśli tak, to udam, że nie widzę – dodaje. – Odrobina rozrywki dobrze ci zrobi.

– W takim razie zgadłeś – odpowiadam i jeszcze raz wyglądam przez okno. – I niczego nie widziałeś.

– Och, zdradź mi coś więcej. – Ojore zamyka za sobą drzwi. – Ryzykujesz życie. Powiedz przynajmniej, jak ma na imię.

Choć wiem, że mówi to żartem, natychmiast staje mi przed oczami twarz Zélie. Myślę o jej gęstych białych włosach. O srebrnych oczach i ciemnej skórze.

Przez chwilę znów jestem z nią sam na sam we śnie, pod wodospadem, całkiem nieświadomy tego, co się wydarzy. Zaraz jednak przypominam sobie bolesny uścisk czarnych pnączy, którymi prawie mnie udusiła.

– To z mojego powodu stało się dzisiaj to, co się stało. – Wzdycham. – Z powodu mnie i tej dziewczyny. Jeśli to ona stoi teraz na czele rebelii, to kolejny atak na Lagos jest tylko kwestią czasu.

– W takim razie co zamierzasz? – Ojore znów krzyżuje ramiona. – Udobruchać ją gorącym pocałunkiem?

– Rebelianci są w lesie. Jeśli ich odnajdę, będziemy mogli przypuścić atak. Naprawdę uważam, że magia matki wystarczy nam do zwycięstwa.

Próbuję wskoczyć na parapet, lecz Ojore chwyta mnie za ramię.

– Nie możesz iść sam.

Kręcę głową.

– Po tym, co się stało, nie mogę nikogo więcej narażać na śmierć. Rebelianci odnieśli wczoraj duży sukces, ale i ponieśli stratę. Ilukolwiek by ich tam było, jest szansa, by ich znaleźć i zaskoczyć. Druga taka prędko się nie nadarzy.

Ojore przygląda mi się przez chwilę, wreszcie głośno wzdycha. Potem zdejmuje mosiężny pancerz i kładzie go przy mojej puszcze z czarną farbą. Marszczę brwi.

– Co robisz? – pytam.

– A jak myślisz? – Podnosi z podłogi moje stare spodnie. – Przecież powiedziałem: nie możesz iść sam.

Ruszamy pod osłoną mroku. Udaje nam się przekraść obok strażników rozsianych po całym pałacu. Obok żołnierzy pełniących wartę przed komnatą matki.

Wreszcie docieramy na plac targowy. Przedostanie się poza zniszczone wały zajmuje nam całą godzinę. Dopiero w otaczającym stolicę spalonym lesie, z dala od

oczu wojskowych, przyspieszamy kroku.

– Musimy ich tylko znaleźć – powtarzam swój plan. – Resztą zajmie się matka.

Przyglądam się własnym dłoniom. Czy moja moc kiedykolwiek dorówna jej mocy? Z ciekawości przywołuję swoją magię; ledwo jednak z moich palców wystrzelają nikłe smużki sinawego dymu, skóra zaczyna mnie piec, a głowa pęka z bólu. Chwytam się odruchowo za skronie.

Ojore przygląda mi się badawczo.

– Nadal boli?

Potakuję. Im dłużej to trwa, tym bardziej się martwię, że tak będzie już zawsze. Przed rytuałem potrafiłem oszalać przeciwników. Teraz tylko sam się oszalamiam.

– Nigdy nie było łatwo – mówię. – Ale wcześniej, gdy potrzebowałem magii, mogłem z niej skorzystać. Trochę się nawet do niej przyzwyczałem. Była jakby częścią mnie.

Ojore marszczy nos. Zastanawiam się, czy nie powiedziałem o jedno słowo za dużo. Nie mam jednak czasu się poprawić, bo dobiega nas szelest.

Serce podskakuje mi do gardła. Sięgam po miecz, spodziewając się ataku magów. Okazuje się jednak, że to tylko samotny hienotr. Cętkowana bestia przemyka wśród zarośli. Ogarnia mnie przemożna ulga, aż prawie uginają się pode mną kolana.

– Nieba – mówię z ręką na sercu, jakby dało się w ten sposób je uspokoić. Oglądam się na Ojorego, który wciąż stoi nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w dal. – Wszystko w porządku? – pytam.

Jego luźno zwieszona ręka drży. Dopiero po chwili Ojore otrząsa się z tego dziwnego stanu – po czym odwraca się do mnie plecami.

Czuję z daleka płomień jego wstydu.

– Potrzebujesz chwili dla siebie?

– Nic mi nie jest.

Rusza naprzód, lecz chwytam go za ramię. Stoimy tak w milczeniu przez długą chwilę. Dziwne, nigdy nie widziałem, żeby się tak zachowywał.

Ojore, którego znam, zawsze pierwszy rusza do boju.

Nie wie, co to strach.

– Dlaczego pod Lagos muszą być akurat Ogniarze? – odzywa się, zamykając oczy. – Rebelianci na pewno mają w swoich szeregach Żniwiarzy. Kancerów. Mogli zaatakować inaczej. Bez ognia.

Z grymasem bólu dotyka oparzeń na szyi. Patrząc na Ojorego, zastanawiam się, czy to był element planu Zélie. Kilka miesięcy temu to ja sprowadziłem ogień na jej wioskę. Spaliłem jej ludzi. Zniszczyłem jej dom.

Może chciała mi odpłacić pięknym za nadobne?

– Jeśli nie chcesz...

Ojore ucisza mnie gestem.

– Dość już przez nich wycierpieliśmy. Czas posłać te glisty tam, gdzie ich miejsce, czyli do piachu.

Wyraz nienawiści nie pasuje do jego twarzy, na której zwykle gości szelmowski uśmiech. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, lecz Ojore, nie czekając, rusza w dalszą drogę. Pozostaje mi tylko pójść za nim.

Mija kolejna godzina. Oddaliśmy się coraz bardziej od Lagos. Gdy wreszcie dobiega nas gwar, mam wrażenie, że jesteśmy w połowie drogi do Ilorinu. Na dźwięk głosów stajemy jak wryci. Przykucam za drzewem, wypatrując obozu rebeliantów.

– Tam jest – szepczę, pochylając się do przodu, by lepiej widzieć.

Kilkadziesiąt metrów od nas rebelianci pieką hienotra nad ogniskiem. Ich broje mienią się czerwono, gdy podają sobie drewniane talerze.

Sądząc po sile ataków na Lagos, spodziewałem się dziesiątek magów, ale przy ogniu siedzi tylko dziewięcioro. Patrząc na twarze ludzi, którzy podpaliли moje miasto, i narasta we mnie ten sam gniew, który czułem, gdy Raifa zniszczyła nasze zapasy żywności.

– Gdzie reszta? – pyta szeptem Ojore. – Słyszałem, że kiedy magia wróciła i zaatakowali Lagos, było ich dużo więcej.

– Może reszta jest im potrzebna gdzie indziej. Uznali, że tylu wystarczy, żeby trzymać nas w szachu.

Ojore szturcha mnie łokciem.

– Wracajmy. Twoja matka ze swoimi tytanami spokojnie da sobie z nimi radę.

Lecz gdy odwracamy się w stronę Lagos, drogę zagraża nam dwoje rebeliantów.

– Rzućcie broń! – odzywa się starsza dziewczyna. Płomyki w dłoniach rozświetlają jej złowrogą twarz.

Wymieniam spojrzenie z Ojorem. Nie mamy wyboru. Rzucamy miecze na ziemię i unosimy ręce.

– Wyślij kogoś z wiadomością do starszych – rozkazuje dziewczyna. – Niech im powie, że mamy króla.

– Po co zwlekać? – Drugi Ogniarz robi krok do przodu. – Wyślijmy im jego głowę...

Ojore znienacka rzuca się przed siebie i podnosi upuszczony miecz. W mgnieniu oka przebija nim szyję rebelianta. Krew tryska na wszystkie strony, a Ogniarz pada martwy.

– Daran!

Krzyk dziewczyny wyrywa mnie z osłupienia. Przewracam ją na ziemię i uderzam z całej siły łokciem w skroń.

– Pozycja do ataku! – woła ktoś z obozu.

Magowie zrywają się z miejsc. Mam nogi jak z ołowiu. Patrzę, jak stają w kole i recytują:

– Òdòrùn pupa lókè, tú àwọn iná rẹ sórí ilè ayé...

Magowie unoszą ręce ku niebu i rozniecają czerwone słońce. Płonie wściekle, zalewając las karmazynowym blaskiem. Rozprażone powietrze parzy nas w płuca.

– Musimy im przerwać! – Ojore puszcza się biegiem w kierunku ognia. Pędzi jak opętany. Sięga za pas po noże. Nie dba o życie. Niestraszna mu śmierć.

– Ojore, czekaj! – Rzucam się za nim.

Z daleka, z Lagos, dobiega mnie sygnał alarmowy.

A-uuuuuuuuuuuu!

Mimo dużej odległości dźwięk syreny jest ogłuszający. Drzewa wokół nas zajmują się ogniem, czerwone słońce rośnie w oczach. Czuję na skórze jego żar.

Ojore z głośnym stęknieniem rzuca przed siebie dwa noże. Trafiają w pierś jednego z Ogniarzy. Widząc to, przywódczyni rebeliantów wydaje gardłowy ryk. Zaraz potem dostrzega Ojorego i wykrzywia usta.

– Odi iná, jó gbogbo rẹ ni àlà re.!

Ojore zatrzymuje się przed ścianą ognia, która dosłownie wyrosła spod ziemi. Jest coraz większa, jej blask oświetla jego przerażoną twarz.

– Ojore! – wołam.

Czas na moment staje w miejscu. Magiczka bierze zamach. Mam pustkę w głowie.

Magia wzbiera we mnie gwałtownie. Nie mam nad nią kontroli.

Gdy unoszę rękę, moja moc eksploduje z taką siłą, że słyszę trzask własnych kości.

ROZDZIAŁ 27



INAN

Wojsko odnajduje nas po godzinie. Gdy medyk opatruje mi ramię, żołnierze muszą mnie przytrzymywać. Inni w tym czasie wznoszą nade mną namiot. Wokół trwa świętowanie. Zniszczyliśmy obóz rebeliantów.

Zacinam zęby, żeby nie krzyżeć. Ból dosłownie zapiera mi dech. Czuję się tak, jakby strzaskano mi młotkiem wszystkie kości w ramieniu.

– Inanie, nie ruszaj się! – Matka zjawia się nade mną z garścią kolorowych fiolek. Otwiera tę z granatowym płynem i wmusza we mnie gorzką miksturę. – Cały czas szukamy Uzdrowicieli, a tymczasem to powinno pomóc. – Podnosi mnie do pozycji siedzącej, pilnując, żebym nie poruszał obandażowaną ręką.

Lek zaczyna działać od razu. Odurza mnie i łagodzi ból.

Opadam na nosze. Szorstka tkanina zdążyła już przesiąknąć moim potem. Wciąż nie rozumiem, co się wydarzyło. Moja magia jeszcze nigdy nie sprawiła mi takiego bólu.

Podnosząc dłoń, w ogóle nie wiedziałem, co robię. Chciałem tylko, żeby to wszystko się skończyło.

Nie przypuszczałem, że uda mi się za jednym zamachem ogłuszyć wszystkich rebeliantów.

– Dajcie królowi trochę spokoju. – Matka wyprasza wszystkich z namiotu, po czym klęka przy mnie. Kręci głową i gładzi palcami moje spocone loki. – Mogłam cię zabić.

– Przepraszam – mówię ochryplym głosem. – Daliśmy się złapać. Nie tak miało być.

– Jesteś królem, na bogów! Jeśli masz plan, posyłasz do walki żołnierzy. I mnie! – Przywiera swoim czołem do mojego i mocno mnie ściska. Jej dłonie drżą na moim karku. Matka sztywnieje, walczy ze łzami. – Błagam, następnym razem pozwól sobie pomóc – szepcze. – Dopiero cię odzyskałam. Nie mogę znów cię stracić.

Kiwam głową i zamykam oczy; wciąż pamiętam ogień rozświetlający twarz Ojorego. Potem jednak moje myśli wędrują ku innemu wspomnieniu. Wraca do mnie dzień, w którym odkryłem w sobie moc; dzień, w którym ogłuszyłem admirałkę Keję w Chândomblé.

– Robiłeś to już kiedyś? – pyta matka.

– Tak. Ale nigdy tylu osobom naraz.

– Więcej tego nie próbuj. Lepiej, żeby ten ból wzięli na siebie twoi poddani.

– Wasza Królewska Mość! – Do namiotu wkracza Dżokôje. Na jej ustach widnieje coś na kształt uśmiechu. Poprawia okulary na nosie i posyła mi ukłon. – Co za ulga, że Wasza Królewska Mość jest cała.

Za nią wchodzi Ojore z bandażami na nowych oparzeniach.

– Jestem twoim dłużnikiem – mówi, trącając mnie w stopę.

– Zwykle to ty ratujesz mi skórę. Nareszcie mogłem ci się odwdziaczyć.

– Przyznaję, że miałam swoje wątpliwości – oznajmia generałka. – Ale nie boję się przyznać do pomyłki. Wasza Królewska Mość dokonał niezwykłej rzeczy. Wyzwolenie Lagos to wielki sukces. Teraz losy wojny się odwrócą!

Wyglądam z namiotu. Nasi żołnierze wznoszą radosne okrzyki i nie żałują sobie mocnych trunków.

Pośrodku tego rejwachu klęczą pojmani rebelianci. Związano ich majacytowymi łańcuchami, a na głowy naciągnięto im worki.

Patrzę na nich i chcę poczuć się zwycięzcą, lecz draży mnie jakiś niepokój. Kiedy ostatnio widziałem magów z workami na głowach, na czele naszych oddziałów stał mój ojciec.

– A teraz przejdźmy do konkretów. – Dżokôje prostuje ramiona i kładzie dłoń na rękojeści miecza. – Pora odnaleźć i zlikwidować resztę glist. – Wychodzi z namiotu, długi warkocz podskakuje jej na plecach. Jednym gestem dłoni przerywa świętowanie. Determinacja w jej oczach przyprawia mnie o ciarki. – Zdejmijcie worki! – rozkazuje.

Żołnierze podchodzą do magów i kolejno zrywają im worki z twarzy. Ciszę wypełnia trzask ognia. Dżokôje staje przed jeńcami, przygląda im się uważnie.

– Byliście bardzo skuteczni w swoim dziele zniszczenia – zaczyna. – Teraz nadszedł czas zapłaty za wasze winy. Powiedzcie mi, gdzie chowają się inne glisty,

a obiecuję wam, że wasza śmierć będzie krótka.

Niektórzy rebelianci zwieszają głowy. Inni próbują ukryć łzy. Tylko jedna z Ogniarek wpatruje się w księżyc; jej białe włosy powiewają na wietrze.

Wyraźnie zirytowana Dżokôje staje przed nią i zgrzyta zębami. Wzdrygam się, gdy chwytą ją znienacka za gardło.

– Zadałam pytanie.

Dziewczyna wije się i dławi w stalowym uścisku generałki. Dżokôje unosi ją w powietrze. Na sam ten widok robi mi się niedobrze.

– Odpowiedz! – wrzeszczy.

Ogniarzka się dusi, ale nie odrywa oczu od nieba.

– Skoro i tak tu zginę – rzezi – wołam księżyc od twojej szpetnej gęby.

Dżokôje rzuca ją na osmoloną ziemię. Magiczka zachłystuje się powietrzem. Znów może oddychać, ale nie na długo, sądząc po tym, jak Dżokôje na nią patrzy.

W moich bliznach odzywa się pulsujący ból. Ojore wręcza generałce fiolkę z czarnym płynem i wydrażoną igłą.

Czuję się tak jak wtedy, kiedy musiałem patrzeć, jak ojciec torturuje Zélie.

Chcę się podnieść, ale matka mnie przytrzymuje. Mocno zaciska palce na moim udzie.

– Cokolwiek sobie pomyślałeś, zapomnij o tym – syczy. – Już raz dałeś im wybór. Nie wszystkich można ocalić.

Wiem, że ma rację, lecz mimo to wzbierają we mnie mdłości. Nie czuję się królem, którym chciałem być.

W ogóle nie czuję się królem.

– Czy wiecie, jakie to uczucie mieć majacyt w żyłach? – pyta Dżokôje podniesionym głosem, napełniając igłą trucizną. Metal lśni w blasku płomieni. – Majacyt najpierw zatrzymuje chorobę, którą wy nazywacie darem. A potem wypala od środka.

Wszystko się we mnie napina, jakby miało wybuchnąć. Patrzę na tę dziewczynę i widzę Zélie skutą łańcuchami.

Czuję swąd jej palonego ciała.

– Masz dobre serce, Inanie – szepcze do mnie matka. – Dzięki niemu będziesz dobrym królem. Ale musisz nauczyć się odróżniać tych, których trzeba chronić, od

tych, których trzeba eliminować. Inaczej sam się zniszczysz.

– Ale matko...

– Ci ludzie spalili twoje miasto. Chcieli, żebyś głodował razem ze swoim ludem. Są trucizną, która niszczy Oriszę! Lepiej teraz odrąbać dłoń niż później całą rękę.

Zakrywam sobie usta i myślę o jej słowach. Wiem, że dopóki rebelianci sieją terror, każdy mag w Oriszy będzie uważany za bandytę. A zatem trzeba się ich pozbyć.

A mimo to, kiedy Ojore chwyta Ogniarkę za włosy, wszystko się we mnie przewraca. Kuzyn odwodzi jej głowę na bok, odsłaniając gołą szyję.

– Daję ci ostatnią szansę – mówi Dżokôje, lecz Ogniarka tylko spluwa w jej stronę. Chwilę później ukłuta igłą krzyczy z bólu.

Upada na ziemię jak cegła i zaczyna wic się w konwulsjach. Majacyt pomału zabija ją od środka. Matka chwyta mnie za brodę i odwraca mi głowę.

– W ostatnich dniach uczyniłeś więcej dobra niż inni monarchowie przez całe swoje panowanie – pociesza mnie. – Nie zbaczaj z właściwej drogi. Zakończ wojnę, abyś mógł dalej pracować na rzecz całego królestwa.

Kiwam głową, lecz moje spojrzenie wędruje w stronę zwłok dziewczyny. Dżokôje sięga po kolejną igłę.

– Kto następny?

ROZDZIAŁ 28



AMARI

Sama jestem zaskoczona tęsknotą, jaka obudziła się w moim sercu po wyniesieniu Zélie na starszą klanu Żniwiarzy. Świętowanie trwa długo, do późna w noc.

Patrzemy z Tzainem, jak wszyscy zabiegają o jej uwagę – i magowie, i ibawici. Żniwiarze tłoczą się wokół niej niczym kaczątka wokół matki. Nie odstępują jej na krok.

Entuzjazm Oriszan dla mojej sukcesji, nawet zanim matka przerwała mój wiec, ani przez chwilę nie mógł się równać z bezbrzeżną radością tych magów. Zastanawiam się, jak by to było czuć się tak uwielbianą. Tak potrzebną.

– Szkoda, że Baba tego nie widzi – mówi Tzain z uśmiechem. – I Mama. Od czasu Obławy nie widziałem, żeby Zélie tak się śmiała. W dzieciństwie najweselsza była zawsze w towarzystwie Żniwiarzy z klanu Mamy.

Kiwam głową. Zaczynam rozumieć, co znaczy być klanowym starszym. Przez cały czas wydawało mi się, że to jak zasiadanie na tronie, ale teraz dociera do mnie, że to coś więcej. Tu nie chodzi jedynie o władzę. Starszy jest podporą całego klanu.

Po drugiej stronie kręgu otoczona przez Konektorów siedzi Ramaja. Bardziej niż bezwzględną generałkę przypomina mi teraz matkę. Młody ibawita wplata jej w gąszcz włosów lilię. Ramaja się uśmiecha, od tego uśmiechu marszczy jej się blizna.

Spoglądam na własne blizny na rękach. Ciekawe, czy kiedyś będzie mi wolno usiąść razem z resztą. Mam wrażenie, że nie przyjęliby mnie do swojego grona, nawet gdybym była tak silna jak moja matka.

Przenikliwy dzwonek rozbrzmiewa wśród gór i wszyscy naraz cichną. Większość magów chyba wie, co ten dźwięk oznacza. Tylko Zélie i ja wymieniamy zdziwione spojrzenia.

Ludzie zamierają. Kamiennym mostem nadbiega Ogniarz w czerwonej zbroi upstrzonej krwią.

– Co się stało? – pyta Ramaja.

Ogniarz się zatrzymuje.

– Lagos. Straciliśmy nasz obóz.

Jego słowa robią na wszystkich piorunujące wrażenie. Ramaja ściąga gęste brwi.

– Jak to „straciliśmy”?

– Król uderzył razem z tytanami – tłumaczy zdyszany Ogniarz. – Rozbili naszych. Do rana odblokują drogi. Już odbudowują łączność wojskową.

Na górze znów robi się harmider, wszyscy reagują na wieści. Atmosfera radosnego święta pryska bez śladu.

To ich wina. Zaciskam pięść i myślę słowa, których nie wolno mi wypowiedzieć na głos. Gdzie byśmy teraz byli, gdyby przystali na propozycję Inana? Gdyby mnie wysłuchali?

– Starsi! – woła Ramaja, przyzywając przywódców na środek czarnego kręgu.

Wstaję i podchodzę nieco bliżej, aby podsłuchać ich najnowsze plany.

– Co teraz robimy? – pyta Kâmarū. Jego żelazna noga skrzypi przy każdym kroku. – Niedługo ściągną posiłki.

– Wciąż mamy szansę ich pokonać, pod warunkiem że uderzymy niezwłocznie. – Ramaja zwraca się do nadchodzącej Zélie. – Jak sądzisz? Czujesz się na siłach, by stawić czoło królowej?

Nie czekając, aż Zélie odpowie, wpycham się między nich. Starsi łypią na mnie złowrogo.

– Atakując w pośpiechu, popełnicie błąd. Mogłabym skontaktować się z bratem i dowiedzieć, czy nadal jest gotów do rozmów o...

Ramaja odpycha mnie z taką siłą, że upadam na kamienie. Wokół zalega martwa cisza. Policzki mi płoną. Konektorka doskakuje do mnie.

– Twój brat właśnie wymordował naszych żołnierzy. Jeszcze raz nam przerwiesz, a wyślę mu twoją głowę!

Zélie spogląda znacząco w moją stronę. Mam odpuścić. Ale przecież nie mogę milczeć. Skoro wcześniej nie udało im się pokonać mojej matki, teraz tym bardziej stoją na przegranej pozycji. Kręcą sznur na własną szyję.

Tzain podchodzi i pomaga mi wstać. W jego serdecznych brązowych oczach dostrzegam troskę. Odciąga mnie na bok, z dala od kręgu starszych.

– Powiedz Zélie, czego chcesz – mówi. – Ona cię posłucha.

– Nieprawda. – Kręcę głową. – Ani ona, ani żaden z nich.

Z ciężkim sercem patrzę na starszych. Oni walczą w imieniu magów. Ja walczę dla dobra całego królestwa.

– Dokąd idziesz? – pyta Tzain, widząc, że odchodzę.

– Skoro nie chcą mnie słuchać, muszę ich do tego zmusić.

Na drżących nogach wracam do kręgu starszych. Głębokim oddechem dodaję sobie odwagi.

To dla ich dobra. Nawet jeśli nie zdają sobie z tego sprawy.

Ramaja wychodzi mi naprzeciw, ale zatrzymuję ją, mówiąc:

– Nie mogę się przebić z moim zdaniem. Mam tego dość. Ramaju, wyzywam cię na pojedynek. Chcę zostać starszą klanu Konektorów.

ROZDZIAŁ 29



AMARI

Już wcześniej na górze wrzało, ale teraz powstaje piekielny harmider. Wrzawa ucicha dopiero, gdy Ramaja robi krok w moją stronę.

– Jak śmiesz! – syczy ze złością. – Nie masz prawa tu być, a co dopiero ubiegać się o tytuł starszej!

– Ja też chyba jestem Konektorką?

– Ale nie jesteś magiczką! – krzyczy Ramaja. – Jesteś nikim!

Robi mi się gorąco, a czubki moich palców osnuwa niebieskawa mgiełka. W tłumie rozchodzi się szmer oburzenia. Przebiegam wzrokiem po twarzach dwunastu Konektorów stojących za Ramaję; nie wyglądają, jakby mieli poprzeć moje przywództwo. Ale raz już dałam za wygraną i jak to się skończyło?

Przez nich straciliśmy naszą przewagę nad monarchią.

– Decyzje, które dzisiaj podejmiemy, będą miały wpływ nie tylko na magów – oznajmiam. – Czy wam się to podoba, czy nie, tytani również posiadają magię. Bez ich pomocy trudno wam będzie zwyciężyć w tym konflikcie. Nie musicie mnie wybierać. – Kręcę głową. – Nie musicie nawet mnie słuchać. Ale walczę w obronie waszej magii równie długo jak Wojowniczką Śmierci. Należy mi się chyba szansa!

– Chcesz walczyć? – Ramaja unosi pięść, lecz Mama Agba zachodzi jej drogę.

Marszczy czoło i tocząc wzrokiem po tłumie, wzdycha ciężko.

– Amari, w twoich żyłach płynie magia Oriego – orzeka. – Masz prawo rzucić wyzwanie obecnej starszej. Ale czy na pewno właśnie tego chcesz? – Spojrzenie Mamy Agby ma w sobie coś z przestrogi, lecz nie mogę się już wycofać.

Lud Oriszy mnie potrzebuje.

– Na pewno.

– W takim razie zaczynamy. – Mama Agba zwraca się do zebranych. – Zróbcie miejsce w kręgu.

Magowie jeden po drugim usuwają się na jego skraj, a niektórzy, przechodząc obok, trącają mnie ramieniem. Przysiadłszy na skalnych półkach przed wejściami do świątyń swoich klanów, machają nogami w powietrzu. Kiedy podnoszę wzrok, przypomina mi się arena w Ibedzi i śmiertelna walka na pokładzie statku.

Chyba nawet wtedy szanse na zwycięstwo wydawały mi się większe.

– Co ty sobie myślisz, na miłość Oi? – napada na mnie Zélie. Cała w złocie i czerwonych jedwabiach, wciąż wygląda jak wizja bogini. Oto magiczka godna korony swojego ludu.

– Straciliśmy naszą pozycję pod Lagos – mówię jej. – Jeśli nikt mnie nie będzie słuchał, przegramy tę wojnę!

– Wojna to nie wszystko! – obrusza się Zélie. – Starszy to ktoś, kto przewodzi swojemu klanowi. Jak chcesz to robić, skoro nawet nie znasz naszych zwyczajów? Jak chcesz walczyć o naszą sprawę, skoro nic nie wiesz o magach?

Jej słowa sprawiają mi kłopot; nie wiem, jak mam ją przekonać, że robię to, co najlepsze. Walczę dla wszystkich, również dla niej.

– Ty może nie musisz się przejmować wojną, ale ja, będąc królową, nie mam wyboru. Orisza jest dla mnie najważniejsza, choćby nie wiem co.

Zélie patrzy z wyrzutem, ale ignoruję to spojrzenie i ruszam dalej. Po drugiej stronie kręgu stoi Ramaja z twarzą ściągniętą gniewem.

Uderz pierwsza, powtarzam sobie. Uderz pierwsza, a zrobisz krok w stronę zakończenia wojny i zdobycia tronu.

– Zasady *ijà mí mó* są proste. – Głos Mamy Agby niesie się echem po górskim zboczu. – Walkę kończy poddanie się albo śmierć, ale to nie jest czas na osłabianie własnych szeregów. – Mama Agba spogląda nam głęboko w oczy, najpierw Ramai, a potem mnie. – Walczcie zaciekle, lecz znajcie miarę. Czy to jasne?

– Jak słońce. – Ramaja się uśmiecha. Jej kręcone włosy powiewają na wietrze. Wyłamuje palce ze stawów.

Mimo ściskania w żołądku zachowuję kamienną twarz i kiwam głową. Wtedy Mama Agba opuszcza czarny krąg.

Atakuj, Amari, powtarzam sobie. Pokaż im, że się mylą.

– Start! – woła Mama Agba.

– Ya èmí, ya ara! – Jasne błękitne światło otacza mi całe ramię. Skóra znów mnie piecze, ale czuję, jak nitka aszê przepływa przez ucho igielne.

Ruszam przed siebie z ręką jasną od magii. Moja szarża wywołuje okrzyki zdumienia. Rzucam kometa aszê, ale Ramaja zwinnie ją przeskakuje. Nie daje mi szansy na ponowienie ataku. Jej dłonie z hukiem lądują na mojej głowie.

Biały błysk przed oczami. Krzyczę z bólu. Ramaja chwytą mnie za włosy i rzuca na ziemię.

Wyciągam dłoń do góry, usiłując raz jeszcze wyrecytować magiczną formułę.

– Ya èmí, ya... – Lecz w połowie obrywam pięścią w szczękę.

– Twoje usta bezczeszczą język joruba – sarka Ramaja. Klęcząc, przykładą mi drugą rękę do głowy. – Pokażę ci, jak się wypowiada zaklęcia. Iná a ti ara...

Dobynam miecz, lecz metalowe ostrze na nic się nie zdaje. Kobaltowa chmura wypływa z dłoni Ramai i wnika we mnie. Zasnuwa mój umysł dymem, jakby ktoś rozniecił mi pod czaszką ogień. Z moich ust wydiera się obcy, cudzy krzyk.

– Widzieliście to? – Ramaja zanosi się szyderczym rechotem, który odbija się echem od skał. – Atakuję tytanek magią, a ona sięga po miecz!

Ból się nasila, a każde jej słowo jest jak eksplodująca w mojej głowie bomba. Mija chyba cała wieczność. W końcu białe plamy znikają mi sprzed oczu i wreszcie mogę spojrzeć do góry.

– Czy już się poddajesz? – Uśmiechnięta Ramaja spogląda na mnie z daleka.

Nie mogę pozbierać myśli, a ona nawet się nie spociła.

Wyraz jej twarzy mówi wszystko. Nie chodzi jej o to, by pozostać starszą swojego klanu. Ani żeby mnie nakłonić do rezygnacji.

Ona chce mnie upokorzyć.

Amari, atakuj.

Z kroplami potu na skroniach dźwigam się na kolana. Choć drżą mi ręce i nogi, zaciskam zęby i wstaję. Serce dudni mi jak grzmot. Skórę mam rozpaloną. Z palców sączą się błękitne smużki. Znów atakuję.

– Ya èmí, ya ara! – Z wyciągniętą ręką rzucam się do przodu. Prawie muskam palcami szyję Ramai, która jednak uchyla się w ostatniej chwili. – Ya èmí, ya ara! – Ponawiam próbę, lecz Ramaja robi unik, a potem trafia mnie pięścią w policzek. Padam na ziemię z krwią w ustach.

Ramaja zanosi się śmiechem i zaczyna recytować kolejne zaklęcie.

– Idá a ti okàn...

Tym razem jej kobaltowy płomień uderza mnie prosto w pierś. Łąduję na ziemi wstrząsana spazmami, ból rozsadza mi żebra.

Czuję się tak, jakby z dwóch stron napierały na mnie tarany. Jakby wrywano mi paznokcie. Ból jest tak potworny, że nie mogę oddychać. Nie mogę nawet krzyczeć.

– Wstawaj, Amari! – woła z daleka Tzain, lecz prawie go nie słyszę. Ból zagłusza wszystko.

Tymczasem Ramaja stoi i patrzy na zadawane mi cierpienie. Nie spieszy jej się, żeby zakończyć walkę.

Jest jak śnieżny lampartus bawiący się ze swoją zdobyczą.

– Za mojego ojca! – Trafia mnie znienacka kolejnym pociskiem. – Za moją matkę! – Następna kula uderza mnie w nogi. – Za moją siostrę! – Tym razem jej atak jest jak tysiąc gwoździ wwiercających się w kości.

– Ramaja! Nìsó! – woła ktoś z góry, a reszta zaczyna skandować razem z nim.

Moja męka to dla nich za mało. Chcą, żeby ich starsza przelała moją krew.

– Nie obchodzą mnie twoje zasługi. – Ramaja przerywa ataki, żeby odsapnąć. – Jeśli chcesz pomóc magom, zabij swoją nikczemną rodzinę. I siebie też. – Pochyliła się tak nisko, że jej białe włosy muskają mi policzek. – Tak będzie lepiej i dla magów, i dla Oriszy.

Okazuje się, że te słowa ranią mnie dotkliwiej niż jej magia. Są jak miecz ojca rozcinający mi plecy. Jak napaść matki na mój pokojowy wiec.

– Idá a ti okàn...

Moje walące serce zagłusza resztę inkantacji. Odczuwam nienawiść Ramai tak samo wyraźnie jak ból. Jej gniew spustoszy moje królestwo.

Przywołuję moc ukrytą we krwi, sięgam po nią, choć wciąż jej nie rozumiem. Bogowie musieli mieć powód, żeby obdarować mnie taką magią. Wykorzystam ją do ratowania Oriszy, nawet jeśli magowie mnie za to znienawidzą.

Z krzykiem łapię Ramaję za włosy, przyciągam do siebie i uderzam łokciem w skroń. Dała się zaskoczyć. Wykorzystuję to i zrzucam ją z siebie.

Prędko siadam na niej okrakiem i rozniecam w dłoniach kobaltowy płomień.

Igła się nie sprawdziła.

Pozostaje użyć młota.

– YYYCH!

Rozdzierający wrzask Ramai wstrząsa górami. Moja magia wbija się w jej umysł jak nóż. Znajduję jej rany i szeroko je otwieram, tak jak na pokładzie okrętu otwierałam swoje.

Czuję zaciśniętą na gardle Konektorki szorstką dłoń strażnika. Widzę ojca, który zginał za to, że tego strażnika odepchnął. Wzdrygam się na odgłos pięści roztrzaskującej jej łuk brwiowy. Czuję ciepło krwi wypływającej z rany.

– Amari, dość! – woła z daleka Zélie, lecz nie umiem okiełznać swej mocy.

Oczy rozbłyskują mi niebiesko, kości ramienia głośno trzeszczą. Nie panuję nad swoją magią. Zalewa mnie powódź obrazów z życia Ramai. Każdy okrucieństwo bólu, który się w nią wbija, rani też mnie.

Nie czuję rąk, które mnie odciągają. Jak przez mgłę widzę upadające ciało przeciwniczki. Słyszę niezrozumiałe krzyki. To Zélie coś do mnie mówi, mam przed sobą jej twarz, ale mój ból zagłusza jej głos.

Za nią w bezruchu leży Ramaja.

Nie widzę, czy jej pierś się unosi.

– Chani, prędko! – woła Mama Agba.

Chani, starsza klanu Uzdrawicieli, wbiega na czarną kamienną posadzkę. Białe warkocze tańczą jej wokół głowy, gdy kuca przy Ramai i przyciska jej dłonie do szyi. Próbuje wyczuć puls, ale spojrzenie Konektorki pozostaje martwe.

Po długiej chwili Chani wydycha powietrze z płuc. Minę ma niewesołą.

– Żyje – oznajmia, kręcąc głową. – Ale to życie wisi na włosku.

Łzy napływają mi do oczu. Trzęsą mi się ręce.

– Nie chciałam... To nie było...

Zélie bierze mnie w objęcia. Pociera mi uspokajająco plecy, ale oddech jej drży.

– Nie patrz. – Ścisną mi ramię. – Nic nie rób.

ROZDZIAŁ 30



ZÉLIE

Wlokę się do kwatery starszych. Dni, które upłynęły od mojego wyniesienia, zlały się w jeden. Po tym, jak straciliśmy Lagos, do sanktuarium przybyło tylu nowych magów i ibawitów, że dokądkolwiek idę, czuję się jak łoś wędrujący w górę rzeki. Mamy teraz do wykarmienia ponad dwieście osób, głównie bezbronnych ibawitów. Trzeba było zmniejszyć racje żywnościowe, a w dormitoriach robi się ciasno.

Codziennie przybywają nowi. Opowiadają nam o napadach królewskich żołnierzy na wioski magów. Nie wiem, jak mamy odpowiedzieć na te ataki. W tej chwili jesteśmy w odwrocie, monarchia zagarnia coraz więcej ziem. Zwycięstwo, które wydawało się w zasięgu ręki, coraz bardziej się oddala.

– Zél, idziesz? – Não delikatnie trąca mnie w ramię. Niebieskawa zbroja Falunki połyskuje w słońcu, a spod rzeźbionej rękawicy wyzierają wytatuowane fale.

Pozostali starsi stoją przed stołówką, w sklepionym przejściu porośniętym bujną winoroślą. Czekają, aż pójdę z nimi do sali narad. Odkąd Ramaja trafiła do szpitala, jeszcze bardziej liczą się z moim zdaniem.

– Zaraz do was dojdę! – wołam.

Wśród zapachu tłuczonych batatów i placków z fasoli wspinam się po krętych schodach wieży starszych. Na każdym z jedenastu poziomów mieszka inny przywódca. To jedyna na tej górze budowla wzniesiona przez pierwszych przywódców klanowych. Za sprawą kafli ze szkła morskiego czuję się, jakbym sypiała w pałacu. Muskając dłonią zwisające z sufitu rośliny, docieram do nowego pokoju Amari na czwartym piętrze.

Zza obsydianowych drzwi dobiega stłumione łkanie. Gdy pukam, natychmiast cichnie. Słyszę ciężkie kroki.

– Kto tam? – pyta Tzain.

– To ja. Mamy zebranie starszych.

Drzwi się uchylają. Tzain wystawia głowę, żeby Amari go nie słyszała, i pyta zniżonym głosem:

– Gdzie byłaś? Ona cię potrzebuje.

– Moi Żniwiarze też. – Wpycham się do środka. – Nie zapominaj, że sama się w to wpakowała.

Rozglądam się po nowym pokoju Amari; tak jak w moim, podłoga jest wyłożona turkusowymi kafelkami. Z obłego balkonu rozpościera się widok na wodospad.

– Bądź delikatna – mówi Tzain. – Ona nie chce iść do Uzdrowicielki.

Amari siedzi przed pękniętym lustrem. Twarz ma czerwoną i spuchniętą, brodę i skronie posiniaczone. Prawą rękę nosi na temblaku. Mocuje się z puszką brązowego pigmentu do tuszowania sińców.

– Wiesz, że Uzdrowicielka mogłaby ci pomóc – mówię.

– Już prosiłam – odpowiada beznamiętnie. – Pięć różnych osób. Po tym, jak wszystkie odmówiły, dałam sobie spokój.

Robię wielkie oczy, ale prędko odwracam wzrok, udając, że przyglądam się mosiężnej wannie. Misją Uzdrowicieli jest pomoc wszystkim potrzebującym, bez względu na własne odczucia i sympatie.

Amari lewą ręką dalej próbuje maskować siniaki, ale robi to niezdarnie. Choć wciąż kipi we mnie złość, zmuszam się, żeby usiąść i jej pomóc.

– Dziękuję – mówi.

Odpowiadam milczącym skinieniem głowy. Amari obojętnym wzrokiem wpatruje się w ścianę, lecz od czasu do czasu jej pancerz pęka.

Widzę, ile smutku w sobie tłumi. Jak bardzo musi czuć się osamotniona.

Pokonała Ramaję, lecz przypłaciła to jeszcze większą izolacją.

– Chciałam ją odwiedzić – mówi drżącym głosem. – Ramaję. Żeby przeprosić. Ale jeszcze nie odzyskała przytomności.

Czuję gorycz w ustach, ale nic nie odpowiadam. Od czasu feralnego pojedynku nie ma z Ramają żadnego kontaktu. Nawet Chani nie była w stanie jej ocucić.

– Ty też mnie znienawidziłaś? – pyta Amari.

Moja dłoń zastyga przy jej policzku. Trochę jej nienawidzę za to pytanie. Ale to ja tamtej nocy uczyłam ją posługiwania się magią. To dzięki mnie poznała zakłęcie. Śpiączka Ramai obciąża również moje sumienie.

– Obiecywałaś, że nie użyjesz tego, co ci wyjawiałam, przeciwko żadnemu z magów.

– Wiem, ale nie miałam wyboru...

– Zawsze ma się wybór – przerywam jej. – Po prostu źle wybrałaś. – Kręcąc głową, odstawiam puszkę z pigmentem. – Wybrałaś zwycięstwo za wszelką cenę. Jak twój ojciec. Jak Inan.

Powietrze między nami prawie iskrzy od złości. Muszę się z całej siły powstrzymać, żeby nie wstać i nie odejść. Staram się nie patrzeć na jej biały kosmyk, bo przypomina mi o takich jak ona, którzy wciąż prześladowają takich jak ja.

Amari zwiesza głowę. Z oczu płyną jej nowe potoki łez, znacząc ślady w świeżo nałożonej warstwie pigmentu.

– Przepraszam, okej? Naprawdę jest mi przykro. – Wyciera nos. – Wiem, że to zawałam. Że straciłam kontrolę. Nie wiem tylko, jak to naprawić.

Jej skrucha studzi mój gniew. Oddycham głęboko i obracam Amari ku sobie. Oczywiście, że nie wie.

Jest tytanką.

Przedstawicielką monarchii.

– Jeśli chcesz być starszą, musisz zrozumieć, że prawdziwa magia nie sprowadza się do mocy – tłumaczę. – Ona jest częścią nas, dosłownie mamy ją we krwi. Nasi ludzie cierpieli za nią i umierali. To nie jest coś, czego można się nauczyć. Prawda, pomogłaś nam ją odzyskać, ale nadal jesteśmy prześladowani i zabijani z powodu magii, tej samej, której tytani tacy jak ty używają przeciwko nam.

Amari kiwa głową, ocierając łzy.

– Znajdę sposób, by przeprosić starszych i Konektorów.

– Świetnie. – Znów sięgam po farbę i zakrywam ślady łez na policzkach Amari. – Sytuacja jest niewesoła. Potrzebujemy cię.

ROZDZIAŁ 31



AMARI

Przed pozłacanym wejściem do sali narad wita mnie ściana milczenia. Nie pokazywałam się od paru dni. Mogę się tylko domyślać słów, które padną z ust starszych. Zamiast jednak skupiać się na wrogich spojrzeniach przy tekowym stole, omiatam wzrokiem świętą przestrzeń. Światło wpadające przez witraże zalewa wnętrze tęczą kolorów. Szkliste kamienie na ścianach układają się w zawiłe wzory.

– O rety... – Kładę dłoń na piersi. Gdy przekraczam próg, przebiega mnie jakby iskra.

Według Zélie wejście jest zaczarowane; do środka mogą wejść tylko byli i obecni starsi.

Dziesięć brązowych figur otacza świętą przestrzeń, dziesięć posągów pierwszych wodzów klanowych. Zaczynam rozumieć ich znaczenie, gdy siadam naprzeciwko zardzewiałej postaci w niebieskich szatach Konektora.

Jeśli chcesz być starszą, musisz zrozumieć, że prawdziwa magia nie sprowadza się do mocy. Myślę o słowach Zélie, czekając, aż dołączy do nas ostatnia ze starszych, i przyglądam się pozostałym magom. Jedni taksują mnie surowym wzrokiem. Inni wyraźnie unikają mojego spojrzenia.

Não zagaduje Zélie. Kâmarū pochyła się, wspierając łokieć na protezie nogi. Obok niego Na'ima bawi się z różowymi motylami w swoich włosach. Na zmianę lądują na pomalowanych paznokciach magiczki.

Jednego z motyli chwyta siedzący po jej lewej Dakari, starszy Jasnowidzów. To pulchny chłopak z burzą loków na głowie i nagim torsem, na którym połyskują jedynie dwa cienkie łańcuszki.

– Po zebraniu chodź ze mną – zwraca się do mnie Chani, marszcząc piegowatą twarz. Choć trudno powiedzieć, żeby stara znajoma Tzaina z czasów gry w agböna była moją przyjaciółką, miło znów ją widzieć. – Moi Uzdrowiciele czują do ciebie niechęć – dodaje – ale nie powinni ci odmawiać pomocy.

– Dziwisz się im? – mamrocze Kenjon. – To przez takich jak ona nasi giną.

Barczysty Ogniarz siedzi z założonymi rękoma i ze wzrokiem utkwionym we wzorzystej ścianie. Podobno niewiele się odzywa, odkąd się dowiedział, że monarchia zabiła pod Lagos jedną czwartą jego Ogniarzy.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało w Lagos – mówię.

Kenjon odpowiada zdawkowym chrząknięciem.

Do komnaty wchodzi Folake, starsza klanu Świetlarzy, w błyszczącym złotym kaftanie z lejącego się materiału.

– Przepraszam za spóźnienie – rzuca, po czym uśmiecha się do Zélie i zajmuje wolne miejsce obok niej.

Patrząc na jej gęste kędziory i kocie oczy, przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie w obozie ibawitów Zulajchy.

Teraz jesteśmy w komplecie, cała dziesiątka starszych.

– Od czego chcemy zacząć? – pyta Zélie.

– Może od starszych, którzy są magami?

Prostuję plecy. Chłopak po drugiej stronie stołu w oczywisty sposób pije do mnie. Choć nie miałam okazji go poznać, wiem, że to Jahi, starszy klanu Tajfunów. Między jego palcami powiewa wstążka wiatru. Z tego, co słyszałam, Jahi spotyka się z Ramają. Nic dziwnego, że mnie tutaj nie chce.

– Àgbààyà, zostaw ją w spokoju. – Não mlaska poirytowana. – Wygrała w uczciwej walce.

– Jej magia jest inna od naszej. – Jahi nie odpuszcza. – To nie było uczciwe zwycięstwo.

– Jeśli można, chciałam zabrać głos w tej sprawie. – Wstaję z podniesioną głową. Próbuję sobie wyobrazić, jak w takiej sytuacji zachowałaby się matka. Nawet w obcym towarzystwie nosiła się z dumą, która onieśmiałła innych. – Pragnę was przeprosić. Straciłam panowanie nad swoją magią. Mogę się tylko domyślać, jak trudno wam było na to patrzeć. Ale...

– No tak, oczywiście musi być jakieś ale – prycha Na'ima.

Wzbiera we mnie złość, ale ciągnę niezrażona:

– Myślę, że to, co się wydarzyło, dobrze pokazuje, dlaczego trwały pokój z monarchią leży w waszym interesie.

Gniewna reakcja starszych na te słowa nie stanowi dla mnie zaskoczenia. Jedni przeklinają mnie w języku joruba, inni tylko przewracają oczami.

– Co ty robisz? – rzuca szeptem w moją stronę Zélie.

– Powiedziałam, że przepraszam – odpowiadam jej. – Ale przegrywamy tę wojnę. To wciąż najlepsze możliwe rozwiązanie.

– Chyba rozumiecie, że to pułapka? – Jahi rozgląda się po zebranych. – Ona pewnie szpieguje dla swojego brata. Może to przez nią straciliśmy obóz pod Lagos.

– Możecie mieć pretensje tylko do siebie – odpieram jego zarzut. – Pokojowa propozycja mojego brata była szczerą. Niszcząc jego zapasy żywności, nie pozostawiliście mu wyboru. Gdybyście mnie posłuchali, byłibyśmy teraz w innej sytuacji.

– Nie ma o czym mówić – ucina Kenjon. Jest wzburzony, skóra zaczyna mu się dymić. – Moim ludziom wstrzyknięto majacyt. Weźmiemy odwet. Jesteśmy silniejsi od tytanów.

– Wcale nie – mówię z naciskiem. – Może od niektórych, ale nie od wszystkich. Ramaja była waszą najgroźniejszą wojowniczką, i co? Prawie ją zabiłam, a przecież dopiero się uczę własnej magii. Jakie macie szanse w starciu z większą liczbą tytanów obdarzonych taką mocą?

– Zél, co ty o tym sądzisz? – odzywa się Nào i wszystkie spojrzenia wędrują teraz w kierunku Zélie.

Z lekką irytacją patrzę, jak starsi cichną w oczekiwaniu na jej werdykt.

– Z trudem mi to przychodzi, ale muszę przyznać, że w słowach Amari jest sporo racji. – Zélie kiwa głową. – Tytani posługują się magią krwi. Są w tym nieporadni, lecz mimo to bardzo groźni. Ale to jeszcze pół biedy. Może dalibyśmy sobie z nimi radę, gdyby nie Nehanda. Jej moc... to inna historia. – Srebrne oczy Zélie przez chwilę wpatrują się w przestrzeń. Wreszcie z drżącym westchnieniem przemawia znowu: – Na wiecu w Zarii Nehanda wysłała magię z otaczających ją tytanów. A potem od jej czarów rozstała się ziemia.

– Tak samo było w Lagos – uzupełnia Kâmarū. – Oczy świeciły jej zielono, a magia była tak potężna, że rozświetlała ją od środka. Nie wiem, jak zdołaliśmy ją pokonać.

Opuszczam wzrok na blizny, którymi pokryte są moje dłonie. Pokój wypełnia się strachem. To moja szansa na to, by starsi mnie wysłuchali. Teraz albo nigdy.

– Dopóki trzymaliście stolicę w szachu, mieliście przewagę – mówię. – Ale pycha się na was zemściła. Teraz monarchia odblokowała drogi. Odbudowują umocnienia. Wojsko osłabia wasze siły kolejnymi atakami, a tymczasem do Lagos przybywają coraz to nowsi tytani. – Kręcę głową. – Kto wie, ilu macie przeciwko sobie. Ilu posiada taką moc jak moja matka.

– Do czego zmierzasz? – Na’ima unosi wyskubane brwi. – Chyba nie sądzisz, że ustąpimy.

– Chcę tylko, żeby królestwo było dla magów bezpiecznym miejscem do życia – oświadczam. – Myślałam, że aby tak się stało, muszę sama objąć tron, ale istnieje szansa, że Inan zgodzi się na pokój. Mój brat jest inny od naszego ojca. Nie pragnie wojny. Pozwólcie mi się z nim skontaktować, a znajdę rozwiązanie. On zawdzięcza mi życie. Posłucha mnie. Daję wam słowo.

Wstrzymuję oddech, czekając, aż przetrawią to, co powiedziałam. Widać po nich, że łamią sobie głowy, lecz koniec końców wszyscy po kolei spoglądają w stronę Zélie. Próbuję się do niej uśmiechnąć, ale nie odrywa oczu od stołu.

– Nawet jeśli chcemy pokoju, naiwnością byłoby oczekiwać, że Inan postąpi słusznie – zabiera wreszcie głos. – Tytani są potężni, ale ich magia jest chaotyczna. Wystarczy spojrzeć na Amari. – Zélie wskazuje mnie gestem jak przedmiot, a nie człowieka.

Czuję, że krew napływa mi do twarzy.

– Amari wygrała pojedynek o przywództwo klanu, bo Ramaja niepotrzebnie się z nią bawiła – mówi dalej Zélie. – Trzeba nam tylko dyscypliny i treningu, a poradzimy sobie ze wszystkimi tytanami. Nawet królowa nas nie złamie.

– Tak ci się tylko wydaje! – Na próżno staram się odzyskać utraconą inicjatywę. Magowie, pokrzepieni złudną obietnicą zwycięstwa, znów przestali się ze mną liczyć.

– Jak mamy trenować bez inkantacji? – pyta Não. – Przed Obławą mieliśmy ich setki. Teraz niektóre klany mają ledwo trzy.

Zélie wpiera dłonie w stół i patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem. Wreszcie z ciężkim westchnieniem sięga po skórzaną sakwę i wyjmuje z niej czarny zwój – jeden z tych, które dostała od Lekana w Chândomblé.

– Skąd to masz? – Kâmarū bierze zwój do ręki. Marszcząc gęste brwi, przebiega oczami po świętym tekście. – Przecież wszystkie spłonęły w czasie Obławy.

– Wszystkie prócz tych w Chândomblé.

– Mamy uwierzyć w legendę? – pyta Na'ima.

– To nie legenda – odpowiada Zélie. – Amari i ja widziałyśmy to miejsce na własne oczy. Bibliotekę z setkami zwojów każdego z klanów.

Wokół stołu rozchodzi się szmer podniecenia. Starsi zastanawiają się, co dla nas oznacza istnienie takiej biblioteki.

– To byłby prawdziwy arsenał broni – zauważa Kenjon z błyskiem w oku.

– Pomyślcie, ile byśmy zyskali remediów! – woła Chani.

Zélie ucisza wszystkich uniesioną dłonią.

– Możemy wyruszyć dziś wieczór. Monarchia nadal skupia się na odbudowie Lagos. To dobry moment, żeby przemknąć im się pod nosem.

Zaczynają snuć plany. Wiem, że nie zdołam już wybić im tego z głowy. Sądziłam, że jako starsza zyskam na nich większy wpływ, ale się myliłam. Dalej jestem obcym ciałem.

– Nie martw się – szepcze do mnie Zélie. – Nie mówię, że rozejm nie wchodzi w grę. Ale najpierw zdobądźmy te pergaminy. Potrzebujemy nowych argumentów na wypadek, gdyby rozmowy pokojowe się nie powiodły.

Kiwam głową, lecz kiedy Zélie odchodzi, odruchowo zaciskam zęby.

Ciekawe, myślę sobie, czy tylko próbuje mnie udobruchać, czy naprawdę wierzy we własne kłamstwa.

ROZDZIAŁ 32



INAN

W drodze do sali narad zdaję sobie sprawę, że powietrze się zmieniło. Pół miesiąca temu zniszczyliśmy obóz rebeliantów pod Lagos, ale dopiero teraz wiszący nad stolicą dym zaczął się rozwiewać.

Znów świeci na nas słońce. Jego jasne promienie przyświecają naszej odbudowie. Ulicami ciągną wozy pełne żywności. Nikt już nie cierpi głodu.

– Wasza Królewska Mość! – Żołnierze pełniący wartę przed salą wojenną salutują na mój widok.

Zaczynają otwierać czarne dębowe drzwi, lecz powstrzymuję ich gestem na widok matki. Oddaliła swoich strażników i sama zstępuje do pałacowych podziemi. Zdziwiony podążam za nią.

Porusza się tak, jakby nie chciała, żeby ją widziano.

Idę jej śladem w dół, starając się stawiać kroki jak najciszej. Podziemia pałacu, ten rozległy labirynt z dziesiątkami pomieszczeń, to siedlisko wszystkich moich najmroczniejszych wspomnień.

Ojciec zabierał tam Amari i mnie, kiedy byliśmy dziećmi. Zmuszał nas do walki na miecze. Wciąż dobrze pamiętam dudniący echem krzyk, który wydarł się z jej gardła, kiedy zadałem o jeden cios za dużo.

Gdzie jesteś? Chciałbym wiedzieć, co się z nią dzieje. Matka jest przekonana, że Amari przystąpiła do rebeliantów, ale przecież dobrze znam swoją siostrę.

Zélie może pragnąć zniszczenia Lagos, lecz dla Amari to wciąż jest dom. Powinna być teraz przy mnie, a nie gdzieś tam, samotna jak palec.

– Gdzie reszta?

Staję w miejscu. Czyj to chropawy głos? Oriszańska mowa z dziwnym cudzoziemskim zaśpiewem. Wyglądam zza rogu i widzę matkę w towarzystwie dwóch mężczyzn ubranych na czarno. Jeden z nich uśmiecha się zmiłowato. Drugi ma skórę w kolorze piasku.

Skąd ja go znam...

Drapię się po brodzie, próbując sobie przypomnieć. Jego twarz wygląda znajomo. Wiem, że nasze drogi już się kiedyś przecięły.

– Resztę dostaniecie po wykonaniu zadania – odpowiada im matka, wręczając aksamitną sakiewkę z brzęczącą zawartością. – Majacyt był dobry na początek, ale to nie koniec. A rebelianci wciąż stoją mi na drodze...

– Mamy towarzystwo.

Zamieram w bezruchu. Wszystkie trzy pary oczu wędrują w moją stronę. Matka w zdumieniu rozchyła usta. Najemnicy patrzą bez mrugnięcia okiem.

– Wy łotry! – rzuca do nich. – Ukłońcie się przed swoim królem.

Cudzoziemiec odpowiada prychnięciem i tylko przelicza złote monety w sakiewce.

– Co? – Robię krok do przodu. – Nie kłaniasz się obcym władcom?

– Nie kłaniam się nikomu, kogo mógłbym zabić. – Obrzuca mnie wzrokiem, po czym zwraca się ponownie do matki. – Na razie wystarczy. Będziemy w kontakcie.

Spodziewam się, że ruszą po schodach na górę, tymczasem znikają w mrokach piwnicznego labiryntu. Poruszają się po nim pewnym krokiem, jakby przemierzali go wiele razy.

– O co tu chodzi? – pytam.

– Twoja siostra ich zatrudniła – wyjaśnia matka. – Dowiadywałam się, czy mają jakieś informacje na jej temat. I na temat rebeliantów.

– I co? – pytam zaciekawiony. – Wiedzą coś o Amari?

– Widzę po twoich oczach, co sobie myślisz. Właśnie dlatego nie chciałam cię w to mieszać. – Matka chwyta mnie za ramię i prowadzi ku schodom. – Wiem, że to twoja siostra, ale nie zapominaj, że to również wróg naszego królestwa.

– Gdyby nie ona, dawno bym nie żył.

Matka w milczeniu odprowadza mnie do drzwi sali wojennej.

– Pamiętaj, masz obowiązki wobec tronu. Chroń go nade wszystko.

– Wasza Królewska Mość.

Kiedy wkraczamy z matką do sali wojennej, wszyscy doradcy wstają. Zbija mnie to na chwilę z tropu. Stoją, dopóki nie każę im usiąść.

Uśmiechając się do siebie, zajmuję miejsce u szczytu dębowego stołu. Ojore na mój znak podchodzi do wielkiej ściennej mapy Oriszy.

– Miło mi zameldować, że dzięki męstwu naszego króla zdołaliśmy odwrócić losy wojny – oznajmia. – Po uwolnieniu Lagos odzyskaliśmy łączność z bazami na północy. Maleje liczba zamachów, nieprzyjaciel nie zdołał też zagrozić żadnej z naszych twierdz.

– Nie świętujmy przedwcześnie – wtrąca się generałka Dżokôje. Przy wstawaniu z krzesła kołysze jej się warkocz. – Nasze zdobycze robią wrażenie, ale nie wolno mam lekceważyć zagrożenia ze strony rebeliantów. Według naszych szacunków ich siły wciąż liczą od dwustu do pięciuset wojowników.

– Jak nam idą poszukiwania ich bazy? – pytam.

– Wciąż trwają. – Dżokôje wskazuje gestem łańcuch górski na północ od Lagos. – Twierdze w Gusau i Gombe meldują, że większość ruchów nieprzyjaciela ma swój początek w rejonie masywu Olasimbo. Wysłaliśmy tam zwiadowców, ale przepadli bez wieści. Są jednak oznaki, że rebelianci znów się przemieszczają.

Ojore wraca do stołu i podnosi dwa pergaminy.

– Wszyscy tu zebrani na pewno kojarzą niegdysiejszą księżniczkę.

Ojore unosi stary, spłowiały plakat z wizerunkiem mojej siostry. Spoglądam i ogarnia mnie dziwne uczucie. Łagodne rysy nie oddają tego, jak się zmieniła.

– Jej główną współpracowniczką jest magiczka Zélie Adebola – kontynuuje Ojore. – Pochodzi z Ibadanu, mieszkała też w Ilorinie. Odegrała ważną rolę w przywróceniu magii. Magowie w całej Oriszy mówią o niej Wojowniczką Śmierci.

Staram się nie patrzeć na plakat z podobizną Zélie, ale trudno się oprzeć. Mam wrażenie, że Zélie spogląda na mnie z daleka ze wściekłym błyskiem w srebrnych oczach. Gdy przyglądam się zbyt długo, czuję pnąca na szyi, jej usta koło mojego ucha.

Skoro trudno mi wytrzymać w jednym pomieszczeniu z jej wizerunkiem, nie wiem, co zrobić, gdy staniemy twarzą w twarz.

– Wiadomo, dokąd zmierzają? – pytam.

– Podejrzewamy, że do Lagos – odpowiada Dżokôje. – Wymknęli się naszym siłom po wiecu w Zarii, ale dziś widziano, jak podążają na południe.

– Idą na Lagos? – Matka robi się blada. – Nowe mury obronne będą gotowe dopiero za pół miesiąca.

– A fosa? – Kapitan Kunle ociera pot ze skroni. – Zanim Faluni ją napełnią, minie parę tygodni.

Zatykam sobie uszy palcami, by odciąć się od narastającej paniki. Coś mi tu nie pasuje.

– Admirale, przecież oni już są na południe od Lagos. Co chcą zyskać, nakładając drogi?

– Przypuszczamy, że może im chodzić o bezpośredni dostęp do pałacu. – Ojore kreśli palcem na mapie kręty szlak. – Pozwoliłem sobie przesunąć dodatkowe siły na obrzeża Lagos, ale żeby powstrzymać nieprzyjaciół, będziemy potrzebowali znacznych zasobów.

W myślach przedłużam ich marszrutę. Wiedzie prosto do dżungli Funmilajo.

Przez starą świątynię.

Z płaskim uderzam dłońmi o dębowy blat i wstaję od stołu.

– Wiem, dokąd idą! – Podbiegam do mapy i stukam palcem w płótno. – Tu jest prastara świątynia magów. Mogą tam wzmocnić swoje moce.

Na twarzy matki maluje się niepokój.

– Jeśli znajdą to, czego szukają, mogą stać się dla nas zbyt potężni.

– Chyba że przetniemy im drogę – mówię. – Jeśli faktycznie nadchodzą z gór, to mamy bliżej do świątyni. Wyruszymy jeszcze dziś wieczorem. Powinno się udać.

– Czy Wasza Królewska Mość jest gotów stawić czoło siostrze? – Ojore zadaje pytanie, którego nikt inny nie ośmielił się wypowiedzieć głośno.

Doradcy zerkają to na mnie, to na matkę, po czym uciekają wzrokiem.

Podchodzę do plakatów i przyglądam się twarzy Amari. Przypominam sobie, jak rzuciła wyzwanie ojcu, aby mnie ratować. Gdyby nie jej interwencja, pewnie bym wtedy zginął.

– Skłamałbym, mówiąc, że zrobię jej krzywdę. Ale nie zawaham się jej schwytać. Zwłaszcza że razem z rebeliantami stanowi zagrożenie dla królestwa.

Matka sznuruje wargi, ale z szacunkiem kiwa do mnie głową.

– Co z resztą? – pyta Ojore. – Staramy się ich zabić?

Jeszcze raz oglądam się na plakaty i tym razem mój wzrok zatrzymuje się na twarzy Zélie.

– Na razie skupmy się na tym, żeby ich unieszkodliwić – postanawiam. – Kiedy już będą w naszej niewoli, zastanowimy się nad odpowiednim wymiarem kary.

ROZDZIAŁ 33



AMARI

Wiatr rozwiewa mi loki. Mknijemy przez dżunglę na gepardonach, gęste pnącza smagają mnie po skórze, a i tak muszę poganiać swojego wierzchacza cuglami, aby nie zostawał w tyle.

Starsi pędzą co tchu, a najszybciej ze wszystkich jedzie Zélie. Mam przeczucie, że im bliżej do Chândomblé, tym bardziej zbliżamy się do zakończenia tej przeklętej wojny.

Myśl, Amari. Poganiając gepardona, rozważam w głowie dalsze scenariusze. Gdy tylko rebelianci zdobędą pergaminy, będą chcieli ruszyć do ataku. Walna bitwa rozegra się pod Lagos.

Jeśli okażą się wystarczająco silni, by pokonać moją matkę, raczej nie pozwolą mi objąć tronu. Prędzej zasiądzie na nim Zélie. Lecz jeśli nie dadzą rady matce...

Sama ta myśl uciska mi żołądek ciężkim kamieniem.

Jeśli okażą się zbyt słabi, matka zabije najpierw ich, a potem wszystkich pozostałych magów Oriszy.

Im dłużej się zastanawiam, tym więcej mam wątpliwości. Muszę zyskać szacunek rebeliantów. Namówić ich, żeby najpierw spróbowali zawrzeć rozejm. Gdyby pozwolili mi nawiązać kontakt z Inanem, moglibyśmy zejść z drogi wiodącej ku zagładzie...

– Amari!

Nagłący głos wyrywa mnie z rozmyślań. Mijam gromadę starszych, którzy zatrzymali swoje wierzchacze, i mknę dalej w gęstwinę.

– Èdà Oxosi, dàhùn ìpè mi! – rozlega się melodyjny głos Na’imy i wokół głowy mojego gepardona pojawia się różowa mgiełka.

Wierzchacz staje jak wryty. Z całej siły chwytam się jego sierści, by nie spaść.

– Na litość Oxosi, orientuj się! – Na’ima przyzywa gepardona z powrotem do grupy.

Czerwona ze wstydu zeskakuje na ziemię i dołączam do kręgu starszych.

– Co się dzieje?

Dakari unosi dłoń; kręcone włosy lepią mu się do spoconego czoła.

– Musimy zrobić postój. Mam wizję.

W milczeniu stoimy wokół Dakariego. W sanktuarium był zawsze pólnagi; dziwnie teraz wygląda w srebrzystej zbroi.

– Zróbcie mi trochę miejsca. – Odwraca się twarzą do drzewa. – O wiele łatwiej wejrzeć w przeszłość niż w teraźniejszość. Nie mogę się skupić, kiedy tak patrzycie.

Magowie odwracają się ze zrozumieniem. Ja też się odwracam, lecz nie mogę się powstrzymać, żeby od czasu do czasu nie zerknąć przez ramię.

Jasnowidz przywołuje swoją magię zaklęciem. Na rzadkich brwiach zbierają mu się krople potu. Srebrny blask aszê rozchodzi się wokół jego dłoni. Pomiedzy nimi powstaje okienko pełne gwiazd.

Inaczej niż wtedy, gdy Mama Agba spoglądała w przyszłość, wizja Dakariego nie objawia nam konkretnego momentu w czasie. Między jego dłońmi rozbłyskują i migoczą półprzezroczyste obrazy.

– Ní Sísè.ntèlé...

Ręce Jasnowidza zmieniają położenie jak igła kompasu. Gęsta zieleń dżungli Funmilajo niknie za kobiercem gwiazd. Mgła zasnuwa szmaragdowe drzewa. Gdy wizja dociera w końcu do świątyni w Chândomblé, obrazy są już tak niewyraźne, że ledwo widać na nich odbudowany most.

– Czy możesz sprawić, żebyśmy widzieli lepiej? – Mrużę oczy, wpatrując się w rozmazane sylwetki żołnierzy na polu bitwy.

– Mogę spróbować, ale im większa odległość, tym słabszy obraz.

Dodatkowa porcja aszê rozjaśnia dłonie Dakariego srebrnym światłem. Obraz powoli nabiera ostrości.

– Niech to szlag! – przeklina Zélie na widok żelaznego mostu w miejscu starej przeprawy. Łączy południowy stok naszej góry ze zboczem, na którym znajduje się świątynia.

Wejścia na most strzeże około trzydziestu żołnierzy, z czego blisko połowę stanowią tytani. Zaczynam obmyślać różne warianty taktyczne, lecz wszystkie te

plany rozsypują się w proch, gdy mój wzrok pada na drobną sylwetkę generałki stojącej przed wrotami Chândomblé.

– Zélie – odzywam się.

– Tak, widzę.

Ostre rysy matki są nie do pomylenia nawet pod złotą maską. Wiedziałam, że nasze drogi znowu się skrzyżują. Nie sądziłam jednak, że stanie się to tak szybko.

Inna rzecz, że skoro matka tu jest, być może Inan także przebywa gdzieś w pobliżu.

– Widzisz kogoś jeszcze? – pytam.

Dakari bez większego powodzenia stara się objąć swoją wizją szerszy obszar.

– Przykro mi. – Kręci głową. – Skoro jednak mostu pilnuje tyłu żołnierzy, to można spokojnie założyć, że obstawili cały teren świątyni.

– To na co czekamy? – Kenjon wkłada mieniący się czerwono hełm i rusza przodem. – Mniejsza o to, ilu ich jest. Spalę wszystkich żywcem.

– Kiedy ostatnim razem mieliśmy do czynienia z Nehandą, zwała nam na głowy wielki kamienny dach. – Biegnę za nim. – Może się okazać, że jesteśmy po prostu za słabi.

– Mów za siebie. Nie dam się pokonać jakiejś tytance.

– Z moją matką nie wygrasz na pewno! – Chwytam go za ramię. – Poza tym oni się nas spodziewają. Lepiej nie zdradzajmy się ze swoją obecnością.

– To co proponujesz, księżniczko?

Wszystkie oczy kierują się w moją stronę. Uświadamiam sobie nagle, że pierwszy raz magowie zwracają się o pomoc do mnie. Może to jest właśnie moja szansa.

Jeśli dobrze ją rozegram, zyskam wiarygodność w ich oczach i zapobiegnę niepotrzebnym ofiarom. Przy założeniu, że Inan jest w świątyni, wejście do środka może być jedynym sposobem na to, żeby z nim porozmawiać.

– Żołnierze na moście – mamrocę do siebie. – Pewnie drugie tyle wokół świątyni... – Klękam i rozrysowuję na piasku różne scenariusze. – Mam pomysł – oznajmiam.

– Dobry? – pyta Kenjon.

– To się okaże.

Ogniarz ciężko wzdycha, lecz nie ma wyboru. Pochyla się nad moimi rysunkami.

– No dobra, księżniczko. Słuchamy.

ROZDZIAŁ 34



ZÉLIE

Czekając, aż wszyscy zajmą pozycje, przesuwam kciukiem po bliznach na nadgarstku. Plan Amari wymaga sprawnego działania. Zabieramy ze sobą mniej niż połowę całej drużyny. Ale szykując się do odjazdu, myślę właściwie tylko o jednym.

Na tej górze jest parę dziesiątek żołnierzy.

Wśród nich może być Inan.

– Oju, dodaj mi sił – modłę się szeptem, zaciskając palce na nowych skórzanych cuglach Najli. Próbuję sobie przypomnieć to uczucie, kiedy trzymałam go z całej siły za gardło.

W tak niewielkiej odległości od świątyni trudno nie żyć przeszłością, nie wspominać dni, kiedy Inan mnie ścigał. Wtedy czułam jego obecność, była jak wiszący w powietrzu zapach letniego deszczu.

Teraz nie czuję nic.

– Zélie! – woła mnie z daleka Tahir, najpotężniejszy z naszych Spajaczy.

Ten albinos o jasnobrązowych oczach i perłowej skórze zawsze rzuca się w oczy. Choć ma dopiero czternaście lat, dzięki swoim talentom został Drugim Kâmarū. To jemu i Mamie Agbie rebelianci zawdzięczają unowocześnione zbroje.

– Zanim odjedziecie. – Rozsuwa mój składany kij, demonstrując jego nowy, ulepszony wygląd. Wypolerowany metal zyskał fioletowy odcień, dopasowany do koloru mojej zbroi Żniwiarki.

– Cudo – szepczę. – Udało ci się go zmodyfikować?

Tahir kiwa głową i naciska guzik pośrodku. Odskakuję na widok wysuwających się na obu końcach ząbkowanych ostrzy.

– Geniuszu! – Obracam kijem w powietrzu, zachwycając się kunsztem Tahira.

Młody Spajacz promienieje z dumy. Poprawia na czole zardzewiałe okulary ochronne.

– Cała przyjemność po mojej stronie, dostojna Zélie, naprawdę!

Kładę palec na wygrawerowanych z boku kija skrzyżowanych mieczach, starając się zaczerpnąć z nich siłę. Potem wbijam jeden koniec w piach i wyobrażam sobie, jak by to było zatopić ostrze w sercu Inana.

– Jesteś Wojowniczką Śmierci – dobiega mnie zza pleców głos Mâzelego. – Po co ci ta zabawka, na miłość Oi?

– Bo ktoś mi kiedyś wbił nóż w plecy – odpowiadam. – Jak go spotkam, to mu się zrewanżuję.

Mâzeli przestaje się uśmiechać, zaciska usta w kreskę. Spuszcza wzrok i zaczyna skubać ucho.

– Przepraszam. Ja nigdy nikogo nie zabiłem.

– Dlaczego za to przepraszasz?

Mâzeli wzdycha i drapie się po karku.

– Bo gdybym miał to za sobą, mógłbym ci pomóc. Nie bałbym się.

– Strach jest normalny. – Składam kij i zaczepiam go u pasa. – Wszyscy się boją. Ja też, nawet bardzo.

Mój Drugi mruży wielkie piwne oczy, jakby podejrzewał, że go okłamuję.

– Ale przecież jesteś Wojowniczką Śmierci.

– Jagunjagun to legenda – odpowiadam. – Prawdziwe jest zadanie, które nas czeka. – Choć Mâzeli przewyższa mnie o głowę, kładę mu ręce na ramionach. – Po prostu trzymaj się mnie. Nie pozwolę, by stała ci się krzywda. Jak będzie trzeba, przywołam na pomoc samą Oję.

Twarz rozjaśnia mu się w uśmiechu. Nie żeby moje słowa całkiem uwolniły go od strachu, ale widzę, że trochę się odprężył.

Kiedy wracamy do reszty, Mâzeli wzdycha głęboko i oznajmia:

– Ale wiedz, że kiedyś to ja będę chronił ciebie.

Uśmiecham się i tarmoszę go za wielkie uszy.

– Nie mogę się doczekać.

Stajemy w milczeniu za Nâo, która strzepuje dłonie i odchyła w bok ogoloną głowę, rozciągając wytatuowaną na karku lagbarę.

– Musisz się popisywać? – Chani unosi brew.

Nâo uśmiecha się szelmowsko i całuje swoją dziewczynę w piegowaty policzek.

– Nie udawaj, że nie lubisz na to patrzeć.

Wszyscy milczą, gdy Não zamyka oczy i szeroko rozkłada ramiona.

– Omi, tutù, omi mí. Omi wá bá mi...

Chłód przychodzi z tyłu, muska mój kark niczym podmuch zimy. Przebiega mi po ramionach i sływa na pierś. Wilgoć w powietrzu marznie i się rozprzestrzenia.

W ciągu kilku sekund rzadka mgiełka wokół nas gęstnieje w biały obłok. Jeży mi włosy na szyi.

– Tylko pomału – przypomina Amari. – To musi wyglądać naturalnie.

Não unosi ręce i przesuwa całun mgły na wschód. Rozpościera go nad przełęczą i obejmuje nim żelazną przepawę. Rozchylam gałęzie i patrzę, jak ściana bieli spowija naszych wrogów. Chwilę później Amari ściska mi ramię.

– Do dzieła.

Czas wlecze się niemiłosiernie. Wstrzymuję oddech, by nie robić hałasu. Mgła zgęstniała już do tego stopnia, że widzimy tylko na kilkadziesiąt centymetrów do przodu.

Drogę oświetla nam płomyk w dłoni Kenjona. W ośmioro zbliżamy się do urwiska. Kâmarū i Tahir idą z przodu, a grupę zamykają Jahi, Dakari i Amari.

– Wszystko w porządku? – pytam Mâzelego.

Potakuje ruchem głowy, lecz mocno zaciska opuszczone pięści. Oczy biegają mu na prawo i lewo, jakby w każdej chwili spodziewał się ataku.

Udaję przed nim, że dobiegające zewsząd trzaski deptanych gałązek nie robią na mnie wrażenia. Słyszemy cichy szmer zaklęcia Jahiego, który stara się tak manewrować wiatrem u naszych stóp, abyśmy kroczyli bezgłośnie.

– Tutaj? – szepcze Kâmarū.

Amari otwiera usta, żeby odpowiedzieć, lecz natychmiast je zamyka. Mocno ściskając rękę Mâzelego, wsłuchuję się w jęki mostu, od którego dzieli nas już tylko kilka metrów. Ktoś po nim chodzi.

– Teraz! – rzuca bezgłośnie Amari.

Kâmarū i Tahir łapią się za ręce. Spomiędzy złączonych dłoni sączy się zielonkawa poświata.

– Se ifé inú mi...

Słowa inkantacji rozgrzewają grunt pod naszymi stopami. Odgłosy kroków są coraz bliżej, ziemia zaczyna drżeć. Mâzeli ściska moją dłoń. Zapadamy się.

Nasza półka niczym naturalna winda osuwa się bezgłośnie w dół stoku. Wszystko to pod kontrolą Kâmarū. W miarę jak zjeżdżamy, mgła staje się nieco rzadsza i coraz lepiej widać przeświecające spod ziemi szmaragdowe światło.

– Nieba! – Amari oddycha z ulgą, gdy zatrzymujemy się w połowie urwiska.

Słyszymy kroki żołnierzy w górze, ale wciąż spowija nas mleczna mgła.

Tahirovi uginają się kolana, ledwie stoi. Kâmarū przytrzymuje go i pozwala mu się oprzeć o swoją żelazną protezę.

– Dobra robota. – Poklepuje swojego Drugiego po plecach. – Teraz odpocznij, poradzę sobie.

Ziemiowiec występuje do przodu, na jego ciemnej skórze lśni pot. Zaczyna monotonnie recytować zaklęcie.

Góra za naszymi plecami z wolna się rozsypuje, świetliste okruchy skał płyną w powietrzu obok nas. Prawie krzyczę, gdy Kâmarū robi krok w przepaść, lecz jasne bryłki natychmiast zbierają się pod jego stopą, by zapewnić jej oparcie.

– Nie wierzę... – Amari przygląda się temu osłupiała.

Kâmarū stąpa w powietrzu, świetliste grudki ziemi są oparciem dla każdego jego kroku. Tworzą lewitujące wysepki podobne do unoszących się na wodzie nenufarów. Tym sposobem Ziemiowiec po chwili dociera na drugą stronę przepaści.

– Teraz ty – zwraca się Tahir do Amari, która na dźwięk tych słów blednie jak płótno.

– Ale ja nie jestem Ziemiarką.

– Nie szkodzi. Korzystamy z inkantacji.

Tahir zaczyna recytować. Amari trzęsą się ręce. Nieśmiało zawiesza jedną nogę nad przepaścią, by sprawdzić, czy magia na pewno zadziała. Także tym razem grudki ziemi posłusznie zbierają się pod jej stopą.

– Nieba, miejcie mnie w swojej opiece – mamrocze pod nosem. Krok po kroku przemierza rozpadlinę, stąpając po świetlistych wysepkach.

Następny w kolejce jest Dakari. Kroczy śmiało z ramionami przyciśniętymi do boków. Kenjon ani razu nie spogląda w dół. Gdy Jahi dociera na drugą stronę, trącam Mâzelego.

– Chodźmy razem.

Ruszam na skraj urwiska, lecz Mâzeli stoi jak zamurowany.

– Pamiętasz, co ci obiecałam? – Ciągnę go za rękę. – Nic się nie bój.

Mâzeli przetyka ślinę, zaciska dłoń w pięści i rusza na palcach ku przepaści. Kładę mu ręce na barkach i podążam o krok za nim po lewitującej ziemi.

– Już prawie... – Głos zamiera mi w gardle, gdy nieopatrznie spoglądam w dół.

Dobrze pamiętam, jak runęłam w tę samą przepaść. Uratowała mnie wtedy magia Lekana. Na dnie wąwozu, wśród ostrych skał, leży ogromny szkielet. Chmary meszek żerują na gnijącym cielsku.

Widok tych znajomych rogów przyprawia mnie o skurcz żołądka. Przed oczami staje mi Lekan zrzucający wierzchacza Inana w czeluść.

Podrywam głowę do góry i krocę za Mâzelim, ściskając go mocno za ramiona. Ostatnio byłam bezsilna.

Tym razem będzie inaczej.

– Oi niech będą dzięki! – Mâzeli przywiera do zbocza góry i całuje kępkę mchu.

Stojący za nim Tahir nie może zapanować nad drzeniem nóg i upada na kolana.

– Przepraszam – mówi zdyszany. – Lepiej mi idzie z metalami.

– Świetnie się spisałeś. – Kâmarū pomaga mu wstać. – Nie masz za co przeproszać.

– Jak dojdiesz do siebie, wróć na tamtą stronę – instruuje go Amari. – Gdyby coś się stało i żołnierze próbowali przejść przez most, masz go zniszczyć.

Tahir zadziera głowę i marszcząc czoło, przygląda się żelaznej przeprawie jak architekt.

– A jeśli nie zdążycie wrócić?

– Nieważne – odpowiada Amari. – Jeśli znajdą resztę naszych, mogliby odnaleźć sanktuarium. Musimy je chronić za wszelką cenę.

Tahir wygląda na rozdartego, ale kiwa głową z szacunkiem. Kâmarū podbija mu pięść, a potem staje przodem do góry i zaczyna kolejny zaśpiew.

– O şubú lulè.. O şubú lulè....

Opuszki jego palców rozbłyskują szmaragdowym światłem. Przyciska je do poszarpanej skały, a ta zaczyna się kruszyć. Z wrażenia wstrzymuję oddech. Magia Kâmarū żłobi dziurę w skale.

Ziemiowiec rusza w głąb drażonego przez siebie tunelu. Amari trąca mnie łokciem. Kiwam głową i podążam za nim w ciemność.

Drażenie tunelu, nawet za pomocą magii, okazuje się mozolną robotą. Reszta drużyny zostaje nieco w tyle, żeby nie dreptać w miejscu. Też bym chciała poczekać, ale coś mnie ciągnie do Kâmarū. Udziela mi się jego spokój. Przyglądając się cierpliwiej pracy Ziemiowca, prawie zapominam o stojących na górze żołnierzach.

– Czy ty w ogóle potrzebujesz tych pergaminów? – pytam.

Kâmarū ogląda się i marszczy brwi, jakby nie rozumiejąc.

– Znasz już tyle inkantacji. – Wskazuję gestem jego rozświetlone dłonie, pod którymi twarda skała zamienia się w piasek.

– Mój ojciec był starszym naszego klanu – wyjaśnia. – Chciał, żebym poszedł w jego ślady. Zaczął mnie uczyć na wiele lat przed moimi dwunastymi urodzinami.

Uśmiecham się. Wyobrażam sobie małego Kâmarū bez tych grubych białych dredów i bez srebrnego kolczyka w nosie, trenującego dniami i nocami pod opieką ojca o równie skośnych oczach.

– Pamiętasz, czego cię uczył? – pytam. – Po tylu latach?

– Po Obławie ćwiczenie zaklęć było jedyną rzeczą, jaka mi po nim została.

Czuję ukłucie w sercu. Wyobrażam go sobie szepczącego wciąż te same inkantacje, ale już bez ukochanego ojca. Bez magii, która miała płynąć w jego żyłach.

– Byłby z ciebie bardzo dumny. – Potrząsam głową i poprawiam się: – Jest z ciebie dumny.

Piwnie oczy Kâmarū przybierają łagodny wyraz.

– Chcę w to wierzyć.

Brnąc w głąb skały, rozmyślam o innych magach i starszych – jak mogło wyglądać ich życie przed Obławą. Mâzeli już mi powiedział, że monarchia odebrała mu rodziców. I że jego siostra Arunima umarła z rozpacz.

Ziemiowiec napotyka moje spojrzenie i posyła mi uśmiech tak jasny, że robi mi się słabo. Pierwszy raz dociera do mnie, że jego też mogę stracić.

– Nie przeraża cię to? – pytam go szeptem. – Że los tylu osób spoczywa na twoich barkach?

Kiwa głową.

– Pewnie, że tak. Myślę o tym każdego dnia. Ale ten strach dodaje mi siły.

Znów się uśmiecham. Chciałabym mieć w sobie tyle determinacji. Za to kiedy już odnajdziemy te pergaminy, będę mogła nauczyć moich Żniwiarzy, jak mogą się bronić. I jak atakować.

Zaciskam palce na kiju i wyobrażam sobie twarz Inana. Może kiedy on i jego przeklęta matka zginą, magowie w końcu poczują, co to wolność.

– Jesteśmy – oznajmia Kâmarū.

Ostatnie kamyki lądują na ziemi, odsłaniając metaliczną skałę. To musi być ściana świątyni, nie widzę innej możliwości. Amari nas dogania i czekamy na resztę. Na razie wszystko idzie zgodnie z jej planem, ale nie wiadomo, co nas spotka po drugiej stronie.

– Gotowi? – zwraca się do pozostałych.

Wszyscy kiwają głowami.

Amari zamyka oczy. Niemal czuję, jak się modli.

– No dobra. – Wzdycha. – Idziemy po te pergaminy.

ROZDZIAŁ 35



AMARI

Gdy Kâmarū wreszcie przebija się przez ścianę świątyni, wszyscy oddychają z ulgą. W długich i wąskich kamiennych korytarzach Chândomblé nasze kroki odbijają się echem. Kiedy byłam tu ostatnio, świątynia sprawiała wrażenie żywej; powietrze dosłownie drgało od magii. Tym razem drży cała góra. Podobnie jak nowa moc w moich żyłach.

– Niesamowite. – Mâzeli dotyka ściennych pochodni w złotych uchwytach. Same się zapalają, gdy się zbliżamy, jakby zapraszały nas, abyśmy weszli dalej.

W korytarzach wciąż niesie się echo miarowego kapania. Chwilami zdaje mi się, że słyszę rytmiczny stukot Lekanowego kostura. *Dziękuję*, zwracam się do jego ducha.

Bez jego poświęcenia nie odzyskalibyśmy magii.

– Którędy teraz? – pytam Dakariego, który wiąże sobie kędzierzawe włosy.

– Rozluźnij ręce – mamrocze Jasnowidz sam do siebie. – Poczuj ciężar czasu.

Oczyrna wyobraźni widzę u jego boku Mamę Agbę szepczącą instrukcje, które teraz powtarza.

– Bàbá olójó – zaczyna recytować. – Se àfihàn àsìkò...

Tym razem jego magia przybiera postać srebrnych iskier, jak przy uderzeniu krzesiwem o krzemień. Nagły chłód, który zdaje się ulatywać w okienko między jego dłońmi, podnosi mi włosy na karku.

Srebrne iskry wiją się jak dym, dając początek ciemności, która szybko rozlewa się poza dłonie Dakariego. Patrząc z zapartym tchem, jak długi korytarz wypełnia się setkami gwiazd.

– Jakie to wielkie – szepczę do Zélie. – Dużo silniejsze niż ostatnim razem.

– To świątynia tak działa – wyjaśnia. – W tych murach nasza magia przybiera na sile.

Plamki światła rozszerzają się jedna po drugiej; każda stanowi okno z widokiem w przeszłość. Szeroko otwartymi oczami, z nadzieją w sercach, patrzymy, jak pierwsza gwiazda rośnie i przybiera kształt dwóch sêntaro idących za rękę.

– Bàbá olójó, se àfihàn àsìkò...

Magia Dakariego maluje przed nami mozaikę wspomnień ludzi, którzy tędy przechodzili. Dwaj sêntaro z białymi znakami na ramionach mijają nas niczym duchy. Dakari wygasza kolejne obrazy, pozostawiając tylko jeden.

Patrzymy z podziwem na Mamalawę w ozdobnym zawoju. W odróżnieniu od swoich sióstr i braci spowita jest w elegancką tkaninę, która niczym ciekłe srebro opływa jej ciemną skórę. Robię krok do przodu, by lepiej się przyjrzeć, lecz obraz się rozwiewa. Dakari wciąż recytuje i Mamalawa znów się pojawia kilka metrów przed nami.

– Ona pokaże nam drogę do biblioteki – tłumaczy Zélie.

Ruszamy gęsiego za Jasnowidzem. Jego magia wyławia okruchy przeszłości, które wiodą nas przez podziemny labirynt świątyni.

– Poznaję to. – Zélie kładzie dłoń na znaku serca wykutym w szarym kamieniu.

– Jesteśmy blisko. – Dakari wskazuje na schody prowadzące do góry. – Jeśli mam rację, biblioteka jest tuż-tuż...

Nagle słysząc brzęk podkutych butów. Stajemy jak wryci. Na schodach majaczą trzy cienie, trzy ludzkie sylwetki rosnące z każdą sekundą.

– Odwrót – mówię cicho i zaczynam się prędko cofać w dół schodów.

Reszta też się wycofuje, ale w pośpiechu wpadają na siebie, a Mâzeli traci równowagę.

– Łapcie go! – mówię szeptem.

Zélie wyciąga rękę, ale za późno. Mâzeli z hukiem ląduje na kamiennych płytach.

Brzęczące kroki w jednej chwili cichną.

– Generałko Dżokôje? – odzywa się głos. – Czy to pani?

Żołnierz zstępuje na dół z pochodnią. Jej blask oświetla nam twarze.

Przez moment stoimy nieruchomo jak posągi. Dopiero gdy żołnierz sięga po róg, otrząsam się i krzyczę:

– Biegiem!

Rzucam się w przeciwnym kierunku, a magowie za mną.

– Dokąd? – woła Zélie.

– Nie wiem! Z dala od nich!

Z walącym sercem biegnę przodem. Odgłos rogu niesie się echem po kamiennym korytarzu. Niedługo potem dołączają do niego kolejne przenikliwe tony.

Z każdym krokiem oddalamy się od pergaminów. Jeśli Inan z matką się nas spodziewali, to pewnie domyślają się, po co przyszliśmy. Czyżbyśmy niechcący zaprowadzili ich pod same drzwi biblioteki?

Skup się, Amari.

Brzęczące kroki za nami rozlegają się coraz liczniej. Zbiegamy po kolejnych schodach. Skręcam za róg i zatrzymuję się gwałtownie na widok zmierzającego w naszą stronę oddziału.

Paru żołnierzy ma na sobie złote zbroje tytanów, a gdy dostrzegam błysk granatowej aszê, cierpnie mi skóra. Ci żołnierze są Konektorami jak ja.

– Schowajcie się za mną! – rozkazuję rebeliantom.

Widząc niebieskie światło wokół mojej dłoni, magowie cofają się bez wahania. Moim zamiarem jest pojedynczy atak, lecz korytarzem przetacza się potężna fala.

Żołnierze wyją z bólu, chwytają się za głowy, upadają na kolana. Z jakiegoś niepojętego dla mnie powodu siła mojej magii rośnie w obecności tytanów.

Wbiegamy na kolejne schody, choć nie wiem, dokąd nas zaprowadzą. Na szczycie Dakari zatrzymuje się zdyszany i spogląda w głąb wyjątkowo długiego korytarza.

– Tędy! – woła do pozostałych.

Parę chwil później korytarz ostro skręca – i kończy się ślepo.

– Czekaście! – Kładę dłonie na żelazistej skale. Nawet bez magii Dakariego pamiętam, że kilka miesięcy temu Lekan stał właśnie tutaj. – Jesteśmy na miejscu! – wołam. – Pergaminy są za tą ścianą!

– Nie mamy czasu. – Zélie próbuje mnie chwycić za ramię, ale jej się wymykam.

– Jesteśmy już bardzo blisko! Nie możemy teraz zrezygnować!

Żołnierzy słyszeć coraz bliżej. Kâmarū dołącza do nas i kładzie drżące ręce na kamieniu, ale choć dłonie mu się świecą, nie potrafi go skruszyć. Nie wiem, czy to dlatego, że nie ma takiej mocy, czy po prostu jest zbyt wyczerpany.

– Musimy zyskać dla niego więcej czasu! – Obracam się w stronę nadbiegających żołnierzy.

Dasz radę, myślę sobie. Pokonałaś Ramaję. To tylko ludzie.

Magia budzi się w mojej piersi, rozlewa się szumiąco aż po czubki palców. Myślę o igle i młocie; nie wiem, czego będę potrzebowała bardziej.

– Ya èmí, ya ara! – recytuję gładko.

Gdy jednak pierwszy żołnierz wyłania się zza rogu, serce we mnie zamiera.

Nieba...

– Inan?

ROZDZIAŁ 36



ZÉLIE

Nagle nie mam czym oddychać, jakby w świątyni zabrakło tlenu.

Wszystkie dźwięki cichną.

Jestem tylko ja i on.

Zmuszam się, żeby poczuć gniew, który rozbudziłam w sobie podczas naszego ostatniego spotkania we śnie. Chcę zrobić użytek z nowych ostrzy ukrytych w moim kiju. Ale kiedy patrzę na małego księcia, płuca mi się zatykają, jakbym oddychała błotem.

– Inan? – pytanie Amari odbija się echem w pustce mojego umysłu.

Inan kieruje wzrok na siostrę.

Potem jego spojrzenie pada na mnie.

Uciekaj, słyszę w myślach własną groźbę. Módl się.

Sięgam po kij, lecz Inan stoi tak blisko, że prawie drzę na wspomnienie jego paznokci muskających moją nagą skórę.

Nie dane nam jest długo się w siebie wpatrywać. Zgrzyt dobywanych mieczy przywołuje nas do rzeczywistości.

– Nie atakować! – woła Inan, lecz za jego plecami już narasta ciemność.

Generałka z białym kosmykiem w długim warkoczu wstrzymuje chmurę majacytowego gazu.

Żołnierze się zatrzymują, ale wtedy pojawia się Nehanda. Wskazuje nas palcem i krzyczy:

– Zabić wszystkich rebeliantów!

– Matko, nie! – krzyczy Inan, lecz nie może nic zrobić.

Generałka już wyrzuca dłonie przed siebie i tworzy ścianę ciemnego powietrza. Czarna chmura majacytu sunie korytarzem niczym kula armatnia, wprost na nas.

– Atégùn Òrìsà! – Jahi rzuca się do przodu, ramiona otacza mu błękitna poświata. Z jego wyciągniętych rąk wypada cyklon.

Wyjący wiatr zdmuchuje trujący obłok i odrzuca żołnierzy do tyłu. Uczepiony ściennej pochodni Inan wymachuje nogami w powietrzu. Nawet generałka nie jest w stanie oprzeć się podmuchowi wiatru.

– Zélie, potrzebujemy cię! – Amari z rozwianymi włosami chwyta mnie za nadgarstki, po czym kładzie moje dłonie na kamiennej ścianie.

Jak przez mgłę przypominam sobie identyczny gest Lekana.

Błagam. Próbuję się skupić w tym chaosie. *Lekan, ràn mí lówó. Musimy się dostać do środka!*

Czuję, że ściana zaczyna lekko drgać, ale nic poza tym. Czegoś brakuje. Sama nie dam rady.

Zmienne podmuchy wiatru rozwiewają mi włosy.

– Długo ich nie zatrzymam! – woła Jahi.

Do generałki dołączają kolejni tytani, każdy dmie powietrzem w naszą stronę.

Pod ich naporem cyklon Jahiego zaczyna słabnąć. Palce mi drżą, gdy widzę, że Inan znów staje na nogach. Zza rogu wyłaniają się złoci tytani Nehandy. Królowa unosi ręce.

Lekanie, błagam! Wiem, że nadal tu jesteś. Przyciskam czoło do rozgrzanej skały. *Mo nílò irànlówó re.. Wá bá mi báyì...*

Fala gorąca zniecka przebiega mi po karku. Patrząc w osłupieniu na swoje tatuaże: zaczynają świecić. Złoty blask dociera do koniuszków moich palców i rozpala ścianę, aż ta pęka.

– Szybko! – Wpycham Mâzelego do biblioteki.

Gdy ściana rozstępuje się nieco szerzej, reszta magów podąża za nim. Ostatni wchodzi tyłem Jahi, chwilę po tym, jak cyklon znika bez śladu.

– Zatrzymać ich! – woła Nehanda.

Żołnierze biegną w naszą stronę. Kładę dłonie na skale. Ściana drży, otwór powoli maleje. Kręci mi się w głowie.

Pierwszy z żołnierzy nadbiega z wyciągniętym mieczem. Amari w ostatniej chwili odciąga mnie od szczeliny.

Zamykająca się ściana odcina mu rękę, jakby to był kawałek drewna.

Patrzymy ze zgrozą, jak urwana kończyzna upada na podłogę biblioteki. Opryskana krwią dłoni wciąż ściska rękojeść miecza.

Nogi się pode mną uginają i padam na kolana. Jestem cała zlaną potem.

Udało się. Jesteśmy w środku.

Tylko jak, na miłość Niebiańskiej Matki, mamy się stąd wydostać?

ROZDZIAŁ 37



INAN

Czuję się tak, jakby mój duch zawisł nad ciałem. Ilekroć widzę Zélie, czas się zatrzymuje.

Może tak będzie zawsze.

Przesuwam dłońią po niepozornej ścianie; w miejscu, w którym się rozwarła, nie pozostał nawet ślad. Niewątpliwie zadziałała tu jakaś magia, lecz trudno mi to przeanalizować, kiedy wciąż nie mogę dojść do siebie.

Ona tu jest...

Powinienem się jej bać. Jednak teraz, gdy dzieli nas tylko ściana, kotłują się we mnie słowa, niedokończone zdania z niedokończonych listów.

Sądziłem, że wszelka więź, jaka nas łączyła, została przerwana. Nieodwracalnie zniszczona. Ale ten wzrok, którym na mnie spojrzała...

Nieba.

Tak dawno nie czułem jej morskiego zapachu.

– Wasza Królewska Mość! – Nadbiega Dżokôje, a za nią matka z Ojorem.

Na ich widok zaczyna mnie piec blizna. Po tym, co się tutaj wydarzyło, będą chcieli pójść za ciosem.

Byłem gotów do ataku, ale kiedy ujrzałem Amari i Zélie, rozkazy zamarły mi na ustach. Nie wiem, co dalej.

Nie wiem, kogo mam chronić.

– Wszystko w porządku? – pyta zdyszana Dżokôje.

– Nic mi nie jest – potwierdzam. – Ale rebelianci dostali się do środka.

– Otoczyć to miejsce – zwraca się Dżokôje do żołnierzy. – Skoro wydrążyli tunel, mogą znów spróbować. Czidi, zajmij się Emeką. Zabierzcie go do medyka.

Patrzę, jak dwaj żołnierze podnoszą towarzysza, który stracił przedramię. Biedak wyje z bólu, jego wrzaski wbijają się w uszy jak noże. Mocno ściskam w rękę

brązową monetę.

Siedmioro rebeliantów zmiotło kilkudziesięciu naszych wyborowych. Zostało nam tylko czterdziestu żołnierzy. Nie wiem, czy w ogóle damy im radę.

– Ściągnijcie całe nasze siły! – woła Dżokôje. – Chcę tu widzieć wszystkich tytanów co do jednego.

– Macie ich zabić! – krzyczy matka. – Żadnej litości.

– Generałko, nie tak szybko – interweniuje, bo nie chcę, aby te rozkazy wcielono w życie. – Nadal oczekuję od was, że weźmiecie rebeliantów żywcem.

– Z całym szacunkiem, Wasza Królewska Mość, łagodne obchodzenie się z wrogiem to luksus, na który nas nie stać. – Dżokôje wskazuje gestem w głąb korytarza, na krew moich żołnierzy.

W kącie medyk opatruje tego, który stracił rękę. Chłopak dostał już środki znieczulające, a mimo to jego żałosne jęki niosą się daleko.

– Rozumiem twoją rozterkę, królu – dodaje generałka. – Ale rebelianci sami położyli swoje życie na szali, tak bardzo zależało im na zawartości tej biblioteki.

– To prawda, Inanie. – Matka chwyta mnie za ramię. – Oni nie mogą zdobyć tych pergaminów. Staną się wtedy zbyt potężni.

Skurcz w brzuchu przeszywa mnie takim bólem, że muszę się oprzeć o ścianę. W głębi duszy wiem, że obie mają rację. Nie mogę pozwolić, aby rebelianci wyszli stąd żywi.

Obowiązek nade wszystko, słyszę w myślach głos ojca. Królestwo nad króla.

Tylko że ostatnim razem wybrałem jego, króla i Oriszę, podczas gdy Amari i Zélie postawiły wszystko na mnie.

– Jeśli tutaj zginą, wojna tylko się zaostrzy, a my nigdy nie odnajdziemy ich bazy. Weźcie ich żywcem. – Zwracam się do Dżokôje. – To rozkaz, generałko. Nie sugestia.

Dżokôje zamyka powieki. Prawie słyszę, jak gryzie się w język.

– Żołnierze, eskortujcie króla na tyły. Nie chcę, żeby tu był, kiedy ściana się otworzy. – Łapie się za warkocz i przez chwilę maca białe kosmyk. Potem kładzie rękę na krzywej powierzchni. – Pojmiemy rebeliantów. Bądźcie gotowi. Tędy weszli i tylko tędy mogą wyjść.

ROZDZIAŁ 38



ZÉLIE

Kenjon wali pięściami w ściany biblioteki. Huk tych uderzeń rozchodzi się po metalowych regałach. Ogniarz wali bez przerwy, aż w końcu Kâmarū chwytą go za ręce.

– Weź się w garść! – krzyczy. – Jeżeli puszczą nam teraz nerwy, nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Kenjon wyrywa mu się i znów uderza pięścią o ścianę.

– W ogóle nie powinniśmy tu być!

Dobrze wiem, że pod tym gniewem kryje się strach. Wszyscy się boimy. Chcę coś powiedzieć, ale trudno pozbierać myśli, gdy coś tak dzwoni w uszach. Nie wiem, czy to dlatego, że widziałam Inana, czy zwyczajnie udzieliło mi się całe to podniecenie. Dotykam ręką tatuaży na szyi. Nadal są gorące.

– Jahi! – woła Dakari.

Obracam się i widzę, jak Tajfun upada na ziemię, trzęsąc się z wyczerpania. Cyklon kosztował go wiele sił. Dakari klęka przy nim.

– Ta tytanko... – dyszy Jahi. – Widzieliście, jak się ruszała...

Kręcę głową. *Bogowie.*

Jesteśmy zgubieni.

– Mâzeli, wszystko w porządku?

Mój Drugi nadal stoi przed zasklepioną ścianą. Obok na ziemi leży skrwawiona ręka żołnierza.

– Nie martw się. – Ocieram mu z policzka plamkę krwi, a jego samego odwracam w przeciwnym kierunku. – Wydostanę nas stąd. Obiecuję.

Dotykam palcami całkiem już ostygłej ściany. Gdy przykładam do niej dłoń, czuję mrowienie. Podobnie moja skóra reagowała na dotyk Inana.

– Słyszałaś, co powiedział Inan? – pyta Amari drżącym głosem. – Żeby nie atakowali...

– Ten drań przyprowadził tutaj pół armii! – przerywa jej Kenjon. – Nie przyszedł się z nami układać!

– Przestańcie! – Wysoki głos Mâzelego wzbija się ponad inne. Ręce wciąż mu się trzęsą, lecz stoi twardo i patrzy takim wzrokiem, że zapada cisza. – Weszliśmy tutaj na przekór wszystkiemu. Znajdziemy sposób, żeby się wydostać. Musimy tylko trzymać się razem i zebrać te pergaminy!

Rozglądamy się po świętej bibliotece. Ostatnio kiedy tu byłam, Tzain niósł mnie na ramieniu, a świeżo przebudzona magia zagłuszała mi wszystkie inne zmysły. To, co wzięłam wtedy za ściany ze złota, okazuje się dziwną połyskliwą substancją, z którą nigdy nie miałam do czynienia. Sala tonie w łagodnym pomarańczowym blasku, jakby ktoś połączył kolor zachodzącego słońca ze szklistym kamieniem.

– Gdyby mój ojciec mógł to zobaczyć... – Kâmarū siada na ziemi i cicho gwizdże.

Otoczające nas regały sięgają aż do sklepienia. Półki są zastawione cienkimi kolorowymi zwojami.

Mâzeli przygląda się regałowi z mądrością Żniwiarzy. Przesuwa dłońią po pustych miejscach, w których znajdowały się pergaminy podarowane mi przez Lekana. Mimo tych braków mamy przed sobą dziesiątki zaklęć.

Dzięki tym zwojom rebelianci mogliby stać się siłą nie do powstrzymania.

– Kâmarū. – Amari z miną pełną troski klęka obok Ziemiowca, który trzyma rękę na falującej piersi i spogląda zamglonym wzrokiem. – Czy kiedy już dojdiesz do siebie, zdołasz się przebić przez tę substancję?

Kâmarū kręci głową.

– To nie jest ziemia ani metal. Nigdy się z czymś takim nie zetknąłem.

Amari rozgarnia zwichrzone włosy. Zwraca się do Dakariego:

– Czy za pomocą tego samego zaklęcia mógłbyś znaleźć drogę do głównego wyjścia?

– Chyba tak – ostrożnie odpowiada Jasnowidz. – Ale z tyloma żołnierzami może być trudno...

– Nimi się nie przejmuj – ucina Amari. – Napakujcie do toreb tyle zwojów, ile się zmieści! Kenjon, ty spalisz resztę.

– Amari, nie wolno ci! – Gdy do niej dopadam, jeszcze głośniejszym głosem zaczyna mi dzwonić w uszach. Moje tatuaże szemrzą na jej widok. Obraz rozmywa mi się przed

oczami. Potrząsam głową. – To święte inkantacje – wyjaśniam. – Dzieje naszego ludu, które zostaną na zawsze utracone!

– Jesteśmy na wojnie. – Na moje porywcze słowa Amari odpowiada chłodnym spojrzeniem. – A to jest broń. Naprawdę chcesz pozostawić te święte zaklęcia w rękach monarchii?

Jej słowa bołą, lecz trudno się z nią nie zgodzić. W uroczystym milczeniu przyglądamy się setkom pergaminów, po cichu rachujemy, ile z nich będzie musiało spłonąć.

– Skąd mamy wiedzieć, które zabrać? – pyta Mâzeli.

– Weźcie po tyle samo zwojów dla każdego z klanów – odpowiada Amari. – Nie tylko dla tych, które są wśród nas. Wszyscy magowie będą potrzebowali nowej broni.

Zdejmuje z ramienia skórzaną sakwę i podchodzi do regału Konektorów. Już sięga po zwoje, ale zatrzymuje się, gdy dociera do niej, że wszyscy inni stoją w miejscu.

– Na co czekacie? – Zatacza dłonią półkole. – Pakujmy zwoje i uciekajmy stąd!

Choć kilka osób wyraźnie się do tego nie kwapi, stanowczość Amari uspokaja nerwy. Jedno po drugim bierzemy z niej przykład i napelniamy sakwy, tak jakby za ścianą nie było żołnierzy.

– Rozumiem, że masz porachunki z Inanem, ale dzisiaj ich nie wyrównuj – zwraca się do mnie Amari. – Jeśli nie dla mnie, to przez wzgląd na Mâzelego. Wydostanie nas stąd będzie od ciebie wymagało całkowitego skupienia.

Zaciskam zęby i ją omijam. Zmierzam na środek biblioteki. Jak śmie dyktować, co mi wolno, a czego nie?

Nieważne, że za sprawą bliskości Inana moje serce tłucze się w piersi jak uwięziony koliber. Gdy ściana znów się rozewrze, muszę zadać mu śmiertelny cios. Nie mam wyboru.

– Zélie, daj mi słowo! – Amari chwyta mnie za ramię. Od jej dotyku całe pomieszczenie zaczyna wirować.

Opieram się o najbliższą półkę, żeby nie upaść. Pot leje się ze mnie wiadrami.

– Wszystko w porządku?

Próbuję skinąć, lecz głowa pęka mi z bólu. Kolana się pode mną uginają i lecą do przodu, a moje tatuaże lśnią złotym światłem.

– Zélie! – woła Amari.

Wokół robi się tłoczno, ale oślepią bólem nie widzę, kto nade mną stoi. Tatuaze palą mnie jak gorące żelazo.

Moja skóra się dymi, ciało się trzęsie, tatuaze świecą. Odruchowo sięgam rękoma do gardła. Słoneczne ściany biblioteki w jednej chwili gasną i robi się ciemno.

Potem nieruchome sylwetki magów zalewa eksplozja światła z moich ust.

Jasny snop wyskakuje z nich jak wąż z klatki. Owija mi się wokół głowy. Tracę oddech.

Powietrze zaczyna wirować. Odrzuca wszystkich na ściany. Amari wpada na regał z taką siłą, że cała konstrukcja przewraca się na ziemię.

– Jagunjagun! – woła Mâzeli.

Snop złotego światła zmienia wszystko dookoła. Biblioteka tonie teraz w granatach i fioletach, jakby przez szkliste ściany wdzierą się do niej noc. W powietrzu rozbłyskują niezliczone gwiazdy.

Moje żebra rysują się czarno na tle złotego blasku, który rozświetla mnie od wewnątrz. Plecy wyginają się w łuk, a stopy odrywają od ziemi.

– Czeka! – Amari wstaje i biegnie w moją stronę. Wskakuje na przewrócony regał.

Złoty blask wylewa mi się z oczu.

Amari wyciąga do mnie rękę, ledwie jednak nasze palce się stykają, kobaltowy błysk rozświetla jej klatkę piersiową.

– Zélie, co się dzieje?! – krzyczy, wymachując nogami w powietrzu. Mimo woli zawisa obok mnie, jakby uniesiona przez niewidzialną rękę.

Kosmiczna energia wypełnia przestrzeń między nami wstęgą kolorowego dymu. Pod wpływem dotyku Amari nawiedza mnie tysiąc głosów. Nie słyszałam ich od czasu świętego rytuału.

Àwa ni omo re nínú èjè àti egungun!

A ti dé! Ìkan ni wá...

Huk inkantacji wypełnia mi głowę, w uszach słyszę bicie dziesiątek serc. Tętnią coraz mocniej, coraz szybciej. Moje tatuaze rosną w oczach. I wtedy dostrzegam kobaltową wstęgę światła wypływającą z piersi Amari.

Wytrzeszczam oczy. Przypomina mi się moja *isípayá* i kolorowy splot różnych nitek energii. Teraz mam przed sobą podobny widok, z jedną różnicą: aszê Amari ma

jednolity granatowy kolor.

Kobaltowe wstęgi przeplatają się w powietrzu między nami, tworząc kulę mocy. Jej potężne błyski rozświetlają całe pomieszczenie. Granatowa aszê sypie skry wokół sylwetki Amari. Rozświetla jej bursztynowe oczy...

Potem nagle wszystko znika.

Przeszywa mnie fala bólu i upadam ciężko na ziemię. Amari ląduje nieopodal wśród niebieskich błyskawic.

Z jękiem chwytam się za ramię i przewracam na bok. Biblioteka na powrót wypełnia się łagodnym pomarańczowym światłem.

– Jagunjagun! – Mâzeli podbiega do mnie. – Nic ci nie jest?

Wszystko znowu wygląda po staremu. Ani śladu chaosu, który przed chwilą tu rozpętałam.

– Co to było? – pyta Dakari.

– Nie wiem. – Kręcę głową i spoglądam na swoje świecące tatuaże. Wcześniej miałam je tylko na szyi, teraz złote zawijasy pokrywają mi ramiona. Czuję też ich gorąco na całych plecach.

Patrzę, jak świecą, i słyszę w głowie dudnienie serc wszystkich obecnych. Im głośniej biją, tym wyraźniej widzę aszê poszczególnych magów przeświecającą im przez skórę.

– Bogowie...

Mrugam oszołomiona widokiem. Aszê krąży w żyłach moich towarzyszy niczym krew, wędruje ustalonym torem po całym ciele. Pod sercem Kâmarū szmaragdowe światło migocze jak płomyk. Fioletowy blask rozświetla ciemną skórę Mâzelego. Gdy jednak mój wzrok pada na Amari, nie wierzę własnym oczom.

Jej ręce i nogi jarzą się granatowo niczym pochodnie.

– Co się tak patrzysz? – pyta.

Zdumienie odbiera mi mowę. Aszê promieniuje gwiazdźście od jej serca, które aż czernieje od mocy. Jak Amari mogła przeżyć dwa miesiące z taką ilością aszê? Gdybym wiedziała, nie dałabym jej nawet dwóch minut życia. Łapię ją za rękę i znów rozniecam w niej granatowy blask.

– Co ty mi robisz? – pyta szeptem, gdy światło dociera do jej oczu. Kobaltowe fale wnikają w szkliste ściany. Jej magia znowu wzbiera.

Biblioteka się zmienia. Myślę o wstęgach granatowego światła, które otaczały Amari. O wizji, którą Oja przedstawiła mi podczas *isípayá*. Wtedy nie wiedziałam, co to jest, rozumiałam tylko, że ten świetlisty splot skrywa potężną moc.

Puszczam dłoń Amari i zwracam się do pozostałych starszych. W jednej chwili wszystko zaczęło mieć sens. Już się domyślam źródła potęgi Nehandy.

– Oja pokazała mi to samo podczas wyniesienia – mówię drżącym głosem. – Chyba wiem, jak pokonać królową.

ROZDZIAŁ 39



AMARI

– Nie rozumiem.

Mâzeli dotyka dłoni Zélie, lecz nic się nie dzieje. Również dotyk Kenjona, Jahiego i Kâmarū nie wywołuje żadnej reakcji. Jej tatuaże z wolna gasną.

Za to gdy znów dotyka mojej dłoni, rozpala we mnie kobaltowy płomień. Kładę rękę na mostku i czuję drżenie wzbierającej magii.

– Widzę ją – mówi Zélie. – Twoją aszê. Roztaczasz ją wokół siebie za trzech. – Przygląda mi się uważnie. Widzi coś, czego reszta nie dostrzega. – Myślę, że potrafisz wchłaniać magię tytanów, tak jak twoja matka.

– Co? – Mrużę oczy. To jakiś nonsens. Widziałam, jak matka się porusza, jak rzuca zaklęcia. Ani razu nie zdołałam się nawet zbliżyć do jej poziomu. – Zélie, przecież widziałas mnie na tym wzgórzu – mówię. – Moja magia tak nie działa.

– Skąd wiesz? Do tej pory prawie nie miałaś kontaktu z innymi tytanami. – Zaciąga mnie pod ścianę, przez którą weszliśmy, i otwiera mi dłonie. – Kiedy na wiecu Nehanda nas zaatakowała, tytani stali wokół niej. Wessała ich magię rękoma.

Już chcę cofnąć dłoń, gdy nagle wyczuwam coś za ścianą. Dreszcz magii przenika mnie na wskroś.

– Czujesz? – pyta Zélie.

Nie wiem, czy mogę odpowiedzieć twierdząco. Gdy dociskam dłonie do ściany, do moich uszu dociera odległy stukot wielu serc.

Trzy... cztery... pięć... Staram się je policzyć. Im bardziej się skupiam, tym głośniej biją.

– Przynajmniej spróbuj. – Zélie kładzie mi dłonie na plecach.

Granatowy blask rozświetla moją klatkę piersiową, sączy się z oczu. Przybiera na sile, aż wszystko wokół nabiera niebieskiego odcienia. Oddycham głęboko i kolejno skupiam uwagę na sercach bijących za ścianą.

– To działa – mówi Zélie półszepem. – Widzę, jak magia w tobie narasta.

Skóra zaczyna mnie piec, opuszki palców skrzą się granatowym światłem. Zaciskam zęby.

– Jeszcze troszkę – dopinguje mnie Zélie. – Otwórz dłonie.

Rozcapierzam palce i dławię w sobie okrzyk.

Zza ściany przenikają do biblioteki cienkie smużki niebieskiej aszê.

– Nieba... – Cofam się o krok i patrzę na strumień magii płynący do moich dłoni. Skóra mnie od niego szczypie, ale jest w tym bólu coś ciepłego. Przyjemnego wręcz.

– Nie mieści mi się to w głowie – szepcze Kâmarū. – Że ktokolwiek, mag albo tytan, może posiadać taką zdolność.

– One nie są tytankami – wyjaśnia Zélie. – Oja próbowała mi to powiedzieć. Potrafią wchłaniać moc tytanów, którzy mają ten sam rodzaj magii. Są jakby... – Zélie wymyśla dla nich nową nazwę. – Cênterami.

– Nieba! – przeklinam, gdy dociera do mnie, co to oznacza. – Jeśli jestem jak moja matka...

– No właśnie – podchwytuje Zélie. – Mając odpowiednią liczbę tytanów Konektorów, możesz ją pokonać, tak jak pokonałaś Ramaję.

Przyglądam się światłu, które otacza moją dłoń, migocząc na skórze jak płomyk. Nie wiedziałam, jak pokonać matkę. Jak zyskać przewagę, która pozwoli mi zakończyć wojnę. Teraz widzę przed sobą drogę do zwycięstwa. Drogę do tronu. Od początku nie potrzebowałam własnej armii ani magów.

Wystarczy mi mój dar.

Zaciskam pięść i spoglądam na ścianę. Wyobrażam sobie żołnierzy po drugiej stronie. Próbuję przewidzieć ich następny ruch i wymyślić sposób na odparcie ataku.

– Czy możemy znów otworzyć to przejście? – pytam.

Zélie kiwa głową.

– W takim razie dokończcie zbieranie pergaminów. Mam nowy plan.

– Wszyscy gotowi?

Kiwają głowami, lecz widzę, że się denerwują. Zélie staje przy ścianie i omawiamy ostatnie szczegóły. Kenjon ustawia się po jej drugiej ręce.

Wydostaniesz się stąd. Na przemian zaciskając i rozwierając pięści, wydecham całe powietrze z płuc. *Nie masz wyboru. Nareszcie możesz zakończyć tę wojnę.*

Jahi, stękając, dopycha ostatni regał do przeciwległej ściany. To część naszej barykady. Dołączam do niego w wąskim przejściu i z zapartym tchem czekam, aż Zélie otworzy skałę.

– Może i myliłem się co do ciebie – przyznaje Jahi. – Nie jesteś taka zła.

– Zobaczymy, co powiesz, jak przejdziemy na drugi koniec mostu.

Podpełzam do przodu i wyglądam z naszej trójkątnej kryjówki. Zélie kładzie dłonie na ścianie. W kamiennym bezruchu oczekuje na zakłęcie Kenjona.

– Jak tylko się otworzy, uciekaj – przypomina jej. – Inaczej spłoniesz.

Zélie kiwa głową. Kenjon wyciąga rękę przed siebie. Czuję, jak napinają mi się wszystkie mięśnie.

– Ìlànà iná, hun ara re. pèlú mi báàyí...

Oślaniam oczy, kiedy z dłoni wystrzelają mu dwa strumienie ognia. Przeplatają się jak wstążki, tworząc kulę za plecami Zélie.

Kula rośnie, wisi w rozedrganym powietrzu niczym słońce. Gdy na jej powierzchni pojawiają się czarne plamy, wołam:

– Otwieraj!

Zélie zamyka oczy. Tatuaze na jej szyi zaczynają jaśnieć i migotać. Wstrzymuję oddech i patrzę, jak złote światło wędruje do czubków jej palców, by chwilę później rozciąć metaliczną skałę.

Gdy ściana zaczyna się rozsuwać, Zélie daje nura za barykadę. Przejście otwiera się z łoskotem. Dobiegają nas krzyki żołnierzy na korytarzu.

– Brać ich!

Rozkazy generałki giną wśród wycia wiatru. To dwa cyklony, wichrząc nam wszystkim włosy, mkną w stronę korytarza.

Gdy zbliżają się do rosnącej kuli ognia, czas na moment jakby zwalnia.

W ostatniej chwili zatykam uszy.

ROZDZIAŁ 40



INAN

Mimo że stoję na drugim końcu korytarza, wybuch wstrząsa wszystkimi kośćmi w moim ciele.

Niežnośny żar parzy mi skórę.

W czarnym od dymu powietrzu fruważą zwęglone kawałki pergaminu.

– Dżokôje! – wołam, kaszłac, ale Ojore mnie odciąga.

– Nie pozwólcie im uciec! – Matka wskazuje palcem siedem postaci, które wyłaniają się zza czarnej chmury.

Chwilę później dym się rozwiewa, odsłaniając podłogę usianą ciałami. Dżokôje leży nieprzytomna, z wykręconą nogą.

Matka biegnie do przodu i roznieca w piersi szmaragdowy blask. Lecz Amari nie wygląda, jakby się jej bała. Okrągłymi ze zdumienia oczyma patrzę na granatowy płomień między żebrami siostry.

Magia wiruje wokół niej jak trąba powietrzna.

– Ya èmí, ya ara!

Emanujące z jej dłoni fale niebieskiego światła odpychają żołnierzy stojących na jej drodze.

Matka krzyczy z bólu, wygina się do tyłu. Chwyta się za głowę i upada. Złota maska toczy się po kamieniach.

Patrzę z przerażeniem, jak Amari wyciąga rękę w moją stronę. Nasze oczy się spotykają, lecz atak, którego się spodziewam, nie następuje. Choć nasze armie ścierają się w boju, widzę przed sobą siostrę, nie wroga.

– Amari! – Próbuję zwolnić kroku, jednak Ojore ciągnie mnie za róg i zaczyna wpychać po schodach.

Potem pędzimy długim korytarzem. Serce bije mi jak szalone, kroki rebeliantów dudnią coraz bliżej.

– Tutaj! – Ojore wpycha mnie do ciasnego pomieszczenia i zakrywa mi usta dłonią.

Z duszą na ramieniu wsłuchuję się w tupot nadbiegających magów.

Ojore czeka nieruchomo, aż całkiem ucichną. Wyglądam na korytarz. Rebelianci wbiegają po schodach i znikają mi z oczu.

– Nieba. – Roztrzęsiony Ojore opiera się o ścianę.

Próbuję odetchnąć głęboko, ale im dalej jest Zélie, tym mocniej ściska mi się gardło. Jej duch ciągnie mojego ducha. Jakbyśmy wciąż byli związani.

Próbuję zwabić ją do swojego snu, lecz gdy wzbudzam magię, głowa zaczyna mi pękać z bólu. Zginam się wpół.

– Wszystko w porządku? – Ojore mnie przytrzymuje.

Kiwam twierdząco. Choć jestem w świątyni, nie mogę przenieść się do krainy snu.

– Poczekaj tutaj – nakazuje mi Ojore. – Wrócę się po resztę.

Biegnie z powrotem do matki i Dżokôje, a ja ściskam w dłoni brązową monetę. Gdy kuzyn znika za rogiem, raz jeszcze wyglądam na schody.

Ignorując wszystkie głosy, które każą mi zostać, ruszam co tchu za pachnącą morzem duszą Zélie.

ROZDZIAŁ 41



ZÉLIE

– Zélie!

Na dźwięk głosu Inana napinają się we mnie wszystkie mięśnie. Spoglądam za siebie i dostrzegam go u podnóża schodów. Na jego czole i policzku ciemnieje karmazynowa strużka.

Z wahaniem odpina usmolony od wybuchu pancerz i rzuca go na ziemię.

– Chcę tylko porozmawiać – oznajmia zachrypniętym głosem.

Te trzy słowa wystarczają, by wyprowadzić mnie z równowagi. Robi mi się biało przed oczyma. Zaciskam palce na kiju i ruszam do ataku.

Mury świątyni gasną, dalekie okrzyki cichną. Widzę tylko bursztynowe oczy Inana, słyszę tylko szum jego kłamstwa. To przez niego noszę blizny.

To przez niego Baba nie żyje.

– Nie chcę walczyć – mówi, unosząc ręce.

Obnażam zęby i rzucam się na niego.

– To giń!

Mój kij uderza z brzękiem o jego miecz. Wstrząs znajomo rozchodzi się po moim ciele. Natychmiast ponawiam atak.

Moje ciało rusza się samo, wspomnienie rozlanej krwi Baby przyćmiewa wszelką myśl. Lecz nawet w tych ciosach pobrzmiewa echo dotyku Inana. Jego oddechu. Jego pocałunku.

– Zélie, błagam! – woła. – Nadal chcemy tego samego! Możemy zakończyć tę wojnę!

Znów dosięgam kijem jego miecza. Przypomina mi się fantazja o naszej Oriszy. O królestwie pod naszymi wspólnymi rządami.

Biorę kolejny zamach, tym razem mierząc w szyję. Inan paruje cios, ale używa miecza jedynie do obrony. Nie wiem, czy nie ma siły atakować, czy nie potrafi się do tego zmusić, bo walczy ze mną.

Mniejsza o powód. Trwam w swoim gniewie, podsycam ogień, który we mnie płonie. Inan musi zapłacić za swoje winy. Gdyby nie on, nie byłoby tytanów ani cênterów.

Robię zwód i zaraz potem wytrącam miecz z rąk Inana. Nie dając mu czasu na reakcję, wysuwam ukryte ostrza i ranię go w bok.

Inan z krzykiem chwyta się za ranę. Karmazynowa krew cieknie mu spomiędzy palców i kapie na podłogę. Jest przyparty do ściany.

Oto moja szansa!

Wściekle dysząc, wbijam mu kolano w brzuch. Przewraca się z bezgłośnym jękiem. Siadam na nim okrakiem.

– Zélie, proszę...

Ignoruję szczypanie magii i umieszczam ostrze dokładnie nad jego sercem. Nie potrzebuję do tego żadnych nadzwyczajnych mocy. Chcę poczuć jego ostatnie tchnienie.

– Żałuję... – wykrztusza.

Czuję na skórze jego ciepłą krew. Mam gułę w gardle. Parę miesięcy temu czułam krew Baby.

– A ja nie – odpowiadam i bardzo chcę w to wierzyć. Bo kiedy Inan umrze, moje stare rany przestaną boleć. Śmierć Baby zostanie pomszczona.

Znów będę mogła normalnie oddychać.

Nareszcie będę wolna...

– Jagunjagun!

Głos Mâzelego wstrzymuje bieg czasu.

Obracam się z nadzieją, że Mâzeli jest dalej, niż mi się wydaje. Mój Drugi z drżącymi ustami zbiega po schodach, unosząc w górę trzęsące się ręce.

Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę z kroków za moimi plecami. Obracam głowę i widzę admirała; naciera na mnie z mieczem uniesionym do ciosu.

– Ojore, nie! – Inan zrzuca mnie z siebie i sięga po broń.

Spodziewam się ataku, lecz Inan używa miecza, by odeprzeć admirała.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy Ojore.

Zadaję sobie to samo pytanie. Nie mam jednak czasu na rozmyślania. Mâzeli jest w niebezpieczeństwie.

– Chodź! – Chwytam go i odciągam ku schodom. Gdy zerkam przez ramię, osłabiony upływem krwi Inan właśnie przewraca się na ziemię.

– Potrzebny medyk! – niesie się za nami wołanie admirała.

Ściskam dłoń Mâzelego i walczę ze sobą, żeby się nie rozpłakać.

ROZDZIAŁ 42



INAN

Krzywię się z bólu, gdy Ojore zawiązuje na moim brzuchu ostatni bandaż. Potem z pomocą żołnierza kładzie mnie na noszach. Dźwigają mnie z jękiem.

Wędrujemy korytarzami świątyni. Udaję, że oczy mam zamknięte z bólu. Rebelianci są już daleko, słysząc jedynie postękiwania rannych i głosy medyków.

Na co ty liczyłeś?

Z bijącym sercem zerkam na Ojorego. Odkąd skrzyżowaliśmy miecze, nie odezwał się do mnie słowem, ale wiem, że to tylko kwestia czasu.

Jeśli powie matce...

Odganiam tę myśl. Ściskam w ręku brązową monetę. Jestem królem.

Jego słowo zawsze przegra z moim.

– Inanie! – Przed świątynią matka podrywa się na mój widok. Odrąca Uzdrowiciela, który zajmuje się jej oparzeniami. – Co się stało? – rzuca gniewnie w stronę Ojorego. – Twoim obowiązkiem jest chronić go nawet za cenę własnego życia!

– Matko, to nie jego wina – wstawiam się za kuzynem. – Ojore uchronił mnie przed ciosem w serce.

Matka blednie i rzuca się Ojoremu na szyję.

– Nieba drogie. Ile razy jeszcze będziemy ci dziękować za uratowanie mu życia?

Ojore patrzy mi w oczy i zaciska zęby.

– Nie ma za co – odpowiada. – To dla mnie zaszczyt.

Przełykam ślinę i uciekam wzrokiem w bok. Nie wiem, jak długo kuzyn zamierza mnie kryć, ale przynajmniej na razie mogę odetchnąć. Nie potrafię wyjaśnić tego, co się stało, bo sam nie bardzo to rozumiem. Kiedy Zélie spojrzała na tego chłopaka, mój ból zszedł na dalszy plan.

Nie mogłem znieść myśli, że przeze mnie straci kolejną bliską osobę.

– Musisz się oddalić w bezpieczne miejsce. – Matka prowadzi nas między drzewa. – Pozostali już czekają za mostem.

– O czym ty mówisz, matko? – pytam.

Palce robią mi się zimne, gdy nasuwa na nos swoją złotą maskę.

– To miejsce sprzyja jedynie naszym wrogom.

– Nie! – Podrywam się i krzywię z bólu. – To prawdopodobnie najstarsza świątynia w całej Oriszy. Pomnik naszej przeszłości!

Mimo że Chândomblé nie zostało wybudowane z myślą o mnie, czuję miarowy puls tego miejsca; również tutaj bije serce naszego kraju. Przypominam sobie, jak parę miesięcy temu błądziłem po tym świętym przybytku w poszukiwaniu Zélie. Klęczałem przed portretem Oriego. Świątynia była jedynym miejscem, w którym mogłem się uwolnić od głosów w mojej głowie.

– Nie pozwalam ci – powtarzam stanowczo.

Matka zaciska usta. Jakby chciała mi coś wykrzyknąć w twarz, ale się powstrzymywała.

– To nie jest żaden zabytek – cedzi. – To kryjówka zbuntowanych glist.

Ojore patrzy na mnie znacząco, ale nie odpuszczam.

– Oni tu przyszli szukać mocy – mówię. – My możemy wykorzystać świątynię do tego samego.

– Rozejrzyj się, Inanie. – Matka kręci głową. – Spójrz, co uczynili. – Wskazuje palcem za moje plecy.

Oglądam się i widzę długi sznur wynoszonych żołnierzy. Większość trafi w ręce Uzdrowicieli, ale niektórzy już nie oddychają. Przed mostem rośnie sterta ciał. Ten widok chwyta mnie za trzewia.

Przenoszą koło nas Dżokôje, wciąż leży nieprzytomna na noszach. Ktoś nastawił jej nogę, ale z bandaży sączy się krew. Odprowadzam ją wzrokiem i czuję, że broda mi drży.

Czy ucierpiałaby, gdybym się nie upierał, że Amari i Zélie mają być wzięte żywcem?

– Nie jesteś sługą magów – przypomina matka. – Ani nawet sługą tego kraju. Twoim królewskim obowiązkiem jest chronić tron. Tron oraz tych, którzy przed nim klękają.

Wzdycham ciężko. Wiem, że nie mam wyjścia.

– Zniszczcie świątynię – rozkazuję z bólem.

Matka rusza z tytanami przez pobożowisko. Wiem, że ma rację. Nasi nieprzyjaciele rosną w siłę. Musimy ich pozbawić wszystkich atutów. Tylko czy Orisza wytrzyma tę spiralę przemocy?

Tytani stają kręgiem wokół matki. Gdy żołnierze wynoszą ze świątyni ostatniego rannego, matka otwiera dłonie i rozbłyska szmaragdowym płomieniem. Żyły występują jej na szyję. Ziemia drży.

Tytani, z których wysysa moc, trzęsą się w konwulsjach.

– Więcej! – krzyczy.

Posady drżą coraz silniej, aż dzwonią mi zęby. Tytani matki padają na kolana. Z jej oczu wystrzelają snopy zielonego światła. Gdy uderza pięściami w ziemię, grunt się rozstępuje.

Szczelina tnie dżungłę, z narastającym łoskotem zbliża się do murów świątyni. Kiedy w końcu do niej dociera, huk jest taki, jakby wybuchł naraz tuzin bomb. Budowla wali się i zapada.

– Nieba! – przeklina Ojore, zakrywając nos.

Przesłaniam oczy, aby uchronić się przed chmurą pyłu i drobnych odłamków. Jeden z tytanów z przejmującym jękiem osuwa się na ziemię. Chwilę później jest już martwy.

Magia matki wyssała z niego całą energię.

Muszę skończyć tę wojnę, powtarzam sobie w duchu, trzymając się za ranę. Bitwy są coraz straszniejsze. Jak tak dalej pójdzie, zniszczymy całe królestwo.

Ściskam monetę z brązu i szukam innego wyjścia z tej sytuacji.

Skoro ze mną Zélie nie chce rozmawiać, znajdę kogoś, kogo wysłucha.

ROZDZIAŁ 43



AMARI

Powrót do sanktuarium zajmuje nam cztery długie dni. Nasza górską kryjówka wśród chmur pozostaje oazą spokoju; zamęt panujący u podnóża masywu w ogóle tutaj nie dociera.

Wspinamy się na pierwszą górę. Nogi mam ciężkie jak z marmuru. Sanktuarium spowija cisza, majestatyczne wieże malują się ciemno na tle indygowego nieba.

– Yemoja, ẹ sẹ o.

Não pada na kolana i z wdzięcznością całuje polną trawę. Mam ochotę uczynić to samo, ale gdybym teraz ukłękła, już bym się chyba nie podniosła.

Stąpienie w skorupie brudu, potu i krwi po tej świętej ziemi ma w sobie coś z profanacji. Potykam się o własne nogi i pewnie bym upadła, gdyby nie obsydianowa ściana głównej wieży.

– Pomóc ci?

Podnoszę wzrok i moim oczom ukazuje się uśmiechnięty Tzain. Ciepło tego uśmiechu przenika mnie do głębi.

– Czekaleś na mnie? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Trochę się stęskniłem.

Opieram głowę na jego szerokiej piersi, chowam się w jego bezpiecznych ramionach.

– Ja za tobą też – szepczę. – Dziwnie się czułam bez ciebie.

Nie wiem, kiedy ostatnio szłam się bić bez Tzaina u boku. Dawniej łączył nas brak magii, przede wszystkim jednak od początku czułam, że mogę mu zaufać. Wtulałam się w niego mocno, próbując zmniejszyć dystans, jaki się między nas wkradł, odkąd zostałam tytanką. Nie chcę, żeby teraz – gdy już wiem, że jestem cênterką – urósł jeszcze bardziej.

Tzain spogląda na Zélie, która za moimi plecami zsiada z Najli. Macha do niego uśmiechnięta, po czym obraca się z powrotem twarzą do Mâzelego.

– Znaleźliście to, czego szukaliście? – pyta Tzain.

– Można tak powiedzieć. – Oglądam się na starszych wypakowujących zwoje pergaminu. Zanoszą je do sali narad. – Teraz możemy podjąć walkę. Może nawet zdołam pokonać matkę i zmusić monarchię do kapitulacji.

Tzain się odpręża. Przytula mnie mocniej.

– I wtedy będziesz mogła objąć tron?

Uśmiecham się.

– Wtedy będę mogła objąć tron.

Lecz gdy tak stoimy, zanurzeni w swoich objęciach, dotyk Tzaina nie pozwala mi myśleć o wojnie, o cênterach, o tronie. Wdychając woń drzewa sandałowego, uświadamiam sobie, jak bardzo pragnę tego chłopaka. Jak bardzo pragnę czegoś więcej.

– Co? – Tzain cofa twarz. Wyczuł we mnie jakąś zmianę.

Obejmuję go za szyję.

– Co ci muszę dać, żebyś mnie zaniósł do kąpieli?

Tzain wydyma usta i drapie się po brodzie, udając, że się namyśla. Potem znienacka mnie podnosi. Śmieję się, gdy niesie mnie po kamiennym mostku.

– Czyżby to było takie proste? – pytam.

– Oczywiście. – Uśmiecha się szelmowsko. – Lubię ci służyć, moja królowo.

Choć to wszystko żarty, od jego słów robi mi się gorąco. Tylko Tzain patrzy na mnie tak, jakbym naprawdę zasługiwała na to miano. Tylko on wierzy, że mogę stanąć na czele kraju.

Dotykam jego szczeciniastego policzka i zatrzymuję wzrok na ustach. Wyobrażam sobie, co by się działo, gdybyśmy mieli kilka godzin tylko dla siebie. Jak smakowałby jego pocałunek.

– Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc, moja królowo?

Uśmiecham się, widząc, że nachyla się ku mnie. Serce mi przyspiesza. Zatapiam paznokcie w jego szyi.

Nasze usta się spotykają. Potężna fala gorąca rozlewa się po całym moim ciele. Czuję miłe łaskotanie między nogami. Przywieram do niego mocno.

– A wy dokąd?

Przerywamy pocałunek i nasze oczy wędrują w stronę Jahiego. Surowe spojrzenie Tajfuna przyprawia mnie o rumieniec wstydu. Wyślizguję się z objęć Tzaina.

– Mamy co robić. – Jahi wskazuje na starszych zmierzających do sali narad.

– Nie możemy się wyspać? – pytam żałośnie.

– Tylko się teraz nie uskarżaj – odpowiada. – Sama chciałaś być starszą.

Opuszczam głowę. Zwracam się do Tzaina i jeszcze raz go obejmuję. Z ciężkim westchnieniem przesuwa ręce w dół moich pleców.

– Innym razem? – pytam.

– Co robić.

Ponownie przywieramy do siebie ustami; zanurzam się w tym pocałunku jak w bezpiecznej kryjówce. Tzain ściska mnie w talii i znów czuję dreszcz przyjemności.

Odrywam się od Tzaina z najwyższym trudem. Ale Orisza na nikogo nie czeka. Nawet na niego.

Jahi, gdy go mijam, rzuca mi chmurne spojrzenie, jednak nic sobie z tego nie robię.

– Obudź Mamę Agbę – mówię. – Jeśli ktoś może nam pomóc, to właśnie ona.

Mama Agba w ciszy przygląda się złotym literom na skórze Zélie. Ręce mnie pieką od trzymania w górze koca, który zasłania jej blizny i gołe plecy przed wzrokiem reszty starszych. Mama Agba zapisuje kolejny przetłumaczony fragment na brązowym pergaminie, szelest jej trzciniowego pędzla odbija się echem od witrażowych okien sali narad. Całość zajmuje blisko godzinę. Dopiero wtedy odkłada pędzel, gotowa podzielić się z nami swoim odkryciem.

– Ostatni raz widziałam takie znaki jeszcze w czasach, kiedy uczyłam się u sêntaro. Te tatuaże układają się w kamień księżycowy, czyli w siostrę kamienia słonecznego, który zdobyłaś w Ibedzi.

– Ale kamień słoneczny został zniszczony w czasie rytuału. – Zélie przekrzywia głowę. – Po tym, jak go użyłam do przywrócenia magii, rozsypał mi się w dłoniach.

– Kamień księżycowy jest inny. Nie można go wziąć do ręki – tłumaczy Mama Agba. – To moc darowana przez bogów. Musieli ci ją zesłać w solstycjum.

Mama Agba czeka, aż Zélie przywdzieje ciemnofioletowy kaftan bez rękawów, na tle jej skóry mieniący się jak wino. Ubrana Zélie siada na swoim miejscu przy stole, naprzeciwko brązowej statui z dwoma ametystami zamiast oczu.

– Kamień księżycowy zapala się na rozkaz – wyjaśnia Mama Agba. – Niewielu potrafi przywołać jego moc. – Kładzie pomarszczone palce na mostku Zélie, po czym recytuje świętą formułę: – E. to.nná agbára yin.

Zélie robi gwałtowny wdech. Tatuaze na jej ciele jaśnieją, ich złoty blask prześwieca nawet przez kaftan. Nie mienia się tak oślepiająco jak w bibliotece w Chândomblé, ale mimo wszystko widok zapiera dech. Zélie wygląda jak bogini w złotej poświacie rozlewającej się na wszystkich wkoło.

– Kamień księżycowy ma moc wiązania sił życiowych różnych osób – wyjaśnia Mama Agba. – Jeżeli otrzymałaś tę moc w czasie rytuału, to mogłoby tłumaczyć, skąd się wzięły moce Amari i Nehandy. Nie wykluczam, że za pomocą kamienia księżycowego możesz stworzyć kolejnych cênterów.

– Zaraz, co takiego? – Pochylam się do przodu i robię wielkie oczy. Gdybyśmy mieli więcej cênterów, bylibyśmy silniejsi. Byłoby nam łatwiej zakończyć wojnę. – Oni byliby tak potężni jak moja matka?

– Ich moc może się objawiać na różne sposoby, ale każdy mag zdolny do przyjęcia takiej ilości aszê potrafi dokonać niezwykłych rzeczy. – Mama Agba kiwa głową. – Falunka jednym ruchem dłoni wzbudziłaby tsunami. Jasnowidzka u szczytu swoich mocy mogłaby ujrzyć dowolną chwilę. Jednak niezwykła moc wymaga niezwykłej ofiary. – Oczy Mamy Agby zatrzymują się na mnie. – Ty i twoja matka jesteście teraz cênterkami, ale czy nie musiałyście poświęcić kogoś bliskiego?

Robi mi się sucho w gardle. Uciekam wzrokiem, a plecy znów pieką mnie od wspomnień.

– Owszem – odpowiadam. – W czasie rytuału zabiłam własnego ojca.

Mama Agba wzdycha głęboko i zaciska usta. Zabiera rękę z piersi Zélie i złoty blask nowych tatuazy gaśnie.

– Jeśli chcesz stworzyć nowego cêntera, musisz być gotowa na podobną ofiarę – mówi Mama Agba. – Tylko wielka strata może się równać z mocą, jaka powołuje nowych cênterów podczas solstycjum.

– A gdybym znalazła inny sposób? – pyta Zélie. – Związała nasze siły życiowe, nie zabijając nikogo z naszych bliskich?

– Nawet gdyby ci się to udało, takie połączenie byłoby nietrwałe. – Mama Agba kręci głową. – Tak niestabilna moc działa niszcząco na każdego, poza tym związanie się z czyjąś życiową energią oznacza również związanie się z jego śmiercią. – Mama Agba wstaje, sięga po swój kij i wlepia oczy w Zélie. – To wy jesteście starszymi. Nie mogę wam mówić, co macie robić. Musicie jednak wiedzieć: istnieje broń tak potężna, że lepiej w ogóle jej nie używać.

Zapada ciężkie milczenie. Mama Agba opuszcza pokój. Starsi zgromadzeni przy stole zdają się przeżuwać jej słowa; cena za stanie się cênterem jest wysoka.

Lecz wysłuchawszy Mamy Agby, widzę drogę do pokoju w Oriszy. Możemy wygrać tę wojnę bez ponoszenia kolejnych ofiar. Możemy zbudować Oriszę na miarę naszych marzeń.

– Udaliśmy się do Chândomblé, by zyskać przewagę nad Nehandą, i teraz ją mamy – zwracam się do pozostałych. – Możemy stworzyć całą armię cênterów i cênterek. Wtedy monarchia musiałaby spełnić nasze żądania, nie mieliby innego wyjścia. – Wstaję z miejsca. Wyobrażam sobie twarz mojego brata, kiedy mówię mu, jakimi dysponujemy siłami. – Pozwólcie mi pojechać do Lagos i spotkać się z Inanem. Wynegocjuję pokój na naszych warunkach. Jestem tego pewna.

– Raczej na twoich warunkach – wtrąca ponuro Kenjon. – My będziemy mogli spać spokojnie, dopiero gdy na tronie Oriszy zasiądzie mag. A na to nikt w pałacu się nie zgodzi. – Kenjon wstaje i uderza dłońmi o stół. – Dzięki mocy Zélie mamy wszystko, czego potrzebujemy. Już czas, aby ją wykorzystać i zdobyć Lagos.

– Chyba zgłupiałeś. – Não cmoka z dezaprobatą. – Musielibyśmy poświęcić bliską nam osobę.

– Niezależnie od tego, jaką drogę wybierzemy, nie obędzie się bez ofiar – broni się Kenjon. – A tak przynajmniej będziemy mieć pewność, że nie pójdą na marne.

– Nie zgadzam się na przelewanie krwi magów. – W cichym, drżącym głosie Kâmarū przebija złość. – Jeśli nie potrafimy zwyciężyć jako magowie, to znaczy, że nie zasługujemy na zwycięstwo.

Oczy zebranych kierują się w stronę Zélie; wszyscy czekają na jej decyzję. Próbuje złowić jej spojrzenie, ale unika mojego wzroku.

– Proszę was tylko, żebyście dali mi szansę sprawdzić, czy pokój jest możliwy. – Wstaję z miejsca i klękam przed Zélie. – Wiem, że słyszałaś, jak Inan zabronił swoim żołnierzom atakować. Na miłość niebieską, przecież on się naraził na śmierć,

żebyście z Mâzelim mogli uciec! – Chwytam ją za dłoń. Zélie napina mięśnie, ale nie odpuszczam. – Jemu wciąż na tobie zależy – mówię zniżonym głosem. – I wiem, że tobie na nim...

– Nie. – Wyrywa rękę i zaciska ją w pięść. – Nie możemy mu zaufać. Ani jemu, ani nikomu z pałacu.

– Zélie...

– Zgodziłam się dołączyć do tej walki z jednego powodu – przerywa mi. – Żeby pozbyć się Inana.

– To mój rodzony brat. – Mrużę oczy. – Wiesz, że nigdy się na to nie zgodzę.

– No cóż. A to jest moja rodzina. – Zélie wskazuje gestem na wszystkich zebranych. – Dopóki twój brat żyje, magowie nie będą bezpieczni.

Nawet nie wie, jak bardzo te słowa mnie bołą. Zaledwie parę miesięcy temu chwyciła mnie za rękę i nazwała swoją rodziną.

– Skoro chcesz go zabić, nie licz, że wam pomogę. – Krzyżuję ramiona. – Potrzebujecie mnie. Jestem waszą jedyną cênterką.

– Będziemy mieli własnych cênterów – odparowuje gniewnie Na'ima.

– Nie sędzę. – Zélie kręci głową. – Mama Agba ma rację. To zbyt niebezpieczne. Prędzej zginiemy, niż nam się uda. Nie warto poświęcać życia ludzi, których kochamy.

Wbija we mnie spojrzenie i czuję, że coś między nami pęka. Nie da się tego dłużej ukrywać.

Mamy całkiem różne pomysły na zwycięstwo w tej wojnie.

– Nie potrzebujemy Amari. – Zélie zwraca się ponownie do starszych. – Ani w ogóle żadnych cênterów. Wyprawiliśmy się do Chândomblé po pergaminy i to się udało. – Wskazuje na sterty zwojów pod ścianą. – Musimy szkolić naszych magów tak długo, aż będą gotowi stawić czoło Nehandzie i jej tytanom. A gdy ten dzień w końcu nadejdzie, zakończymy wojnę w sposób bezdyskusyjny. Tak, by nasi przodkowie byli z nas dumni.

– I o to właśnie mi chodzi! – Não bije brawo na stojąco. – Doprowadźmy to do końca po mojemu, prowadzeni do boju przez Wojowniczkę Śmierci.

Robi mi się ciężko na sercu. Pozostali starsi z entuzjazmem wtórują Não. Wbijam wzrok w Zélie. Wiem, że czuje na sobie moje spojrzenie; mimo to nie patrzy w moją

stronę.

Przygnębiona opuszczam pokój narad. Nie mogę znieść tego widoku. Dosłownie wybiegam z wieży na dwór. Zatrzymuję się dopiero w chłodnych objęciach wieczoru.

Orisza na nikogo nie czeka. Szept ojca znów rozbrzmiewa mi w uszach, przypominając o jedynej słusznej drodze. Nie mogę czekać, aż Zélie i reszta rebeliantów pójdą po rozum do głowy. Tak czy inaczej, walczą tylko w imieniu magów. Ja muszę walczyć o przyszłość królestwa.

– Orisza na nikogo nie czeka – szepczę sama do siebie i zaciskam pięści.

Skoro starsi nie chcą poprzeć mojego planu, będę musiała sobie poradzić bez nich.

ROZDZIAŁ 44



ZÉLIE

Budzi mnie przenikliwy jazgot dzwonów. Choć mury sanktuarium są moją kryjówką od niedawna, wiem już, co znaczą poszczególne sygnały. Niskie tony oznajmniają przybycie nowych magów. Melodyjne brzęczenie jest znakiem pory obiadowej. I wreszcie ten harmider, którego wcześniej nie było. Dzwony wzywające na trening.

Odrywam głowę od kolorowej poduszki. Za balustradą balkonu widać skrawek żółtego nieba. Stękam cicho i zagrzebuję się w pościeli. Tylko Mama Agba każe nam wstawać przed wschodem słońca.

Kamyczek winy, który noszę w brzuchu od czasu wyprawy do Chândomblé, uwiera mnie teraz jak cegła. Jak mam spojrzeć w oczy moim Żniwiarzom, skoro wiem, że nie zasługuję na to, by przewodzić klanowi?

Choć minęło wiele dni, wciąż od nowa przeżywam w myślach tamtą chwilę w świątyni, gdy Mâzeli zbiegł do mnie po schodach. Obiecywałam chronić mojego Drugiego nawet za cenę własnego życia. A jednak na widok Inana sprzeniewierzyłam się przyrzeczeniu w imię zemsty. Byłam wtedy odpowiedzialna tylko za jednego Żniwiarza. Co by się stało, gdyby to był cały klan?

A przecież nas, Żniwiarzy, jest tak mało; dar Oi należy do najrzadszych. Jeśli mamy wygrać tę wojnę i odbudować to wszystko, co zniszczyła monarchia, nie wolno nam stracić ani jednego Żniwiarza. Tym bardziej klanowi potrzebny jest starszy, na którym można polegać.

Podnoszę głowę na dźwięk cichego pukania. Chwilę później fioletowe drzwi się otwierają. Spodziewam się ujrzeć w nich sterczące uszy Mâzelego, tymczasem do środka zagląda srebrzysta postać.

– Mama Agba?

Uśmiecham się na widok srebrnej szaty okrywającej ciemną skórę. Gdy Mama Agba idzie, marszczony jedwab powiewa za nią, jak gdyby w jego załomach mieszkał wiatr.

Przed Obławą starsi właśnie tak się ubierali; stroje miały odzwierciedlać ich czcigodną funkcję. Noszenie tej szaty było takim samym zaszczytem jak noszenie zawoju starszej.

– E kààrò iyáawa. – Wygrzebuję się z łóżka i klękam przed nią mimo potężnych zakwasów w udach. Z nosem przytkniętym do ziemi uświadamiam sobie, ile razy tego nie zrobiłam, choć powinnam. Ja i wszystkie jej uczennice.

Mamie Agbie jako byłej starszej należała się wielka cześć. Przez lata jednak ukrywała, kim jest; w pocie czoła szyła piękne stroje dla arystokratów, a sama chodziła w skromnych kaftanach.

– Wstawaj, moje dziecko. – Mama Agba mlaska zniecierpliwiona, lecz widzę, że jej oczy w kolorze mahoni ciepło się do mnie uśmiechają. Ścisła mnie na powitanie.

Sądząc po woni orzeszków, imbiru i goździków, zdążyła już coś upichcić w kuchni.

– Chciałam cię złapać przed pierwszym treningiem. – Sięga do sakwy i wyjmuje z niej wspaniałe metalowy naszyjnik w kształcie obroży. Jest długi, zakrywa mi obojczyki.

– Piękny – szepczę, dotykając misternej ozdoby. Składa się z kilkadziesiąt połączonych ze sobą trójkątnych blaszek. Widać tu wprawna rękę krawcowej, ale i sztuka Tahira.

– Myślałam o czymś na głowę, ale czeka was tyle bitew, że naszyjniki chyba lepiej się sprawdzą. – Mama Agba daje mi znak ręką, żebym się obróciła. – Nie podoba ci się? – pyta, widząc, że się ociągam.

Zaprzeczam ruchem głowy, wodząc dużym palcem u nogi po mozaikowej posadzce.

– Mam poczucie, że nie zasługuję na to, by go nosić. Chyba nie powinnam być ich starszą.

– Mówisz tak z powodu tego, co się stało w świątyni? – Mama Agba kładzie mi dłoń na ramieniu i zbliża mnie do siebie. – Bycie starszą nie oznacza, że człowiekowi nie zdarzają się błędy. Starszy to ktoś, kto się nie poddaje mimo potknięć.

– Wiesz, jak było z Mâzelim? – pytam.

– Moje dziecko, tutaj słowo wędruje szybciej niż rozpędzony gepardon. Wiem o was więcej, niżbym sobie życzyła. – Mama Agba kręci głową i zwraca mnie

przodem do lustra. – Podobno Kenjon ma słabość do Na'imy, ale ona podkocha się w Dakarim.

– Ale Dakari lubi Imani!

– Wiem. – Mama Agba wzdycha. – A ta Kancerka zje go żywcem. Strasznie to wszystko zagmatwane!

Mama Agba unosi naszyjnik, a ja tymczasem uśmiecham się do siebie. Mam nadzieję, że nie słyszała plotek o Inanie. Ani o Roënie.

Na myśl o najemniku mimo woli robi mi się cieplej w sercu. Teraz, gdy chwilowo jestem bezpieczna, coraz częściej wspominam uśmiezek na jego różowych ustach. Myślę o jego szorstkiej skórze. Nieraz łapię się na tym, że patrzę w stronę bramy sanktuarium, jakby lada chwila miał się tam pojawić i znów namieszać w moim życiu.

Lecz nawet Roën znika, gdy Mama Agba układa naszyjnik na złotych tatuażach zdobiących moją szyję. Przesuwam palcem po cienkich rowkach między metalowymi trójkątami i czuję niespodziewany przyływ dumy.

Przypominam sobie, jak siedziałam u niej w trzcinowej ahéré po zakończeniu nauki. Piłyśmy herbatę, a potem Mama Agba wręczyła mi nowy kij. Teraz czuję się bardzo podobnie. Z jedną różnicą: od tamtej pory nasz świat wywrócił się do góry nogami.

– Zélie, gdyby funkcja starszej nie była ci pisana, zostałabyś odrzucona – wyjaśnia Mama Agba. – *Ìsípayá*, którą otrzymałaś od Oi, to dowód, że bogini cię wybrała. Gdyby nie sądziła, że będziesz najlepszą przywódczynią klanu, nie zobaczyłabyś tego, co widziałas.

Zastanawiam się nad tymi słowami, myślę o wizji, którą przedstawiła mi Oja. Kiedy zamykam oczy, wciąż widzę wstęgę fioletowego światła, która wysnuwa się ze mnie jak nić i przeplata się ze wstążką w kolorze złota. Ich połączona moc była identyczna z tą, którą wyczułam u Amari.

W świątyni byłam przekonana, że to symbol cênterów. Ale nitki Amari, wszystkie co do jednej, były kobaltowe. Gdybym mogła teraz ujrzeć nitki Nehandy, z pewnością okazałyby się szmaragdowe. A gdzie fiolety? Złoto? Pomarańcz?

– Mamo Agbo. – Odwracam się do niej. Pytanie, które mam na końcu języka, wydaje mi się idiotyczne. Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego nie widziałam tych wszystkich kolorów. – Czy da się połączyć magię różnych magów?

– No wiesz, cênterzy ze swej istoty...

– Nie to mam na myśli – przerywam jej. – Czy da się połączyć różne rodzaje magii? Magię ludzi nienależących do tego samego klanu?

Mama Agba otwiera szerzej oczy i robi krok do tyłu, a jej twarz przybiera zatroskany wyraz.

– Dlaczego pytasz?

– W mojej wizji widziałam różne kolory. Fiolet mieszał się ze złotem. To było jak tęcza – wyjaśniam. – Tęcza mocy.

– Rozumiem. – Mama Agba sznuruje wargi. – Nawet łączenie tej samej magii jest rzadkością. A mieszanie różnych rodzajów... O ile wiem, historia zna tylko jeden taki przypadek. Właśnie w ten sposób stworzono majacyt.

Z otwartymi ustami słucham jej opowieści o Ziemiowcu i Kancerze, którzy połączyli swoje moce. Ta potężna, wybuchowa mieszanka magii sprawiła, że w Oriszy powstały złoza majacytu.

– Obaj magowie przypłacili to połączenie życiem – opowiada Mama Agba. – A jego skutki odczuwamy po dziś dzień. Monarchia od przeszło stu lat korzysta z tych złóż.

– Czy coś takiego mogłoby się znowu wydarzyć?

– Teoretycznie. – Mama Agba kręci głową. – Gdyby takie połączenie okazało się trwałe, gdyby jego uczestnicy przeżyli, wszystko byłoby możliwe. Ziemiowiec współ z Ogniarzem mogliby wznosić wulkany. Żniwiarka w parze z Uzdrowicielką... Kto wie, czy nie zdołałyby nawet wskrzesić zmarłych.

Kiwam głową i myślę o możliwościach, jakie by to dało. Podobną moc trudno sobie wyobrazić. Przyćmiewa samych bogów...

– Ale, Zélie, pójdźcie tą drogą...

– Wiem – zapewniam ją pospiesznie. – Na razie trzymam się starego planu.

W dole narasta gwar, magowie opuszczają swoje siedziby. Wychodzę z Mamą Agbą na balkon i patrzymy, jak gromadki magów zmierzają przez kamienny most na trzecią górę i minawszy gorące źródła, gromadzą się przy świątyniach poszczególnych klanów.

Mâzeli prowadzi Bimpe i Mári, jego odstające uszy nietrudno wypatrzeć w tłumie. Mama Agba uśmiecha się, patrząc na nich. Przesuwa mi czule dłońią po ramieniu.

– A jaka była twoja *isipayá*? – pytam. – Pamiętasz jeszcze?

Mama Agba lekko wzdycha. Jej łagodny uśmiech rozjaśnia pokój.

– Zajrzałam w zaświaty – mówi szeptem. – Uklękałam na szczycie góry. Niebiańska Matka przywitała mnie z otwartymi ramionami.

– To musiało być piękne.

– Owszem. – Kiwa głową. – Po kilkudziesięciu latach wciąż pamiętam to niezwykle ciepło. Tę miłość. – Mama Agba poprawia mi naszyjnik, a potem zdejmuje mi zawój, rozpuszcza loki i wyprowadza mnie na korytarz. – Twoi Żniwiarze cię potrzebują, Zélie. Właśnie ciebie, nikogo innego. Jedyłą osobą, którą musisz do tego przekonać, jesteś ty sama.

Gdy docieram na trzecią górę, większość klanów już trenuje. Wszystkie poza Żniwiarzami mają co najmniej dwunastu magów zdolnych do walki.

Magowie zbierają się przed świątyniami i ćwiczą, a ibawici się temu przyglądają. Gdy mijam ich po drodze do wieży Żniwiarzy na szczycie góry, odrobina wiary w siebie, którą udało się we mnie tchnąć Mamie Agbie, zaczyna szybko topnieć.

– Nie tak, źle. – Na'ima potrząsa głową tak energicznie, że sypie się jej z włosów deszcz pomarańczowych płatków. Wokół głowy krążą jej wałki. Poprawia dłonie młodziutkiego maga na skroniach gepardona. – Zanim zaczniesz inkantację, musisz nawiązać połączenie.

Poskramiacz kiwa głową i zamyka oczy. Twarz ma poważną, skupioną. Gdy zaczyna recytować zaklęcie, drobne małpki wdrapują się po jego grzbiecie, a niektóre zwieszają mu się z uszu i szyi.

– Èdá inú egàn, yá mi ní ojú re...

Powieki chłopaka zaczynają jaśnieć delikatnym różowym światłem, które z każdą chwilą przybiera na sile. Gdy mag otwiera oczy, gepardon otwiera swoje. Wąskie tęczęwki wierzchacza mieniają się tym samym różowym blaskiem.

Poskramiacz z wrażenia rozdziawia usta; ogląda teraz świat oczyma gepardona. Ich głowy poruszają się zgodnie, jakby sterował nimi jeden mózg. Nawet mrugają równocześnie.

Nieco wyżej na zboczu Folake z długimi włosami związanymi z tyłu robi pokaz dla Świetlarzy. Wyciąga smukłe palce do przodu i chwyta nimi coś niewidocznego.

– Cała sztuka polega na tym, żeby poczuć światło, jakby to było coś uchwytnego. Wtedy samo zaklęcie nie powinno wam sprawić problemu. *Ìbòrí òkùnkùn!*

Folake klaszcze w dłonie i w mgnieniu oka nad świątynią Świetlarzy robi się ciemno. Nigdy w życiu nie widziałam tak gęstej czerni – jak gdyby w bezksiężycową noc wymazano z nieba wszystkie gwiazdy.

Gdy chwilę później wraca światło, wszyscy magowie robią wielkie oczy.

Niesamowite, myślę sobie, kręcąc głową. Gdybym była choć w połowie tak dobra!

– Żniwarze, baczność! – Piskliwy głos Mâzelego niesie się daleko poza obręb zdobnej w płaskorzeźby świątyni Żniwarzy.

Mój Drugi stoi na trawie na tyłach gmachu. Pod jego okiem Bimpe i Mári recytują w idealnej harmonii:

– *Èmí àwọn tí ó ti sùn...*

– *Èmí àwọn tí ó ti sùn...*

– *Mo ké pè yin ní òní...*

– *Mo ké pè yin ní òní...*

Serce drży mi w zachwycie, kiedy moi Żniwarze wyczarowują ożywieńców. Choć każda zjawa przybiera inny kształt, wszystkie powstają równocześnie, wyrastają z trawy niczym ogród kalii.

– Trzymajcie je w ryzach! – woła Mâzeli. – Pilnujcie, żeby nie przerosły!

Ożywienie Mári się rozpada, a ten stworzony przez Bimpe rośnie ponad miarę, lecz patrząc na ich współpracę, przypominam sobie Żniwarzy sprzed Obławy.

– Jagunjagun! – Mâzeli rozpromienia się, widząc mnie opartą o mur świątyni. Pada na kolana i kłania mi się jak królowej. – Czego się dziś będziemy uczyć? – pyta. – Rozrywania duszy? Wiązania duchów? A może... Auć!

To Mári uderzyła go w ramię.

– Zamknij się i pozwól jej odpowiedzieć!

– Mári, jestem Drugim naszego klanu! Nie możesz mnie bić!

Bimpe chichocze, a ja uśmiecham się na wspomnienie śmiechu, który rozbrzmiewał w ahéré Mamy Agby. Choć poza ścianami z trzcinowej plecionki czekały nas prawdziwe problemy, Mama Agba nie miała nic przeciwko temu, żebyśmy u niej dobrze się bawiły.

Słuchając moich podopiecznych, zdaję sobie teraz sprawę, że trening nie musi się kręcić wokół wojny. Nareszcie możemy celebrować naszą magię, ćwicząc zaklęcia przekazywane od pokoleń. Możemy się napawać powrotem Żniwiarzy.

– Dziś poznamy prastarą i potężną technikę. – Wręczam Mâzelemu uprzednio wybrany zwój pergaminu.

– Òjìjì ikú? – Mâzeli unosi brwi. – Cienie śmierci?

Potakuję ruchem głowy.

– Potraficie już przywoływać ożywieńców. Dzięki tej technice będziecie mogli udoskonalić tę umiejętność i zdobyć nową. – Występuję naprzód i rzucam w myślach zaklęcie, przywołując ożywieńca samym tylko ruchem dłoni. Gdy zjawa powstaje z piachu, przypominam sobie samotny trening na pustyni, kiedy po raz pierwszy usiłowałam stworzyć ożywieńca. Zaledwie kilka miesięcy temu nie byłam w stanie poruszyć nawet ziarnka piasku. – Cienie tworzy się podobnie jak ożywieńców. Tylko zamiast korzystać z dostępnych ręką żywiołów, nadajemy im surową postać. Cień może przybrać dowolny kształt, ale im bardziej skomplikowana forma, tym większego wymaga wysiłku.

– Słyszałam, że cienie są potężne, potrafią obrócić w popiół całe armie. – Słowa Mári budzą ciekawość pozostałych Żniwiarzy, mnie jednak robi się słabo na wspomnienie tego, co się stało z duchem Baby.

Cienie, które ze mnie wystrzeliły, gdy wniknął w moją krew, były naprawdę potężne. Śmierć w czystej postaci.

– To, co zrobiłam w czasie rytuału, miało źródło w mojej więzi z ojcem – tłumaczę. – A solstycjum i przenajświętsza świątynia jeszcze wzmogły moją moc. Trudno byłoby coś takiego powtórzyć.

– Możesz spróbować? – pyta Mâzeli, a reszta mu wtóruje.

Cała trójka patrzy na mnie wygłodniałym wzrokiem. Wiem, że chcieliby to zobaczyć na własne oczy.

Przygotowuję się na falę wspomnień, obrazów Baby, które mnie zaleją, gdy wypowiem to zaklęcie. Tymczasem nad świątynią Żniwiarzy nareszcie wstaje słońce. Patrząc na światło i cienie wędrujące po wierzchołku góry i przypomina mi się ostatni raz, kiedy mama użyła tej inkantacji. To było lata temu, jeszcze w Ibadanie.

Tzain namówił mnie, żebym wspięła się na wysokie wzgórze. Kiedy skoczyłam w przepaść, usłyszałam krzyk mamy. Kto wie, co by się stało, gdyby nie wyczarowała

cieni śmierci, które opuściły mnie do jednego z lodowatych jezior Ibadanu.

Z uśmiechem zbliżam się do frontu naszej świątyni. Widać stamtąd idealne urwisko: wystającą półkę skalną zawieszoną kilka metrów nad kąpieliskiem u podnóża wodospadów.

– Uważajcie! – wołam, ruszając biegiem w tamtym kierunku.

Słyszę, jak coś za mną krzyczą. Głowę trzymam wysoko, wiatr smaga mnie po twarzy.

Ogarnięta poczuciem wolności, jakiego nie zaznałam od bardzo dawna, gnam przed siebie. Magia rośnie we mnie jak spieniona fala. Jeszcze parę kroków, jeszcze krok – i odbijam się od krawędzi.

– Èmí òkú, gba ààyé nínú mi...

Słowa zaklęcia giną wśród huku powietrza. Rozkładam ręce i nogi. Przez chwilę szybuję jak ptak.

– Jáde nínú àwon òjìjì re...

Spadając ku wodzie, czuję się, jakbym znów miała sześć lat. Baba i Mama wciąż żyją.

Żaden z moich bliskich nie musi zginąć.

– Yí padà láti owó mi!

Powietrze wokół zaczyna falować. Z moich pleców wylatują duchy umarłych. Ich fioletowe poświaty są ciemne, prawie czarne.

Zimne cienie wirują jak iskry i łączą się w kształt, który dla nich wybrałam. Rozpościerają się pode mną i oplatają mi ramiona, tworząc sunącą po niebie lotnię.

Z głośnym śmiechem wzbijam się w górę. Na moment wznoszę się ponad cały mój ból. Czuję upragnioną wolność.

Potem gładkim lotem opadam na brzeg wodospadu. Cienie rozwiewają się jak dym. Obracam się w stronę rozentuzjasmowanych Żniwiarzy, którzy stoją na górze w towarzystwie innych magów.

– No dobrze. – Wskazuję Mâzelego. – Zobaczmy, czy pofruniesz, czy się wykąpiesz.

Mâzeli z grobową miną spogląda ku wodzie.

– Ale ja nie umiem pływać!

Wzruszam ramionami i uśmiecham się figlarnie.

– W takim razie lepiej się postaraj. Byłoby szkoda, gdybyśmy w tak głupi sposób stracili najlepszego Żniwiarza w historii!

ROZDZIAŁ 45



AMARI

Gdy rozlega się dzwonek na obiad, oddycham z ulgą. Sądziłam, że tydzień wspólnych treningów wystarczy do przełamania lodów między mną a resztą Konektorów, lecz bardzo się myliłam. Jeżeli atmosfera się zmieniła, to chyba tylko na gorsze. Podnoszę wzrok na magów, którzy natychmiast przerwali rzucanie zaklęć i zbierają swoje rzeczy.

– Jutro zaczynamy skoro świt! – wołam za nimi, gdy odchodzą.

Nikt się nawet nie odwraca.

Z kwaśną miną sprzątam pergaminy z kafelków, które układają się na podłodze w baadzi Konektorów. Cokolwiek bym robiła, dopóki Ramaja leży w szpitalu, jestem tu wrogiem. Gdybym nie była cênterką, pewnie by mnie zaatakowali. Dziwię się, że jak dotąd nikt nie rzucił „niechący” żadnego nowego zaklęcia w moim kierunku.

Skup się, Amari.

Zamykając drzwi świątyni Konektorów, staram się strząsnąć z siebie odium wykluczenia. Rozwijam w rękę kobaltowy zwój i próbuję odtworzyć zapisane tam znaki w języku joruba.

– Èmí ni mò nwá – szepczę. – Jé kí èmí re ši sí mi.

Palce skrzą mi się niebiesko. Zamykam oczy, by nadać zaklęciu prawdziwą moc. Gdy parę dni temu odkryłam pergamin z inkantacją do tworzenia krainy snu, w pierwszej chwili prawie odrzuciłam go na bok. Nie docierało do mnie, co trzymam w ręku.

Szukałam zaklęć, które pomogą Konektorom w walce. Zdolność utworzenia osobnej rzeczywistości do kontaktu z cudzym umysłem wydała mi się mało użyteczna. Dopiero po zastanowieniu doszłam do wniosku, że bogowie podsunęli mi narzędzie, którego potrzebuję.

Jeśli stworzę własną krainę snu, będę mogła po kryjomu skontaktować się z Inanem. Porozmawiamy spokojnie, bez presji ze strony naszych armii, realnie

oceniając szanse na pokój.

– Èmí ni mò nwá, jé kí èmí re ɔ́ sí mí. Èmí ni mò nwá, jé kí èmí re ɔ́ sí mí!

Próbuję sobie wyobrazić tę przestrzeń i jeszcze raz wysyłam do rąk magiczny impuls. Ale nawet w ciszy świątyni zaklęcie nie przynosi żadnego efektu. Sfrustrowana odrzucam głowę do tyłu. Nie wiem, co robię źle. Inne zaklęcia też początkowo sprawiały mi trudność, ale prędzej czy później udało mi się je opanować. To nie wyszło ani razu.

A czas płynie. Każdy nowy dzień może się okazać dniem, w którym monarchia nas zaatakuje. Albo dniem, w którym rebelianci postanowią wyprawić się na Lagos. Bez wsparcia nie zdążę w porę zażegnać konfliktu.

Potrzebuję pomocy Zélie.

– Nieba...

Przełykam ślinę i zwijam pergamin. Mimo wszystko to Zélie nauczyła mnie podstaw języka joruba niezbędnych do szkolenia Konektorów. Pomogła mi odczytać dziesiątki pergaminów.

Ale jeśli się domyśli, do czego jest mi potrzebny akurat ten...

Z westchnieniem potrząsam głową i przekraczam granatowe wrota świątyni. Po prostu potrzebuję pomocy z jednym zaklęciem i już.

Nic więcej nie muszę jej mówić.

– Uwaga!

Cofam się instynktownie. Mâzeli mija mnie w biegu, jego wielkie uszy dosłownie łopoczą na wietrze. Z ostatnimi słowami zaklęcia na ustach rzuca się w dół ze skarpy.

– Yí padà láti owó mí!

Z pleców wykwita mu lawendowa chmura i spowija go całego, by po chwili zgęstnieć do postaci skrzydeł.

– To działa! – Zbliżając się do brzegu wodospadu, zachwycony Mâzeli triumfalnie rozpościera skrzydlate ramiona.

Lecz tuż przed lądowaniem chmura znika. Chłopak na próżno wymachuje rękoma w powietrzu. Z pluskiem wpada do wody.

– Niech to! – Wynurza się i łypie groźnie na tych, którzy się z niego śmieją. Ze złością rozchlapuje wodę. – Nie rozumiem. Przecież tym razem były skrzydła, widziałem je!

– Chyba pióra! – woła z góry Mári, opadając miękko na cieniach. Twarz rozświetla jej triumfalny uśmiech. Spływa gładko na ziemię, kierowanie cieniami nie sprawia jej żadnego trudu.

– Cicho, Mári. – Zélie wchodzi do wody i przyzywa Żniwiarzy gestem. – Było blisko, Mâzeli, ale twoje odzidzi są jeszcze zbyt zwiewne. Duchy nie zachowują swojej formy.

Patrzę z góry, jak mimo późnej pory trójka Żniwiarzy staje w kręgu wokół Zélie. Ona i ja nosimy taki sam naszyjnik, ale na Zélie leży jak ulał. Złote tatuaże mieniają się pod zmarszczoną powierzchnią wody. Nic dziwnego, że nie jestem jedyną osobą, która podziwia to widowisko. Wiele bym dała, żeby choć jeden mag lub magiczka spojrzeli na mnie w ten sposób.

– Amari! – Zélie macha do mnie z dołu. Mówi Żniwiarzom, żeby wracali bez niej, a sama zbliża się do mnie. – Jak ci poszedł dzisiejszy trening?

– Lepiej – kłamię. – Ale potrzebuję twojej pomocy. Jutro chcę ich nauczyć nowego zaklęcia. Pomożesz mi ze słowami?

Schodzę niżej, a gdy Zélie staje na brzegu, wręczam jej pergamin. W miarę jak czyta sênbaría, jej uśmiech gaśnie.

– Chcesz ich nauczyć tworzyć krainę snu?

– Mówisz to tak, jakbyś coś o tym wiedziała.

– Owszem. – Przez chwilę patrzy nieruchomo w dal, a jej twarz przybiera zaskakująco łagodny wyraz. – Twój brat parę razy przeniósł mnie do takiego miejsca. Nigdy nie byłam pewna, w czyjej głowie ono istnieje, mojej czy jego.

– Jak to zrobił? – Nachyliłam się. – Ty też potrafiłabyś stworzyć taką przestrzeń?

Zélie już otwiera usta, by mi odpowiedzieć, lecz powstrzymuje się i przyciska zwój pergaminu do piersi.

– Dlaczego właśnie to zaklęcie? Jaki będziemy mieli z niego pożytek, gdy wyruszymy na Lagos?

Czuję, że uszy mi się czerwienią.

– Na litość boską... – Zélie kręci głową. – Błagam, powiedz mi, że nie jesteś aż tak głupia!

– Twoim zdaniem to głupie, że chcę nawiązać kontakt z bratem? – pytam. – Wybadać możliwość zawarcia pokoju? Wiem, że go nienawidzisz, ale Inan uratował

ci życie...

– To cały on! – rzuca gniewnie Zélie. – Postąpi, jak trzeba, dopóki go to niewiele kosztuje, ale później, gdy najbardziej na niego liczysz, wbije ci nóż w plecy! Nie ufaj mu, Amari! Przysporzył nam tylko ran.

– Mówisz tak, bo mu nie ufasz, czy dlatego, że nie chcesz być ze sobą szczerą?

Zélie cała sztywnieje.

– Lepiej waż słowa – ostrzega mnie z błyskiem w oku.

– Udajesz, że chcesz go zabić, że niczego innego nie pragniesz, ale ja widziałam, jak na siebie patrzyliście w Chândomblé. Wiem, że masz w sercu nie tylko złość. – Wskazuję palcem jej pierś. – Jeśli chcesz się dalej okłamywać, twój wybór. Ale jeśli z tego powodu wypychasz nas na wojenną ścieżkę, to wiedz, że narażasz życie niewinnych ludzi!

Sięgam po zaklęcie, lecz Zélie mnie odpycha. Lecę do tyłu, a ona wrzuca pergamin do wody i go depcze.

– Przestań! – Wbiegam za nim z krzykiem. Próbuję wyrwać zwój spod jej stopy, ale tylko niechcący rozdieram go na pół. Woda robi się ciemna od atramentu. Podnoszę strzęp w drżących dłoniach i spoglądam na Zélie. – Co w ciebie wstąpiło? To zaklęcie mogło zakończyć wojnę!

– Sama to przyznałaś – rzuca Zélie zdyszana, odchodząc znad brzegu. – W rękach wroga te pergaminy stanowią niebezpieczną broń. Nie próbuj więcej komunikować się z bratem.

Pałace smużki niebieskiej magii buchają mi z palców. Jak ona śmie? Będzie mi rozkazywać?

– Zaczynam podejrzewać, że nie chcesz pokoju, bo ostrzysz sobie zęby na mój tron – rzucam.

Zélie staje jak wryta. Prężą jej się mięśnie pleców. Widzę, jak zaciska pięści, lecz nie odwraca się do mnie.

– Wracaj do treningów – mówi przez zęby. – I nie chcę więcej o tym słyszeć.

Kamiennym mostem przechodzi na drugą górę. Nie rozumiem, dlaczego nie potrafi wznieść się ponad swój gniew. Dlaczego nikt z rebeliantów nie widzi, że tak byłoby najlepiej dla wszystkich.

Ze ściśniętym gardłem próbuję ratować zamoczone kawałki pergaminu.

– Mogę ci jakoś pomóc, dostojna Amari?

Spoglądam w stronę brzegu. Mama Agba wita mnie smutnym uśmiechem. Odwracam wzrok, by nie spostrzegła łez napływających mi do oczu, i przez chwilę wpatruję się w zmarszczki na powierzchni wody.

– Dlaczego wszyscy są przeciwko mnie? – pytam, kręcąc głową.

– Chodź do mnie, dziecko. – Mama Agba kiwa na mnie dłonią. – Może pomogę ci to zrozumieć.

Wciąż trzęsąc się ze złości, podążam za Mamą Agbą ku ogrodom na pierwszej górze. Mama Agba rozciera mi ramię.

– Oddychaj głęboko, dziecko.

Biorę wdech i wchodzę za nią do ogrodów. Znajdują się na szczycie głównej wieży. Pełno tam dzikiego piękna, wiszące nad głowami kwiaty w świetle zachodzącego słońca doskonale harmonizują z gąszczem bananowych liści.

– Już prawie jesteśmy. – Mama Agba wskazuje ukruszoną ławeczkę w zapuszczonej tylnej części. – To jest moja ulubiona od samego początku. Na mchu siedzi się jak na poduszce.

Idąc ścieżką w blasku lampionów, myślę o tym, jak bardzo ta dzika roślinność i połamane kamienie różnią się od wypielegnowanych trawników pałacowych. Przerośnięte winorośle oplatają wszystko, czego się chwycą, tworząc naturalne gobeliny, które dodają uroku kamiennym ławkom i zrujnowanym altankom. W niczym to nie przypomina ogrodów królewskich, gdzie rosnąć mogły jedynie kształtne goździki. Jak wszystko w pałacu podlegały surowej i ścisłej kontroli.

– Kiedyś przesiadywałam tu bez przerwy. – Mama Agba zanurza się w mchu jak w rozkosznej kąpeli. – Do medytacji stworzono świątynie, ale ja nie wiedzieć czemu najgłębszy spokój znajdowałam właśnie tutaj.

Czekam, aż zacznie mnie strofować, bo pewnie po to mnie tu przyprowadziła. Lecz Mama Agba milczy, a cisza ogrodu rozbrzmiewa tylko dzwonieniem cykad. Po chwili dociera do mnie, że nie zamierza nic mówić. Przyszła tu, żeby słuchać.

Otwieram usta, lecz trudno mi znaleźć odpowiednie słowa. Mam wrażenie, że wciąż muszę walczyć o to, aby mnie usłyszano. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mogłam normalnie porozmawiać o toczącej się wojnie.

– Czy to coś złego zabiegać o pokój? – pytam.

– Życie jest bardziej skomplikowane niż prosty podział na dobro i zło. Kto nie zdaje sobie z tego sprawy, temu będzie trudno zaprowadzić pokój.

Siadam i wpatruję się w ogród. Naprzeciwko nas w kamiennej altance dostrzegam dwie Falunki. Jedna kłęczy, druga nożem obcina jej włosy. Patrzę na spadające gęste białe pukle i nagle uzmysławiam sobie, dlaczego Falunka pozbywa się włosów. Chce wyglądać jak Nâo. Ma tak wielki szacunek do starszej swojego klanu, że pragnie się do niej upodobnić.

– Wiem, że mój brat popełnił błędy – mówię. – I to całkiem sporo. Ale ludzie nie mają pojęcia, jak to było wychowywać się pod okiem naszego ojca. Znosić na co dzień jego okrucieństwo.

– Współczujesz mu? – pyta mnie Mama Agba.

– Rozumiem go. Zawsze chciał być wielkim królem. Nawet gdy się myli, wierzy w słuszność tego, co robi. – Skubię mech pod ręką i cicho wzdycham. – Wiem, że gdybym z nim porozmawiała, doszlibyśmy do porozumienia. Oboje chcemy dla Oriszy jak najlepiej. Sęk w tym, że Zélie i rebelianci w ogóle nie zamierzają mnie słuchać.

Mama Agba sznuruje usta. Gryzę się w język.

– Czy powiedziałam za dużo? – pytam.

– Wręcz przeciwnie – odpowiada. – Mówisz o tej wojnie tak, jakby dopiero się zaczęła. A magowie walczą z monarchią od lat. Obie strony zadały sobie nawzajem wiele bólu. Obie strony są nastawione bardzo podejrzliwie. – Mama Agba zamyka oczy i przesuwając palcami po swoim drewnianym kiju. – Nie możesz mieć żalu do Zélie o jej wybory, tak samo jak nie możesz mieć żalu do Inana o błędy, które popełnił w przeszłości. Jeśli naprawdę zależy ci na pokoju, musisz wejrzeć głębiej.

Kiwam głową, rozważając jej słowa. Choć moja złość na Zélie słabnie, chęć dostania się do krainy snu tylko przybiera na sile. Skoro monarchia i magowie od setek lat toczą ze sobą wojny, być może stoimy przed jedyną szansą, by położyć im kres. Tylko jak mam wynegocjować pokój, skoro wszystkie moje próby trafiają na mur?

– Wiesz, co oznacza twoje imię? – pyta Mama Agba.

– Moje imię nic nie znaczy.

– Każde imię coś znaczy, dziecko. Twoje znaczy „obdarzona wielką siłą”. – Skóra w kącikach dużych oczu Mamy Agby marszczy się w uśmiechu. – Parę miesięcy

temu byłaś wystraszoną uciekinierką z własnego pałacu. Teraz jesteś klanową starszą prowadzącą magów przez wojnę. Królową gotową do odzyskania tronu.

Zainspirowana tymi słowami zaczynam myśleć o wszystkim, czego dokonałam. Do tej pory sądziłam, że dopóki nie obejmę tronu Oriszy, nie mam się z czego cieszyć. Teraz dociera do mnie, że mogę być dumna z tego, co już osiągnęłam.

– Wszystko zaczęło się od momentu, gdy wykradłaś pergamin – przypomina mi Mama Agba. – Nie byłoby nas tutaj, gdyby nie twoja odwaga. Wiem, że nie jest ci łatwo, ale daj sobie trochę czasu. Jeśli ktoś może zaprowadzić pokój, to właśnie ty. Jestem o tym przekonana. – Chwyta mnie delikatnie za brodę i spogląda z taką serdecznością, że usta same mi się uśmiechają.

Nie wiem, jak i kiedy to się stało, ale widzę w jej oczach niekłamana miłość.

– Dziękuję – mówię szeptem.

– Nie ma za co. – Przytula mnie. – To ja ci dziękuję za twoją odwagę. Mam wobec ciebie taki sam dług wdzięczności jak wobec Zélie. – Wstaje z ławki, a kiedy i ja próbuję wstać, sadza mnie z powrotem. – Kiedy byłam młodsza, właśnie tutaj najlepiej mi się zgłębiało własną moc. Może i tobie przyda się taka medytacja.

– Ale nie mam zaklęcia. – Ściągam brwi. – Zélie je zniszczyła.

– Jesteś cênterką, Amari. Możesz się obyć bez inkantacji. Masz szczególną więź z bratem. Oczyść swój umysł i skoncentruj się na niej.

Mama Agba odchodzi, a ja się uśmiecham. Czuję, że zdjęła ze mnie wielki ciężar, który niepotrzebnie dźwigałam. Nie jestem magiczką i nigdy nią nie będę. Muszę przestać myśleć jak oni. Nie potrzebuję ich zaklęć, moja magia nie ma takich ograniczeń.

Przyglądam się własnym dłoniom i przypominam sobie to niezwykle uczucie, kiedy w podziemiach Chândomblé przywołałam swoją moc i przeciwstawiłam się matce. Dawno nie czułam takiej euforii.

Dawno nie czułam się tak bardzo sobą.

Skupiam się na swoim wnętrzu i znów przyzywam moc. Skóra zaczyna mnie szczypać. Choć w pobliżu nie ma tytanów, czuję przyływ magii z innego źródła.

No dalej, Inanie. Myślę o nim, a pierś jaśnieje mi delikatnym błękitnym światłem. *Potrzebuję cię teraz jak nigdy. Tylko my dwoje możemy położyć kres temu szaleństwu.*

Zmierzch przechodzi w noc. Siadam na ławce i po ciemku wyciągam rękę do brata. Nie wiem, czy to się uda, lecz łatwo się nie poddam.

Jeśli od tego zależą losy pokoju w Oriszy, mogę tu siedzieć nawet całą wieczność.

ROZDZIAŁ 46



INAN

Trzymam się mocno krawędzi stołu w sali wojennej, ale to nie pomaga. Otaczający mnie świat zaczyna odpływać. Twarze doradców się rozmazują, szept matki ginie wśród szumu, który zalewa mi uszy.

Rzeczywistość wyślizguje mi się niczym urwany sen. Próbuję zachować kamienną twarz, ale znów słyszę ten głos.

Inanie...

– Skup się. – Matka trąca mnie łokciem.

Siadam prosto i wsłuchuję się w raport Dżokôje. Generałka nigdy nie słynęła z pogody ducha, lecz od czasu naszego powrotu z Chândomblé wszystkie jej słowa są wręcz zaprawione jadem. Nosi na nodze żelazną szynę, przez co porusza się niezgrabnie.

– Trenowałam swoich tytanów – oznajmia. – Cały dzień i całą noc. Następnym razem będziemy przygotowani na sztuczki rebeliantów. Zmieciemy tych zdrajców z powierzchni ziemi.

Te słowa, choć wiem, że są nam teraz potrzebne, przeszywają mnie dreszczem. Z każdym dniem zbliżamy się do krwawej rzezi, której pragnę uniknąć.

– Czy udało wam się zlokalizować ich bazę? – pytam.

– Jesteśmy już blisko. – Dżokôje zakreśliła na mapie owal wyznaczający nowe granice poszukiwań. – Gdy nasi zwiadowcy wkraczają na ten obszar, urywa się z nimi kontakt. Ale pracujemy już nad innym sposobem na przeczesanie tego miejsca. Moi żołnierze w Oronie szkolą kilku tytanów Jasnowidzów. Liczę, że ci tytani pomogą nam znaleźć bazę rebeliantów. Muszą się tylko nauczyć lepiej panować nad swoją mocą.

A gdy to się stanie...

Pocieram kciukiem wypukłą podobiznę gepardona na monecie z brązu. Dżokôje nie będzie traciła czasu. Natychmiast skieruje do ataku wszystkie nasze siły.

– Kontynuujcie szkolenie tytanów i umacnianie stolicy – rozkazuję. – Jeśli nadejdą jakiegokolwiek wieści na temat bazy rebeliantów, informujcie mnie niezwłocznie. To wszystko na teraz.

Doradcy wstają z miejsc, kłaniają mi się i wychodzą. Matka kładzie mi rękę na ramieniu.

– Odpocznij trochę – szepcze. – Wyglądasz okropnie.

Kiwam głową i kładę dłoń na jej dłoni. Obraz przed oczami znów mi się rozmazuje. W uszach odzywa się ten dziwny głos.

Inanie, potrzebuję twojej pomocy...

Gdy matka odchodzi, powieki mi się przymykają. Zaraz jednak uświadamiam sobie, że nie jestem sam.

– Ona ma rację – słyszę za plecami. – Wyglądasz jak półtora nieszczęścia.

Ojore. Odkąd wróciliśmy z Chândomblé, gdzie własnym ostrzem powstrzymałem go przed zaatakowaniem Zélie, ani razu nie zostaliśmy sam na sam.

Chcąc uniknąć tej rozmowy, wysłałem go nawet w okolice Ilorinu, by nadzorował tamtejszą budowę. Myślałem, że wróci za kilka dni. Nadal nie wiem, co mu powiedzieć.

Unoszę ręce.

– Wróciłeś.

– Owszem. – Ojore kiwa głową. – Twoi żołnierze ciężko pracują. Do końca miesiąca wszystko powinno być gotowe.

– Cieszy mnie to. – Odwracam się do stołu i zaczynam przebierać stertę pergaminów. – Mam dla ciebie kolejne pilne zadanie, tym razem na północy...

– Zamierzasz mnie przenosić z miejsca na miejsce, dopóki nie zbierzesz się na odwagę, żeby ze mną porozmawiać?

Policzki mi płoną. Zaciskam palce na zwoju pergaminu. Nie wiem, co mam na to odpowiedzieć. Ojore zamyka drzwi sali wojennej i siada obok mnie.

– Naprawdę sądziłeś, że uda ci się mnie unikać w nieskończoność? – Przekrzywia głowę. – Dotychczas myślałem, że wahasz się z powodu siostry. To bym jeszcze zrozumiał, w końcu łączą was krew. Ale magiczka? Wojowniczką Śmierci?

Ściskam w kieszeni brązową monetę. Nie mam dobrej odpowiedzi. Jak mam wyjaśnić Ojoremu coś, czego sam do końca nie rozumiem?

Nawet na dźwięk jej groźnego przydomka zaczynam tęsknić za morską wonią jej duszy. Mogła mnie tam zabić, ale tego nie zrobiła. Mimo wszystkich moich przewin wobec niej powstrzymała się od zadania śmiertelnego ciosu.

– Zanim wróciła magia, ta dziewczyna stała mi na drodze – tłumaczę. – Chciałem ją zabić. Próbowałem. Ale kiedy nadarzyła się okazja... – Z ciężkim westchnieniem przypominam sobie pamiętną chwilę w lesie tuż po tym, jak schwytano Tzaina i Amari. Moja magia wezbrała wtedy gwałtownie i przejrzałem Zélie na wskroś. Do dziś pamiętam gorzki smak jej strachu. Ciepło jej duszy. – Ona mi uświadomiła, że na wszystko można spojrzeć z dwóch stron – mówię. – Dzięki niej zapragnąłem być lepszym królem.

Krzyżujemy z Ojorem spojrzenia i czuję narastający między nami chłód. *On tego nie zrozumie*, myślę, patrząc na blizny na jego szyi. Mnie tylko wpojono strach przed magami; Ojore na własnej skórze przekonał się, jacy potrafią być groźni.

Kuzyn przyciska pięść do ust i siedzimy tak zapatrzeni w mapę na ścianie. Po chwili znów słyszę dzwonięcie w uszach, a pokój zaczyna wirować. Chwytam się blatu.

– Wiem, że jesteś inny niż twój ojciec – wzdycha Ojore. – Że chcesz być lepszy niż on. Szanuję to. Ale nie wszystkich da się ocalić. To nie magowie potrzebują naszej ochrony. Musisz przestać w ten sposób o nich myśleć.

Chowam dłoń do kieszeni i ściskam brązową monetę.

– Mówisz jak moja matka.

– Bo tak jak jej zależy mi na tym, żebyś nie zginął. Na polu bitwy Amari nie jest twoją siostrą. A ta druga dziewczyna to nie jest ktoś, w kim wolno ci się zakochać. – Ojore wstaje z miejsca i poklepuje mnie po plecach. – Obie są twoimi nieprzyjaciółkami, Inanie. W tej wojnie stoją po przeciwnej stronie barykady. Gdy się spotkamy, poleje się krew. Nie pozwól, żeby to była twoja krew. – Wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Opieram czoło na stole. Chciałbym zaprzeczyć słowom Ojorego, ale mówi na głos to, czego ja nie mam odwagi powiedzieć.

Przez chwilę ogarnia mnie tęsknota za czasami książęcymi. Sprzed powrotu magii. Sprzed objęcia tronu. Może i nie miałem wtedy władzy, lecz wszystko było prostsze. Boję się, że tamte dni nie wrócą już nigdy.

Inanie...

Teraz, gdy zostałem sam, głos rozbrzmiewa mi w uszach jeszcze wyraźniej. Mimo woli wypuszczam brązową monetę z dłoni, palce opadają bezwładnie. Sen chwyta mnie w objęcia, wciąga w czeluść mroku.

Czuję na skórze chłodne tchnienie magii. Wszystko wkoło wiruje, otaczają mnie białe chmury.

Mam wrażenie, jakbym zawisł w powietrzu i macał stopami grunt, którego nie ma. Kiedy wreszcie go znajduję, nie mogę uwierzyć własnym oczom.

Przedemną rozpościera się bezkresna łąka pełna niebieskich lili.

ROZDZIAŁ 47



AMARI

– Bracie?

Mam ochotę powiedzieć coś więcej, ale słowa grzęzną mi w gardle. Tak długo walczyłam o to, by móc się z nim spotkać; nie zastanawiałam się, jak to będzie, gdy mi się uda.

Mój brat z nierównym zarostem i podkrążonymi oczami wygląda starzej niż na swoje dziewiętnaście lat. Gdyby nie biały kosmyk wśród niesfornych kędziorów, pomyślałabym, że to wykapany ojciec.

– U ciebie jest inaczej. – Uśmiecha się nieśmiało spod zmrużonych oczu. Potem je zamyka i napawa się powietrzem o zapachu cynamonu.

Rozglądam się po tym świecie, który sama stworzyłam mocą swojej magii. Patrzę na morze niebieskich kwiatów u naszych stóp, podziwiam niebo pełne mrugających gwiazd.

Jestem tu pierwszy raz, a mam wrażenie, jakbym wróciła do siebie. Powietrze pachnie przyjemnie, a choć nie ma księżycy, jest całkiem widno.

Inan schyla się i wacha kwiat. Potem uśmiech znika mu z ust.

– Ściągnęłaś mnie tutaj, żeby mnie zabić, czy chcesz porozmawiać?

Mówi to żartobliwym tonem, ale widzę, jak drżą mu palce. Nikomu nie ufa, każdy może go skrzywdzić. Nosi w sobie te same niezabliźnione rany co ja.

Ze łzami w oczach robię krok w jego stronę. Gdy rozkłada szeroko ręce, zaczynam biec. Myślę o tym, jak bardzo za nim tęskniłam. Jak bardzo chciałam go uściskać.

Biegnę, a przed oczami przemyka mi wszystko, co się między nami wydarzyło. Wszystkie doznane przez nas krzywdy. Twarze wszystkich osób, które utraciliśmy. Binty. Kei. Ojca. Przede wszystkim jednak – nasze własne.

Kładę mu głowę na piersi i sama nie wiem, kto głośniej szlocha, ja czy on.

Trudno powiedzieć, jak długo płakaliśmy w swoich objęciach. W tej magicznej przestrzeni nawet ból nie jest bólem. Płacz nie oznacza cierpienia.

Siadamy na miękkich kopcach i skubimy kwiaty u naszych stóp. Tyle się między nami dzieje, ale słowa nie są do niczego potrzebne.

– U ciebie też są kwiaty? – pytam.

Inan zaprzecza ruchem głowy.

– Same trzciny. – Unosi lilię i po kolei obrywa płatki. – Zélie udało się wyczarować las i wodospady, ale ja nic więcej nie potrafię. Nawet nie wiem, jak wrócić do mojego snu. Kiedy próbuję, czuję się tak, jakby ktoś mi wbijał topór w głowę. – O dziwo, lekko się uśmiecha. Mimo wszystkiego, co zaszło, wciąż pogodnieje na samą myśl o Zélie. – Co u niej?

Przewracam oczami i spoglądam w bok.

– Uparła się, że musi cię zabić. Jest zaślepiona gniewem.

– Zdążyłem się o tym przekonać. – Inan unosi brzeg koszuli, odsłaniając nową szramę na boku. – Ale co u niej, kiedy nie rozmyśla o tym, jak mnie dorwać? Jak ona się czuje?

Marszczę brwi, próbując ujrzeć Zélie w innym świetle. Od jakiegoś czasu głównie skaczemy sobie do gardeł. Tęsknię za dniami, kiedy widziałam w niej przyjaciółkę.

– Stoi na czele klanu – odpowiadam powoli. – Żniwiarzy jest garstka, ale jej to wystarczy. Opieka nad nimi sprawia jej dużo satysfakcji. Właściwie to nieźle się bawią.

– To dobrze. – Inan zanurza się w kwiatach, a jego bursztynowe oczy nabierają tkliwego wyrazu. – Ona zasługuje na szczęście.

– A my nie? Bo tak to zabrzmiało.

Inan prychnął.

– My jesteśmy członkami królewskiego rodu. Cierpimy, żeby inni mogli się uśmiechać.

Przytulałam kolana do piersi. Tak, cierpimy, bo mieszkańcy naszego królestwa nie chcą uwierzyć w pokój. Mam tego dość. Wiem, że istnieje taki świat, gdzie to się może udać. Orisza, w której magowie, tytani i kosidanie żyją w zgodzie.

Wciąż mam tę wyśnioną Oriszę przed oczami, choć rzeczywistość bardziej przypomina koszmar.

– Trenują dzień i noc, żeby cię zniszczyć. – Wzdycham ciężko. – Próbuję ich przekonać, że istnieje szansa na pokój, ale oni nie ufają monarchii. Chcą wprowadzić Zélie na tron.

– Zélie? – Zdziwiony Inan aż się podrywa.

– Mówią o niej Wojowniczką Śmierci. Ona jest dla nich żywą legendą. Ale jeśli dopną swego... – Głos zamiera mi w piersi.

Chcę wierzyć, że Zélie postąpiłaby słusznie, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło od czasu rytuału, taka wiara zakrawa na naiwność. Zjednoczenie w ogóle jej nie interesuje. Zélie chce zniszczyć wroga.

– O co im chodzi? – pyta Inan. – Co musieliby osiągnąć, żeby zaprzestać walki?

– Chcą zdobyć władzę. – Wyobrażam sobie twarze klanowych starszych. – Prawdziwą wolność. Chcą końca tortur i prześladowań. Swojego miejsca w ramach monarchii i wpływu na to, co się dzieje w kraju.

Inan bierze głęboki wdech. Z każdym kolejnym żądaniem coraz mocniej nadyma pierś. Rozcierając ręce, zastanawia się nad tym, co powiedziałam.

– To wszystko?

Wzruszam ramionami.

– Z grubsza.

– No dobrze. – Kiwa głową. – Jak mogę im to dać?

Chwytam go za ramię i wytrzeszczam oczy.

– Mówisz poważnie?

– Skoro to jedyna szansa na zakończenie wojny... Zresztą mnie zależy na tym samym.

– Wiedziałam! – Klaszczę w dłonie. Euforia rozpiera mnie jak balon.

Po chwili jednak przychodzi otrzeźwienie. To przecież nadal za mało.

– Co się stało? – pyta Inan, widząc, że posmutniałam.

– To, że chcemy tego samego, nie ma znaczenia. Rebelianci nigdy nie uwierzą w szczerą twoich intencji. – Kręcę głową. – Jak się dowiedzą, że rozmawiałam z tobą wbrew ich woli, tak się wściekną, że w ogóle nie będą chcieli mnie słuchać.

Inan pociera palce w zamyśleniu.

– A jeśli nie usłyszą tej propozycji od ciebie, tylko bezpośrednio ode mnie? Mogę sporządzić traktat pokojowy. I osobiście przedstawić go ich przywódcom.

Gdy sobie uzmysławiam, że mówi to całkiem poważnie, serce mi zamiera. Gdyby sam król wystąpił z propozycją traktatu, nawet Zélie musiałaby się nad nią pochylić.

– Przyszędłbyś sam... – zaczynam ostrożnie.

– Nie mam wyboru. Po tym, co się stało w Chândomblé, rada królewska prędzej się mnie pozbędzie, niż przystanie na taki pomysł.

– Ale jak zamierzasz się wydostać z pałacu?

– Ojore będzie mnie krył, jeśli mu powiem, że idę na spotkanie z tobą. – Inan wyciąga rękę.

Serce ściska mi się ze wzruszenia. Właśnie tego chciałam: pokoju, w który od początku wierzyłam.

Lecz gdy patrzę na linie na jego dłoni, słyszę w myślach głos Zélie.

Postąpi, jak trzeba, dopóki go to niewiele kosztuje, ale później, gdy najbardziej na niego liczysz, wbije ci nóż w plecy! Nie ufaj mu, Amari! Przysporzył nam tylko ran.

– A co ze mną? – Spoglądam na brata. – Po twoim zniknięciu szykowałam się do objęcia tronu. Co będzie, gdy nastanie pokój?

Inan opuszcza rękę i przez chwilę się zastanawia.

– Nasza matka jest pewną sojuszniczką, ale jej skazą jest przeszłość. Orisza potrzebuje królowej, która będzie umiała uderzyć się w piersi.

Otwiera przede mną ramiona.

– Mówisz poważnie?

– Będziemy rządzić razem – oznajmia. – Tak powinno być od samego początku.

W jednej chwili spada mi z barków ogromny ciężar. Rzucam się bratu na szyję. Serce we mnie rośnie, kiedy go słucham. Zawsze wiedziałam, że będzie wspaniałym królem.

Po chwili jednak po moich bliznach przebiega dreszcz niepokoju.

Oby tylko Zélie nie uśmierciła Inana, zanim wspólnymi siłami zaprowadzimy w Oriszy upragniony pokój.

ROZDZIAŁ 48



ZÉLIE

Słońce wspina się nad widnokrąg. Moi Żniwiarze w milczeniu patrzą, jak niebo na wschodzie płonie łuną. Ciepłe promienie rozlewają się po górach, jaśniejają w nich całuny mgieł wśród wielgachnych drzew, tu i ówdzie błyska pawian śmigający z korony na koronę. Przemierzam wzrokiem trasę, którą dla nas upatrzyłam.

– O, tam. – Wskazuję na wzgórze, do którego właśnie dotarły promienie słońca. To tam Amari zaczynała trenować pod moim okiem. – Kto pierwszy na szczycie, ten wygrywa.

– To będę ja. – Mári zaciera ręce. – Niech nikt mi nie wchodzi w drogę.

Uśmiecham się. Wzgórze od sanktuarium dzieli prawie trzy kilometry. Tak daleko jeszcze nie lecieliśmy. To będzie idealny sprawdzian. Zobaczymy, na co się zdało pół miesiąca treningów z nowymi inkantacjami.

– Czy jeśli wygram, będę mogła zostać twoją Drugą? – pyta Mári.

Stojący za mną Mâzeli krzyżuje ręce na piersi. Wprawdzie coraz lepiej panuje nad zaklęciem, ale skrzydła wciąż sprawiają mu nieco kłopotu.

– Ten, kto wygra, będzie mógł się tym chwalić do końca życia – odpowiadam. – To pierwsze wyścigi Żniwiarzy. Sama Oja pobłogosławi imię zwycięzcy.

Całej trójce aż świecą się oczy. Patrzą na nich z radosnym drżeniem w piersi. Widzę to samo spojrzenie, którym ja wpatrywałam się w Mamę Agbę, kiedy opowiadała nam o bogach.

Stają na pozycjach i szykują się do recytowania zaklęć. Bimpe głośno wyłamuje sobie palce. Mâzeli potrząsa nogą w powietrzu.

– Uważajcie na siebie. – Podnoszę dłonie. – Trzy... dwa...

– Jeden! – woła Mári i rusza sprintem, od którego podskakuje jej afro zebrane w dwa okrągłe kucyki.

Pozostali biorą z niej przykład i cała trójka pędzi na skraj urwiska.

– Èmí òkú, gba ààyé nínú mi...

Bordowe cienie Mári strzelają jej z rąk i splatają się w lotnię, która mknie w powietrzu, niesiona zmiennymi prądami. Roześmiana Mári wysuwa się na prowadzenie, po chwili jednak silny podmuch wiatru znosi ją w bok. Sama też muszę uważać przy starcie.

– Jáde nínú àwon òjìjì re. Yí padà láti owó mi!

Niżej Bimpe obiera inną metodę. Jej cienie układają się za nią w żagiel. Opadając ku rwącej rzece, wypowiada zaklęcie. Cienie śmierci rozwiewają się w kłębach dymu, by po chwili przybrać postać deski pod jej stopami.

– I co ty na to, Mári? – Żylasta Bimpe z promiennym uśmiechem sunie po bystrym nurcie. Sięgające jej do pasa warkocze objają się o ciemną skórę.

Niesamowite. Jej śladem zbliżam się na własnych cieniach do lasu. Wygląda na to, że Bimpe jest dzisiaj bezkonkurencyjna... Lecz wtedy słyszę wołanie Mâzelego.

– Yí padà láti owó mi!

Mój Drugi przemyka pode mną wśród drzew. Jego lawendowe cienie wciąż są zbyt słabe, by przybrać trwały kształt, lecz Mâzeli obraca tę słabość na swoją korzyść. Co chwila rzuca nowe zaklęcie i tworzy z cieni kolejną linię. Owija je wokół konarów i frunie na nich przez gąszcz jak na skrzydłach.

– Tak trzymaj! – wołam do niego z góry, nie dowierzając własnym oczom.

Mâzeli przeskakuje z jednego cienia na drugi ze zwinnością goryliona huśtającego się na lianach. Podziw odbiera mi mowę. Nigdy nie wpadłam na to, by używać cieni śmierci w taki sposób.

Gdy mój Drugi ląduje na szczycie wzgórza, wzbiera we mnie fala gorącej dumy.

– Taak! – Triumfalnie wyrzuca ręce do góry. – Jestem największym Żniwiarzem w dziejach świata!

– To nie w porządku – stwierdza Mári, lądując tuż obok. – Myślałam, że mamy latać!

Opadam na trawiasty grzbiet i moje cienie się rozwiewają.

– Nic takiego nie mówiłam.

Mâzeli chodzi po wzgórzu podparty pod boki, dumnie wypinając pierś.

– Jestem nowym Wojownikiem Śmierci! Nie... Mówcie na mnie Pan Śmierci!

– W twoich snach – rzuca Mári.

Słucham ich przekomarzanek i nie mogę powstrzymać śmiechu. Chciałabym się z kimś podzielić radością moich podopiecznych. W pierwszej chwili do głowy przychodzi mi Tzain, ale zaraz potem wkrada się do niej Roën. Aż strach pomyśleć, w jakie kłopoty wciągnąłby Mâzelego, gdyby ujrzał ten popis zwinności. Pewnie spróbowałby wcielić biedaka do swojej najemnej bandy.

Rozbawiona tą myślą zwracam się do nadchodzącej Bimpe. Ściskam ją, gdy wchodzi na szczyt. I wtedy w dole zbrocza błyska mi coś białego.

To smukła postać Amari przemyka kotliną między dwoma większymi wzgórzami. Chyba nas nie widzi. Nic też nie wskazuje na to, że wybrała się na zwykły spacer. Porusza się tak, jakby nie chciała, żeby ktoś ją zauważył.

– Wracajcie sami – zwracam się do Mâzelego, ściskając go za ramię. – Muszę coś sprawdzić.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Kiwam głową.

– Spotkamy się w świątyni.

Mâzeli odpowiada ukłonem, a ja, nie tracąc czasu, zeskakuję w rozpadlinę. Cienie śmierci stały się już moimi nieodłącznymi towarzyszami. Nie muszę nawet wypowiadać zaklęcia, same chwytają mnie za ramiona i sprowadzają bezpiecznie na dół.

Co ty knujesz? Śledzę Amari, co jakiś czas unosząc nad głowę płataninę winorośli zagrządzającą przejście. Nie rozmawiałyśmy ani razu, odkąd zniszczyłam jej pergamin w kąpielisku. Według Tzaina Amari oczekuje, że ją przeproszę.

Pewnie chce uciec do Lagos. Zaciskam usta i pięści. Mogę jej za to wybić zęby. Kiedy wreszcie do niej dotrze, że monarchia nigdy nie zgodzi się na pokój?

– Amari, stój! – Wybiegam za nią na leśną polanę.

Zamiera na dźwięk mojego głosu. Chwytam ją za ramię i odwracam twarzą do siebie.

– A dokąd to?

Krew odpływa jej z twarzy. Nie odpowiada mi jednak ani słowem.

Dopiero po chwili dostrzegam między drzewami plamę bieli.

ROZDZIAŁ 49



ZÉLIE

Przez długą chwilę nie mogę wydobyć głosu. Jestem w szoku. Nie wiem, co myśleć o tym, co widzę. Co to oznacza dla mojego klanu. Dla całej rebelii.

Dopiero gdy szok mija, moje ciało zaczyna się trząść z nienawiści, która osiąga teraz nowe wyżyny. Wyciągam rękę przed siebie. Prąd magii przebiega mi po skórze.

– Podajcie mi jeden powód, dla którego nie powinnam was zabić!

– Zélie, nie! – Amari rzuca się między mnie a Inana.

Lecz na ten widok magia tylko się we mnie wzburza. Drugą ręką celuję w jej pierś.

– Jak mogłaś nas zdradzić? – krzyczę, rozglądając się po lesie za żołnierzami w złotych zbrojach.

– Nie bój się. – Inan omija siostrę i staje przede mną. – Przyszedłem tu sam.

– Uważaj, bo ci uwierzę. – Stojąc tak blisko niego, czuję się krucha jak ze szkła. Palce mi drżą i nie wiem, którego zaklęcia powinnam użyć.

Patrząc na jego twarz, słuchając jego głosu, czuję klucie w sercu. Wracam pamięcią do naszego spotkania w krainie snu; przypominam sobie dotyk jego dłoni na moich plecach. Wszystkie jego obietnice. Wszystkie kłamstwa.

Te wszystkie razy, kiedy otwierałam przed nim serce, a on mi je łamał.

– Zélie, błagam! – odzywa się Amari. – Inan przychodzi do nas z propozycją pokoju. Jest gotów spełnić wasze żądania!

– Jego propozycje są nic niewarte. – Wyszczierzam złowrogo zęby. – Magowie nie będą wolni, dopóki wszyscy członkowie królewskiego rodu nie spoczną w piachu.

– Ja też?! – krzyczy Amari. – Jestem córką króla Sarana i królowej Nehandy. Należę do tej samej rodziny, a mimo to uwierzyłaś, że będę walczyła w obronie twojego ludu. Dlaczego teraz nie możesz mi zaufać?

– Bo już w ogóle ci nie ufam! – Ruszam do przodu, a cienie śmierci rozsnuwają się wokół mnie, gotowe do ataku.

Mam ochotę rozerwać rodzeństwo na strzępy. Patrząc, jak ich ciała obracają się w proch. Wciąż nie mogę uwierzyć, że po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy, Amari zdecydowała się na taki krok.

Że naraziła mnie, moje siostry i moich braci.

– Naprawdę myślisz, że jedna bitwa u bram Lagos wystarczy, by obalić monarchię? – pyta Amari. – Nawet jeśli wygrasz, pomyśl o swoich Żniwiarzach. Pomyśl, ilu zginie!

– Nie mieszaj ich w to! – Głos mi drży, cienie gęstnieją.

Lecz Amari sama też unosi ręce. Opuszki jej palców skrzą się niebiesko.

Ta milcząca groźba jest jak strzała w moje serce. Jak łańcuch zaciskający się na szyi. To przecież ja nauczyłam ją posługiwać się magią.

A teraz Amari używa jej przeciwko mnie.

– Walczę o ciebie – szepcze. – Walczę o Mâzelego, o Mári, o Bimpe. Po prostu tego nie widzisz.

Zaciskam zęby. Inan robi krok w moją stronę. Amari wciąż stara się go zasłaniać, lecz Inan nie zgadza się, aby była jego strażniczką. Zbliża się do mnie, jakby nic sobie nie robił z cieni złowieszczo kłębiących się za moimi plecami.

– Przestań udawać, że mnie nie znasz – odzywa się. – Że nie wiesz, co mam w sercu. Bo ja wiem, że ty wiesz. Wiem, Zélie, bo ja cię znam. Im głośniej krzyczysz, im zacieklej atakujesz, tym bardziej widzę, że się nie zmieniłaś. – Kręci głową. – Wciąż jesteś tamtą dziewczynką, która się boi, że król zabierze jej wszystko, co drogie jej sercu.

Strach, o którym mówi, odzywa się we mnie jak na zawołanie. Tylko że teraz boję się jeszcze bardziej. Wtedy miałam na świecie tylko Tzaina i Babę. Teraz mam Mâzelego i moich Żniwiarzy. Mamę Agbę i pozostałe klany. Nie przeżyłabym ich utraty.

Po czymś takim już bym się nie pozbierała.

– Znasz mnie – powtarza Inan, zniżając głos do szeptu. – Wiesz, że nie kłamię. Chcę dotrzymać danego słowa, Zél. Chcę zbudować królestwo, w którym będziesz się codziennie śmiać. Kraj, w którym będziesz się czuła bezpieczna!

Broda lekko mu drży. Podchodzi jeszcze bliżej, zatrzymuje się dopiero, gdy kładę mu dłoń na piersi. Jego życie jest teraz w moich rękach, a on wciąż patrzy na mnie, jakbym była jedyną dziewczyną w całej Oriszy. Jedyną dziewczyną na świecie.

Oczy mnie szczypią, lecz powstrzymuję łzy. Nie mogę się rozplakać, bo wiem, jaką cenę zapłacę, jeśli otworzę przed nim serce. Dorobię się tylko kolejnych ran.

– Już tańczyliśmy ze sobą ten taniec – szepczę. – Już mi obiecywałeś nową Oriszę.

– Wtedy nie byłem królem. – Inan unosi ręce. – Teraz mam władzę. Mogę dotrzymać słowa.

Piękne kłamstwa. Zamykam oczy. Piękne kłamstwa.

Raz już dałam im wiarę.

I Baba przyplącił to życiem.

– Inan przygotował traktat. – Amari podchodzi do nas z rękoma w górze. – Traktat gwarantujący wam wszystko, czego się domagacie. Możesz być naprawdę wolna. I sprawić, że ludziom, którzy są ci bliscy, nie stanie się krzywda.

Spoglądam to w jej, to w jego bursztynowe oczy, i gardzę sobą za to, że mam ochotę opuścić ręce; uwierzyć, że ta bezsensowna wojna może się zakończyć.

– Parę miesięcy temu ty i Amari pomogłyście mi przejrzeć na oczy, uwolnić się od lęku i nienawiści. – Inan zaciska powieki. – Pomyśl o wszystkich istnieniach, które dałoby się uratować, gdybym wtedy stanął na wysokości zadania jako przywódca. Nie powtórz mojego błędu. Uratuj tych magów.

Jego słowa przenoszą mnie w czasie. Wiem, do czego nawiązuje. Chodzi mu o chwilę, zanim Tzain i Amari trafili do niewoli. Zanim odnaleźliśmy osadę Zulajchy i pozostałych ibawitów.

– Wiem, że nie mogę od ciebie wymagać, abyś mi zaufała – przyznaje Inan. – Nie po tym wszystkim, co uczyniłem. I co utraciłaś. Ale jeśli naprawdę zależy ci na dobru twojego klanu, powinnaś wybrać pokój. Masz przed sobą jedynych monarchów w Oriszy gotowych spełnić twoje żądania.

Oddycham głęboko i przetrawiam jego słowa. Myślę o triumfalnym uśmiechu Mâzelego. O głodzie w oczach Mári. Wyobrażam sobie wszystkich innych, nieznanymi mi jeszcze Żniwiarzy spoza naszej kryjówki, czekających na szansę, by znów stać się częścią naszego klanu.

– Błagam. – Amari opuszcza ręce. – Przynajmniej daj starszym traktat do przeczytania. O nic więcej cię nie proszę.

Spoglądam na Inana; na swoją dłoń na jego piersi. Czuję bicie jego serca i przypominam sobie czasy, kiedy to samo tętno kojarzyło mi się z falami przyboju. Z bezpieczeństwem. Z domem.

Wzdycham głęboko, zamykam oczy i opuszczam ręce. Powstrzymywane łzy wylewają mi się na policzki. Cofam się o krok.

– Słusznie postępujesz. – Amari chce mnie objąć, ale wystawiam dłoń.

– Nie przejdziecie dalej, dopóki nie zobaczę tego traktatu.

Inan unosi brwi, lecz kiwa głową i sięga do skórzanej sakwy na plecach. Kiedy wyjmuje z niej pergamin, jakiś ciężar spada mi z serca.

Tak długo rwałam się do walki. Chciałam wyrównać z nim rachunki. Teraz jednak czuję, że podjęłam właściwą decyzję. Łańcuchy, które pętały mi duszę, opadają.

Jeśli naprawdę zapanuje pokój, a ja i moi Żniwiarze będziemy wolni...

Bogowie.

Niczego tak nie pragnę.

– Proszę. – Inan wręcza mi pergamin i zaczynam czytać.

On i Amari czekają z zapartym tchem.

– To nie wystarczy, żeby przekonać resztę – mówię. – Ale wystarczy, żebyście mogli usiąść do...

Przerywa mi dźwięk rogu. Dobiega od strony sanktuarium. Z każdą chwilą rozbrzmiewa coraz przenikliwiej.

– Co to? – Amari spogląda w tamtym kierunku.

Inan marszczy brwi.

– Nie wiem... Przyszedłem tu sam, daję słowo.

Cienie wylatują mi z ręki i owijają się wokół gałęzi nade mną. Wznoszę się na nich ponad korony drzew. Oby tylko nie potwierdziły się moje najgorsze przeczucia...

Lecz widok z góry nie pozostawia żadnych wątpliwości: w oddali dostrzegam czarno-złotą pieczęć Nehandy. Sto aksamitnych chorągwi powiewa na wietrze, znacząc szlak wojskowego taboru.

Chłód, jakiego nie czułam od czasu Obławy, przeszywa mnie na wskroś.

Wróg stoi u naszych bram.

Przyszła do nas wojna.

ROZDZIAŁ 50



AMARI

– Ty potworze! – krzyczy Zélie, opadając z powrotem na ziemię. Rusza z kijem na Inana, lecz zatrzymuje ją kolejny dźwięk syreny. Z grobową miną odwraca się, by po chwili zniknąć w lesie.

Osuwam się na kolana.

Po tym, jak uratowałam mu życie.

Po tym, jak stanęłam dla niego do walki z ojcem.

Po tym, jak ubłagałam Zélie, żeby mu jednak zaufała.

Zwijam się w sobie, mam łzy w oczach. Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobił. Mnie i jej!

– Amari, przysięgam. – Inan wyciąga rękę. – To nie jest część mojego planu...

Ledwie go słyszę przez wojenny harmider. W naszą stronę suną setki skrzypiących wozów. Morze aksamitnych chorągiewek faluje na wietrze. Przeprowadziłam go tutaj, żeby zawarł pokój z magami.

A on zgotował nam koniec.

– Musisz mi uwierzyć! – woła drżącym głosem. – Nikomu nie mówiłem! Tylko Ojoremu! Obiecał, że dochowa tajemnicy!

Postąpi, jak trzeba, dopóki go to niewiele kosztuje, ale później, gdy najbardziej na niego liczysz, wbije ci nóż w plecy! Nie ufaj mu, Amari! Przysporzył nam tylko ran.

Słowa Zélie dźwięczą mi w głowie, niszczą mnie od środka. Chciałam, żeby się myliła. Sądziłam, że Inanowi mogę zaufać jak nikomu innemu, że tylko on podziela moją wizję zjednoczonej Oriszy.

Ale teraz maska opadła. Nie ma takiego kłamstwa, do którego by się nie zniżył.

Jest nieodrodnym synem swojego ojca.

Od początku był potworem.

– Zaraz... zaraz wycofam wojsko! – przekrzykuje wyjąca syrenę. – Daj mi szansę!

Ale parząc mu w oczy, mam poczucie, jakbym spoglądała w pustkę. Tracę siebie: zamiast być, kim chcę, zmieniam się na powrót w osobę, którą musiałam się stać, bo tak chciała moja rodzina.

Inan i matka są tacy sami jak ojciec.

Orisza nie będzie wolna od tyranii, dopóki oboje nie spoczną w ziemi.

– Amari...

Otwieram dłoń. Inan robi wielkie oczy. Jego tętno huczy mi w uszach. Dudni w kościach.

Niebieskie smużki magii podnoszą się znad jego skóry. Wysysam mu aszê z żył. Słabnący puls Inana rozbrzmiewa echem w mojej piersi. Mogłabym łatwo z nim skończyć. Wyciągnąć z niego aż do ostatka całą życiową siłę. Nic prostszego.

Amari, atakuj.

Wspomnienie głosu ojca przyprawia mnie o dreszcz. Wyobrażam sobie, że znów stoję naprzeciwko Inana w pałacowych podziemiach. Wtedy się zawahałam i spotkała mnie krzywda.

Zawsze spotyka mnie krzywda.

Zza szczytu wzgórza wyłaniają się żołnierze tytani. Prą przez dżunglę, w pierwszym rzucie doliczam się prawie trzech tuzinów. Za nimi panterozce ciągną wozy.

W miarę jak się zbliżają, słyszę w uszach coraz więcej serc. Czuję aszê innych tytanów Konektorów, gorącą jak płomień, który rośnie z każdą sekundą. Wzrasta też moja moc, zasilana energią z ich żył.

– Między nami wszystko skończone. – Kładę Inanowi dłoń na piersi. Do rąk napływa mi coraz więcej magii.

Pierwsza fala tytanów zaczyna schodzić w dolinę.

– Nie mam już brata – wycedzam przez zęby. – Dla mnie jesteś martwy.

Ze łzami na policzkach rzucam jego drżące ciało na ziemię. Gdy podnoszę ręce, aszê tytanów przepelnia mnie hukiem.

A kiedy pierwsi żołnierze przypuszczają atak, uderzam w nich z całą mocą własnej rozpaczy.

ROZDZIAŁ 51



ZÉLIE

Jak on mógł?

Gardzę sobą za to, że w ogóle zadaję sobie to pytanie. Gałęzie i pnącza chłoszczą mnie po twarzy. Gardło pali od wyteżonych oddechów.

Myślę o spojrzeniu Inana. O jego czułym tonie. Trzeba przyznać, że osiągnął prawdziwe mistrzostwo.

Można by pomyśleć, że sam wierzy w swoje kłamstwa.

A Amari...

Nie mam teraz czasu roztrząsać jej zdrady. Biegnę co tchu z powrotem, ale wojenne tabory już suną w tym samym kierunku. Do góry broniącej wstępu do sanktuarium został im jeszcze cały kilometr; nie mogę pozwolić, żeby podeszli bliżej. Jeśli Nehanda jest wśród nich, powali tę górę, grzebiąc rebeliantów pod lawiną ziemi i kamieni.

– Jagunjagun! – woła do mnie Mâzeli. Stoi w szeregu Żniwiarzy pół kilometra przed sanktuarium.

Gdy się zbliżam, w ich brązowych oczach dostrzegam trwogę. Tym bardziej staram się zachować spokój.

– Co robimy? – pyta Bimpe. – Wszyscy nasi są jeszcze w sanktuarium.

Chcę im powiedzieć, żeby uciekali, ale nie możemy troszczyć się jedynie o siebie. Za tą górą znajdują się wszyscy starsi. Bez nas nie ma rebelii.

– Mâri, wezwij starszych! – rozkazuję. – Będziemy potrzebowali wszystkich magów zdolnych do walki. Bimpe, Mâzeli, trzymajcie się blisko mnie – zwracam się do pozostałej dwójki, gdy Mâri znika wśród drzew. – Musimy sami odeprzeć pierwszą falę.

Nie wiem, skąd we mnie tyle zimnej krwi, ale ważne, że ją mam. Mâzeli i Bimpe stają w szeregu. Razem zwracamy się ku atakującym żołnierzom. Wielu z nich ma na sobie złote zbroje, a wokół rąk poświatę w kolorze takiej lub innej mocy. Czerwoną

Ogniarzy, pomarańczową Kancerów. Dostrzegam nawet paru tytanów, od których bije lawendowy blask Żniwiarzy.

– Skoncentrujcie się! – krzyczę, gdy stajemy na drodze nieprzyjacielskiej kolumny. – Szykujcie swoje cienie! – A pod nosem dodaję: – Oya, bò wón.n. Miej ich w swej opiece.

Ustawiamy się w odstępach na piaszczystej drodze, troje Żniwiarzy. Zamykam oczy i oddycham głęboko. Wyczuwam, że Bimpe i Mâzeli robią to samo.

– Èmí òkú, gba ààyé nínú mi. Jáde nínú àwon òjǐjǐ re...

Robi mi się ciepło, gdy cienie zaczynają wirować wokół, podobne do świetlnych wstęg. Moi Żniwiarze biorą ze mnie przykład, otaczają się różnymi duchami, a ich aszê łączy się z moją.

– Yí padà láti owó mi!

Nasze cienie zlewają się ze sobą jak zmieszane farby; głębokie fiolety czernieją od stężenia mocy. Podnosimy głosy, cienie nabierają kształtu, aż powstaje z nich wielki grot strzały. Ostatnimi słowami zaklęcia rozpoczynamy atak. Grot mknie do przodu z gwałtownym podmuchem.

– Uwaga! – woła jeden z tytanów.

Na moment wszystko jakby zwalnia, hałasy zlewają się w monotony szum.

Pierwszy wóz zjeżdża na bok, próbując uciec przed naszymi cieniami, lecz siedzący w nim żołnierze są bez szans. W zetknięciu z cieniami śmierci błyskawicznie obracają się w popiół.

Okrzyki bólu wybuchają głośno i zaraz cichną jak nożem uciął. Nasze cienie prą naprzód. Za jednym zamachem niszczą trzy wozy.

– Zélie, patrz! – Mâzeli wskazuje do tyłu, na magów, którzy nadchodzą, by nas wesprzeć.

Ich widok jeszcze bardziej podnosi mnie na duchu. Razem zdołamy obronić sanktuarium.

Choć pierś ciężko mi faluje, puszczam się biegiem w stronę wroga.

– Chodźcie! – wołam do moich Żniwiarzy. – Powtórzmy to!

ROZDZIAŁ 52



INAN

– Wstrzymać natarcie!

Krzyczę, lecz mój zachrypnięty głos jest niewiele głośniejszy od szeptu. Wciąż kręci mi się w głowie po tym, co mi zrobiła Amari. Słaniam się na nogach.

Brnę przez dżunglę, która szybko zmienia się w pole bitwy. Magowie wysypują się tłumnie ze swojej bazy, a moje siły kontynuują atak.

– Wybić hołotę! – krzyczy jakiś porucznik, posyłając do przodu następną kolumnę wozów.

Krzepki mag z metalową nogą uderza rękoma w drogę. Inni magowie w podobnych zielonych zbrojach robią to samo.

– Odi àwọn òrìṣà...

Ich magia wnika w ziemię. Wielkie słupy piachu wystrzelają do góry i twardnieją na kamień. Wozy próbują je ominąć, lecz im się to nie udaje. Roztrzaskują się z hukiem, aż lecą odłamki drewna i metalu.

Nieba!

Chowam się za drzewem. Powietrze wypełnia się gazem majacytowym, ale cyklon wywołany przez magów przepędza chmurę daleko.

Moi żołnierze atakują, lecz każdy ich manewr spotyka się z odporem. Nic z tego nie będzie.

Ktokolwiek stoi za tym natarciem, przegrywa.

– Inanie!

Głos Ojorego jest linią rzuconą na ratunek i zarazem przekleństwem. Kuzyn podbiega do mnie wśród zamętu i zarzuca moją rękę na szyję. Wycofujemy się pod osłoną. Chwilę później od strony obozu magów nadbiega Poskramiaczka, postawna dziewczyna ze słonecznikami w kręconych włosach. Wypuszcza z dłoni różowe obłoki. Pod wpływem jej magii nasze panterożce zaczynają wariować.

Żołnierze z krzykiem spadają z grzbietów wierzchaczy. Wściekłe bestie toczą pianę z pysków. Gdy jedna z nich zatapia kły w szyi własnego jeźdźca, odwracam wzrok.

– Jak mogłeś?! – krzyczę. – Wydałem ci rozkaz!

– Nie miałem wyboru. – Ojore ciągnie mnie za sobą. – Nie mogłem okłamać twojej matki!

– A więc to jej decyzja?

Prawda w końcu do mnie dociera. Opuszczam bezwładnie ręce.

– Powiedziała, że Amari cię zabije, gdy tylko cię zobaczy. I że musimy cię uratować z tej zasadzki...

BUM!

Jeden z naszych wozów zostaje trafiony ognistym podmuchem. Siła eksplozji przewraca nas na ziemię.

– Zabierzcie króla w bezpieczne miejsce! – woła Ojore w stronę nadbiegających żołnierzy.

Jeden z tytanów wsadza mnie na wierzchacza i odjeżdżamy na tyły.

Mam ochotę krzyknąć do żołnierzy, by przerwali natarcie, lecz wiem, że teraz, gdy bitwa się rozpoczęła, jest już na to za późno. Rebelianci rzucili przeciwko nam wszystko, co mają. Nie zdołamy przełamać ich obrony.

To koniec.

Jadę z ręką przyciśniętą do piersi. Jak tak dalej pójdzie, przegramy wojnę. Cała Orisza stanie w ogniu.

Po dwóch kilometrach zatrzymuje nas matka. Gdy schodzę na ziemię, rzuca mi się na szyję.

– Jakie to szczęście, że nic ci nie jest!

– Nic mi nie groziło, dopóki nie zaatakowaliście! – Wyrywam się z jej objęć. – Teraz musimy się wycofać! Inaczej przegramy wojnę.

– Nie martw się. – Matka wskazuje palcem kolejny zbliżający się tabor. – Nadciąga Dżokôje ze swoimi oddziałami. Dziś skończy się rebelia.

ROZDZIAŁ 53



ZÉLIE

– Èmí òkú, gba ààyé nínú mi... – Zachrypniętym głosem wywołuję magię z głębi swojego ciała.

Wężowe cienie wylatują mi z rąk i spadają na dziesięciu atakujących żołnierzy. Odrzucają ich do tyłu i przywiązują do ogromnych pni. Mâzeli przychodzi mi w sukurs, tworząc wielkiego ożywieńca, który powala kolejny tuzin tytanów.

– Dobra nasza! – woła uśmiechnięty od ucha do ucha.

Po drugiej stronie drogi Nâo i jej Faluni wrzucają pięciu tytanów do rwącej rzeki. Stworzony przez nich wir wciąga żołnierzy pod wodę.

Odwracamy się z Mâzelim, gotowi do kolejnego zaklęcia. I wtedy rozlega się róg monarszy.

A-uuuuuuuu!

Przeraźliwy skowyt niesie się przez doliny. Żołnierze najpierw stają w miejscu, a po chwili przechodzą do odwrotu.

– Wycofują się! – Kenjon triumfalnie unosi zaciśniętą pięść, wypuszczając w powietrze strumień ognia.

W szeregach magów wybucha euforia. Żołnierze uciekają, porzucając wozy i majacytowe bomby.

Wdrapuję się na wyrośnięty korzeń, by lepiej widzieć odwrót wrogich wojsk. Wspinam się coraz wyżej, przepatrując zieloną gęstwinę dżungli. Na wysokości dziesięciu metrów doznaję dziwnego uczucia – jakby powietrze zaczynało drgać.

Ze ściśniętym żołądkiem obracam głowę i spoglądam w dal. Jakieś cztery kilometry ode mnie jedzie leśną drogą samotny wóz zaprzężony w trzy śnieżne lampartusy. Na drewnianej platformie stoją dwa tuziny uzbrojonych żołnierzy, a przewodzi im generałka z warkoczem do pasa, którą widzieliśmy w Chândomblé.

Choć wszyscy żołnierze mają na sobie złote zbroje tytanów, to właśnie na widok generałki moje tatuaże reagują szmerem. Gdy oddział tytanów mija wycofujących się

żołnierzy monarchii, doznają olśnienia.

Wróg wcale nie ucieka przed nami.

Ucieka przed nimi.

– Odwrót! – krzyczę. – Wracamy do sanktuarium!

Rebelianci patrzą na mnie z konsternacją na twarzach. Tymczasem tytani zatrzymują wóz w odległości jednego kilometra i zeskakują na ziemię.

– Co jest grane? – woła Mâzeli.

Oniemiała patrzę, jak generałka unosi ręce. Na dany znak tytani ustawiają się w kręgu wokół niej. Gdy otwiera dłonie, dostrzegam w jej oczach srebrny blask.

– Ona jest cênterką! – wrzeszczę. – Ujarmia wiatr!

Powietrze drży coraz gwałtowniej, jakby trzęsła się ziemia. Wiatr zasysa wszystko do przodu, szarpie moje ubranie, podrywa liście i piach.

Zapanowuje chaos. Wszyscy w panice ruszają z powrotem do sanktuarium. Dudnią łapy spłoszonych dzikich wierzchaczy. Na'ima za pomocą zaklęcia zatrzymuje nadbiegające z północy stado tygrusów, aby magowie i starsi mogli ich dosiąść.

– Pędem! – Wpycham Bimpe na grzbiet prądkowanej bestii. Gdy jednak wykrzykuję kolejne polecenia, huk wiatru całkiem je zagłusza. Nie słyszę nawet własnego oddechu.

Groza chwyta mnie za serce. Uderzam tygrusa w zad, po czym daję znak Mâzelemu, żeby się ukrył. Gdy spostrzegam ostrze, które cênterka uformowała z powietrza, nie dowierzam własnym oczom.

Czegoś podobnego nie widziałam jeszcze nigdy. I nawet nie sądziłam, że taka moc istnieje.

Powietrzne ostrze mknie w naszą stronę niczym ogromna wirująca kosa, rozcinając niebo. Zbliża się w zawrotnym tempie. Zostawia za sobą pas rozdartej ziemi, a gęsta dżungla rozstępuje się przed nim. Powietrze robi się ciężkie. Rzucam się w stronę Mâzelego.

– Padnij!

Gdy ostrze uderza w pierwsze z mamucich drzew, świat znów eksploduje dźwiękiem. Powietrze wypełnia się kawałkami kory i roślinności. Wpełzamy pod pajęczynę grubych korzeni, aby schować się przed nawałą spadających drzew. Nie widzę nic prócz tumanów kurzu. Nie słyszę nic prócz wycia wiatru.

Jak ona to robi? Choć cała się trzęsę, staram się chronić Mâzelego. Wiem, że cênterzy potrafią wchłaniać magię innych tytanów, ale nie sądziłam, że może to przybrać takie rozmiary.

Ogromne drzewa wyrwane z korzeniami. Uszkodzone wcześniej wozy, które zalegały na drodze, roztrzaskane na drobne kawałki. Długi pas dżungli zmieniony nie do poznania.

Trzymając w objęciach drżącego Mâzelego, słucham, jak wichur cichnie, już nie wyje, a jedynie złowrogo syczy. Już tylko lekki wiatr powiewa nad pobojuwiskiem, które rozpościera się między nami a tytanami. Jeśli cênterka ponowi atak, zostaniemy bez osłony. Nasze pergaminy i długie godziny treningów na nic się nie zdadzą w obliczu takiej potęgi. Moc cênterki niewiele ma wspólnego z magią śmiertelników.

Przypomina raczej moc bogów.

– Czy to już koniec? – pyta Mâzeli.

– Nie wiem.

Z daleka widzę tuzin tytanów, z których generałka wysała energię do pierwszego ataku. Leżą na ziemi, w martwym kręgu wokół dowódczyni, mają zapadnięte policzki, pomarszczoną skórę i sterczące kości.

Mimo to generałkę okrąża już posłusznie nowa gromada tytanów. Są jak amunicja, którą załadowuje przed kolejnym atakiem.

Mâzeli wytrzeszcza oczy.

– Za drugim razem rozwali wały sanktuarium! Musimy ją powstrzymać!

– Ale jak? Nie możemy się do niej zbliżyć.

Przyciskam pięści do skroni, gdy oczy cênterki znów błyskają srebrnym światłem. Powietrze wypełnia się miarowym buczeniem. Wiatr znów się wzmacnia.

– Wiem, co moglibyśmy zrobić. – Mâzeli zwierza dłonie w pięści, jakby chciał dodać sobie otuchy.

Robię krok do tyłu i spoglądam na swoje tatuaże.

Nie możemy się mierzyć z mocą cênterki. Ale gdybyśmy odpowiedzieli jej tym samym...

– To zbyt duże ryzyko. – Kręcę głową. – Połączenie mogłoby nas zabić!

– Wolisz być zabita przez nią? Musimy za wszelką cenę chronić pozostałych magów.

Mówi to z przekonaniem, które uspokaja chaos. I trudno się z nim nie zgodzić. Nie mamy wyboru. Za tymi wałami są nasi ludzie.

Rozbudzona magia kamienia księżycowego rozgrzewa moje ciało. W uszach zaczyna mi dudnić serce Mâzelego. Widzę pod jego skórą fioletową poświatę aszê.

– Jesteś gotowy?

Kiwa głową i splata swoją dłoń z moją. Szepczę prastary rozkaz, a moje tatuaże mienia się złotym blaskiem.

– È tónná agbára yin.

Między naszymi złączonymi dłońmi coś trzaska jak błyskawica. Mâzeli wydaje z siebie ciche stęknienie i oboje wznosimy się w powietrze, wypinając piersi ku niebu. Oczy i usta świecą nam fioletowo. Identyczne cząstki światła materializują się na wysokości naszych serc.

Rozwijają się i przeplatają niczym wstęgi, a razem z nimi łączy się w jedno nasza energia. Powietrze rzędzie, ale teraz czuję w naszych oddechach moc Oi.

– Zbliża się! – woła Mâzeli, gdy nasze stopy lądują z powrotem na ziemi.

Wicher generałki znów przykrywa wszystko ogłuszającą ciszą. Drzewa łamią się wpół, świszczące ostrze nabiera kształtu. Jednak gdy cênterka szykuje się do ataku, nasze dłonie rozbłyskują fioletowym światłem.

– Èmí àwọn tí ó ti sùn...

Słowa naszej inkantacji dźwięczą głośno wśród ciszy.

ROZDZIAŁ 54



ZÉLIE

Zaczyna się od wstrząsu.

Jakby pod ziemią coś tąpnęło.

Pierwsze wzgórze wybucha i spod niego wyłaniają się monstrualni ożywieńcy. Są wielcy jak goryliony. Sama u szczytu sił potrafię przywołać co najwyżej kilkudziesięciu. Teraz wspólnie z Mâzelim w parę sekund formujemy kilkuset.

– ...mo ké pè yin ní òní.

Żyły pęcznią nam na szyjach, lecz fala powstających ożywieńców robi niesamowite wrażenie. Ruszają do ataku niczym lądowe tsunami, rozsypując naokoło grudy ziemi.

Cênterka posyła przeciw nim swoją powietrzną kosę, która rozwała pojedynczych ożywieńców na kawałki, lecz nie jest w stanie zniszczyć całej hordy. Wicher zamiera w odległości pół kilometra od nas.

– Tak trzymaj! – krzyczę do Mâzelego. Czuję we własnej piersi bicie jego serca. Ciało mam gorące od naszej połączonej aszê.

Magia kamienia księżycowego wiąże nasze dusze, tworząc siłę, jaka nigdy wcześniej nie była moim udziałem. Ożywieńcy atakują wozy, rozrywają żołnierzy na strzępy. Wrzaski tytanów wznoszą się pod niebo. Im dłużej to jednak trwa, tym bardziej się męczymy. Tym silniej odczuwam nasz wspólny ból.

– Zélie... – chrypi Mâzeli przez zaciśnięte zęby. Z ramion odchodzą mu płyty skóry, krzyczy coraz przenikliwiej.

Potęźna aszê szarpie nas i pali od środka. Chciałabym jak najszybciej zerwać to połączenie, ale cênterka wciąż nam zagraża.

– Ostatni raz! – wołam. – Èmí àwọn tí ó ti sùn...

Zacinam zęby z bólu. Na mój rozkaz kolejne wzgórza przemieniają się z łoskotem w armie golemów. Moc Oi krąży w naszych żyłach.

Duchy wyrastają jak góry, suną do przodu jak burza. W parę sekund są przy generałce. Słyszę z daleka jej zawodzący jęk, potem cielska golemów rozświetla eksplozja srebrnego blasku. Gdy ruszają dalej, dostrzegam martwe ciało cênterki. Leży na potrzaskanym wozie jak szmaciana lalka.

– Udało się!

Spoglądam na Mâzelego, lecz mój Drugi stoi nieruchomo. Z kącika ust cieknie mu strużka krwi, a palce u rąk zwisają bezwładnie.

– Mâzeli?

Fioletowy blask w jego oczach przygasa. Wywracają się białkami do góry i Mâzeli zaczyna się chwiać. Widzę, jakie piętno odcisnęła na nim połączona moc naszej magii, jakie uczyniła w nim spustoszenie.

Unosi rękę i chwyta się za pierś, a ja czuję pod mostkiem spazm jego serca.

– Mâzeli!

Upada. Wyciągam do niego rękę, lecz gdy jego ciało ląduje na ziemi, pode mną także uginają się nogi.

ROZDZIAŁ 55



ZÉLIE

– Chani! – Mój krzyk przypomina bardziej wąty pisk.

Kâmarū wnosi nas do szpitala. Uzdrowiciele natychmiast robią miejsce na hamakach. Choć ledwie mogę unieść ręce, ściskam resztką sił dłoni Mâzelego.

Złoty blask moich tatuaży przygasa, jego serce bije coraz wolniej, a moje zwalnia razem z nim. Kamień księżycowy wciąż łączy nasze dusze. Bez ofiary krwi nie zdołamy utrzymać tego połączenia.

– Bogowie... – Na nasz widok twarz Chani przybiera wyraz głębokiego zatroskania. Jej pomarańczowa szata i białe warkocze są umazane krwią. Poprawia okulary na nosie, po czym bierze się do roboty. – Jamena, woda. Czibudo, czyste bandaże. Obu, prędko, potrzebuję każdej wolnej pary rąk!

– Idán ti eję, jí láti wo ọna rẹ láradá!

– Ogbé inú, dáhùn ìpè wa!

Rytmiczne zaklęcia gromady Uzdrowicieli odbijają się od kolumn porośniętych bluszczem. Chani i jej uczniowie kierują w nas swoją aszê, kładą nam dłonie na głowach, na sercach, na brzuchach.

Ale mimo ich wysiłków z każdą upływającą sekundą skóra nam ziębnie, oddechy zwalniają.

– Połączenie – rzezi Mâzeli. – Trzeba je zerwać.

Jego słabnąca energia życiowa uczepiła się mojej, podobna do kotwicy, która ciągnie mnie na dno. Ale choć jest mi coraz duszniej, nie zamierzam się poddać. Nieważne, że kaszlę krwią. Nieważne, że boli.

To samo połączenie, które mnie wyniszcza, jego trzyma przy życiu.

– Wszystko będzie dobrze – szepczę z trudem. – Tylko wytrzy...

Mâzeli dostaje ataku konwulsji, od którego ja także się trzęsę. Uzdrowiciele muszą mnie przytrzymać, żebym nie wypadła z hamaka. Z całych sił próbuję zaczerpnąć powietrza, lecz mi się to nie udaje.

– Mamo Agbo, potrzebuję twojej pomocy! – woła Chani.

Gdy Jasnowidzka w srebrnej szacie wbiega do szpitala, ledwie widzę na oczy. Pomarszczona dłoń naciska moją pierś. Rozlega się prastare zaklęcie, które tylko ona może wypowiedzieć.

– E túu sílè.!

Przeszywa mnie znowu to samo uderzenie pioruna, które poczułam, gdy połączyłam się z Mâzelim. Mimo woli wyginam grzbiet, a moje tatuaże jaśnieją przez chwilę silnym blaskiem. Potem gasną na dobre.

Jeszcze przez chwilę dzwoni mi w uszach. Piecze mnie w brzuchu. Wreszcie nabieram powietrza – i przechodzi mnie mróz.

Mogę oddychać, ale już go nie czuję.

– Mâzeli! – Chwytam się za serce i staczam z hamaka na podłogę.

Mój Drugi wciąż wije się w dzikich konwulsjach. Łapię go za rękę. Jest lodowata w dotyku.

– È tónná agbára yin!

Ale choć daję z siebie wszystko, moje znaki tylko mieniają się blado. Magia nie chce się zbudzić.

– Jesteś za słaba! – Mama Agba dotyka mojego ramienia, ale ją odpycham.

Ze wściekłości robi mi się czarno przed oczami. Emocje są tak silne, że przyćmiewają mi rozum.

– Co ty zrobiłaś?! – wołam oskarżycielskim tonem.

Zaraz potem Mâzeli przestaje się trząść.

– Jagunjagun...

Ten cichy jęk, ledwie cień jego donośnego głosu, rozdziera mi serce. Drżącą dłonią tłumię szloch.

– Jestem tutaj. – Biorę go za ręce i całuję po zimnych opuszkach palców. – Jestem przy tobie. Nigdzie nie idę.

Znaki kamienia księżycowego na mojej skórze znowu migoczą i wokół nieruchomego ciała ukazuje mi się fioletowa poświata. Przedtem świeciło z wielką siłą. Teraz gaśnie w oczach. Jak gwiazda, która wypaliła się do cna.

Stojąca za nim Chani unosi bezradnie ręce. Jej mina mówi wszystko. Nie da się go uratować.

Co się stało, to się nie odstanie.

– Reszta... – Mâzeli na chwilę unosi powieki. – Czy ich... Czy oni...

– Wszyscy są bezpieczni. – Każde słowo boli, jakbym miała nóż w krtani. – Dzięki tobie.

W piwnych oczach Mâzelego błyskają łzy. Powstrzymuje się od płaczu. Ja dłużej nie potrafię. Wybucham szlochem.

– Ja nie chcę... – Mâzeli zaczyna się trząść. Oczy ma pełne strachu.

Ocieram łzy i otaczam serce żelaznym pancerzem. Nie mogę płakać właśnie teraz, gdy najbardziej mnie potrzebuje.

– To dopiero początek. – Głaszczę go po głowie, tak jak to robiła Mama Agba, kiedy byłam młodsza. – Po tamtej stronie spotkasz swoją mamę. Znów będziecie się śmiać razem z Arunimą.

– Oja też tam będzie? – Ściska mi ramię, łzy ciekną mu po twarzy.

Biorę ją w dłonie i uśmiecham się najpogodniej, jak potrafię.

– Przywita swojego najdzielniejszego żołnierza z otwartymi ramionami.

Mâzeli próbuje przytaknąć, lecz grymas bólu zniekształca mu rysy. Znów kaszle krwią.

– Nie boję się.

– Świetnie. – Opieram czoło o jego czoło. – Jesteś wojownikiem śmierci. Nie masz się czego bać.

Każde wypowiedane słowo rani mnie od wewnątrz jak nóż. Jak strzała, która ugodziła Babę w pierś. Jakby ktoś mnie zmuszał, żebym wyrwała sobie serce, a potem odłożyła je z powrotem na miejsce.

– Żniwarze... – Mâzeli oddycha z coraz większym trudem. – Nie pozwól, żeby się smucili. – Walczy z opadającymi powiekami, ale jego spojrzenie mętnieje.

– Mâzeli! – Czując, że chwyt mu słabnie, ściskam go mocniej za rękę.

– Nie bądź smutna.

Zamyka oczy.

ROZDZIAŁ 56



AMARI

Zmęczone nogi palą mnie ogniem, gdy wbiegam po schodach do sanktuarium. Wszędzie wokół widzę nieszczęście, do którego sama niechcący doprowadziłam. Tak się kończy wiara w dobre intencje Inana.

Choć samo sanktuarium przetrwało bez szwanku, na kamienistych ścieżkach i trawnikach pierwszej góry leży wielu rannych. Uwijają się przy nich Uzdrawiciele, a Druidy poszczególnych klanów pilnują, żeby nikt nie przechodził przez mosty.

– Na litość Jemędzy! – przeklina Nâo, gdy Uzdrawiciel wyciąga z jej uda gruby kawał kory. Ogolona głowa magiczki ocieka potem. Tatuaze na jej szyi są umazane krwią.

Naprzeciwko niej leży nieprzytomny Kenjon. Oddycha powoli, płytko. Białe loki kleją mu się do zakrwawionego czoła. Na'ima pokrzykuje, starając się go ocucić.

– Zélie? – Na próżno szukam jej wzrokiem wśród całego zamieszania. Mâzelego też nigdzie nie widać. Wszyscy Żniwiarze gdzieś przepadli. – Hej. – Łapię za ramię jednego z Uzdrawicieli. – Nie widziałeś Zélie?

– Zabrali ją do szpitala – odpowiada. – Ona i Mâzeli nie oddychali...

Rzucam się pędem w stronę głównej wieży. Mijam ciała rannych, roztrącam Uzdrawicieli. Plamy krwi na kamiennych schodach wieży znaczą drogę do szpitala ponurym szlakiem. Oby to nie była jej krew. Jeśli coś jej się stało, nigdy sobie nie wybaczę...

– Neeee!

Staję jak wryta. Nieludzkie wycie rozbrzmiewa w korytarzu echem, od którego cierpnie skóra. Przez dłuższą chwilę trwam w bezruchu przed wejściem do szpitala.

Najchętniej bym stamtąd uciekła, w końcu jednak zbieram się na odwagę i wchodzę do wnętrza porośniętego bluszczem.

– Zélie?

Na jej widok miękną mi nogi. Zaraz potem dostrzegam źródło jej cierpienia.

Nieba...

Zakrywam usta. Zélie obejmuje Mâzelego za szyję, klęcząc nad jego sponiewieranym ciałem. Mâzeli, ten wulkan niespożytej energii, leży nieruchomo. W kąciku ust dostrzegam strużkę krwi.

Jego długie ramiona zwisają martwo.

Postąpi, jak trzeba, dopóki go to niewiele kosztuje, ale później, gdy najbardziej na niego liczysz, wbije ci nóż w plecy! Słowa Zélie znów dzwonią mi w uszach. *Nie ufaj mu, Amari! Przysporzył nam tylko ran.*

Z dojmującym poczuciem winy spoglądam na ranę, która nigdy się nie zagoi. Zélie próbowała mi otworzyć oczy, ale ja wolałam zaufać Inanowi.

– Zélie, musisz odpocząć. – Mama Agba podchodzi do niej ostrożnie, jakby z wahaniem.

Rozpacz tworzy wokół Zélie pierścień. Nikt nie śmie się do niej zbliżyć.

Mama Agba ponownie zwraca się do niej po imieniu, lecz Zélie nie reaguje. Wybucho dopiero, gdy Jasnowidzka dotyka jej ramienia.

– Zostaw mnie! – Wrzask Zélie wbija się w uszy jak szkło. Żniwiarka odpycha Mamę Agbę z taką siłą, że leciwa Jasnowidzka wpada na kolumnę.

– Nie dało się go uratować! – Mama Agba ma łzy w oczach. – Zginęłabyś, gdyby...

– Może powinnam! – odkrzykuje Zélie z twarzą ściągniętą bólem. Chwyta się za pierś i zaciska palce, jakby chciała sobie wyrwać serce. – Powinnam umrzeć – mówi zniżonym głosem i pada na kolana. – Powinnam umrzeć.

Czuję, że tracę grunt pod nogami. Przeze mnie zginął Mâzeli. Przeze mnie o mały włos przegralibyśmy wojnę.

Dziś udało nam się odeprzeć wojska Inana, lecz wrócą jeszcze silniejsze. Nie mamy się gdzie ukryć. Straciliśmy naszą największą przewagę.

Szloch Zélie brzmi coraz bardziej zwierzęco.

– Uspokójcie ją zaklęciem! – rozkazuje Chani. – Jest na skraju wyczerpania.

Zélie otoczona przez Uzdrowicieli rzuca się jak dzika bestia. Gdy zaczynają recytować zaklęcie, wybiegam na korytarz. Nie mogę na to patrzeć. To wszystko moja wina.

Nie mogę znieść jej krzyków.

Gdy przechodzą w dziki wrzask, zakrywam usta, by stłumić płacz.

Wszystko zepsułam.

I nie wiem, czy uda mi się to naprawić.

ROZDZIAŁ 57



INAN

Moje szczerze intencje nie wystarczyły.

Nigdy nie wystarczają.

Ta prosta prawda przeszywa mnie jak miecz. Jest jak nóż w sercu. Patrząc na jatkę przed bazą rebeliantów i czuję, że trzęsie mi się dłoń, w której ściskam monetę z brązu. Nie tak miało być. Chciałem tu zawrzeć pokój, tymczasem nie możemy się doliczyć zabitych.

– Myślałem, że już ich mamy. – Ojoremu drży broda. Odwraca głowę, żebym nie widział.

Matka bierze go w ramiona, osłania przed strasznym widokiem. Zniszczona dżungla jest pełna ciał. Falujące wzgórza zmieniły się w porozwalane kopce. Połamane drzewa leżą pokotem. Wciąż nie znaleziono ciała Dżokôje.

Wracają do mnie jej ostatnie słowa.

Trenowałam swoich tytanów. Następnym razem będziemy przygotowani na sztuczki rebeliantów. Zmieciemy tych zdrajców z powierzchni ziemi.

Zwieszam smutno głowę i podnoszę zaciśniętą pięść do piersi, by oddać cześć duchowi generałki. Poświęciła wszystko dla królestwa i dla tronu. Złożyła najwyższą ofiarę.

Dżokôje miała być naszą tajną bronią. Siłą, której nawet Zélie nie zdoła powstrzymać. Jedynym powodem, dla którego uwierzyłem, że jestem w stanie wymusić pokój. Ale jak tu myśleć o pokoju, skoro nasz wróg jest zdolny do takich rzeczy?

– Nie chcę być bezduszna – zwraca się do mnie matka – ale nie mamy czasu na żalobę. Nie możemy dać rebeliantom szansy na przegrupowanie sił. Gdyby w odwecie zaatakowali Lagos... – Urywa w pół zdania, lecz dobrze wiem, o co jej chodzi.

Wystarczyło parę chwil, by zmienić dżunglę w pustkowie. Gdyby to samo działo się w mieście, zginęłoby tysiące cywilów.

– Obowiązek nade wszystko – powtarzam szeptem słowa przysięgi.

Gdyby ojciec żył, wykrzyczałby je teraz w moją stronę. Ta wojna wymknęła się spod kontroli. Jeszcze trochę i w ogóle nie będzie czego bronić. Orisza przestanie istnieć.

Chciałem być lepszym królem, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie mam już wyboru. Nieważne, że to nie ja wydałem rozkaz ataku. Wszelka nadzieja na pokój umarła na tym polu bitwy razem z moimi żołnierzami.

Obowiązek nade wszystko. Ściskam w dłoni brązową monetę. *Obowiązek nade wszystko.* Następnym razem nie będzie mowy o pojednaniu. Zniszczymy naszych wrogów.

W tej bitwie zwycięzca może być tylko jeden. Na tronie Oriszy – tylko jeden władca. Nie mogę dłużej odwlekać nieuniknionego. Muszę rozprawić się z rebelią, nie bacząc na to, co się stanie z Amari i z Zélie.

Koniec tej wojny jest w moich rękach.

Matka zwraca się do Ojorego.

– Wezwij resztę żołnierzy. Trzeba ponowić natarcie, dopóki nieprzyjaciół jest rozbitych.

– Nie. – Kręcę głową. – Dopóki są jednością, nie damy im rady. Nieważne, ilu żołnierzy rzucimy do walki. – Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić nasze kolejne posunięcia, jakby to były ruchy na planszy do sêneta. – Musimy ich trwale osłabić. Podzielić, podbić i zmusić do kapitulacji.

– Jak? – pyta Ojore.

Spoglądam na brązową monetę i przypominam sobie twarz Zélie. Przez chwilę sądziłem, że uda nam się puścić całe zło w niepamięć. Teraz nie mam już podobnych złudzeń.

– Wykorzystamy w tym celu obiekt największej nienawiści Amari i Zélie – odpowiadam. – Czyli mnie.

ROZDZIAŁ 58



ZÉLIE

Nie bądź smutna.

Głos Mâzelego nadal rozbrzmiewa w mojej głowie. Łzy wciąż spływają mi po twarzy, kapią w ciszy na kafle w łazience. Tulę obolałe żebra, oddycham z wysiłkiem. Po trzech dniach świat dookoła wciąż nie odzyskał kolorów. Wciąż mam na skórze krew mojego Drugiego.

– Zélie?

Zamieram na dźwięk głosu Tzaina. Zakrywam usta, żeby nie słyszał mojego drżącego oddechu.

– Zaczyna się zgromadzenie – mówi cicho zza drzwi. – Starsi pytają o ciebie.

– Nie obchodzi mnie to. Idź sobie.

Odkąd monarchia odkryła położenie naszej bazy, wszyscy mają się na baczności. Ale ja nie widzę niczego poza własnym bólem. Wciąż tylko walczymy i walczymy.

Jaki to ma sens, skoro prowadzi jedynie do kolejnych ofiar?

– Nie bądź smutna – powtarzam szeptem ostatnie słowa Mâzelego. – Nie bądź smutna.

Wstaję na chwiejnych nogach i zbliżam się do miedzianej wanny. Kąpiel czeka na mnie od wielu godzin. Gdy zanurzam palce w chłodnej wodzie, robi mi się duszno. Tak się dzieje za każdym razem, gdy próbuję zmyć z siebie ostatnie ślady po Mâzelim.

Niech to szlag!

Poczucie winy tak mocno ściska mi gardło, że aż łapię się za szyję. Łazienka zaczyna wirować. Mam wrażenie, jakby nagle zabrakło w niej powietrza.

Mógłby nadal żyć. Powinien żyć. Miałam go chronić, to był mój obowiązek. Ale zawiodłam.

A teraz muszę dźwigać brzemień swoich błędów.

Rozlega się ciche pukanie. Gdy chwilę później słyszę skrzypienie otwieranych drzwi, moją pierś wstrząsa bolesny spazm.

– Idź sobie – powtarzam. Nie chcę, by Tzain oglądał mnie w takim stanie.

Czołgam się ku drzwiom łazienki, aby je zamknąć. Wyprzedza mnie jednak zabandażowana ręka. Gdy jej właściciel przekracza próg, w pierwszym odruchu mam ochotę przetrzeć oczy.

– Roën?

Fale czarnych włosów opadają na kanciastą twarz. Najmita klęka na podłodze i kładzie mi szorstkie palce na policzkach.

– Co ty...

– Nic nie mów – przerywa mi. – Oddychaj.

Łzy napływają mi do oczu. Walczę z duszącym uciskiem w krtani. Po chwili wybucham kolejnym spazmem i kulę się jeszcze mocniej.

– Spójrz na mnie. – Roën stanowczym i zarazem czułym ruchem zbliża moją twarz do swojej.

Unikam jednak jego wzroku. Nie chcę, by ktokolwiek widział, jak bardzo jest ze mną źle.

– Tylko spójrz – powtarza szeptem. – Już dobrze.

Gardło mam tak ściśnięte, że trudno mi swobodnie oddychać; równie dobrze mogłabym próbować gołymi rękoma rozsunać dwie góry. A jednak gdy patrzę w oczy Roëna, udaje mi się zaczerpnąć tchu. Rozpaczliwie wciągam powietrze do płuc. Jego dotyk łagodnieje.

– Właśnie tak. – Odrywa kciuki od moich policzków i głaszcze mnie za uszami.

Wpatruję się w niego i chwytam łapczywie powietrze, aż wreszcie znów mogę oddychać swobodnie.

– Co ty tu robisz? – pytam.

Roën podnosi mnie i sadza na brzegu wanny.

– Starsi mnie wezwali. Postanowili mnie wynająć bez względu na koszt. – Sięga po szmatkę i trzymając mnie drugą ręką za brodę, delikatnie ociera mi krew i brud z twarzy.

Zamykam oczy i pochylam się ku niemu, chłonąc jego miodowy zapach.

– On nie żyje. – Wymawiam te słowa drżącymi ustami.

Dziwnie się czuję, wypowiadając je na głos. Znałam Mâzelego zaledwie dwa miesiące. Nie wiem, jak to się stało, że tak szybko zajął szczególne miejsce w moim sercu.

– Nigdy nie miałem Drugiego. – Roën wyżyma szmatkę. – Ale miałem partnerkę. Dzień, w którym ją straciłem, był najczarniejszym dniem w moim życiu. – Opowiada mi o tym ze spokojem, lecz nie jest w stanie całkiem zamaskować swojego cierpienia.

Chyba po raz pierwszy udaje mi się zajrzeć w głąb jego serca. Serca, którego podobno nie ma.

– Jak ją poznałeś?

Jego różowe usta na krótką chwilę unoszą się w uśmiechu.

– Znalazła mnie, kiedy grzebałem w śmieciach. Dosłownie wyciągnęła mnie z rynsztoka. Gdyby pozwoliła mi dalej przymierać głodem, pewnie by dziś żyła.

Odwracam głowę, bo oczy znów zachodzą mi łzami. Ciekawe, gdzie dziś byłby Mâzeli, gdyby nasze drogi się nie przecięły. Gdybym uciekła za morze.

Nie chciałam tej wojny. Ani tego klanu. Po śmierci Baby nikogo i niczego nie chciałam.

Poza wolnością.

Kręcę głową i ocieram łzy.

– Muszę stąd uciec.

– Z sanktuarium?

– Z Oriszy.

Mówiąc te słowa, czuję się zdrajczynią, lecz nie mogę się dłużej okłamywać. Byłam głupia, sądząc, że wolność czeka na końcu tej wojny. Jedyne, na co mogę tutaj liczyć, to żal i śmierć. Tak, śmierć podąża za mną wszędzie.

Patrzę na czerwoną wodę w wannie i czuję, że dłużej tak nie mogę.

– Nie chcę patrzeć, jak ludzie, których kocham, umierają – szepczę.

Roën z dłonią przy moim policzku wygląda, jakby się zastanawiał. Unika mojego wzroku. Moczy szmatkę w kąpielni, a potem zaczyna obmywać mi dłonie.

– Naprawdę zamierzasz stąd uciec? Tego właśnie chcesz?

Kiwam głową. Roën opuszcza spojrzenie na podłogę.

– Jeśli naprawdę chcesz uciec, teraz jest najlepszy moment.

Przekrzywiam głowę, starając się rozszyfrować jego słowa.

– Skąd wiesz?

– Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Przesuwa mi szmatką po ramieniu, lecz chwytam go za dłoń.

– Mów – żądam. – Co wiesz?

ROZDZIAŁ 59



AMARI

Muszę naprawić swój błąd.

Ze ściśniętym sercem patrzę, jak magowie z całego sanktuarium gromadzą się na trzeciej górze. Choć Mâzeli był jedyną śmiertelną ofiarą ataku, wszędzie brakuje dziś jego śmiechu. Śmierć Drugiego Żniwiarzy unosi się nad nami jak rozpostarte wokół szare chmury.

Starsi zajmują miejsca pośrodku czarnego kręgu. Sama moja obecność wśród nich wydaje mi się czymś głęboko niewłaściwym. Od czasu bitwy czekałam, aż prawda wyjdzie na jaw. Aż zostaną ukarana za swój błąd. Na razie jednak Zélie wciąż nie ujawniła okoliczności, w jakich monarchia odkryła naszą kryjówkę. Nie wiem, dlaczego mnie chroni.

– Musimy podjąć decyzję! – Não przekrzykuje rozgadany tłum. – Sanktuarium nie jest już bezpieczne. Nie możemy tu zostać.

– A dokąd mamy iść? – pyta Na'ima. – Żadne miejsce w Oriszy nie jest bezpieczne.

– Nigdzie nie pójdziemy! – krzyczy Kenjon. – Będziemy walczyć!

Na kamiennym moście Tzain dogania ostatnią grupkę magów. Gdy nasze oczy się spotykają, kręci przecząco głową. Boję się, że Zélie już nigdy nie opuści swojego pokoju.

Muszę znaleźć sposób na wygranie tej wojny. Teraz to pilniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Inaczej śmierć Mâzelego pójdzie na marne. Cały nasz ból i poświęcenie okażą się daremne.

– To się zaczęło w Lagos – zagrzewa magów Kenjon – i tam się zakończy. Wmawiamy sobie, że jesteśmy bezbronni, a przecież za pomocą kamienia księżycowego odparliśmy królewskie wojsko. Wiemy, co teraz trzeba zrobić!

– Zélie więcej nie użyje tej mocy – wtrącam. – Nie po tym, co się stało z Mâzelim.

– Nie będzie miała nic do gadania – upiera się Kenjon. – Niech ktoś ją wywlecze z tej wieży!

Tzain ze wściekłą miną przedziera się przez krąg magów. W ostatniej chwili zabiegam mu drogę.

– Nie. – Kładę mu rękę na piersi. – Tylko pogorszysz sytuację.

– Miej trochę współczucia! – krzyczy ponad moją głową do starszego Ogniarzy. – Ona straciła swojego Drugiego.

– A ja połowę mojego klanu! – odpowiada mu Kenjon. – I nie miałem czasu się nad sobą roztkliwiać!

Wybucha tyle klótni naraz, że trudno się połapać. Zamykam oczy i staram się całkiem wyłączyć. To prawda, że nie możemy tu zostać, ale nie możemy też atakować na oślep. Następne starcie z siłami Inana będzie wymagało precyzji.

Przeżyje tylko jedno z nas. Albo ja, albo on.

– A ty co myślisz? – pyta mnie Tzain.

Unoszę ręce i wpatruję się w blizny, których się nabawiłam od swojej magii. Mogłabym przysiąc, że słyszę w myślach ojca szepczącego wpajane mi w dzieciństwie słowa.

Mogłam już dawno położyć kres temu wszystkiemu. Po prostu nie chciałam użyć tej mocy przeciwko swoim bliskim. Teraz jednak nie mam innego wyjścia.

Orisza na nikogo nie czeka.

– Myślę, że jeśli otoczę się odpowiednią liczbą tytanów Konektorów, pokonam matkę.

– Nie. – Tzain chwyta mnie za rękę. – To zbyt niebezpieczne.

– Kto ma jej rzucić wyzwanie, jeśli nie ja? – pytam. – Kto inny wysie życie z ciała Inana?

Zamykam oczy i wracam myślami do swoich błędów. Przeze te wszystkie lata uważałam ojca za potwora. A jeśli był nim, bo zmusiły go do tego okoliczności? Wojna to wyścig ze śmiercią, w którym Inan i matka chwilowo są na prowadzeniu.

Omijam Tzaina i wkraczam na środek kręgu. Nie mogę pozwolić, aby dalej przelewano krew. Muszę zakończyć tę wojnę za wszelką cenę.

– Mam pomysł. – Uciszam wszystkich gestem uniesionej ręki.

Zanim jednak jest mi dane powiedzieć coś więcej, za moimi plecami rozlega się głos.

– Poczekajcie!

Wszystkie oczy zwracają się w stronę Zélie. Biegnie ku nam w rozwianym fioletowym kaftanie. Włosy wciąż ma pozlepiane krwią.

Nasze oczy spotykają się tylko na moment. Serce zamiera mi w piersi, lecz Zélie biegnie dalej. W końcu zwraca się do całego zgromadzenia:

– Nie musimy walczyć. – Unosi ręce. – Jest inny sposób na zakończenie wojny.

ROZDZIAŁ 60



ZÉLIE

Z rękoma lepкими od potu szykuję się do przemowy. Starsi otaczają mnie dziurawym kręgiem. Tzain na wszelki wypadek staje między mną a Amari.

Gdy ją widzę, robi mi się sucho w gardle. Postanowiłam jednak zachować dla siebie wiedzę o roli, jaką odegrała w ataku sprzed paru dni. Odkładam tę sprawę na później. Czasu jest mało.

Żądza krwi dosłownie unosi się w powietrzu. Magowie palą się do walki. Jednak wieści, które wyciągnęłam od Roëna, stwarzają nam całkiem nowe możliwości. Pierwszy raz nie musimy walczyć. Możemy zostawić wojenną rzeczywistość za sobą.

– Króla nie ma w Lagos – oznajmiam głośno. – Ukrywa się w Ibadanie. Monarchia spodziewa się, że pomaszerujemy na pałac i roztrwonimy nasze siły nie tam gdzie trzeba. Chcą nas rozdzielić, a następnie rozbić.

– Co to oznacza? – Não marszczy czoło. – Idziemy do Ibadanu?

– Nie wolno nam połykać przynęty – odpowiadam. – Musimy wykorzystać nadarżającą się szansę. – Zwieram dłonie w pięści, obawiając się reakcji.

O ileż łatwiej byłoby stąd uciec w pojedynkę, wykraść się w środku nocy. Lecz myśl o Mâzelim hartuje mi kręgosłup. On by nigdy nie porzucił reszty magów.

I mnie też nie wolno.

– Skoro wojska królewskie rozdzieliły się między Ibadan a Lagos, to znaczy, że otwiera się przed nami jeszcze inna droga. Możemy dotrzeć na wybrzeże w okolicach Ilorinu i stamtąd odpłynąć do innej krainy.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Não aż się zachwiała. – Chcesz uciekać?

– Nie – odpowiadam. – Chcę przeżyć.

Te słowa wywołują falę gniewu, jakiej się nie spodziewałam.

– Chcesz im tak po prostu oddać zwycięstwo...

– To nasz dom! Gdzie mielibyśmy się podziać?

– A co z całą resztą magów?

Jak mam im przemówić do rozsądku? Uświadomić, że nie jesteśmy skazani na wieczną walkę? Po co mamy tu zostawać, skoro wiemy, że nie wygramy?

– Ja się nigdzie nie wybieram. – Kenjon jako pierwszy występuje naprzód. – Nie obchodzi mnie, że straciłaś swojego Drugiego. Ogniarze nie tchórzą.

– W takim razie czeka was śmierć. – Podchodzę bliżej, by stanąć z nim oko w oko. – Kto wie, ilu jeszcze cênterów ma w swoich szeregach monarchia? Teraz już wiedzą, gdzie nas szukać!

– To niech nas znajdą! – krzyczy Kenjon bojowym tonem, który zagrzewa pozostałych. – Niech znów spróbują szczęścia!

– Wiecie, co się z wami stanie, kiedy traficie do niewoli? – Zdejmuję przez głowę jedwabny kaftan, by pokazać wszystkim swoje plecy. W krainie, w której nazywa się nas glistami, nigdy nie będziemy czuć się bezpieczni. – Nasi wrogowie nie mają ani krzty honoru – oznajmiam. – Są pozbawieni skrupułów. Nie cofną się przed żadnym okrucieństwem. Zniszczą nas od środka. – Osuwając kaftan z powrotem na plecy, dostrzegam w tłumie Mári i Bimpe. Ich widok dodaje mi animuszu. – Przysięgałam chronić swój klan. To najlepszy sposób, w jaki da się to zrobić. Nie mogę walczyć w nieskończoność. – Unoszę ręce. – I patrzeć, jak giną ludzie, których kocham.

Magowie zwieszają głowy. Na chwilę robi się cicho jak makiem zasiał. Nawet Kenjon cofa się między pozostałych starszych.

– Ale to jest nasz dom – odzywa się Kâmarū, nie swoim potężnym basem, a zaledwie szeptem.

Więcej słyhać w tym głosie rozpaczy niż gniewu czy niezrozumienia. Wiem, że przemawia przez niego ból, z którym wszyscy boimy się zmierzyć.

– Starsi wybudowali to sanktuarium na gołej ziemi – zwracam się do magów. – Stało się dla nich domem nie za sprawą tych wież, ale dlatego, że wybudowali je razem. To nie ziemia i nie świątynne mury są tutaj najważniejsze. Dopóki mamy siebie, dopóty nosimy Oriszę w żyłach. Nikt nam tego nie odbierze. – Wstrzymuję oddech, czekając na reakcję starszych.

Z tłumy dobiega mnie szmer aprobaty. Przez chwilę wydaje mi się, że jestem blisko celu.

Lecz potem na środek wychodzi Amari z twarzą rozjaśnioną nowym pomysłem.

– Zélie ma rację. – W ciszy jej głos odbija się echem. – Być może to nasza jedyna szansa na ucieczkę. Ale to również jedyna szansa na zwycięstwo.

– Co robisz? – Chwytam ją za ramię i odwracam twarzą do siebie. Choć moje ciało na jej widok nadal reaguje dreszczem, patrzę jej twardo w oczy. – Nie rób tego – mówię, ściskając ją mocniej. – Proszę cię.

Amari zaciska usta w kreskę. Zatrzymuje wzrok na mojej dłoni, wzdycha przeciągle i zamyka oczy.

– Przykro mi, ale nie mogę porzucić swojego domu bez walki.

– Nie! Ten rozlew krwi musi się skończyć.

Amari wyrywa mi się i zwraca z powrotem do zgromadzonych, którzy w milczeniu oczekują, co powie.

– Nareszcie mamy przewagę! – wykrzykuje. – Możemy ich przechytryć. Nie musimy iść na Lagos i tam bić się z całą armią. Wystarczy, że pozbedziemy się króla! – Rozgląda się po tłumie, chłonąc podniecone spojrzenia. Loki na jej głowie lśnią niczym korona. – Po co uciekać? – Podrzuca ręce do góry. – Po co ryzykować niebezpieczną wyprawę w nieznane, skoro możemy pomścić śmierć Mâzelego i odzyskać nasz dom?

Stoję osłupiała. Amari na moich oczach przechyla szalę. Podnoszą się szmery. Nawet moi Żniwiarze nie potrafią się oprzeć wezwaniu do zemsty.

– Powstańmy! – Amari unosi zaciśniętą pięść wysoko w powietrze. – Wspólnym wysiłkiem zakończmy tę wojnę! Razem zwyciężymy! Gba nkàn wa padà!

Joruba brzmi w jej ustach przekonująco mimo wyraźnego akcentu. Magowie powtarzają okrzyk, aż trzęsie się od niego cała góra.

– Gba nkàn wa padà! Gba nkàn wa padà!

Przytłoczona tym wojowniczym skandowaniem osuwam się na czarne kamienie.

Gba nkàn wa padà.

Odbierzmy, co nasze.

ROZDZIAŁ 61



AMARI

Następne parę godzin upływa w gorączkowej atmosferze. We wszystkich wstąpiła nowa siła, nowa wiara w to, że uda się rozstrzygnąć losy wojny. Ponieważ Zélie jest przeciwna ofensywie, przejmuję od niej obowiązki dowódcze. Siedzimy w jadalni i uzgadniamy ostatnie szczegóły planu.

Kenjon uderza pięścią w stół.

– Zgromadźmy wszystkich zdolnych do walki i weźmy tę wioskę szturmem. Królowi pewnie towarzyszy Nehanda. Każdy dodatkowy mag będzie na wagę złota.

– Nie da się wziąć Ibadanu szturmem – odpowiada mu Na’ima. – To góraska osada, nie ma do niej łatwego dojścia.

– Poza tym stracilibyśmy nasz największy atut – przypominam. – Musimy zdradzić swoją obecność jak najpóźniej, żeby Inan nie zdążył nas powstrzymać. – Przyzwyczajona do krytyki, spodziewam się głosów sprzeciwu, lecz tym razem magowie we wszystkim się ze mną zgadzają.

Kiwają tylko milcząco głowami.

– A gdyby w ataku wzięli udział sami starsi? – proponuje Kâmarū. – Większa część królewskich wojsk wciąż przebywa w okolicach Lagos. Nie potrzebujemy nie wiadomo jak dużych sił.

Teraz i ja kiwam głową.

– W dziesięciu łatwiej się zakraść niż w stu, to prawda.

– Ale skąd pewność, że będzie nas dziesięcioro? – Na’ima wydyma usta i spogląda w stronę pustego krzesła.

Nie widziałam Zélie od czasu zgromadzenia. Zniknęła gdzieś i nawet nie wiem, czy zamierza nas wesprzeć.

Policzki mi się rumieniają, lecz nadrabiam miną. Czy rebelianci poszliby za mną, gdyby wiedzieli, że to ja ponoszę winę za tragedię, która ją spotkała?

– Jeśli do Ibadanu zabieramy tylko starszych, to nasi Drudzy powinni poprowadzić resztę w stronę Lagos – stwierdzam. – Będą bezpieczni, a Inan pomyśli, że połknęliśmy haczyk.

– Ja tego dopilnuję. – Kâmarū swoją deklaracją zdejmuję ze mnie część ciężaru.

Po tym, co się stało z Mâzelim, nie chcę, by znów któremuś z magów stała się krzywda. Dzięki temu rozwiązaniu będę o nich spokojniejsza.

– A co z mieszkańcami wioski? – włącza się Chani. – Mogą ucierpieć.

– Zwłaszcza jeśli król i królowa użyją ich jako żywych tarcz – zauważa ponuro Jahi.

Robi mi się sucho w gardle. Chcę im odpowiedzieć, że przecież Inan nie poświęciłby własnych poddanych, ale sama przestałam w to wierzyć. On i matka nie dbają o ludzkie życie. Dla wygranej wojny gotowi są zabić każdego.

– Powinniśmy rozważyć inne scenariusze – zaczyna ostrożnie Jahi. – Góry, które chronią króla, mogą być dla niego więzieniem. Precyzja nie jest nam potrzebna do zwycięstwa...

– Nie jesteśmy jak oni – przerywam mu w pół zdania. – Możemy się z nimi rozprawić w taki sposób, aby mieszkańcy nie ucierpieli. Wystarczy, że dostaniemy się tam niezauważeni.

Mój wzrok wędruje ku pustemu miejscu. Zélie i Tzain dorastali w Ibadanie. Trudno jednak, by Zélie nam pomogła, skoro sprzeciwia się atakowi.

– Tzain!

Brat Zélie właśnie pakuje zapasy na drugim końcu jadalni razem z Imani, bliźniaczką Chani i najpotężniejszą z naszych Kancerek. Przywołuję go ruchem dłoni.

– Co jest? – Podchodzi do naszego stołu i rozgląda się po twarzach.

Wskazuję mu miejsce.

– Żadne z nas nigdy nie było w Ibadanie, a musimy się tam dostać niezauważeni – tłumaczę. – Czy wiesz coś, co mogłoby nam pomóc?

Tzain otwiera usta. Gdy dociera do niego, kogo brakuje przy stole, po jego twarzy przemyka cień. Robi mi się gorzko na języku. Źle się czuję, stawiając go w takiej sytuacji.

– Jeśli prosimy o zbyt wiele...

Przerywa mi gestem.

– Chcecie wygrać wojnę. Zrobię, co w mojej mocy, żeby wam pomóc.

Nasze oczy spotykają się nad stołem i od razu robi mi się cieplej na sercu. Tzain patrzy na uproszczone mapy i wydmuchuje powietrze z ust.

– Tutaj – odzywa się po chwili zastanowienia, wskazując palcem jezioro na północnym skraju osady. – Chodziliśmy tam z Zélie pływać. W jeziorze są wejścia do podwodnych jaskiń.

– Jak daleko sięgają te jaskinie? – pytam.

– Jedna z nich prowadzi poza obręb gór. Pokażę wam, jak do niej trafić.

Muszę się powstrzymać, żeby nie uwiesić się Tzainowi na szyi. Wreszcie oddycham swobodniej. Ostatnie części układanki wpadają na swoje miejsce.

Kâmarū wydrąży tunel w górskim zboczu. Não pomoże nam się przedostać przez wodę. Pierwszy raz od czasu nieudanego wiecu czuję, że zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Mam ochotę się po nie rzucić.

Razem dopinamy wszystkie szczegóły i wreszcie plan jest gotowy. Słońce już zaszło, to nasza ostatnia noc w sanktuarium. W jadalni panuje atmosfera powagi, nadchodzi chwila pożegnań.

– Co teraz? – pyta Não.

– Wezwijcie Mamę Agbę – mówię, wstając od kamiennego stołu. – Mam pewien pomysł.

W godzinę jadalnia jest gotowa. Kâmarū zbudował kamienną scenę, na której Dakari rozkłada bębny. Folake i jej Świetlarze ozdabiają pomieszczenie błyszczącymi kulami, które unoszą się pod sufitem jak gwiazdy, a młodzi ibawici wykładają na stoły ostatnie zapasy jedzenia. Słodka woń szaszłyków i zupy egusi wypełnia mi nozdrza. Gwar rozmów cichnie, gdy Mama Agba, kuśtykając, wychodzi na środek.

– Historia tego sanktuarium jest prawie tak długa jak historia oriszańskiej magii – zaczyna przemawiać. – Widziało ono wszystkich naszych starszych od zarania dziejów. Było i pozostaje do dziś żywym sercem wspólnoty magów. Obroniliście te święte mury przed napaścią monarchii. Wasi przodkowie mogą być z was dumni.

W odpowiedzi na te słowa rozlega się kilka entuzjastycznych okrzyków. Mama Agba uśmiecha się do siebie i spogląda po twarzach zgromadzonych. Nie spodziewam

się ujrzeć wśród nich Zélie, a mimo to, gdy stwierdzam, że nie przyszła, czuję ukłucie w sercu.

Nasza sprawa jest ważniejsza od niej, powtarzam sobie w duchu. Nie mogę stawiać naszej przyjaźni ponad przyszłość Oriszy.

– Ostatnie kilka miesięcy nie należało do łatwych. To był dla was czas ciężkiej próby. I właśnie dzięki wam stoimy dziś przed szansą. Dzięki sile waszego ducha możemy jeszcze zwyciężyć w tej wojnie. Mieszkańcy Oriszy odzyskają wolność, która słusznie im się należy.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie chwilę naszego triumfu – jak będzie wyglądać i smakować. Gdy moja rodzina zniknie, Orisza wreszcie zyska szansę na prawdziwy pokój. Być może pierwszy raz w całej swojej historii.

Pokazaliśmy, że umiemy się zjednoczyć, a pod naszym przywództwem znajdzie się miejsce dla wszystkich magów, tytanów i kosidan. Musimy tylko postawić kropkę nad i.

Jeden udany atak i królestwo będzie nasze.

– Jutro nasi starsi wyruszą w drogę. Od tej misji zależy sens wszystkich dotychczasowych ofiar. Oddamy cześć naszym bohaterom poległym braciom i siostram, powołując do życia królestwo, w którym ludzie obdarzeni magią będą mogli sprawować władzę!

W głębi jadalni Não i jej Drugi wspólnie recytują zaklęcie. Słodkie wino palmowe z grubych beczek unosi się w powietrzu i samo napęłnia metalowe kubki. Tahir i pozostali Spajacze innym zaklęciem rozprawdzają kubki po sali.

Jeden łąduje w mojej dłoni akurat w chwili, gdy Mama Agba wznosi toast. Za jej przykładem w górę idą dziesiątki rąk. Ta chwila skupia w sobie wszystko, o co walczymy. W mojej Oriszy będziemy budować sanktuaria w całym kraju. Będziemy świętować razem.

– Zrobiliście wszystko, by jak najlepiej się przygotować. Reszta w rękach bogów. Jutro czeka was dzień walki. – Mama Agba unosi kubek. – Dziś cieszcie się życiem.

ROZDZIAŁ 62



AMARI

Zbocza sanktuarium rozbrzmiewają muzyką i śmiechem. Wino palmowe leje się strumieniami. Wnętrze jadalni wypełnia melodyjny śpiew Na'imy. Oparta o stół uśmiecham się do siebie i patrzę na zatłoczony parkiet. Gdy wciągam powietrze, wydaje mi się, że czuję słodką woń nadziei.

– A ty co? – Skrząca się Nâo w długiej niebieskiej sukni trąca mnie łokciem. – To przecież twoja impreza, na bogów. Napij się wina! – Pstryka palcami na jednego ze Spajaczy, który posyła w moją stronę metalowy kubek. Nâo stuka się ze mną i zarzuca mi rękę na szyję. – Za zwycięstwo!

– Za zwycięstwo – powtarzam i delektując się smakiem tego słowa, biorę łyżeczek wina.

– Być może pozwolę ci zostać królową, jeśli obiecasz, że będziesz urządzić więcej takich przyjęć.

Chociaż to żart, słowa Nâo dają mi do myślenia. Do tej pory jedyną wysuwaną przez nich kandydatką do tronu była Zélie.

– Na'ima!

Muzyka cichnie, okrzyk odbija się echem. Odruchowo przybieram bojową pozę, lecz po chwili z tłumu wyłania się Kenjon. Loki opadają mu na goły tors. Pada na kolana przed sceną.

– Na'ima, kocham cię!

– Na litość bogów. – Na'ima chowa twarz w dłoniach, po sali rozchodzi się śmiech. – Kenjon, jesteś pijany!

– Wiem! Ale to prawda!

– Mo fi àwon òrìsà búra... – Na'ima zeskakuje ze sceny. Przekrzykuje muzykę, która znów zaczęła grać, a wtedy Kenjon wyciąga zza pasa sponiewierany bukiet słoneczników. Na'ima uśmiecha się mimo woli.

Nâo zaśmiewa się do łez.

– Wykonałaś kawał dobrej roboty – przekonuje mnie. – Teraz się pobaw.

Czekam, aż sobie pójdzie, po czym odstawiam kubek z winem. Ojciec nie piłby przed bitwą. Mnie też nie wolno. Zanurzam się w tłum i myślę o nim. Ciekawe, czy byłby dumny z moich osiągnięć. Z tego, jaką będę władczynią.

– Coś wyczuwam...

Wpadam na grupkę ludzi zebranych wokół Mamy Agby. Jasnowidzka siedzi w kolorowym namiocie, a Folake ozdabia jej głowę rojem błyszczących światełek. Mama Agba unosi podbródek i zerka na tłum spod uchylonych powiek.

– Wyczuwam, że zbliża się do mnie jakaś potężna starsza!

Wszyscy się uśmiechają i kierują wzrok w moją stronę. Chcę iść dalej, lecz magowie zachodzą mi drogę i wciągają mnie do namiotu Mamy Agby.

– Witaj, dostojna Amari! – Mama Agba chwyta oburącz moją dłoń. – Niech sprawdzę, co szykują dla ciebie gwiazdy!

Z rozbawieniem patrzę, jak Mama Agba kołysze się i trzęsie niczym fałszywi prorocy, jakich pełno na ulicach Lagos. Wymachuje rękoma dookoła kolorowych światełek Folake. Nie może już rzucać prawdziwych zaklęć bez narażania swojego zdrowia, więc ogranicza się do wrózenia z dłoni.

– Czekają cię wielkie bitwy. – Kiwa učenje głową. – I wielkie zwycięstwa! O... widzę coś jeszcze!

– Powiedz nam, Mamo Agbo! – domaga się ibawitka.

– Co takiego? – Udaję zaciekawioną.

– Widzę... wielką miłość. – Mama Agba puszcza do mnie oko.

Oglądam się za siebie i napotykam obezwładniający uśmiech Tzaina. Wśród śmiechów i gwizdów bierze mnie za rękę i wyprowadza z namiotu. Zmierzamy na parkiet, z którego sączy się łagodny i zmysłowy głos Na'imy.

– Òd̀r̀ùn mi, ìf̀é mi, èm̀í mi...

Chani dostraja się do głębokich tonów Poskramiaczki. Ich głosy brzmią jak śpiew ptaków. Tzain splata swoje palce z moimi. Kołyszymy się i zatracamy w dźwiękach muzyki. Kładę głowę na jego piersi, rozpływam się w ciepłe jego ramion.

– Brakowało mi tego. – Tzain pochyla się i całuje mnie w czubek głowy. Kładzie mi ręce na talii, a gdy jego kciuki muskają skrawek odsłoniętej skóry, dostaję gęziej skórki.

– Mnie też – odpowiadam szeptem i zamykam oczy. Cofam się pamięcią do święta ibawitów, kiedy wydawało się nam, że jutro będzie nasze.

Podnoszę wzrok. Tzain przygląda mi się z czułością, na którą nie zasłużyłam. I właśnie wtedy uzmysławiam sobie, że nie chcę, aby reszta wieczoru upłynęła mi pod znakiem wróżb i palmowego wina. Chcę jego – Tzaina.

– Co się stało?

Ściskam mu dłoń i ciągnę w stronę wyjścia.

– Chodź. Odetchnijmy świeżym powietrzem.

– Kiedy powiedziałaś, że chcesz odetchnąć świeżym powietrzem... – Tzain śmieje się, gdy otwieram drzwi do mojego pokoju.

Z łobuzerskim uśmiechem prowadzę go na balkon. Wystawiamy nogi za balustradę i wymachujemy nimi w powietrzu. Gdy tak patrzę z góry na sanktuarium, coś ze mnie uchodzi.

– Będzie mi brakowało tego miejsca. – Po tym wszystkim, co się tutaj wydarzyło, dziwnie się czuję, wypowiadając te słowa. Bardzo długo byłam wyłączona poza nawias tej wspólnoty. A mimo to sanktuarium stało się moim nowym domem. Bezpiecznym schronieniem. To tutaj znalazłam swój głos. I drogę do tronu.

– Tyle się... – Tzain zakrywa usta i kaszle w pięść. – Chcę tylko powiedzieć, że jestem z ciebie dumny. Chyba za rzadko to słyszysz.

Wiedziona nagłym impulsem chwytam go za twarz i przyciągam do siebie.

– Auć! – wołam, gdy jego broda zderza się z grzbietem mojego nosa.

Tzain łapie się za brzuch i tarza ze śmiechu.

– O nieba. Królowo, nie sądziłem, że masz w sobie tyle zwierzęcia!

– Milcz! – Szturcham go w ramię, szczerze zawstydzona. – Jak mam poprowadzić magów do zwycięstwa, skoro nawet prosty pocałunek sprawia mi trudność?

Tzain chwytam mnie za ramiona i zbliża do siebie.

– Pozwól, że ci pomogę.

Gdy nasze usta się stykają, odruchowo zginam palce u rąk. Zatapiam się w Tzainie, w słodkim smaku wina palmowego. Gdy jednak zaczyna mnie głaskać po włosach, czuję ukłucie sumienia. Kilka pięter wyżej Zélie siedzi pewnie sama i nieszczęśliwa.

– Co się stało? – Tzain cofa się, by spojrzeć mi w oczy.

Uciekam wzrokiem i zaczynam skubać dziurkę w jego tunice.

– Myślisz, że twoja siostra kiedyś mi wybaczy?

– Mam taką propozycję. Czy możesz nie myśleć o mojej siostrze, kiedy się całujemy?

Uśmiecham się. Tzain dotyka mojego policzka.

– Przepraszam – mówię. – Po prostu boli mnie, że ją zraniłam.

– Ona potrzebuje czasu. – Tzain wzdycha. – I przestrzeni. Ale dobrze wybrałaś. Nie tylko dla niej, ale w ogóle dla Oriszy. Królestwo, które zamierzasz zbudować... Trzeba o nie walczyć, nawet jeśli nie możesz liczyć na pomoc Zélie. – Bierze moją dłoń i cały świat znika.

Gdy dotyka ustami moich ust, czuję rozkoszne mrowienie w brzuchu. Przywieram do niego całą sobą. Zarost Tzaina drapie mnie po brodzie. Nie wiem, ile razy fantazjowałam o tej chwili. Wyobrażałam sobie, że jesteśmy tu sami. Z bijącym sercem wsuwam mu dłoń pod tunikę, lecz wtedy Tzain chwytą mnie za nadgarstek.

– Czy robię coś nie tak? – pytam.

Tzain zaprzecza ruchem głowy. Patrzy na linie na mojej dłoni.

– Nie chcę, żebyś to robiła tylko dlatego, że się boisz.

Cofam rękę.

– Czego się boję?

– Że zginiesz.

Odwraca wzrok, a ja wzdycham głośno. To jedno słowo przenosi mnie z powrotem do rzeczywistości, od której próbowałam na chwilę uciec. Widmo bitwy zawisa między nami jak chmura. Siadamy wyprostowani.

– Przepraszam. – Tzain ściska dwoma palcami grzbiet nosa. – Zepsułem cały nastrój. Ale nie mogę ci na to pozwolić. Jesteś dla mnie zbyt ważna.

– Nie masz za co przepraszać. – Wtulam nos w jego policzek. – Ale jesteś w błędzie. Nie boję się. Przynajmniej nie w tej chwili.

Tzain przekrzywia głowę. Kładę mu dłonie na policzkach i topię wzrok w jego ciepłych piwnych oczach, jakby można się było w nich schować. Myślę o wszystkich naszych wspólnych chwilach. Przypominam sobie, jak walczył w mojej obronie, gdy byłam tylko księżniczką.

– Tzain, nie chcę być z tobą ze strachu przed śmiercią. Chcę być z tobą, bo cię kocham. – Uśmiecham się. – Mam wrażenie, jakbym zawsze cię kochała.

Z odwagą, jakiej sama się po sobie nie spodziewałam, wstaję i pospiesznie zdejmuję tunikę, a potem rozpinam spódnicę. Tzain szeroko otwiera oczy.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Co?

– Że mnie kochasz. – Wstaje i podchodzi. – Chcę to usłyszeć jeszcze raz.

Uśmiecham się tak szeroko, że aż mnie od tego uśmiechu bolą policzki.

– Kocham cię.

– Jeszcze raz.

– Kocham cię.

– Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiem...

– Tzain, kocham cię! – powtarzam ze śmiechem, który przeradza się w chichot, gdy Tzain bierze mnie na ręce.

Czuję się lekka jak obłok, gdy wnosi mnie do środka i kładzie na łóżku. Potem zaczyna mnie całować. Nie mam żadnych oporów.

– Ja też cię kocham – odpowiada, muskając wargami moje usta.

Gdy zaczyna mnie pieścić, marzę tylko o jednym: żeby to się nigdy nie skończyło.

ROZDZIAŁ 63



ZÉLIE

Stoję przed wejściem do jadalni i zastanawiam się, po co w ogóle się tu fatygowałam. Ze środka dobiegają odgłosy wesołej zabawy. W obliczu śmierci Mâzelego wydaje mi się ona nie na miejscu.

Mogłabym przysiąc, że słyszę w tym gwarze również jego śmiech. Mimo woli wyobrażam go sobie tańczącego na parkiecie. Zawsze cieszył się jak dziecko, gdy na kolację podawano szaszłyki. Gdyby teraz był tu ze mną, pewnie by się nimi przejadł, a potem by to odchorował.

Nie bądź smutna.

Żeby to było takie proste... Zamykam oczy. Wiem, że Mâzeli chciałby, abym weszła do środka. Podałby mi kubek wina palmowego. Śmialibyśmy się razem i tańczyli. Mâzeli oznajmiłby, że będzie największym Żniwiarzem w historii świata. Nie zdawał sobie sprawy, że już teraz jest wielki.

– Ty też powinnaś tam być.

Zamieram na dźwięk głosu Mamy Agby. Stukot jej laski ścisza mi gardło. Od tamtego dnia w szpitalu nie widziałam się z nią ani razu. Teraz też nie mam ochoty na rozmowę.

– Jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla swoich Żniwiarzy – mówi ochryple. – Oni wciąż tu są, Zélie. Nadal cię potrzebują.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, Mama Agba staje między mną a drzwiami. Odwracam wzrok, bo wciąż nie potrafię się zmusić, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Możemy porozmawiać? – pyta mnie drżącym głosem. – Mam taką ulubioną ławeczkę w ogrodzie.

– Nie obchodzi mnie, co masz mi do powiedzenia.

– Zélie, przykro mi. – Łzy ciekną po zmarszczkach na jej twarzy.

Złości mnie, że jestem wobec nich bezbronna. Nie mogę znieść widoku jej cierpienia.

– Nie dało się go uratować – mówi. – Bez ofiary wzmacniającej wasze połączenie zginęlibyście oboje. Musisz zrozumieć...

– Rozumiem. – Odchodzę na parę kroków. – Wiem, dlaczego postąpiłaś, jak postąpiłaś. Ale wiem też, że mogłam go uratować. I nie umiem ci wybaczyć, że odebrałaś mi tę szansę.

– Zélie, proszę cię...

Choć smutek w jej głosie ściska mnie za gardło, odwracam się do niej plecami.

– Powinnaś była zginąć tamtego dnia – mówię. – Udawaj, że tak się stało.

Szloch Mamy Agby uderza mnie prosto w serce. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby tak płakała.

Szybkim krokiem, prawie biegiem ruszam po schodach, aby uciec przed jej łzami. Po co w ogóle wychodziłam ze swojego pokoju? Nic tu po mnie.

– Wróciłaś.

Podnoszę wzrok i widzę Roëna. Siedzi przed moimi drzwiami, z ramion zwisają mu dwie wypchane sakwy. Pobrząkują, gdy wstaje i daje mi znak, żebym wzięła mniejszą.

– Chodźmy.

Przewracam oczami i mijam go w przejściu.

– Idę spać.

– Nie wydaje mi się. – Roën wchodzi za mną do pokoju. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Roën, błagam. Nie dzisiaj.

– Tobie wolno prosić mnie o pomoc, kiedy zechcesz, ale kiedy raz jedyny oczekuję czegoś w zamian, jesteś zbyt zmęczona? – Uśmiecha się w odpowiedzi na moje ponure spojrzenie. – Wiedziałem, że dasz się przekonać. – Zarzuca mi na ramię mniejszą sakwę.

– Powiesz mi chociaż, dokąd idziemy? – pytam.

– Wiesz, co w moim języku oznacza słowo Zītsōl? – Zacieśnia pasek sakwy i rusza po schodach w dół. – Piękną dziewczynę, która zadaje zbyt wiele pytań.

Przez parę godzin jedziemy w milczeniu na jego gepardonie. Zostawiamy za sobą najpierw wilgotną dżunglę, a potem górskie skały. Mkniemy galopem przez równinę

Opeoluwa, coraz dalej na północ od sanktuarium. Opieram podbródek na ramieniu Roëna i wystawiam twarz na ostre podmuchy wiatru.

- Możesz mi łaskawie powiedzieć, co my właściwie robimy? – krzyczę.
- Nie widzę powodu – odpowiada równie głośno.
- Powiedz chociaż, czy to jest zgodne z prawem.
- Zītsōl, ja ci nigdy nie zadaję takich durnych pytań.

Przewracam oczami i wtulam twarz w jego plecy. Mniejsza o to. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Z dala od sanktuarium lżej mi się oddycha. Nieobecność Mâzelego już mnie tak nie dławi. Jego śmierć nie przesłania mi wszystkich innych spraw.

Napawam się tą chwilą wytchnienia, nie mając pewności, jak długo potrwa. Zastanawia mnie, czy Roën zawsze tak ma, czy jego nigdy nie przytłacza ciężar świata i wszystkiego, co utracił.

Roën ściąga cugle.

- Jesteśmy.

Podnoszę głowę. Stoimy nad brzegiem morza, kilka metrów od niskiej skarpy, pod którą czarne fale z hukiem rozbijają się o gładkie, szkliste skały. Na migotliwej powierzchni wody srebrny księżyc maluje szeroką jasną ścieżkę, jakby zapraszał mnie do środka.

- O co tu chodzi?

Roën bierze obie sakwy i schodzi nad wodę. U brzegu stoi na kotwicy wykwapowana łódź z turbiną wiatrową.

- Jak daleko mamy popłynąć?
- Ty znowu swoje. – Roën mlaska zniecierpliwiony. – Nieważne. Wskakuj.

Nie mogę powiedzieć, żebym mu ufała, lecz perspektywa morskiej podróży jest zbyt kusząca, by się jej oprzeć. Ostatni raz widziałam morze, gdy uciekaliśmy z piasków Zarii. Teraz moje ciało samo rwie się ku rozkołysanej wodzie. Po kilku chwilach odbijamy od brzegu. Szum łodzi przenika się z hukiem fal. Zamykam oczy i napawam się słonym powietrzem. Zdażyłam już zapomnieć, jak bardzo mi tego brakowało. Będąc na morzu, mam wrażenie, że jestem bliżej Baby.

Wkrótce ląd jest już tylko plamą na horyzoncie. Turbina wiatrowa przestaje się obracać, a Roën zarzuca kotwicę, po czym zdejmuje koszulę i spodnie.

– Próbujesz podstępem nakłonić mnie, żebym się rozebrała? – pytam.

– Zītsōl, oboje wiemy, że mógłbym to zrobić dużo prościej. – Rozpina mniejszą sakwę i wyciąga z niej dwie dziwnie wyglądające maski.

Ja tymczasem zdejmuję tunikę i zostaję w samej opasce na piersiach.

– Słuchaj uważnie. – Roën zakłada mi maskę na głowę. – Zaciśnij zęby. Nabierz powietrza. Nie puszczaj mojej ręki.

Stoję w bezruchu i patrzę, jak zaciąga paski. Przesuwam językiem po ustniku. Kilka oddechów i tlen zaczyna płynąć. Zatechłe powietrze wysusza mi gardło.

– Rób wszystko to, co ja – mówi Roën, wkładając na głowę drugą maskę. – Nie zastanawiaj się ani chwili.

Zanim mogę o cokolwiek zapytać, naciąga maskę na twarz. Potem wyrzuca jedną sakwę za burtę i wyciąga rękę w moją stronę. Nie mam nawet czasu się przygotować. Wskakujemy do wody.

Zaciskam zęby z zimna. Czuję się tak, jakbym przebiła tafłę lodu. Otacza nas woda i mnóstwo pęcherzyków powietrza. Ściskam dłoń Roëna i pozwalam, by ciężar jego sakwy ciągnął nas w dół.

Opadamy coraz wolniej, aż w końcu zawisamy w gęstej ciemności. Roën naprowadza moją rękę na zardzewiały łańcuch, który łączy nas z łodzią. Ścisną moją dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Trzymaj się mocno”.

Zaciskam palce na ogniwach łańcucha i oddycham coraz wolniej. Tu, w głębinach, panuje dziwny spokój. Roën ociera się o mój bok, sięgając po dużą sakwę. Gdy ją rozpina, muszę zmrużyć oczy od blasku. Z otwartej torby wypływają świetliste kule złączone pajęczyną łańcuchów.

Co to jest? W zdumieniu przyglądam się temu zjawisku. Kule unoszą się do góry i rozpraszają mrok. Ich blask nappełnia ocean życiem. Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Czuję euforię podobną do tej, gdy po raz pierwszy widziałam, jak Mama posługuje się magią.

Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie pływają ryby. Długaśne węgorze o srebrnych łuskach śmigają nam u stóp. Kraby w metalicznych skorupach przemykają w cieniu raf koralowych. Ogromny żółw morski przepływa tuż nad nami, muskając długie włosy Roëna. Wyciągam rękę i pełna drżącego zachwytu dotykam palcami błyszczącej mozaiki na gadziej skorupie.

Żółw płynie w stronę pajęczyny światła, tam gdzie krążą już tysiące ryb. Wygląda to tak niesamowicie, że niewiele brakuje, a wypuściłabym z ręki zardzewiały łańcuch. Nie sądziłam, że woda, którą tak kocham, może skrywać tyle piękna.

Próbuję złowić spojrzenie Roëna, który jednak przez dłuższą chwilę spogląda gdzieś w dal. Potem zniemacka sięga do sakwy i wyjmuję kuszę z płaskim hakiem zamiast ostrego bełtu.

O co w tym wszystkim chodzi? Zbliżam się do niego, próbując zrozumieć jego zamiary. Roën chwytą mnie za nadgarstek i odpychając się nogami, sprowadza nas jeszcze niżej, ku ciemności.

W oddali świeci jasny punkt. Świeci coraz mocniej, tak mi się przynajmniej wydaje na początku. Dopiero po chwili zauważam, że rośnie, ponieważ się do nas zbliża.

Próbuję uciec z jego toru, ale Roën trzyma mnie mocno. Trudno mi wytrzymać w miejscu, gdy opiera kuszę na ramieniu i mierzy. Świetlista bestia przecina wodę z impetem kuli armatniej; jest tak wielka, że zakłóca morskie prądy. Mroczna toń wypełnia się rześnistym światłem. Serce wali mi jak oszalałe.

Na miłość Oi.

Ze ściśniętym gardłem patrzę, jak błękitny wieloryb, tak ogromny, że nie da się objąć go wzrokiem, wypełnia sobą cały szmat oceanu nad nami. Ten niezwykły widok na chwilę zapiera mi dech.

Monstrualne cielsko od czubka głowy aż po sam ogon jarzy się jak świetlisty plankton u wybrzeży Dżimety. Można odnieść wrażenie, że to gwiazdzista noc prześwieca zza jego gładkiej skóry.

Potwór rozwiera paszczę i pochłania wir krążących w górze ryb. Za jednym zamachem pożera ich tysiące. Potem zaczyna się wznosić ku powierzchni.

Trzymaj się!

Nie słyszę tych słów, ale tak do mnie przemawiają zaciśnięte palce Roëna. Otacza mnie ramieniem w talii, a ja chwytam go oburącz. Wtedy zwalnia naciąg kuszy. Bełt z płaskim hakiem rozcina wodę i zaczepia się pod ogromną płetwą. Ułamek sekundy później napięty sznur wyrywa nas do góry.

Mkniemy przez toń w zawrotnym tempie, jakby ciągnęło nas tysiąc elefantaurów. Od pędu i naporu wody trzęsą się we mnie wszystkie kości. Blask wieloryba rozświetla morze niczym słońce; żadna ilość lamp nie mogłaby mu dorównać.

Gdzieś z boku migają potężne płaszczyki. W jasnych odmętach tęczowe łuski skrzą się niczym błyskawice. Jeśli to wszystko sen, nie chcę się z niego budzić.

Gdy nagle wynurzamy się na powierzchnię, serce podskakuje mi do gardła. Wieloryb zatacza łuk w powietrzu, jego masywne cielsko zaćmiewa księżyc.

Roën puszcza sznur i chwyta mnie oburącz. Potwór robi parę obrotów i wpada z powrotem do wody.

– Trzymaj się! – krzyczy Roën ze wszystkich sił.

Wezbrane fale uderzają w nas z siłą tsunami. Mocno ściskam Roëna i jakoś wytrzymujemy ich nawałę. Mija dobrych parę minut, zanim ocean się uspokaja.

Dostrzegam w oddali naszą łódź; mamy do niej może pół kilometra.

Drżącymi rękoma zdzieram maskę z twarzy i chwytam ustami powietrze. Moją piersią wstrząsa spontaniczny śmiech. Wymachuję nogami, by utrzymać się na powierzchni. Morze błyszczy się resztką wielorybiego blasku. Patrzę, jak to światło znika i woda znów staje się czarna.

– To było niesamowite! – wołam. – Najlepsza rzecz, jaką w życiu widziałam!

Roën się uśmiecha.

– Tak zwykle mówią o mnie moje kochanki.

Ochlapuję go wodą. Śmieje się wesoło, aż od tego śmiechu marszczy mu się nos. Ta jego mina zbija mnie z tropu. Przez chwilę przypomina mi kogoś innego.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Uśmiecha się delikatniej i podpływa do mnie. Dotyka mojego policzka.

– Dla tego. – Jego palce zatrzymują się przy kąciku moich uśmiechniętych ust. – Brakowało mi tego.

ROZDZIAŁ 64



INAN

Przyglądam się rozrzuconym na stole mapom i planom. To coś więcej niż pergaminy i atrament; to nasza droga do zwycięstwa. Wojska stoją pod Lagos. Ja i matka jesteśmy bezpieczni. Wszystkie pułapki są gotowe.

Tym razem zwyciężymy.

– Czy rozkazy są dla was jasne? – Matka, widząc, że milczę, przejmuje inicjatywę.

W stożkowej ahéré pośrodku Ibadanu jej niski głos odbija się echem od kamiennych ścian ocieplonych gliną dla ochrony przed górskim chłodem. Zapatrzony w ogień na drugim końcu chaty widzę kątem oka, jak wojskowi kiwają głowami.

– Na teraz to wszystko. – Macham ręką. – Ślijcie meldunki na bieżąco.

Oficerowie jeden po drugim salutują i wychodzą. Zbliżam się do paleniska. Żar bijący od ognia ogrzewa mi skórę, ale próżno czekam, aż poczuję w głębi satysfakcję czy ulgę. Przeciwnie, im więcej upływa czasu, tym mniej czuję. Trudno uwierzyć, że to już naprawdę koniec.

– Moje miejsce jest gdzie indziej. – To Ojore staje u mojego boku, gdy wszyscy oficerowie już wyszli. – Odeślij mnie z powrotem do Lagos. Chcę być twoim człowiekiem właśnie tam.

– Mam już swoich ludzi na miejscu. Jesteś mi potrzebny tutaj.

– Inanie, twoim obowiązkiem nie jest pilnowanie, żeby włos mi nie spadł z głowy.

– Owszem, jest! – Obracam się i prawie wykrzykuję mu to w twarz. – Zwłaszcza po tym, co się stało z Dżokôje. Kiedy to wszystko się skończy, Orisza będzie potrzebować kogoś takiego jak ty. I ja również.

Matka próbuje rozładować napięcie; kładzie Ojoremu rękę na ramieniu.

– Jest co robić – mówi. – Ustal z dowódcami patroli, czy wszystko w porządku.

Ojore wydmuchuje powietrze z ust, ale zmusza się do skinienia głową i odchodzi w noc. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby jego żądza walki udzieliła się i mnie.

Spoglądając na plany rozmieszczenia wojsk, chcąc nie chcąc myślę o Zélie i Amari po drugiej stronie barykady. Wcale nie cieszy mnie myśl, że je pokonam. Kto wie, czy w ogóle ujdą z życiem?

– Ach ten chłopak. – Matka kręci głową i uśmiecha się pod nosem. Wręcza mi kielich czerwonego wina, po czym wznosi własny. – Za tron. – Stukamy się. Mama upija długi łyk. Potem opiera szkło na piersi. – Podjąłeś słuszną decyzję – mówi.

Wzdycham i znów spoglądam w trzaskający ogień.

– Nie jestem wcale pewien.

– Żadna cena nie jest zbyt wysoka, gdy idzie o zakończenie wojny.

Po tych jej słowach upijam trochę wina. Delektuję się jego głębokim smakiem.

– Mam wrażenie, jakby ta wojna trwała od wielu lat.

– Poniekąd tak właśnie jest.

Matka przeciąga pomalowanym paznokciem po brzegu kielicha. Patrzy w kwadratowe okno, za którym miejscowi stoją w kolejce do studni.

– Ta wojna nie zaczęła się od powrotu magii, Inanie. To, czego jesteś świadkiem, to ostatni etap walki, w której wielu oddało życie. Na początku zimy nasz kraj będzie nareszcie wolny od zarazy, jaką są magowie. Nawet twojemu biednemu ojcu nie udało się tego dokonać.

– Matko, o czym ty mówisz? – Chwytam ją za ramię. – Przecież walczymy z rebelią, nie z magami.

– Walczymy z nimi wszystkimi. Od lat. Ta wojna zaczęła się na długo przed Obławą. Nie było cię jeszcze na świecie. – Matka odstawia kielich i kładzie ręce na mojej dłoni.

Ton jej głosu budzi mój niepokój. Nie podoba mi się błysk w jej bursztynowych oczach.

– Czy ojciec powiedział ci, jak niewiele zabrakło, aby monarchia zjednoczyła się z klanami magów?

Kiwam głową, wspominając rozmowę na pokładzie okrętu w drodze na świętą wyspę. Nigdy wcześniej i nigdy później ojciec nie wydał mi się tak bliski. To był jedyny raz, kiedy ujrzałem w nim władcę rozdartego wewnętrznym konfliktem.

– Tamten plebiscyt mógł zmienić Oriszę nie do poznania – stwierdza matka złowieszczym szeptem. – Czaraluchy szybko zagarnęłyby tron. Ta kruczata zaczęła się

w chwili, gdy uświadomiłam sobie, że tylko ja mogę temu zapobiec.

– Zapobiec czemu? – pytam ostrożnie. O czym, na nieba, ona mówi? – Król zginął z rąk Ogniarzy. To oni pogrzebali szansę na pokój.

Czekam, aż matka się poprawi, lecz ona dalej spogląda mi w oczy.

– Trzeba było bronić tronu, Inanie. Za wszelką cenę.

Powoli zaczyna do mnie docierać, co się wydarzyło. Cofam rękę.

– To ty stałaś za tym atakiem? – szepczę. – Zabiłaś tych wszystkich ludzi tylko po to, by udaremnić plebiscyt?

– Nie mówiłam Ogniarzom, co mają robić. – Matka wyciąga rękę w moją stronę. – Pokazałam tylko ludziom takim jak my, co się stanie, jeśli otworzymy drzwi pałacu dla czaraluchów...

Zakrywam uszy przed jadem, który sączy się z ust matki. Izba zaczyna wirować. Palce mi drętwieją.

Wtedy rebelianci prawie spalili pałac. Ojciec przetrwał jako jedyny z całej rodziny królewskiej. Gdyby nie tamta rzeź, w ogóle nie zostałby królem.

Nie wzięłby na magach odwetu, jakim była Obława.

To się mogło udać. Udałoby się. Istniała realna szansa, by kraj wstąpił na inną drogę.

A matka tę szansę zniweczyła.

To jej wina, że dziś, po tylu latach, nadal ze sobą walczymy.

– Ci Ogniarze rozpoczęli wojnę! – Odsuwam krzesło od stołu i zrywam się na nogi. – Wojnę, która trwa do dziś! Tysiące ludzi przypłaciło to życiem. Czy ty nie masz sumienia?

– Uspokój się! – Matka znów próbuje mnie chwycić, ale uciekam przed jej ręką.

Szukam w jej oczach wyrazu skruchy. Choćby cienia żalu.

Niczego takiego jednak nie znajduję.

– Masz tyle krwi na rękach... – Łapię się za ranę na brzuchu. – Na litość niebieską, Ojore był przy tym. Musiał patrzeć, jak jego rodzice płoną!

– Oddali życie, aby prawdziwa Orisza mogła przetrwać. – Matka potrząsa pięścią. – Gdy oczyścimy królestwo z magów, nikt już nie będzie cierpiał. Nie będzie wojny. Ty sam jako władca zadbasz o to, by ofiara tych ludzi nie poszła na marne! –

Uśmiecha się i drżącymi palcami dotyka mojego policzka. – Zapamiętaj moje słowa.
Żadna cena nie jest za wysoka, gdy idzie o pokonanie magów.

ROZDZIAŁ 65



ZÉLIE

Do sanktuarium wracamy z Roënem tak późno, że oczy same mi się zamykają. Zabawa dawno się już skończyła, choć nie wszyscy magowie zdołali przed zaśnięciem dotrzeć do swoich łóżek; niektórzy zmorzeni winem śpią na ziemi, po kątach albo pod schodami. Omijamy ich na palcach. W dole, nad wodospadem, Nâo i Chani kołyszają się jeszcze w swoich objęciach.

– *Hökenärīnusaī*. – Roën wskazuje drzwi do mojego pokoju.

Wlecze się za mną, jego wiecznie czujne oczy też się kleją. Wieczorna eskapada nieźle nas wymęczyła, ale choć spędziliśmy ze sobą wiele godzin, chciałabym, żeby jeszcze ze mną został.

– Co to znaczy? – pytam.

– Witaj z powrotem.

– *Höke-nārī-nusaī* – powtarzam. – Źle to wymawiam? – pytam, widząc, że senne oczy Roëna otworzyły się szeroko.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Po prostu nie pamiętam, kiedy ostatnio słyszałem ojczystą mowę.

Jego słowa są jak rzeński powiew wiatru. Opieram się ramieniem o drzwi. *Wejź do środka*, mówię sobie w duchu. *Niech się na tym skończy*. Wciąż jednak stoję w miejscu. Roën mości się pod ścianą. Wyciąga rękę do góry i musnąwszy palcami moje ucho, bawi się mokrym kosmykiem moich włosów.

– Jedziesz jutro z nami?

Bez entuzjazmu kiwam głową.

– Nie mogę puścić Tzaina samego. Amari zje go żywcem. Zresztą nawet jeśli Mâri i Bimpe nie chcą mnie posłuchać, to nie zmienia faktu, że przysięgałam je chronić. Muszę zrobić wszystko, żeby nie podzieliły losu Mâzelego.

Roën wodzi palcami po mojej szyi. Gdy mnie tak dotyka, mam w głowie przyjemną pustkę. Jego pieśczoła przeszywa mnie dreszczem. Wbijam paznokcie

w dłoń, walcząc ze sobą, by się w niego nie wtulić. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co dziś zobaczyłam. Roën zadał sobie wiele trudu, żebym się rozchmurzyła.

Nie sądziłam, że po śmierci Baby ktoś jeszcze tak się o mnie zatroszczy.

– Ty wcale nie jesteś taki bezduszny, jakiego udajesz.

– Chciałbym, żeby to była prawda. – Roën przesuwam mi kciukiem po obojczyku, a gdy marszczę brwi, kładzie go na mojej dolnej wardze. – Nie takiej odpowiedzi oczekiwałaś?

Wypuszczam powietrze i odwracam wzrok.

– Raz już straciłam głowę dla potwora. To się nie może powtórzyć.

Roën delikatnie chwyta mnie za kark i zbliża do siebie. Patrzy na moje usta. Wstrzymuję oddech.

– Twój błąd, Zītsōl, nie polegał na tym, że straciłaś głowę dla potwora, lecz na tym, że straciłaś głowę dla niewłaściwego potwora.

– A ty niby masz być tym właściwym?

Roën się uśmiecha, lecz w tym uśmiechu nie ma cienia wesołości.

– Nie ma we mnie nic właściwego.

Potem składa na moim czole delikatny pocałunek. Coś we mnie pęka. Roën puszcza mnie i odchodzi.

Pozwól mu odejść, powtarzam sobie. Raz już oddałam serce komuś niegodnemu zaufania i wiem, jak to się kończy. A mimo to każdy krok odchodzącego Roëna sprawia mi ból.

– Poczekaj – mówię, choć na dźwięk tego słowa trzęsą mi się ręce. Zbliżam się do Roëna, obezwładniając w sobie inną część mnie, która pragnie uciec od niego jak najdalej. – Zostań ze mną. – Sięgam po jego dłoń, głaszczę mu palce. – Bądź ze mną. Nawet jeśli to zły pomysł.

Roën chwyta mnie zimnymi dłońmi za policzki. Napiera na mnie całym sobą, tak że przywieram plecami do drzwi. Nasze usta splatają się w uścisku. Nie całuje mnie jak kogoś, komu serce rozsypało się na kawałki. Ani jak człowiek idący jutro w bój. Nie, Roën całuje mnie tak, jakby nigdy nie zamierzał mnie wypuścić ze swoich ramion.

Jak gdyby cały świat był nasz.

– Zītsōl. – Przyciska czoło do mojego.

Chłonę jego miodowy zapach. Na krótką chwilę staje mi przed oczami Inan, ale to za mało, żebym się powstrzymała.

Między nami były tylko kłamstwa i złamane obietnice. Nieziszczalne sny. Z Roënem nie ma żadnego udawania. Tylko rzeczywistość.

Drzwi ustępują pod naporem moich pleców, a ja poddaję się Roënowi. Jego dotykowi, pocałunkom, którymi obsypuje mi szyję i uszy. Zatracam się w jego ramionach, w pieścizotach, które pozbawiają mnie tchu.

– W porządku? – pyta szeptem. Ściska mnie w talii, wsuwa mi dłonie pod tunikę.

Kiwam głową i odwzajemniam się tym samym, moje palce błędzą po twardych mięśniach jego brzucha.

– Nie przestawaj – szepczę na zachętę. Moja skóra płonie pod jego dotykiem.

Roën przyciska mnie do siebie, jego palce suną w górę moich pleców...

Nagle przesywa mnie okropny ból. Słyszę w głowie echo własnego krzyku. Moje blizny pieką w zetknięciu z dłońmi Roëna.

Wzdrygam się i odpycham go od siebie zdyszana. Obraz rozmywa mi się przed oczami. Widzę twarz Sarana i czuję w sobie ostrze jego noża.

– Czy zrobiłem coś nie tak? – Roën próbuje dotknąć mojej ręki, ale prędko ją cofam i uciekam na drugi koniec pokoju.

Wszystko, co w sobie tłumię, wydostaje się na zewnątrz. Słyszę głos Mâzelego. Czuję dotyk Inana. Wyczuwam zapach krwi Baby, która leje się strugami z jego piersi.

– Przepraszam. – Roën jest zdezorientowany i wystraszony.

Powstrzymuję w sobie odruch, by się przed nim wytłumaczyć. Ostatnim razem, kiedy pozwoliłam komuś tak bardzo się zbliżyć, ten ktoś nie tylko wbił mi nóż w plecy, ale i odebrał ludzi, których kochałam. Zadał mi rany, których czas nigdy nie wyleczy.

– Lepiej już sobie idź – szepczę.

– Co się dzieje? – Roën marszczy brwi. – Porozmawiaj ze mną. Nie musimy nic robić. Zītsōl, nie dlatego mi na tobie zależy...

– A mnie na tobie nie zależy wcale! – Te ostre słowa sprawiają ból nawet mnie samej. Ale to wszystko, co mam. Jedyna broń, którą mogę odepchnąć Roëna od

siebie. – Jesteś zwyczajnym najemnikiem. – Kręcę głową. – Potworem do wynajęcia za pieniądze. Inan przynajmniej był królem. Przynajmniej w coś wierzył!

Spojrzenie Roëna wbija mi się w serce jak miecz. Nareszcie widzę coś więcej niż jego pancerz. Widzę chłopaka, który się przede mną otworzył.

– Nie zależy mi na tobie – powtarzam drżącym głosem. – Ani teraz, ani nigdy. Idź już.

Odwraca się z kamienną twarzą i wychodzi. Kiedy drzwi się za nim zamykają, obejmuję się ramionami i osuwam ciężko na podłogę. Zakrywam usta, by stłumić szloch.

Cisza wokół dokucza mi jeszcze bardziej niż wspomnienie okaleczonych pleców.

ROZDZIAŁ 66



AMARI

Budzę się z plecami rozgrzanymi od ciepłych promieni słońca. Przecieram oczy, a drugą ręką po omacku szukam Tzaina. Po chwili rozglądam się – i marszczę brwi. Pokryte kafelkami ściany mojego pokoju zniknęły. Jakby wprowadzono mnie we śnie.

Teraz otaczają mnie tylko trzciny.

– Nieba, co tu się...

Dotykam ich łodyg, pierzaste liście łaskoczą mnie w dłoń. Spomiędzy trzciny wyrastają wysokie żonkile, barwiące bezkresne pole na żółto.

Nie wiem, co to za miejsce. Jest zbyt prawdziwe, by mogło być snem. Po chwili wyczuwam czyjąś obecność.

Na dźwięk tego głosu serce zamiera mi w piersi.

– Musimy porozmawiać.

Widok Inana działa na mnie jak cios pięścią w brzuch. Na moment pozbawia mnie tchu. Inan bezbronnie unosi ręce. Nerwowo zaciska brązowe usta.

– To była matka – mówi drżącym głosem. – Amari, gdybyś wiedziała, co ona ma na sumieniu...

– A co z twoim sumieniem? – Zrywam się na równe nogi. – Myślisz, że jestem taka głupia, że znów się nabiorę na twoje sztuczki? Jak w ogóle śmiesz mnie przyzywać po tym, jak zaatakowałeś naszą bazę!

– Spójrz na mnie! – Inan doskakuje bliżej. – Spójrz mi w oczy. Gdybym to ja wydał rozkaz ataku, po co bym się z tobą spotykał? Po co marnowałbym czas na rozmowę z Zélie, wiedząc, że matka chce zmienić to miejsce w strefę wojny?

Otwieram usta, lecz nie mam na to żadnej szybkiej odpowiedzi. Jego słowa dają mi do myślenia. Kiedy w sanktuarium zagrzmiał alarm, Inan wydawał się równie zaskoczony jak my.

Wtedy sądziłam, że to jedynie teatr.

– Wiem, że nie możesz mi zaufać. – Kręci głową. – I że „przepraszam” już nie wystarczy. Ale jeśli chcesz być królową, nie możesz rządzić pod wpływem emocji.

Mrużę oczy.

– Po co mnie tu ściągnąłeś?

– Wygrałaś. – Inan zwiesza dłonie. – Uznaję swoją porażkę. Nie mogę dalej walczyć z tą wiedzą, którą mam. Nie chcę mieć z tą wojną nic wspólnego.

O co tu chodzi? Zachodzę w głowę, co to może oznaczać. Nie żebym wierzyła jego słowom, ale dostrzegam w jego spojrzeniu autentyczny ból.

– Naprawdę jesteś gotów zrzec się tronu?

Inan krzywi się na to słowo jak na przekleństwo.

– Dla dobra Oriszy jestem gotów zrezygnować ze wszystkiego.

Zaciskam szczękę i cofam się na drżących nogach. Nie wiem, co się wydarzyło, ale widzę, że mój brat nie kłamie. Akurat w poświęcaniu się dla Oriszy jest całkiem wiarygodny.

Gdy jednak wyciąga do mnie rękę, myślę o tacie Zélie. O niej samej skulonej nad ciałem Mâzelego. Muszę być twarda, inaczej mój brat znów będzie górą.

Tak się wyćwiczył w kłamstwie, że nawet już nie wie, kiedy okłamuje sam siebie.

– Wypuść mnie stąd.

– Amari, błagam! – woła Inan łamiącym się głosem. – Wszystko, co się wydarzyło... zaczęło się od matki. Ale na nas może się skończyć.

– Dopóki ty i ona nie znikniecie na dobre, to królestwo nie ma szans na przetrwanie. – Krzyżuję ramiona. – Wygram tę wojnę bez twojej pomocy.

– Mylisz się. – Kładzie ręce na brzuchu i zaciska zęby z bólu. – Nigdy jej nie pokonasz. Nie jesteś w stanie. Dla matki żadna ofiara nie jest zbyt wielka.

– Właśnie że wygram. I naprawię wszystko, co nasza rodzina zepsuła. Będę najlepszą królową w historii Oriszy. Zmienię oblicze naszego królestwa! – Zwieram dłonie w pięści. Pierś mi faluje. – Proszę cię po raz ostatni. Wypuść mnie stąd. Natychmiast.

Inan zwiesza głowę, robi się jakby mniejszy. Ten widok chwyta mnie za gardło. Odwracam wzrok, żeby nie widział moich łez.

– Nie chciałem, żeby tak było.

Trzciniowisko zaczyna znikać. Zamykam oczy.

– Ja też nie.

Podrywam się z jękiem, przyciskając do nagiej skóry suknię Tzaina, który leży obok i chrapie. Znow jestem w swoim pokoju.

Serce łomocze mi w klatce piersiowej, przez głowę przemykają słowa Inana. *Nigdy jej nie pokonasz. Dla matki żadna ofiara nie jest zbyt wielka.*

– To ty się mylisz – szepczę.

Oboje są w błędzie. Zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Już czuję jego smak. Muszę się tylko postarać. Muszę być odważna i myśleć dwa kroki do przodu.

Muszę być bezwzględna.

Muszę walczyć jak matka.

Wstaję z łóżka po cichu, by nie zbudzić Tzaina. Wciągam na siebie starą tunikę i wychodzę na korytarz. Gdy biegnę po schodach w górę, moje kroki rozbrzmiewają głośno wśród ciszy.

Matka i Inan słusznie postanowili użyć mieszkańców jako żywych tarcz. Choć wiemy, gdzie przebywają, obecność tych ludzi wiąże nam ręce. Gdyby jednak problem wieśniaków się rozwiązał... Gdyby ten czynnik po prostu zniknął...

Pukając głośno do Jahiego, mam już w głowie zręby nowego planu. Dobiega mnie jakieś przekleństwo, ale zaraz potem drzwi się uchylają.

Tajfun przygląda mi się nieprzytomnie spod zmrużonych powiek.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego. Wróg atakuje?

– Chodzi o Ibadan. Musimy skorygować nasz plan.

Jahi otwiera przede mną drzwi.

– Inni starsi też przyjdą?

– Nie. – Wchodząc do środka, przypominam sobie twarz Inana. – Oni mają swój plan. Ten zostanie między nami.

ROZDZIAŁ 67



AMARI

Po czterech dniach rycia tuneli w górach koło Ibadanu nareszcie otwieramy sobie drogę. Kâmarū cofa się przed kruszejącą skałą i naszym oczom ukazuje się lśniąca woda, która wypełnia głębokie jaskinie. Patrząc w dół na pomarszczoną taflę i czuję bolesny skurcz w żołądku. Pozostali starsi spoglądają w moją stronę. Czekają na rozkaz.

– Są tam? – zwracam się do Dakariego, który z tyłu szepcze swoje zaklęcie.

Między jego dłońmi pojawia się kawałek rozgwieżdżonego nieba, a na nim, jeden po drugim, przezroczyste obrazy różnych mieszkańców wioski w swoich trójkątnych chatach.

Dzieci pływają w jeziorze; ojciec i córka przygotowują kolację o zachodzie słońca; ludzie z wiadrami czekają w kolejce do studni. Każda z tych scenek sprawia, że coraz trudniej mi się oddycha.

Każdy niewinny wieśniak jest jak mina na polu bitwy.

– To oni. – Chwytam Tzaina za ramię, gdy między dłońmi Dakariego ukazują się przezroczyste postacie Inana z matką. Choć obraz jest mało wyraźny, bez trudu rozpoznaję ich sylwetki.

Siedzą w trójkątnej ahéré otoczeni kręgiem wojskowych. Dziwnie się czuję, przyglądając im się z daleka. Są całkiem nieświadomi tego, co się wydarzy.

– Nie mamy dużo czasu. – Mój głos odbija się od ścian ciasnej groty. – Żołnierze patrolujący wioskę zmieniają się o wschodzie słońca. Jak tylko Nâo znajdzie drogę do jezior Ibadanu, ruszamy. Trzeba uderzyć przed zmianą warty.

– No to do dzieła. – Nâo wkłada na ogoloną głowę niebieski hełm. – Jestem gotowa. Kto nurkuje ze mną?

Stojący na końcu grupy Roën występuje naprzód. Na jego twarzy nie widać ani cienia emocji. Liczymy, że pomoże nam zlokalizować kryjówkę Inana, kiedy już przedostaniemy się do wioski.

– Ja też popłynę – zgłasza się Tzain. – Znam tę osadę. Mogę się przydać.

Kręcę głową.

– Kiedy Nâo wróci po nas, zostaniecie sami w Ibadanie. Potrzebny jest ktoś z magią.

– Ja pójdę.

Na widok podniesionej ręki Zélie aż mrugam z niedowierzania. Przez tydzień nie odezwała się do mnie ani słowem. Dziwię się, że w ogóle tu jest.

– Pamiętam to miejsce – mówi. – Czekając na was, namierzmy króla i królową.

– To dobry plan. – Kiwam głową, ale Zélie nie chce mi spojrzeć w oczy. – Cała reszta może teraz odpocząć, ale bądźcie gotowi. Jak tylko Nâo wróci, idziemy zakończyć tę wojnę.

Starsi rozchodzą się po niewielkiej grocie. Tylko Jahi zostaje.

– A my? – pyta zniżonym głosem, kiwając głową w stronę Imani.

– Poczekajcie, aż wszyscy zasną – odpowiadam szeptem. – Potem wyruszycie w góry.

Z goryczą w ustach patrzę, jak podchodzi do Imani, by przekazać jej moje instrukcje. Kancerka nie ma zbyt wesołej miny, ale potakuje ruchem głowy.

Spokojnie, Amari, mówię sobie. To przecież ostateczność. Inana i matkę można pokonać. Musimy tylko trzymać się planu.

Podchodzę do Zélie, która z zaciśniętymi ustami przywdziewa pancerz.

– Dziękuję – mówię z uśmiechem. – Że się zgłosiłaś, choć nie musiałaś.

– Nie pozwolę mojemu bratu dać się zabić tylko po to, żebyś mogła usiąść na swoim upragnionym tronie. – Omija mnie ze spuszczonego wzrokiem.

Nawet nie wie, jak bardzo mnie rani swoją pogardą. Dołącza do Nâo, która całuje i ściska Chani na pożegnanie.

Potem Falunka staje w przejściu i wyciąga ręce ku wodzie. Z jej ust płyną wolno słowa inkantacji.

– Èyà omi, omi sí fún mi...

Jej smukłe palce jaśnieją niebieskim światłem. Wstęga spienionej wody unosi się w powietrze, tak że zostaje po niej pusty korytarz. Nâo wskakuje do niego i daje znak pozostałym.

Roën chowa ostrze i nie oglądając się na Zélie, podąża za Falunką. Zélie jednak waha się przez chwilę. Tzain kładzie jej rękę na ramieniu.

– Na pewno nie chcesz, żebym poszedł?

– Na pewno. – Zélie nakrywa jego dłoń własną. – Mam w sobie dość siły, by zakończyć tę wojnę.

Tzain obejmuje ją mocno na pożegnanie. Potem Zélie dołącza do Nâo i Roëna. Stają obok Tzaina.

– Èyà omi, omi sí fún mi... – Nâo dalej recytuje zaklęcie, a woda posłusznie zlewa się ponad ich głowami, zamykając całą trójkę w komorze powietrza.

Mogą teraz swobodnie przemierzać podziemne jeziora. Tzain spogląda za siostrą wyraźnie zafrasowany. Z każdym jej krokiem wydaje się coraz bardziej spięty.

– Naprawdę myślisz, że to się może udać? – pyta.

Automatycznie kiwam głową.

– Musi się udać – stwierdzam. – Mocniejszych ludzi nie mamy.

Gdy jednak znikają nam z oczu, sama odruchowo wbijam paznokcie w dłoń.

Jeśli się nie uda, pozostanie mi tylko jedno.

ROZDZIAŁ 68



INAN

Siedzę z matką w stożkowej chacie, ściskając brązową monetę w drżącej dłoni. Z każdą upływającą sekundą brzemie odpowiedzialności za życie niewinnych ludzi ciąży mi coraz silniej. Matka przeciwnie, jakby w ogóle się nie przejmowała, że ma krew na rękach. Na jej twarzy łatwiej dopatrzeć się skrywanego uśmiechu niż choćby śladu wyrzutów sumienia.

– Wasza Królewska Mość, mamy wieści z pałacu. – Generał Fa'iza wręcza mi zwinięty pergamin. – Rebelianci zbliżają się do granic Lagos.

– Czy nasi żołnierze są na swoich pozycjach? – dopytuje matka.

– Wszyscy co do jednego.

– To dobrze. – Uśmiecha się do oficerów siedzących przy stole.

Gdy jej oczy zatrzymują się na Ojorem, przeszywa mnie tępy ból. Mimo woli zerkam ukradkiem na jego poparzoną szyję.

Nie wiem, jak matka może się do niego uśmiechać. Rozmawiać z nim, jak gdyby nigdy nic. W ogóle przebywać w jego obecności. Ja, odkąd poznałem prawdę, nie potrafię mu spojrzeć w oczy.

I nie wiem, czy jeszcze kiedyś zdołam.

– Muszę się przewietrzyć. – Podnoszę się z miejsca i unikając wzroku Ojorego, ruszam do wyjścia.

– Inanie, nie wolno nam wychodzić! – woła za mną matka. – W każdej chwili mogą nas zaatakować...

– Nic mi nie będzie – ucinam. Na wszelki wypadek nie daję jej szansy na odpowiedź.

Za progiem chaty od razu podrywam się do biegu. Górski wiatr osusza pot na mojej skórze. Gdy słyszę za sobą wołanie matki, wbiegam po kryjomu do żelaznej ahéré pełniącej funkcję ibadańskiej twierdzy i zamykam za sobą drzwi.

Ale chociaż uwolniłem się od jej obecności, wciąż wisi nade mną ciężar jej zbrodni, ciężar krwi rozlanej przez moją rodzinę. Szurając butami o metalową podłogę, myślę o rzezi, która dopiero się dokona. Ilu jeszcze musi zginąć dla ochrony skradzionego tronu? Ilu spośród zabitych będzie magami?

Muszę to powstrzymać.

Chodzę tam i z powrotem, kręcąc głową. Skoro Amari nie dała mi wiary, muszę sam zakończyć tę wojnę.

Zza pleców dobiega mnie szczęk zamka w drzwiach i zgrzyt naciskanej klamki. Odruchowo zaciskam pięść.

– Matko, to koniec... – Urywam jednak, widząc, że w progu stoi Ojore.

Stoi i patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– M-myślałem, że to matka.

Drzwi zamykają się z jękiem. Ojore robi krok naprzód, światło lampy pada na jego oparzoną szyję. Nie mogę na nią patrzeć. Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Musimy odwołać atak – mówię ze wzrokiem utkwionym w podłogę. – Pomyliłem się. Ta wojna... Posuwamy się w niej za daleko.

– Dlaczego nie patrzysz mi w oczy?

Zamieram. Jego lodowaty ton przyprawia mnie o gęsią skórkę. Ojore robi kolejny krok w moją stronę.

– Nie musisz się zadręczać – zniża głos do szeptu. – Twoja matka, na ten przykład, od lat wie, jak było naprawdę, a sumienie jej nie gryzie.

Czuję się, jakby kamień stanął mi w gardle. Ojore wykrzywia usta w złowieszczym uśmiechu. Nie poznaję go w tej chwili. To nie jest Ojore, jakiego znam.

– Nie chciałem tu siedzieć, skoro najważniejsza bitwa rozegra się pod Lagos – mówi. – Nie mogłem zostawić moich żołnierzy samym sobie. Poszedłem ci to powiedzieć. Nie spodziewałem się, że będę musiał wysłuchać wspominek twojej matki o rzezi mojej rodziny.

Łzy w jego głosie ranią mnie dotkliwiej niż ojcowski miecz. Nie wiem, co mu odpowiedzieć. Krew odpływa mi z twarzy.

– To, co zrobiła, było straszne. – Kręcę głową. – Dlatego odwołuję atak. D-dlatego chcę zakończyć wojnę!

Ale Ojore tylko patrzy w przestrzeń. Czuję, że moje słowa trafiają w próżnię.

– Wiesz, jak wiele zrobiłem dla twojej rodziny? – Pyta mnie ze łzami w oczach. –
Ilu zabiłem magów?

– Wiem... – Kładę mu rękę na ramieniu. – Wierz mi, że wiem.

Przed oczami staje mi na chwilę twarz Zélie. Wyobrażam sobie życie, które mogłaby wieść. Które powinna wieść. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, może do dziś mieszkałaby z rodziną w tych górach. Obława nie zniszczyłaby jej domu. Zélie nie popełniłaby błędu, jakim było zaufanie mi. Nie nosiłaby szram na plecach.

– Przez te wszystkie lata uważałem, że to magowie są wrogami – mówi Ojore. – To ich obwiniałem i nienawidziłem. A to była ona!

W jego tonie odzywa się mroczna nuta, oczy też patrzą jakoś inaczej. Prostuje plecy, nienawiść przeradza się w nowe postanowienie. Dobywa miecz. Mróz ścina mi krew w żyłach.

– Zabiję ją – szepcze. – Zabiję ją, zanim ona zdąży zabić kogoś jeszcze.

– Ojore, poczekaj. – Unoszę ręce i zachodzę mu drogę. – Matka odpowie za swoje zbrodnie, przyrzekam. Ale teraz trzeba zapobiec kolejnym ofiarom.

– Odsuń się. – Zbliża ostrze do mojej szyi, a mnie robi się sucho w gardle. – Odsuń się – powtarza surowo. – Albo ja cię odsunę.

Patrzę na jego miecz, a potem znów na niego – i nie dostrzegam ani cienia wahania. Wygląda, jakby zamierzał spełnić swoją groźbę.

– Ojore, nie tędy droga.

– Więcej się nie powtórzę.

Widząc niebieski błysk w mojej dłoni, Ojore natychmiast atakuje.

Rzucam się w bok, by uniknąć ostrza. Moja magia gaśnie jak płomyk świecy. Ojore bez wahania ponawia atak. Uskakuję przed ciosem, klinga uderza o metalową ścianę.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy! – wołam, lecz Ojore ma oczy pełne ślepej furii.

Nie mogę się dłużej powściągać.

Wyciągam zza pasa sztylet i rzucam nim w jego udo, ale Ojore zatrzymuje go jednym skinieniem dłoni.

Sztylet wisi w powietrzu, a z palców Ojorego sączy się ciemnozielona aszê.

ROZDZIAŁ 69



ZÉLIE

– Èyà omi, omi sí fún mi...

Não od paru godzin recytuje to samo zaklęcie. Jej melodyjny głos rozdziela wodę i tworzy wokół nas barierę ochronną. Oddychając powietrzem o zapachu alg, przemieszczamy się metr po metrze, a drogę rozjaśniają nam lampy wiszące u bioder.

– Aż trudno mi w to uwierzyć. – Não opuszcza ręce, gdy wodna ściana tężeje. W miarę zbliżania się do Ibadanu tunel robi się coraz ciemniejszy. – To się dzieje naprawdę. Jesteśmy o krok od zakończenia wojny.

Ja też próbuję się uśmiechnąć, ale nie jest mi łatwo udawać. Choć już tylko parę chwil dzieli nas od upragnionego zwycięstwa, nie czułam takiej pustki w środku, odkąd zginął Baba.

Ostatnia walka. Zamykam oczy. Ostatnia walka i będę mogła zostawić to wszystko za sobą. Przynajmniej po zakończeniu wojny Tzain będzie bezpieczny. Śmierć Baby i Mâzelego nie pójdzie na marne. A ja...

Nie wiem, jak dokończyć tę myśl. Teraz, gdy Roën jest tak blisko, mam ściśnięty żołądek. Ale kiedy to wszystko się skończy, będę od niego wolna. Będę wolna od wszelkiego bólu i poczucia winy.

– Zél, nie gniewasz się na nas, prawda? – Não ogląda się na mnie, gdy nie odpowiadam. – Nikt nie ma do ciebie pretensji, że chciałaś uciec. Wszyscy coś utraciliśmy po śmierci Mâzelego.

Nie bądź smutna.

Przypominam sobie jego wielkie uszy i znów czuję ukłucie w sercu. Gdyby tu był, gnałby teraz przez podziemne jaskinie. Nie mógłby się doczekać, aż dotrzemy do Ibadanu i położymy kres wojnie.

– Wiem, że się na nas zawiodłaś. – Não wzdycha. – Ale my cię potrzebujemy. Cokolwiek by się działo, wciąż jesteś naszą wojowniczką.

– Musicie wiedzieć, że wasza wojowniczką to tchórz – rzuca zza naszych pleców Roën. – Tylko by uciekała. Nie myślcie, że kiedy to się skończy, będzie was bronić.

Posyłam mu przez ramię gniewne spojrzenie, na które Roën reaguje powierzchownym uśmiechem.

– No co? – mówi. – Nie mam racji?

Mrużę oczy i skaczę mu do gardła.

– Co, zraniłam twoje uczucia, więc teraz sobie ze mną pogrywasz?

Roën wzrusza ramionami.

– Chcę tylko, żeby Não znała prawdę. Wygląda na to, że tylko ja cię przejrzałem.

Não przystaje i popatruje to na niego, to na mnie.

– Chcecie sobie coś wyjaśnić na oso...

– Nie zatrzymuj się – rzucam szorstko. – On tylko próbuje zwrócić na siebie uwagę.

Obracam się na pięcie i zakrywam uszy, gdy Roën zaczyna krzyczeć:

– Ci głupcy przelewają za ciebie krew! Umierają za ciebie! A ty najchętniej byś uciekła i lizała swoje rany...

Odwracam się.

– Jak śmiesz? Ty, który opuściłeś swój kraj!

– Bo nic mnie tam nie trzymało! – wydziera się na mnie. – Nie miałem nikogo. Ty jesteś o krok od zwycięstwa i wciąż masz wokół siebie mnóstwo ludzi, których kochasz. Nie żal mi ciebie. Nie użalaj się nad sobą!

Staję w miejscu i biorę głęboki, drżący wdech. Powietrze ma dziwny smak. Grota zaczyna się kurczyć.

– Nie będziesz mnie oceniał – szepczę. – Nie prosiłam się o to wszystko!

– Nikt się nie prosił, ale ty przynajmniej wciąż tu jesteś. W przeciwieństwie do wielu innych ludzi! – Roën chwyta się za głowę, jakby chciał wyrwać z niej włosy. – Przetrwiałaś Obławę. Spotkanie ze strażnikami. Gniew króla. Nie jesteś ofiarą, Zélie. Żyjesz! Przestań uciekać!

Zastygam nieruchomo. Jego słowa trafiły mnie prosto w serce. Roën przygląda mi się przez chwilę, potem oddycha głęboko i przyciska pięść do czoła.

– Nieważne, zapomnij. – Opuszcza ręce i mija nas obie. – Jestem tylko najmitą. Co ja mogę wiedzieć?

– Roën... – Jest mi duszno, kładę rękę na piersiach. Czy to możliwe, żeby kończył nam się tlen? Dostaję lekkich zawrotów głowy.

– Wolniej! – Widząc, że Roën się wysforował, Nâo gestem ręki wydłuża tunel powietrza. – Nie wiem, jaki macie problem, ale musimy się trzymać razem.

Gdy Roën jej nie słucha, Nâo przeklina i znów przedłuża tunel. I wtedy to spostrzegam: czerwoną iskierkę nad jego czarną czupryną.

– Roën! – wołam za nim, ale się nie odwraca. Przyspieszam kroku. W powietrzu rozchodzi się oleisty zapach. Moje stopy dudnią o twardą skałę. – Czekaj!

Ten smród poznałabym wszędzie.

– Roën, stój!

Przewracam Nâo na plecy.

Gdy Roën się odwraca, następuje wybuch.

ROZDZIAŁ 70



ZÉLIE

BUM!

BUM!

BUM!

Pierwszy wybuch uruchamia reakcję łańcuchową. Bomby eksplodują jedna po drugiej. Jest ich kilkanaście, może kilkadziesiąt.

Bogowie usuwają nam ziemię spod nóg. Jaskinia wali się naokoło. Szarpana przejmującym bólem spadam w mroczną toń.

– Roën! – próbuję krzyczeć, ale woda zatyka mi usta. W uszach dzwoni od serii wybuchów. Nic nie widzę.

Spadające odłamki ranią mi skórę. Łąduję twardo na plecach. Impet uderzenia wypycha ze mnie bezcenną resztkę powietrza. Chwytam się za szyję, woda wlewa mi się do gardła.

Pomocy!

Dławię się boleśnie. Z sufitu jaskini spadają wielkie kamienie. Zaciskam zęby, gdy jeden z nich przygniata mi nogę i wpija się ostro w ciało, rozdzierając naprężony mięsień. Otwieram oczy w ciemnościach i wtedy to do mnie dociera.

Nikt mnie nie uratuje.

To koniec.

Od tej myśli wszystko się we mnie ściska. Kopię, rzucam się, drapię, ale trafiam palcami tylko na żwir.

Zawsze myślałam, że moje życie skończy się w mgnieniu oka. Tymczasem czuję wyraźnie każdą sekundę, która zbliża mnie do końca. Wolną nogą próbuję odepchnąć głaz, lecz poszarpany kamień tnie jak nóż. Rozdarł mi goleń aż do kości.

Nie walcz...

Ten szept dochodzi z głębi mnie. W oczach kręcą mi się łzy. Osuwam się na zimne podłoże.

Koniec z wojną. Koniec z ranami, które nie chcą się zagoić. Znam ten spokój, który można odnaleźć w objęciach śmierci.

Poznałam już smak wolności od bólu.

Nie walcz, powtarzam bezgłośnie, trzymam się tych słów, podczas gdy moje płuca walczą o łyk powietrza. Prawie słyszę pieśń Niebiańskiej Matki. I wtedy z mroku wyłania się świetlista sylwetka Mamy.

Migocze białym blaskiem, który jeszcze przybiera na sile, gdy u jej boku pojawia się Baba. Podnoszę głowę z ziemi.

Wtedy dobiega mnie głos Mâzelego.

– Jagunjagun!

Na widok trzeciej znajomej postaci omal nie zaczynam śmiać się z radości. Mâzeli stoi obok Baby. Uszy wciąż ma zbyt wielkie w stosunku do reszty głowy.

Wyciągam ku niemu rękę, niczego bardziej nie pragnę, niż się go chwycić. Nie zniosę dłużej bólu.

Dałam temu światu wszystko, co mogłam.

Jego światło się zbliża, mój Drugi w zaświatach wyciąga po mnie rękę. Lecz gdy jej dosięgam, Mâzeli nie pomaga mi przejść na tamtą stronę.

Obdarza mnie wizją.

Czas staje w miejscu, a potem spoza mgły, która zasnuwa mój umysł, ukazują mi się chwile sprzed eksplozji. Widzę błysk czerwieni. Czuję zapach gazu, który parzył mi nozdrza.

Pierścień ładunków wybuchowych za głową Roëna rozsadza tunel i posyła nas w otchłań. Wybuchów było tyle, że mogłyby unicestwić całą armię. Naszą armię.

Wtedy nie wiedziałam, co się dzieje, ale teraz uświadamiam sobie prawdę – i aż kręci mi się w głowie.

To wcale nie było tak, że nas wykryto.

Po prostu daliśmy się zwabić w zasadzkę.

Ta świadomość przygniata mnie jak głaz. Sądziliśmy, że to my zaskoczymy wroga, tymczasem monarchia wiedziała, że się zbliżamy. Przejrzeli nasz plan.

A skoro zastawili pułapkę tu, pod ziemią, jakie inne niebezpieczeństwa czyhają na górze? Co królewscy zgotują naszym magom i ibawitom na przedpolach Lagos? Wszyscy starsi są tutaj! Bez nich nasi bracia i siostry są wręcz bezbronni.

– *Nana...*

Pieśń Niebiańskiej Matki wypełnia mnie od środka. Sylwetka Mâzelego się cofa, zanurzam się w ciepłe objęcia śmierci. Zalane wodą płuca zapadają się i pieką żywym ogniem. Jeszcze nigdy nie zaznałam takiego bólu. Moje ciało dłużej go nie wytrzyma.

Wszystko we mnie krzyczy, żebym się poddała. Runęła w czarną otchłań. Przestała cierpieć.

Ale za mgłą bólu dostrzegam przednie zęby Mári z charakterystyczną szparą. Odbarwioną skórę wokół brązowych ust Bimpe.

Widzę twarze wszystkich Żniwiarzy, których jeszcze nie poznałam. Uśmiech mojego brata. Amari i resztę starszych.

Monarchię, którą musimy pokonać.

Ból, choć jest nie do zniesienia, zarazem dodaje mi sił. Bałam się tego bólu, ale dzięki niemu czuję, że nadal żyję.

Dzięki niemu wiem, że wciąż mam w sobie wolę walki.

È ɬonná agbára yin.

Moje tatuaże rozbłyskują złotym światłem. Ogrzewają mnie w lodowatej wodzie i wzmacniają we mnie resztkę sił.

Bezgłośny ryk wyrywa mi się z ust, wypełnia wodę tysiącem bąbelków. Nie mam już czego z siebie dać, lecz walczyć dalej.

Choć noga pali mnie żywym ogniem, choć szarpiąc ją, zdieram sobie skórę do samej kości, w końcu z głośnym stęknięciem udaje mi się uwolnić.

Woda stawia opór, lecz ja odbijam się od dna jeziora, podążając za jednym jedynym rozkazem. Tzain. Amari. Roën.

Jeśli zginę, będzie po nich.

Żyj.

Wszystkie mięśnie w moim niedotlenionym ciele opadają z sił, lecz wyobrażam sobie Żniwiarzy i unoszę drżącą dłoń.

Fioletowe światło z rykiem rozcina mrok. Z moich palców wystrzeliwiają wijące się cienie. Chwytają się czegoś w górze i ciągną mnie ku powierzchni.

Wznoszę się, wszystko inne znika. Ból. Ostatnie słowa Mâzelego. Uśmiech Baby. Łańcuch na szyi Mamy.

Wszystkie niezabliźnione rany, które tak długo nosiłam w sercu, zostają na dole.
Wynurzam się z wody i krztuszę się powietrzem.

Żyj.

Chcę żyć.

ROZDZIAŁ 71



INAN

Na widok wiszącego w powietrzu sztyletu opadają mi ręce. Nie wierzę własnym oczom. Ojore przejął nad nim kontrolę.

Opuszcza miecz przeznaczony dla mojej matki i zwraca sztylet ostrzem w moją stronę.

– Jesteś magiem?

Ojore lekko wykrzywia usta.

– Wolę słowo „tytan”.

Jednym kiwnięciem palca wprawia sztylet w ruch. Rzucam się w bok, a ostrze przebija metalową ścianę za moimi plecami. Dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą była moja głowa.

Nie mam nawet jak się podnieść, bo płyty, na których klęczę, zaczynają się przeobrażać. Uplynniony metal otacza mi kostki niczym rtęć. Z podłogi wyrastają pochyłe słupy.

Jeden z nich uderza mnie w brzuch. Drugi trafia w brodę. Jeszcze inny z taką siłą wali w pierś, że przewracam się na plecy.

Ojore przygląda się temu wszystkiemu z kąta. Emocje nim wstrząsają. Jego moc dalece przewyższa zdolności zwykłego Spajacza. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Czuję do siebie wstręt – szepcze. – Gardziłem sobą za to, kim się stałem. Myślałem, że moim problemem jest magia. Tymczasem od początku byłeś nim ty i twoja matka.

Rzucam z pasa kolejnym sztyletem, lecz Ojore rozszczenia go w powietrzu. Ostrze z brzękiem rozpada się na grube igły, które na pstryknięcie jego palców wbijają mi się w udo.

– Nie zasługujesz na tron.

Ból jest tak potężny, że krzyk więźnie mi w gardle. Kawałki metalu przenikają do mojego krwiobiegu. Gdy Ojore zaciska pięść, pancerz odrywa mu się od tułowia, by po chwili przeobrazić się w ząbkowane ostrze na przedłużeniu ręki.

– Po tym, co zrobiłeś, by podzielić Oriszę, nie masz prawa zabiegać o tytuł króla.

Metal, na którym leżę, zmienia kształt i opina mi nadgarstki. Tak skrepowany unoszę się nieco i zawisam przodem do Ojorego.

– Ty i twoja matka. – Kręci głową. – Zatrzuwacie ten kraj.

Stapia mi pancerz i podwija kaftan, by przymierzyć własne ostrze do blizny po mieczu ojca.

– Zamierzam położyć kres tej zarazie...

Atakuję go znienacka i trafiam kolanem w podbródek; rozlega się głośny trzask. Ojore upada na kolano, a moje więzy z metalu rozpływają się i lądują na ziemi. Ojore rzuca się na mnie, lecz w porę wypuszczam z ręki kobaltowy obłok. Moja magia wnika Ojoremu w pierś, na chwilę go paraliżując.

Wlokę się ku drzwiom. Ojore szczyrzy zęby i próbuje się uwolnić. Cały się trzęsie.

– Pomocy! – wołam zachrypłym głosem.

Ojore ryczy jak zwierzę. Zaciska pięść, wyrywając ze ściany metalowe płyty. Arkusze żelaza otaczają mnie i zmieniają się w ostrza.

Oglądam się za siebie i nie poznaję tego potwora o twarzy mojego kuzyna. To my mu to zrobiliśmy. Zatruliśmy go własną nienawiścią.

A teraz przyjdzie nam za to zapłacić. Cokolwiek by zresztą mówić, jego gniew jest słuszny. Ojore ma prawo do zemsty za przelaną przez nas krew. W dodatku nie tylko on. Cała Orisza...

– Inan!

Gwałtowny podmuch wyłamuje drzwi z zawiasów.

Podnoszę wzrok i widzę matkę. Biegnie ku nam z wyciągniętą ręką. Zaraz potem z podłogi wyrasta słup ziemi i przebija Ojoremu brzuch. Żelazne ostrza wokół mnie spadają z łoskotem na metalową podłogę. Ojore wytrzeszcza oczy i pada na twarz w kałużę krwi.

– Prędko! – krzyczy matka. – Wezwać Uzdrowicieli! Musimy się wycofać!

Słyszę dudnienie kroków, ale nie potrafię oderwać wzroku od zastygłej w nienawistnym grymasie twarzy Ojorego.

Nie żyje.

Ojore nie żyje.

Ta myśl sprawia większy ból niż najgorsza rana.

ROZDZIAŁ 72



ZÉLIE

Krztuszę się, ale po trochu nabieram powietrza. Otaczają mnie nieznajome szczyty. W górze świeci bladożółte światło.

Roztrzęsiona wypełzam na kamienisty brzeg i boleśnie wykasuję wodę z płuc.

Oddychaj, mówię sobie. Powietrze jeszcze nigdy nie smakowało tak słodko.

Mam w głowie zamęt, lecz przebija się przezeń jedna myśl: Não była dość daleko od wybuchu, jaskinia zawałiła się dokładnie nad Roënem.

Jeśli przeżył, potrzebuje mojej pomocy!

Choć wciąż się krztuszę, niewiele myśląc, biorę jak najgłębszy wdech. Daję sobie jeszcze jedną sekundę, po czym wskakuję z powrotem do wody.

E tønná agbára yin.

Znaki na mojej skórze rozjaśniają mi drogę swoim światłem. W odmętach jeziora pulsuje tylko jedno życie.

I gaśnie z każdą upływającą sekundą.

Wracam po ciebie!

Tętniący ból rozsadza mi nogę. Każde odepchnięcie barwi wodę szkarłatem. Ale to cierpienie jest darem – jak powietrze w płucach. Przypomina mi, że nie mogę się poddać.

Dostrzegam nieruchome ciało Roëna i ten widok aż mnie ściska za serce. Jest bliski śmierci, ledwie wyczuwam jego energię. Z twarzy zwisa mu pęknięta maska podobna do tych, w których płynęliśmy za błękitnym wielorybem. To dzięki niej ma jeszcze czym oddychać.

Podpływam bliżej i widzę, że ogromny blok skalny przygniótł mu ramię. Staram się zdrową nogą zepchnąć ten głaz, lecz jest zbyt ciężki. Z którejkolwiek strony bym próbowała, ani drgnie. A czasu jest coraz mniej.

Roën wyciąga rękę i ściska mi nadgarstek. Ostatnie pęcherzyki powietrza uciekają z jego ust. Choć nie może mówić, wiem, co usiłuje mi powiedzieć.

Zostaw mnie.

Nie! – krzyczę w duchu. Ile razy wybawiał mnie z opresji? Wyciągał na powierzchnię, kiedy szłam na dno? Nie pozwolę, żeby utonął. Teraz moja kolej, by uratować jego.

Èmí òkú, gba ààyé nínú mi...

Fioletowe cienie kłębią się pod wodą jak atrament. Oczy Roëna wywracają się białkami do góry. Moje cienie napierają na głaz, ale są zbyt słabe. Nie zdążą go uratować.

Nogi Roëna unoszą się bezwładnie. Pozostał mi już tylko jeden sposób.

Z bijącym sercem patrzę, jak moje cienie zmieniają kształt i oplatają mu biceps. Jeden rozciąga się w wodzie, tworząc ząbkowane ostrze. Na ostatnim oddechu posyłam modlitwę do Oi i zamykam oczy.

Potem mój cień odcina mu rękę.

ROZDZIAŁ 73



ZÉLIE

Nie odchodź.

Resztkami sił wzbijam się ku powierzchni z Roënem pod pachą. Jego ręka została pod głazem.

Smugi szkarłatu wypływające z otwartej rany jaśniejają w blasku moich tatuaży. W końcu się wynurzamy. Wolę nie myśleć o tym, jak długo Roën nie miał czym oddychać.

– Zostań ze mną! – krzyczę, uciskając mu pierś.

Jego usta tryskają wodą. Krztusi się.

Wyciągam go na brzeg. Wstrząsa się konwulsyjnie, ale nie pozwolę mu umrzeć.

Nie zamierzam stracić kolejnej osoby, którą kocham.

– Zélie... – udaje mu się wydusić między rwanymi oddechami. Jego szare oczy biegają na wszystkie strony, jakby niczego nie widziały. Chwyta mnie jedyną ocalałą ręką. Chyba jeszcze do niego nie dotarło. – Moja ręka – mówi. – Moja...

– Zostań ze mną. – Uciskam ranę, ale ciepła krew przecieka mi przez palce. Rozkołatane serce Roëna pompuje ją w podwojonym tempie.

Słabnę, mój krępulec z cieni powoli znika. Oczy Roëna wreszcie zatrzymują się na księżycu. Rozchylone usta z trudem nabierają tchu.

– Moja matka... – wykrztusza. – Śpiewała...

– Co śpiewała? – Wciąż uciskając mu ranę, drugą ręką zrywam z niego pasek, po czym zawiązuję go mocno nad krwawiącym kikutem. – Roën, co śpiewała twoja matka? – krzyczę.

Matowym, chrypiącym głosem zaczyna nucić obcą melodię, z każdą sekundą coraz głośniej.

– Ha-mmm... ha-mmm...

Choć głos mu się łamie jak pisklęciu, słyszę w tej melodii ciepło jego domu.

– Nie przestawaj. – Powstrzymując łzy, wsuwam w węzeł podłużny kamień. – Proszę cię, Roën. To piękne.

– Ha-mmm... ha-mmm...

Obracam kamień, używając go jako dźwigni. Skórzany pasek napręża się i skrzypi, jakby miał pęknąć, ale krwawienie ustaje.

– Śpiewała... – Jego spojrzenie jest coraz bardziej nieprzytomne. – Kiedy padał deszcz... Zawsze padał deszcz...

– Halo! – Uderzam go lekko w twarz. – Mów dalej. Co śpiewała?

Roën otwiera usta, lecz nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Jego różowe wargi sinieją w oczach. Choć krwawienie ustało, robi się coraz bledszy.

To nie wystarczy.

– Roën, błagam! – Tulę jego głowę. Jest zimna. Serce chce mi wyskoczyć z piersi. Moje łzy skapują mu na twarz. – Mów dalej. Co śpiewała?

– Piorun... – udaje mu się wyszeptać z najwyższym trudem.

Nie wiem, skąd znajduję w sobie siłę, by powtórzyć zanuconą przez niego melodię.

– Ha-mmm...

Roën unosi roztrzęsioną rękę i chwyta mnie za dłoń.

– Nie odchodź. – Przerywam na chwilę nucenie i głaszczę go po włosach. – Będę ci śpiewać tak długo, jak zechcesz, ale zostań tu ze mną.

Kiwa głową, lecz oddech ma płytki, urywany, na szyi pęcznieją mu żyły. To walka o życie.

– Roën, błagam. – Przenoszę zakrwawioną dłoń z jego włosów na policzek. Widzę, jak pod skórą gaśnie w nim energia, ucieka jak piasek w klepsydrze.

– Zītsōl – wypowiada ostatnim tchem. Resztką sił zaciska palce na mojej dłoni. – Dom. – Potem ręka mu wiotczeje.

W pierwszej sekundzie nie rozumiem. Dopiero po chwili doznaję olśnienia i zastygam jak posąg.

Dom...

Oto co znaczyło to słowo.

– Roën! – krzyczę, ale już się nie rusza. Pierś mu się nie unosi. Oczy nie chcą się otworzyć. – Roën! – Mój krzyk odbija się echem. – Roën, proszę cię... – szepczę mu we włosy.

Ale już go tu nie ma.

Odszedł.

Żal wrywa mi dziurę w sercu. Chwytam się za nie skrwawionymi dłońmi. Choć jest czym oddychać, nie mogę zaczerpnąć tchu. Dopiero gdy moje tatuaże zaczynają niemrawo migotać, zauważam w sercu Roëna tłące się światełko, mniejsze od ziarnka.

Mniejsze od łzy.

Widząc, że gaśnie, przypominam sobie moją *isipayá* i złotą wstęgę życia splecioną z fioletową. Myślałam, że Oja próbuje mi w ten sposób przekazać wiedzę o cênterach i źródle ich magii. A jeśli to ja byłam tym fioletowym światłem?

Jeśli tym złotym był Roën?

– Oju, błagam. – Tatuaże na mojej skórze znów budzą się do życia. Po raz pierwszy jednak nie świecą złoto, lecz fioletowo, kolorem Żniwiarzy.

Migoczące ziarnko stanowi jedyną oznakę życia w ciele Roëna, lecz tyle mi wystarczy. Nie wszystko jeszcze stracone.

È tønná agbára yin.

Cząstki fioletowego światła materializują się na wysokości mojej piersi. Niczym cienie śmierci łączą się i splatają w urywaną nić.

Choć sama jestem ledwie żywa, daję z siebie wszystko. Nić wnika jak skalpel w ciało Roëna, które unosi się nad kamieniami. Kiedy dociera do jego serca, czuję to w swoim własnym.

– È tønná agbára yin – recytuję przez zaciśnięte zęby. – È tønná agbára yin!

Wkładam w tę nić ostatek sił. Świat rozmazuje mi się przed oczyma, blask kamienia księżycowego przygasa.

Roën opada z powrotem na ziemię, a ja osuwam się na niego i przyciskam ucho do jego piersi. Ogarnia mnie ciemność.

Oju, proszę...

Najpierw przestaję widzieć. Potem tracę czucie. Wszystko cichnie, ale w ostatniej chwili słyszę ten odgłos. Łagodny jak szum fal oceanu.

Odgłos delikatnie bijącego serca.

Serca, które połączyło się z moim.

ROZDZIAŁ 74



AMARI

Po raz pierwszy od śmierci ojca żałuję, że go już nie ma. Że nie siedzi, skuty łańcuchami, gdzieś w pałacowych lochach. Że nie mogę z nim porozmawiać.

Sam głos w mojej głowie to za mało. Nad wejściem do jaskini wstaje słońce. Potrzebuję kogoś, kto rozwieje moje wątpliwości. Wskaże mi drogę.

– Musimy ruszyć ich śladem! – Głos Tzaina wrywa mnie z zamyślenia. Niepokój dodatkowo wyostrza mu surowe rysy twarzy.

W ostatnich godzinach powtarzał to wielokrotnie, ale tym razem to już nie jest prośba. Tym razem przemawia tonem rozkazu.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków! – rzucam poirytowana.

Jeszcze tego mi brakuje, żeby Tzain stracił głowę. Wystarczy, że sama zaczynam panikować.

Co mam zrobić?

Co mogę zrobić?

Co powinnam zrobić?

Z każdą sekundą zwycięstwo wymyka nam się z rąk. Przyszłość Oriszy idzie z dymem. Musimy rozprawić się z Inanem i matką, dopóki są tutaj, z dala od reszty wojsk. Jeśli nam się to nie uda, nie wygramy tej wojny.

Nigdy jej nie pokonasz. Nie jesteś w stanie. Dla matki żadna cena nie jest zbyt wysoka.

Inan ma rację. Jeśli chcę wygrać, muszę grać tak jak oni. Ale czy na pewno jestem do tego zdolna? Czy można mówić o zbyt wysokiej cenie, gdy stawką jest koniec tego szaleństwa?

Myślę o wieśniakach, których w swojej wizji pokazał nam Dakari; o dzieciach bawiących się nad jeziorem, o dorosłych czerpiących wodę ze studni. Myślę o tym, co by to znaczyło, gdybyśmy naprawdę starli Inana i matkę z powierzchni ziemi.

Myślę o tym, że Zélie może gdzieś tam być, żywa.

Co by to był za świat, gdybym mogła ją poświęcić po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła? Mimo tego, co dla mnie znaczy? Ją i Tzaina kocham najbardziej ze wszystkich ludzi.

Kim będę, jeśli poświęcę tę miłość dla zwycięstwa w wojnie?

– Patrzcie!

Podrywam głowę i widzę, że Kâmarū biegnie w głąb tunelu. Chwilę później Chani krzyczy z radości. Z dziury w skale wyłania się Nâo na grzbiecie fali.

Posiniaczona i umazana krwią staje przed nami i osuwa się na ziemię. Gdy dociera do mnie, że jest sama, czuję skurcz w żołądku.

– Co się stało? – Tzain jest przy niej pierwszy. – Gdzie moja siostra?

– Nie wiem – odpowiada Nâo, kaszląc. – Coś wybuchło...

Tzain nie czeka na dalszy ciąg, tylko rzuca się biegiem w stronę wyjścia z jaskini.

– Tzain, nie! – wołam za nim. Nie może się teraz udać do wioski. Nie wie, co się wkrótce wydarzy. – Tzain! – krzyczę, ale na próżno.

Gna przed siebie jak opętany, a inni starsi ruszają za nim. Mogę go zatrzymać tylko w jeden sposób.

– Ya èmí, ya ara!

Serce mi się kraje, bo używam magii przeciwko chłopakowi, którego kocham. Trafiony kobaltową błyskawicą w plecy Tzain stęka i pada jak długi na podłogę jaskini. Nogi ma całkiem sztywne. Nigdy mi tego nie wybaczy.

I ja sobie też nie.

– Co ty wyprawiasz!?! – krzyczy.

Moja determinacja zaczyna topnieć.

– Nie wolno ci tam iść. – Zaciskam pięść. – Nikomu z was.

Tzain groźnie szczyrzy zęby, lecz po chwili wściekły grymas ustępuje miejsca wyrazowi zrozumienia.

– Coś ty zrobiła, Amari? – szepcze. – Coś ty najlepszego zrobiła?

W jednej chwili zalewa mnie lawina pytań. Kâmarū spostrzega zniknięcie Jahiego. Chani wykrzykuje imię siostry.

Matka by się nie zatrzymała.

Zakrywam uszy. Matka dla wygranej poświęciłaby dowolną osobę. Jak mam zakończyć tę wojnę, jeśli nie zdobędę się na to samo?

– Amari...

– Zamknijcie się wszyscy! – wołam. Słońce wschodzi coraz wyżej. Zanurzam palce we włosach.

Atakuj, Amari. Twarz ojca znów staje mi przed oczyma. Nie potrzebuję go żywego; i tak wiem, co by mi powiedział. Nieważne, czy dla niego ten wybór byłby ostatecznością. Jednego jestem pewna: poświęciłby nawet najbliższych.

Będę dużo lepszą królową.

To były ostatnie moje słowa do niego. Jeśli wykonam swój plan, zaprzeczę im.

Ale jeśli tego nie zrobię, stracę jedyną szansę na uratowanie Oriszy.

Gdy słońce wyjrzy zza horyzontu, w Ibadanie nastąpi zmiana warty. Zostały nam już tylko sekundy.

Lada chwila nas wykryją.

– Przepraszam – szepczę do wiatru, po czym unoszę róg do ust.

Ze łzami w oczach nadaję sygnał.

ROZDZIAŁ 75



ZÉLIE

Nie wiem, czy można być bardziej wyczerpaną niż ja w tej chwili.

Całe ciało ciąży mi ołowiem.

Z każdym krokiem ocieram się o śmierć.

Wlokę się naprzód, trzymając mocno w pasie nieprzytomnego Roëna, z jego ręką przewieszoną przez szyję.

– Już blisko – szepczę do niego i do siebie samej.

Nie wiem, jak długo leżeliśmy nad brzegiem jeziora, lecz kiedy otworzyłam oczy, w górze wciąż świecił księżyc. Po wędrówce zimnym skalistym szlakiem spostrzegłam swoją dawną wioskę, błyszczącą wśród nocy niczym samotna gwiazda. Stożkowate chaty, od których dzieli mnie już tylko kilometr, układają się w osobne pasmo szczytów ponad jeziorami, w których tyle razy bawiliśmy się z Tzainem.

Myślałam, że powrót w rodzinne strony po latach przysporzy mi tylko dodatkowego cierpienia. Że będę miała przed oczami nocny koszmar Obławy. Lecz w górach przypominam sobie wieczory, kiedy leżeliśmy z Babą przed ahéré i liczyliśmy gwiazdy. Przypominam sobie, jak w pełni Księżyca mama i Żniwarze z wierzchołków najwyższych gór recytowali zaklęcia oczyszczające wioskę z duchów.

Czuję to wszystko, co wydawało mi się na zawsze utracone. Czuję miłość rodziców.

Mimo całego bólu to dla mnie kolejny powód, aby wytrwać.

I dlatego, choć trzęsą mi się nogi, prę do przodu. Goleń mam owiniętą strzępem tkaniny; tylko w ten sposób jestem w stanie zatamować krwawienie. Ledwie dźwigam własny ciężar, nie mówiąc już o Roënie. Wciąż oddycha płytko, ale jego serce bije w takt mojego. Choć utrzymywanie go przy życiu wiele mnie kosztuje, nasze połączenie jest dla mnie źródłem siły.

Nie wiem, ile zostało nam czasu, zanim ta więź strawi nas do reszty, ale wola życia płonie we mnie jaśniej niż kiedykolwiek.

Nie chcę uciekać. Nie zależy mi jedynie na przetrwaniu. Chcę walczyć.

Chcę żyć pełną...

A-uuuuuuuuuuuuuuuu!

Dźwięk rogu. Serce na sekundę zamiera mi w piersi. Lada moment spodziewam się tytanów Nehandy. Ale ten róg nie brzmi jak te, których używali do tej pory. Choć jednocześnie wydaje mi się dziwnie znajomy...

Przypomina... nasz sygnał.

Kładę Roëna na ziemi. Wiatr zmienia kierunek, powietrze wypełnia się trzepotem skrzydeł. Zewsząd nadlatują czarnopióre jastrzębie i zasnuwają niebo jak burzowe chmury. Róg odzywa się ponownie.

Chwytam się najbliższej skalnej półki i podciągam do góry wśród ptasich skrzeków i pisków. Ale jastrzębie nie lecą w naszą stronę – one przed czymś uciekają.

Nie wiem, co mnie czeka za krawędzią urwiska, lecz gdy w końcu do niej docieram, ręce mi wiotczeją. W górze wirują potężne wichry. Nabierają prędkości i łączą się ze sobą, tworząc coś na kształt kopuły uformowanej z pędzącego powietrza.

– Co to jest, na bogów?

Kopuła opada na ziemię, zamykając pod sobą cały Ibadan.

Ze wszystkimi jego mieszkańcami...

Amari, co to jest? Mrużąc oczy, wypatruję błysku naszych kolorowych zbroi. Wszystko staje się jasne, gdy uzmysławiam sobie prawdziwy cel tego ataku. Gdy dostrzegam w oddali kłęby rdzawego dymu.

Gaz Kancerów wzbija się pod niebo na wysokość kilometra i tworzy wewnątrz kopuły ścianę, która lada chwila runie na moją bezbronną wioskę.

– Amari, nie rób tego... – szepczę z daleka.

Chmura gazu przez jakiś czas wisi u granic Ibadanu, gęstniejąc i rosnąc z sekundy na sekundę. Lecz gdy znów rozlega się róg, rusza do przodu.

Śmiercionośny gaz rozpoczyna swój upiorny pochód.

– Nie! – krzyczę.

Chmura przesuwa się jak fala, zagarniając wszystko na swej drodze. Jastrzębie z jazgotem próbują uciekać, ale wpadają na ścianę wirującego powietrza, które

odrzuca je w innym kierunku. Jeden z ptaków składa skrzydła i daje nura prosto w chmurę.

Ledwie dotyka gazu, natychmiast się kurczy i spada.

– Uciekajcie! – wrzeszczę na całe gardło.

W oddali kilku wieśniaków wychodzi ze swoich domów i w zdumieniu przygląda się rudawym kłębowom.

Próbuję zejść z powrotem na dół, ale szybko tracę równowagę i uderzam o ziemię. Na własnych nogach nie dotrę do wioski na czas. Muszę użyć magii. Muszę polecieć jak Mâzeli.

– Èmí òkú, gba ààyé nínú mi...

Obejmuję Roëna. Z moich bioder wysnuwają się cztery cienie śmierci. Pchając je do przodu, przypominam sobie, jak Mâzeli leciał przez dżunglę.

Cienie z trzaskiem wgryzają się w górskie skały. Mam tylko chwilę, zanim moje ciało, wystrzelone jak z procy, wzbija się w powietrze.

Ściskam Roëna i zacynam zęby, a świat przemyka obok nas. Góry rozmazują się na tle bladopomarańczowej ściany dymu. Robię, co mogę, by go nie wdychać. Cienie co rusz wyrzucają mnie dalej, ziemia i niebo zamieniają się miejscami. Zanim się orientuję, zaczynam opadać. Choć moja magia słabnie, ponawiam zaklęcie.

– Jáde nínú àwon òjìjì re. Yí padà láti owó mi.

Ściana gazu rośnie na moich oczach. Skaczę na cieniach przez górskie przełęcz, środek Ibadanu jest coraz bliżej. To ostatnie miejsce, do którego dotrze trucizna. Lądując tam, zyskamy trochę czasu, ale gdzie się ukryjemy? Gdyby była z nami Nâo, moglibyśmy wskoczyć do jeziora i pod wodą zaczekać, aż gaz się rozwieje...

Studnia!

Biorę kurs na granitową cembrowinę. Chodziłam tam z Babą każdego ranka. Właściwie to zanosił mnie na barana.

Patrzę, jak mieszkańcy osady wysypują się na ulice, i nie mam wątpliwości, że to nasza jedyna szansa. Musimy dotrzeć do środka, zabarykadować się i modlić do bogów.

– Studnia! – krzyczę, gdy ostatni cień opuszcza mnie na ziemię. – Wszyscy do studni!

Mieszkańcy hurmem ruszają w tamtym kierunku i wykonują moje polecenie. Gdy kładę Roëna na brzegu studni, ludzie, którzy są już w środku, odbierają go ode mnie.

– Prędeż! – Poganiam rękoma wieśniaków, którzy jeszcze się nie schronili.

Honor bierze górę nad histerią: ludzie puszczają przodem swoich bliskich i dzieci. Ściana gazu wiruje jak huragan, bezkresna pomarańczowa chmura napiera ze wszystkich stron.

Nie starczy nam czasu.

Choćbym nie wiem co zrobiła, wszyscy nie zdążą.

– Czekajcie!

Rozpaczliwy krzyk wzbija się nad inne. Spoglądam przez ramię i widzę kobietę; ze łzami w oczach wyciąga przed siebie niemowlę. Chce je ocalić.

Gaz jest tuż, tuż. Kiedy sięga jej karku, z ust kobiety najpierw dobywa się krzyk, a zaraz potem tryska krew. Skóra na niej usycha i czernieje.

Już wie, że nie ma szans, dostrzegam to w jej oczach. Wypuszcza dziecko z rąk.

– Èmí òkú, gba ààyé nínú mi...

Nigdy jeszcze nie widziałam, by duch zmienił postać w tak krótkim czasie. Ciało matki nie zdążyło jeszcze upaść na ziemię, a już dusza za sprawą zaklęcia krąży we mnie, dając mi nowe cienie, nowe ręce. Chwytam nimi dziecko w powietrzu.

Przygarniam je do piersi, a cienie się cofają.

Duchy zmieniają postać i szczelnie zakrywają otwór studni.

ROZDZIAŁ 76



AMARI

Pamiętam poranek po Obławie, jakby to było wczoraj.

Można by sądzić, że słońce nie wszędzie albo księżyc zgaśnie, lecz wszystko było tak jak zawsze.

Miałam sześć lat. Zbudziłam się nagle i zaczęłam szukać wzrokiem plisowanego czepka Binta. Śniły mi się przygody na morzach. Musiałam jej wszystko opowiedzieć.

Binta, gdzie jesteś? Mój głos odbijał się od złotych ozdób i pastelowych różów komnaty. A gdy otworzyły się drzwi, do środka weszła nie Binta, lecz inna służąca, wysoka kosidanka o cienkich ustach i ostrym podbródku.

Zaciskałam pięści, kiedy boleśnie szorowała mi plecy. Gdy za mocno ściągała mi włosy. Ilekroć ośmieliłam się zapytać, co się stało z Bintą, szczypała mnie w ramię. Wymknęłam się przy pierwszej okazji.

Ojcze! – wołałam, biegnąc po marmurowych posadzkach.

Myślałam, że służąca krzyczy za mną ze wściekłości. Teraz wiem, że mogła krzyczeć ze strachu.

Przez dębowe drzwi wpadłam do sali tronowej gotowa wygłosić skargę. Ale ojciec siedział nieruchomo.

Jakby zmienił się w posąg.

Ojcze? – rzekłam, wycofując się na korytarz.

Zawsze oglądał wschód słońca nad Lagos, lecz tamtego dnia powietrze wokół niego jakby wstrzymało oddech.

Zrozumiałam, że coś się jednak zmieniło. I że nic już nie będzie takie samo.

Później nieskończenie wiele razy zastanawiałam się, co wtedy czuł.

A teraz sama to czuję.

– Nie!

Spętany siłą mojej woli Tzain miota się jak dziki zwierz. Nie mogę na to patrzeć. Z oczu lecą mu łzy, z nosa smarki.

– Jak mogłaś! – Jego krzyki rozdzierają ciszę niczym brzęk tłuczonego szkła. – Jak mogłaś?

Toksyczne chmury Kancerów zaczynają się unosić. Powietrza w górach Ibadanu nie porusza najmniejszy powiew.

Czuję dziwne ściskanie w dołku, ale staram się o tym nie myśleć. Wygrałam wojnę.

Tylko jakim kosztem?

Atakuj, Amari.

Stoję nieruchomo, ale wszystko wokół zaczyna się kręcić. Nie ma już dla mnie drogi powrotu. Tzain i starsi nie wybaczą mi tego ataku.

Jednak nie mogę pozwolić, by ten ciężar mnie złamał. Mamy zwycięstwo, o które walczyliśmy.

Pozostało mi je ogłosić.

– Chodźmy. – Ruszam do swojego gepardona i wspinam się na skórzane siodło.

Oto chwila, o której usłyszcy cały kraj. Początek nowej karty w dziejach Oriszy. Na tych popiołach wyrośnie nowe królestwo. Królestwo warte krwawej ofiary.

Lecz inni starsi stoją w miejscu. Nie mogą się otrząsnąć z szoku. Ten szok to luksus, na który ja nie mogę sobie pozwolić.

Z czasem zrozumieją.

Teraz muszę czym prędzej ogłosić koniec tej niekończącej się wojny.

Smagam gepardona cugłami i ruszam przed siebie, by nie widzieli, że się łamię. Nie mogę dłużej słuchać łkań Tzaina. Jego szloch rozdziera mi serce.

Ręce mi się trzęsą, tracę nad nimi kontrolę. Nie mogę uwierzyć, że uśmierciłam tylu ludzi.

Inana. Matkę.

Żołnierzy. Wieśniaków.

Zélie...

Nie.

Odpycham od siebie ten niemożliwy do udźwignięcia ciężar. Skoro Zélie nie wróciła z Nâo, to znaczy, że już nie żyła. Zginęła w wybuchach. Zabiła ją monarchia.

Swoją ofiarą Zélie pozwoliła nam zwyciężyć.

Oto historia, którą będziemy opowiadać.

Lecz gdy zbliżam się do Ibadanu, historie przestają mi wystarczać. Z daleka widzę na ulicach poczerwiałe zwłoki. Wszystko to moja wina.

Oczami wyobraźni widzę wśród zabitych Inana i matkę.

Widzę swoją najlepszą przyjaciółkę.

Atakuj, Amari.

Łzy napływają mi do oczu. Mimo że oddycham świeżym powietrzem, czuję dławienie w piersi. Jakby grzebano mnie żywcem.

– Orisza na nikogo nie czeka – szepczę. – Orisza na nikogo nie czeka.

Chwytając się kurczowo tych słów, przekraczam bramę Ibadanu.

ROZDZIAŁ 77



ZÉLIE

Otwieram oczy i nie wiem, gdzie jestem. Otacza mnie ciemność, tylko w górze widać jaśniejący krąg.

Ktoś obwiązuje mnie szorstkim sznurem i zaczynam się unosić w stronę światła. Niemowlę wtulone w moją szyję wciąż płacze.

– Połóżcie ją na ziemi – rozlega się zachrypnięty głos.

Czyjeś mocne dłonie chwytają mnie za ręce i przeciągają przez brzeg cembrowiny. Zasłaniam oczy, ktoś odbiera ode mnie dziecko, ktoś inny odwija mi przesiąknięty krwią bandaż.

– Pozwól.

Spod zmrużonych powiek patrzę na klęczącą obok starszą kobietę, która zdejmuje z siwej głowy biały zawój i owija nim moją ranną nogę.

– Uratowałaś nas. Nie wiem, jak ci dziękować.

Zamykam oczy i staram się zebrać myśli pomimo bólu. Głowa mi pęka, nie czuję nóg. Pomału jednak zaczynam sobie wszystko przypominać. Studnię, która posłużyła nam za schron. Cienie, z których skorzystałam, zanim zrobiło mi się czarno przed oczyma.

– Roën. – Łapię się za pierś. Słyszę, że jego serce wciąż bije razem z moim, ale słabnie z każdą chwilą.

– Jest opatrywany. Nasi medycy robią, co mogą. – Kobieta wskazuje na stożkową ahéré za studnią.

Kamienne drzwi są otwarte na oścież, w środku widać wioskowych Uzdrowicieli oraz kosidan stłoczonych wokół rannego.

– Muszę tam pójść. – Odsuwam ją od siebie i próbuję wstać.

Czuję w sobie życie Roëna, lecz niepokoi mnie jego słaby puls. Znow robi mi się ciężko na sercu, jak przed śmiercią Mâzelego.

Nie wiem, jak długo zdołam utrzymać połączenie. I czy jego umierające ciało nie zabije nas obojga.

– Zélie, błagam. – Kobieta wmusza we mnie kubek świeżej wody. – Jesteś uparta jak twoja matka – dodaje z westchnieniem.

– Znałaś Dzumoke?

Kiwa głową.

– Nigdy wcześniej ani później nie poznałam drugiej takiej Żniwiarki. Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam w pierwszej chwili, że ona zmartwychwstała. – Siada na piętach i rozgląda się wokoło. – A już miałam nadzieję, że wojna nas ominie.

Za jej plecami dostrzegam pierwsze martwe ciało. Mężczyzna. Krew na ustach i nosie. Żółte białka oczu. Ciemna skóra poczerniała i wyschnięta od gazu Kancerów. Obok w piachu leży jego czerwona czapka.

Wyciągnięta ze studni młoda dziewczyna ląduje obok cembrowiny i natychmiast zrywa się na równe nogi. Biegnie, potykając się, z oczyma szklanymi od łez.

– Baba!

Uszy krwawią mi od jej krzyku. Pada na skurczone ciało mężczyzny, szarpie jego krwawe ubranie. Gdy inna wieśniaczka zaczyna ją odciągać, odwracam wzrok. Nie mogę na to patrzeć. Jej krzyki brzmią zbyt znajomo.

Jak moje własne tuż po Obławie.

Dlaczego? Chowam twarz w dłoniach, usiłując zrozumieć. Co się stało z naszym planem? Dlaczego Amari zdecydowała się na ten atak?

Choć ze studni wyłaniają się coraz to nowsi ocaleni, gdziekolwiek spojrzę, widzę tych, których nie zdołałam uratować. Młodą matkę, która ocaliła swoje niemowlę. Ibawitkę, której zabrakło sił w nogach.

– Nie...

Obracam się i widzę nadchodzącą Amari. Staje na skraju placu, chwyta się za serce i pada na kolana. W pierwszej chwili myślę, że to na widok tylu zabitych, gdy jednak podążam za jej wzrokiem, spostrzegam wielki napis wymalowany na jednej z gór nad jeziorem.

Czerwona farba, ściekająca niczym krew, odcina się wyraźnie od jasnego kamienia. Budzi grozę na twarzach pozostałych starszych, którzy nadchodzą od północy.

MAMY WASZĄ ARMIEJ.

PODDAJCIE SIĘ ALBO WSZYSCY ZGINĄ

Te słowa są jak nóż prosto w serce. Nagle dociera do mnie, o co naprawdę chodziło monarchii. Ofiara z tych ludzi była daremna. Chybiliśmy celu.

Monarchia nas przechytrzyła.

Przegraliśmy wojnę.

ROZDZIAŁ 78



INAN

Z początku nic nie widzę, czuję tylko bujanie. Powoli otwieram oczy i napotykam deski. Słyszę jednostajne skrzypienie i tętent ciężkich łap. Moje ciało zdaje się płonąć. Stopniowo przypominam sobie wszystko, co się wydarzyło.

– Ojore...

Wspomnienie jego nienawiści przeszywa mnie na wskroś. Wszystko działo się tak szybko... Jakby nie wydarzyło się wcale.

Stał z ostrzami przy mojej szyi, a chwilę później...

Nie wiedziałem, że matka posiada taką moc.

– Och, niebu dzięki. – Matka podnosi się ze swojego miejsca na przodzie. Odkłada pergaminy i podchodzi do mojego łóżka. Dziwnie wygląda z plamami krwi na twarzy. Kładzie mi dłoń na czole. – Jak się czujesz?

– Co się stało? – pytam chrypiącym głosem. Próbuję usiąść, ale ból jest obezwładniający.

Matka sięga do swojego zbioru szklanych fiolek i podaje mi do ust środek uśmierzający.

– Już dobrze, Inanie. – Głaszcze mnie po spoconych włosach. – Teraz możesz odpocząć. Udało się nam.

Jej słowa szarpia mi serce – a raczej to, co z niego zostało.

– Schwytałismy rebeliantów?

Matka kiwa głową.

– Twój plan się powiódł. Glisty spod Lagos stawily nam opór, ale bez przywódców nie miały szans w starciu z moimi tytanami. Wzięliśmy je wszystkie żywcem.

Szukam w sobie uczucia triumfu, przyjemnego ciepła, które rozlewa się po ciele. To koniec. Już po wszystkim. Wygraliśmy wojnę.

Ale zamiast się cieszyć, chwytam się za brzuch, a do oczu napływają mi łzy.

– Ojore...

Nieba, był moim najstarszym przyjacielem.

– Nie oplakuj go. – Matka ściska mi dłoń. – Nie pozwól, żeby ten zdrajca zamącił ci w głowie. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiliśmy, mógłby wykazać odrobinę opanowania...

– Opanowania? – Zabieram rękę i podrywam się z łóżka mimo rozdzierającego bólu. – Wymordowałaś mu rodzinę. Jego też zabiłaś!

Matka mruży oczy, chłód wyostrza jej rysy.

– Zaatakował króla. Głupiec zabił się sam.

Jej słowa są jak kolejny cios mieczem. Aż dziw, że nie czuję krwi. Nie zliczę, ile razy Ojore ratował mi życie. Dziś to on potrzebował mnie.

A ja go zawiodłem.

Pozwoliłem, by matka go zabiła, żeby nie stracić tronu.

– On miał rację – szepczę. – Jesteśmy trucizną.

– Jesteśmy władcami, Inanie. Jesteśmy zwycięzcami. – Wypowiada te słowa z wielkim przekonaniem.

Gardzę sobą za to, jak bardzo pragnę jej uwierzyć. Uwolnić się od skrupułów. Od uczucia pustki w sercu.

– Zrobiłeś, co do ciebie należało. Byłeś silny i wytrwałeś do końca. Wygrałeś wojnę, a teraz możesz być wielkodusznym władcą. Zaprowadzić upragniony pokój.

Uśmiecha się i dopiero w tej chwili, patrząc jej w oczy, dostrzegam prawdę o sobie.

Chciałem być królem, jakim nie potrafił być mój ojciec.

A tymczasem dokończyłem jego dzieło.

ROZDZIAŁ 79



AMARI

Odpycham od siebie straszną prawdę.

Z niedowierzaniem wodzę wzrokiem po szerniałych trupach i po słowach wymalowanych na skalnym zboczu.

Bez trudu znajdujemy miejsce, w którym Inan z matką wymyślili swój plan. Wykopany przez nią tunel, którym wydostali się z wioski. Zwabili tu najsilniejszych spośród naszych wojowników, a ci, którzy najbardziej potrzebowali wsparcia, zostali bez ochrony.

Kilka kroków za mną magowie skupieni wokół Dakariego wpatrują się w migoczący prostokąt pomiędzy jego dłońmi. Blisko setka naszych magów i ibawitów siedzi spętana łańcuchami w podziemiach pałacu.

Atakuj, Amari.

Słowa ojca mają w sobie teraz coś z okrutnej drwiny. Jeszcze raz spoglądam na ciała zabitych. Mieli zginąć za Oriszę, a umarli bezsensowną śmiercią, która zda się na nic.

Czy się poddamy, czy nie, nasi żołnierze są w rękach Inana. To koniec.

Przeze mnie przegraliśmy wojnę.

– Zél?

Podnoszę oczy. Tzain, jedyny ruchomy punkt na placu wśród dziesiątek zwłok, cały w kurzu po upadku, rusza biegiem w stronę siostry. Wyraz ulgi na jego twarzy rozdziera mi serce. Gdyby nie odwaga Zélie, zabiłabym jeszcze więcej ludzi.

Włącznie z nią samą.

– Myślałem, że nie żyjesz! – woła wzruszony i porywa siostrę w ramiona. Cały się trzęsie, płacze jej w rękaw i ściska tak mocno, że musi ją boleć.

Zélie zamyka oczy i przytula go z całej siły. Po chwili unosi powieki – i wbija wzrok prosto we mnie.

Serce zamiera mi w piersi. Zélie odpycha Tzaina i rusza, kuśtykając, w moim kierunku.

– Myślałam, że zginęłaś – mówię, robiąc krok do tyłu. – Kiedy Não wróciła sama, uznałam, że oboje...

Zélie rozchyła palce i wystrzelają z nich mroczne cienie. Oplatają mnie całą i zaciskają mi się na gardle.

Upadam, a Zélie rzuca się na mnie, lecz nagle błyska białkami i przewraca się na ziemię, a cienie znikają.

– Zélie! – Tzain podbiega.

Ciałem jego siostry targają gwałtowne spazmy. Powieki jej trzepoczą, tatuaże mrugają.

– Zanieście ją do ahéré! – woła jeden z wioskowych tytanów.

Cofając się, patrzę, jak Kâmarū podnosi rozedrganą Zélie i biegnie z nią do stożkowej chaty.

– A ją pod klucz! – dobiega mnie głos Na'imy.

Tzain zwalnia kroku. Nasze spojrzenia się krzyżują. Chwilę później Kenjon stawia mnie na nogi. Gdy zaczyna krępować mi ręce metalową obejmą, mam odruch wołania o pomoc, lecz wiem, że straciłam do tego prawo.

Tzain przenosi wzrok ze mnie na swoją rodzinną wioskę. Na ciała ludzi zabitych z mojego rozkazu.

– Przepraszam – szepczę w jego stronę, lecz tylko wstrząsa się na moje słowa.

Patrząc na niego, widzę, co straciłam. Ciepło, którego już nigdy nie zaznam.

A gdy się odwraca i odchodzi, czuję się tak, jakby wbito mi nóż prosto w serce.

ROZDZIAŁ 80



ZÉLIE

– Nie rozumiem.

– Jest wycieńczona...

– Potrzebujemy więcej krwi...

Głosy są przytłumione, jakbym słuchała ich pod wodą. Świat rozpadł się na kawałki. Raz leżę na ziemi, innym razem czuję wiatr na plecach.

– Co się dzieje? – Moje pole widzenia wypełnia twarz Tzaina, który z pomocą Kâmarū kładzie mnie na kamiennym blacie.

– Nie wiem. – Chani przykłada mi ręce do klatki piersiowej. – Jej ciało słabnie.

– Roën! – Z trudem wypowiadam na głos jego imię.

Leży na drugim końcu chaty i razem ze mną wije się w konwulsjach. Połączyłam nasze siły życiowe za pomocą kamienia księżycowego. Dzięki temu przedostałam się przez góry. Ale bez ofiary z krwi, która wzmocni naszą więź, oboje zginiemy.

Tzain szybko się domyśla, o co chodzi.

– Odłącz się. Zrób to, zanim będzie za późno!

Przenikliwy ból rozsadza mi żebra. *Nie mogę!* – próbuję wykrztusić.

Mam za mało mocy, aby zerwać połączenie. Zresztą gdybym to zrobiła, co by się stało z Roënem? Wystarczy, że straciłam już Mâzelego.

Nie mogę się poddać.

– On umiera! – Uzdrowiciele przenoszą Roëna i kładą go przy mnie.

Czas nam ucieka. Moje serce umrze razem z jego sercem.

Wiem jednak, co muszę zrobić. Oja mi pokazała w czasie mojej *isípayá*.

Jeśli tamtymi pierwszymi wstęgami światła byliśmy Roën i ja, to znaczy, że kolejne mam na wyciągnięcie ręki. Aby zyskać więcej czasu, musimy połączyć nasze siły życiowe z innymi.

Oto szansa na przetrwanie.

Chwytam się nadgarstka Tzaina. Czyta w moich oczach i zaciska wargi.

– Co jest? – Chani spogląda to na mnie, to na niego.

Tzain kładzie swoją dłoń na mojej.

– Zélie musi się połączyć z innym sercem – mówi. – To jedyna szansa, by uratować ich oboje.

– Nie! – woła Chani. – To zbyt niebezpieczne. Wszyscy troje mogą zginąć.

– W takim razie użyj też mnie. – Kâmarū wyciąga rękę. – We czwórkę sobie poradzimy.

– Torí ife. Babalúayé. – Chani łapie się za skronie i przeklina pod nosem. Potem wyciąga dłoń. – Lepiej się pospieszcie, na bogów!

Wszyscy zbierają się wokół mnie i kładą swoje dłonie na moich. Zaczynam słyszeć bicie kilku serc, mam przed oczami ich energię. Widzę szmaragdowy blask aszê Kâmarū. Pomarańczowe światło magii Chani. Nawet siła życiowa Tzaina jarzy się biało w jego żyłach.

– È tónná agbára yin – wymawiam jednym tchem święty rozkaz, a moje tatuaże rozbłyskują fioletowym światłem.

Tętna Tzaina, Kâmarū i Chani dudnią mi w skroniach. Jesteśmy jak pięć bębnów próbujących znaleźć wspólny rytm.

Tzain stęka i wypycha pierś do góry. Jego stopy odrywają się od ziemi. To samo dzieje się z Kâmarū. Chani z krzykiem wznosi się ponad nich. Cząstki światła, fizyczna emanacja ich energii, materializują się koło ich serc, by po chwili, rozciągnięte w długie, splecione ze sobą wstęgi, powędrować w stronę mojej piersi.

– È tónná agbára yin! – powtarzam w kółko resztkami tchu.

Tzain rzezi, chwyta się za gardło. Chani się trzęsie, a jej oczy zwracają się do wewnątrz. Nasze połączenie nas zabija.

Oju, błagam. Zamykam oczy, gdy wstęga światła dociera do mojego serca. Ciało mi płonie, jakby ktoś je podpalił od środka.

Tzain zaciska zęby. Pod ciemną skórą Kâmarū pęcznieją nabrzmiałe żyły. Martwię się, czy zdołam utrzymać to połączenie bez ofiary...

Wybuch mocy rozrzuca nas po wnętrzu chaty.

Tzain z jękiem uderza o ścianę. Kâmarū w locie zahacza o kamienne stoły i krzesła. Chani upada na podłogę.

Wszystko dookoła wiruje. Podnoszę się ze stołu. Moja pierś tętni obcym życiem. Zamiast dwóch serc bije w niej pięć.

– Udało się? – pytam zdyszana, widząc, że Chani zbliża się do mnie na czworakach.

Choć ręce wciąż jej drżą, kładzie je na mnie.

– Zdrowiej.

Nie musi nawet używać magicznej formuły, to jedno słowo wystarcza. Jej dobroczynna magia oplata mnie od wewnątrz jak pajęczyna. Trzaskają uzdrawiane mięśnie i ścięgna, rozdarta goleń obleka się nową skórą. Magiczne ciepło uśmierza wszelki ból.

– To działa! – Chani śmieje się bez tchu. Spogląda na swoje ręce, po czym biegnie do Roëna.

Jego oddech wyrównuje się za jednym czarodziejskim dotknięciem.

– Na miłość Ògúna... – Kâmarū kiwnięciem palca unosi w powietrze wszystkie żelazne stoły.

Nigdy przedtem nie widziałam, jak pracuje z metalem, ale teraz gestem zaciśniętej dłoni rozbija wszystko w drobny mak, tworząc chmurę metalowego pyłu.

Zerka na swoją żelazną nogę, po czym kładzie ręce na obandażowanym kikucie Roëna i zaczyna formować metal, jakby to była glina. Chani dołącza do jego boku.

Z rozdziawionymi ustami patrzę, jak pracują ramię w ramię, moc w moc. Kâmarū konstruuje żelazną rękę, a Chani łączy metalowe ścięgna z otwartą raną w barku Roëna. Choć pacjent pozostaje nieprzytomny, jego metalowe palce zaczynają się poruszać. Nie dowierzam własnym oczom.

Czegoś takiego nie widziałam jeszcze nigdy.

Kładę Roënowi dłoń na skroniach. Kłuje mnie w gardle, jakbym połknęła nóż.

A więc o to chodziło...

Wizja Oi.

Wszystko zaczęło się od niego.

– Chodźmy! – Chani chwyta mnie za rękę i wyprowadza na dwór.

Staje przed zwłokami ojca, któremu spadła z głowy czerwona czapka. Dopiero gdy przykłęka, dociera do mnie jej zamysł. Chani nakrywa dłońmi serce mężczyzny i zaczyna recytować inkantację. Dołączam do niej i przeplatam jej magię swoją.

– Ara m'ókun, emí mí...

Magia życia i magia uzdrawiania rozświecają ciało zmarłego. Pomarszczona skóra na powrót się wygładza, zeszywniałe ręce i nogi wiotczeją, z ust wydobywa się pomarańczowy obłoczek. Pod naszym dotykiem ciało zaczyna wibrować i świecić złotym światłem.

– Uch! – Mężczyzna podrywa się i chwyta za pierś.

– Baba! – woła dziewczyna. Rzuca się na ojca, powalając go z powrotem na ziemię.

Wszystkie oczy kierują się na mnie i na Chani. Wymieniamy spojrzenia.

Ta nowa magia daje nam moc wskrzeszania zmarłych.

Możemy odzyskać tych, których utraciliśmy.

ROZDZIAŁ 81



ZÉLIE

Ilekcioć kładziemy ręce na zwłokach, boję się, że nasza magia nie zadziała. I za każdym razem jednak się udaje – kolejni umarli powstają z martwych. Czuję w dłoniach najcenniejszy dar Oi, świętą magię życia i śmierci. Gdy ostatnia z ofiar nabiera tchu, spoglądam na rozświetlone tatuaże na swoich rękach.

Jeszcze nigdy w historii żaden Uzdrowiciel ani Żniwiarz nie dokonał czegoś podobnego.

Widzę w tej magii rozwiązanie naszych problemów. Już rozumiem, co Oja chciała mi powiedzieć. Wiążąc nasze siły życiowe za pomocą kamienia księżycowego, jesteśmy w stanie wyzwolić magów spod jarzma monarchii.

Ta wojna wciąż jest do wygrania.

Wstaję na nogi i ruszam ku studni.

– To ona – szepcze młody chłopiec. – Jagunjagun Ikú.

Pierwszy raz czuję, że ten tytuł naprawdę mi się należy. Gdy wspinam się na brzeg studni, wszyscy wpatrują się we mnie, jakby ujrzeli Oję. Promienie słońca tańczą mi na skórze niczym ogień. Spoglądam na zebranych.

– Przepraszam was. – Po kolei patrzę w oczy wszystkim starszym. – Potrzebowaliście mnie wcześniej, ale byłam zbyt rozbita.

– To my cię przepraszamy. – Na’ima występuje naprzód, górski wiatr rozwiewa jej loki. – Radziłaś nam, byśmy opuścili Oriszę. Gdybyśmy cię wtedy posłuchali, nasi ludzie byliby bezpieczni.

Słysząc pomruki aprobaty, ale zaprzeczam ruchem głowy.

– Jesteśmy dziećmi bogów – oznajmiam, zadzierając podbródek. – Nie będziemy przed nikim uciekać.

Myślę o wszystkich cierpieniach spowodowanych przez naszych władców. O przelanej przez nich krwi. To nie magia jest problemem Oriszy.

Od początku była nim monarchia.

– Jedenaście lat temu stałam tu, gdzie teraz stoję, gdy żołnierze Sarana niszczyli Ibadan. W Obławie straciłam dom i matkę. Straciliśmy naszą magię! – Unoszę ręce. – Dziś Saran nie żyje. Nasze dziedzictwo na powrót płynie w naszych żyłach. Ale wystarczyło parę miesięcy, by monarchia znów zasiała tu śmierć i zniszczenie!

– Mowà pèlu olú ọba! – krzyczy jeden z mieszkańców, unosząc ogorzałą pięść. Precz z monarchią.

– Zabrali nam magię. Domy. Najbliższych. Nigdy więcej! – Przecinam powietrze otwartą dłonią. – Oni są przeszłością Orisy, a my – jej przyszłością!

Okrzyki entuzjazu, które wybuchają wśród starszych, są jak płomyk w moich rękach. Nie chcę, żeby ten ogień zgasł. Muszę go podsycać.

– Mowà pèlu olú ọba! – krzyczę.

Tym razem tłum podejmuje hasło i zaczyna je głośno skandować.

– Nie będzie litości. Ani pokoju. Nie ma mowy o kapitulacji. Połączymy nasze siły życiowe i zdobędziemy moc bogów! Weźmiemy Lagos szturmem! – Wyciągam kij i unoszę go wysoko, wysuwając ostrza. – Uratujemy naszych i dopilnujemy, aby już nigdy żaden monarcha nie tknął tej ziemi!

– Mowà pèlu olú ọba! – Ogłuszający okrzyk dodaje mi wigoru.

– Mowà pèlu olú ọba! Mowà pèlu olú ọba!

Serce mi rośnie na widok skandujących wieśniaków, lecz gdy spoglądam na starszych, doznaję otrzeźwienia. Połączenie z Roënem o mały włos przypłaciłabym życiem. Połączenie z Tzainem, Chani i Kâmarū prawie zabiło nas wszystkich. Nawet teraz, kiedy stoimy razem, czuję ucisk w piersi.

Zasycha mi w gardle. Przypominam sobie, co Mama Agba mówiła w sali narad o koszcie stworzenia własnych cênterów i cênterek. Jeśli mamy połączyć siły, sama magia kamienia księżycowego może się okazać niewystarczająca.

Muszę poświęcić kogoś, kogo kocham.

ROZDZIAŁ 82



ZÉLIE

Obietnice, które złożyłam, rozbrzmiewają we mnie echem, gdy maszeruję górkimi ścieżkami na obrzeżach Ibadanu. Zostawiając za sobą rzędy stożkowych chat, myślę po kolei o wszystkich magach zaangażowanych w naszą walkę. O życiu, które będziemy musieli poświęcić.

Nie mogę stracić Tzaina. Roëna też nie. Pozostaje tylko jedna osoba, którą wciąż kocham, mimo że nas zdradziła.

Powoli, na nogach ciężkich od strachu, zmierzam do celi Amari. Nie wiem, co jej powiem. Ani jak mam jej wybaczyć.

Udało się nam odratować wszystkich, którzy przez nią zginęli, ale to nie zmienia faktu, że ich poświęciła. Mnie też. Nie obchodziło jej, kto ucierpi, liczył się dla niej tylko tron...

– Jak to sprawa zamknięta?

Zwalniam kroku. Przywieram plecami do skalnej ściany i ostrożnie zbliżam się do załomu. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś usłyszę ten niski, nieprzyjemny głos.

Harun? Kucam i wyglądam zza rogu. Najemnik stoi w asyście pięciu innych członków bandy Roëna. Wszyscy są ubrani na czarno.

– Słyszałeś, co powiedziałem.

Na dźwięk głosu Roëna łapię się za serce. Siedzi za nimi na skalnej półce, a jego pochylona ku ziemi sylwetka zdradza wyczerpanie.

Oddycham z ulgą. Jakieś napięcie, które wciąż nosiłam w piersi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ulega rozładowaniu. Roën ma zapadniętą twarz i słaby głos, ale żyje.

Nadal tu jest.

– To nie przejdzie – oznajmia Harun, błyskając żółtymi zębami. – Pieniądze zostały już wysłane. Tego, co zacząłeś, nie da się zatrzymać.

Najmici otaczają Roëna ciasniejszym kręgiem, lecz Roën w ogóle nie zwraca na nich uwagi. Wyjmuje z kieszeni Haruna krzemień i lewą ręką próbuje wykrzesać iskrę. Metalowe ramię zwisa mu bezwładnie, od czasu do czasu tylko drgnie któryś z palców.

– Chyba zapomniałeś, że nie lubię się powtarzać – mówi Roën. – Nie obchodzi mnie, jak daleko sprawy zaszły. Odwołaj wszystko. Czym prędzej. – Z kieszeni innego najemnika wyjmuje papierosa i chwytą go zębami, lecz Harun wytrąca mu go z ust.

– Wykastrowała cię, zanim ci obcięła rękę, czy dopiero potem?

Robi mi się gorąco, lecz Roën tylko mruga powiekami. Mięśnie ma naprężone jak u lalki, której zbyt mocno naciągnięto sznurki.

– Dobrze ci tak. – Harun kręci głową. – Musiałem cię okłamywać, żebyś robił, co do ciebie należy.

Roën otwiera szerzej oczy. Po jego twarzy przemija wyraz zrozumienia.

– Wiedziałeś, że Nehanda kłamie? – pyta zniżonym głosem. – Rozmyślnie przekazywałeś mi fałszywe informacje?

– Zrobiłeś się za miękki, żeby dowodzić bandą. – Harun zapala cygaro i wtyka je Roënowi do ust. – Potraktuj to jako pożegnalny prezent.

Roën unosi rękę. Harun cały się napina, lecz Roën tylko pociąga dym z cygara, po czym wydmuchuje go z zamkniętymi oczami. Po długiej ciszy kiwa głową. Oblicze Haruna rozjaśnia pożółkły uśmiech triumfu.

I wtedy Roën atakuje.

Jest szybki jak żmija rzucająca się na ofiarę. Harun w mgnieniu oka ląduje twarzą na ziemi. Zaczyna się wić, lecz metalowa dłoń Roëna trzyma go mocno za kark.

– Złaż ze mnie!

Uśmiechnięty Roën pociąga dym z cygara, po czym opuszcza je i przytyka rozżarzony koniec do szyi Haruna.

Najemnik rzuca się jak ryba wyrzucona przez morze na brzeg. Im gwałtowniej wierzga, tym mocniej Roën dociska. Pozostali patrzą w osłupieniu. W jednej chwili dociera do mnie, jakiego formatu przywódcą jest Roën. Nic dziwnego, że jego ludzie tak długo zwlekali z buntem.

– Pod moją nieobecność nabrałeś wiary w siebie, Harunie. – Uśmiecha się do krzyczącego z bólu najmity. – Jestem pod wrażeniem. Jeszcze parę lat i może sam bym w ciebie uwierzył. – Zabiera cygaro i znów się nim zaciąga, po czym odchyła głowę do tyłu i przez chwilę delectuje się dymem.

Harun oddycha z ulgą i nieco się odpręża.

Lecz wtedy Roën znów przyciska mu do skóry ognik cygara.

– Jeszcze raz – cedzi przez zaciśnięte zęby. – I to nie jest prośba, bo nie mam w zwyczaju prosić. Kazałem ci się wycofać. Rozumiesz?

– Tak! – odpowiada Harun między jednym a drugim jękiem.

– Głośniej, bo nie dosłyszałem.

– Wycofamy się! Daję słowo!

Roën wyrzuca niedopałek i wstaje. Harun turla się na skale, znad jego karku unosi się dym.

– Zabieraj całe towarzystwo – rzuca w jego stronę Roën. – Mam już dość gnicia w tej pieczarze. A jeśli się dowiem, że robisz coś wbrew mnie, powieszę cię za flaki.

Jego lodowaty ton przyprawia mnie o skurcz żołądka. Szare oczy Roëna ostrzegają, że to nie bief. Gdzie się podział ten czuły chłopak, z którym związałam swoje serce?

Najemnicy odchodzą, wlokąc rannego przywódcę po ścieżce. Roën patrzy za nimi i zaciska zęby z bólu. W końcu zrzuca maskę siły i zgina się w pól, chwytając ranny bark.

– Nie musisz się chować! – woła.

– Skąd wiedziałeś? – pytam, wychodząc z ukrycia.

Roën stuka się dwoma palcami w serce.

– W twojej obecności zawsze biło szybciej. A teraz na dodatek bije mocniej.

Doskonale wiem, o czym mówi. Gdy stoję blisko niego, czuję się tak, jakby w mojej piersi tłukł się uwięziony koliber.

Roën siada tam, gdzie siedział. Mam ochotę go przytulić, lecz na ziemi wciąż tli się niedopałek cygara, a swąd palonego ciała jeszcze całkiem się nie rozwiął.

– O co chodziło? – pytam.

– O nic. – Roën podnosi cygaro i wciąga dym. – Już o nic.

– Naprawdę zamierzasz zrezygnować ze swojej bandy?

– I tak bym nie mógł im przewodzić, nawet gdybym chciał. – Zamyka oczy i wypuszcza dym. – Zakochując się w tobie, naraziłem siebie i swoich ludzi. – Mówi o tym w taki sposób, w jaki stwierdza się prosty fakt. Jakby to było coś równie zwyczajnego jak otaczające nas góry. – Nie martw się – dodaje. – Po tym, co tu zobaczyłaś, nie oczekuję od ciebie wzajemności.

– Wiem, że jesteś najemnikiem – odpowiadam szeptem.

– Ale nigdy przedtem nie musiałaś tego oglądać.

Robię krok w jego stronę i zastanawiam się nad tym, co powiedział. Podczas ataku na okręt zostaliśmy razem w łodzi. W czasie rytuału rozpętała się zaciekle bitwa. Ilekroć mi pomagał, byłem chroniona przed prawdą, którą oboje przecież dobrze znamy. Aż do teraz.

Dziś potwór wyjrzał na światło dzienne.

– W górach opowiedziałeś mi o swojej matce. Mówiłeś, że ci śpiewała. Zanuciłeś mi jej piosenkę.

Roën opuszcza głowę, ale wyciąga do mnie dłoń. Splatamy palce.

– Dlaczego? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Bo zasługiwała na to, by o niej pamiętać.

Podnosi oczy i widzę w nim serce, które ukrywa przed światem. Nie potrafię się dłużej powstrzymać. Wszystkie wątpliwości znikają, gdy przywieram ustami do jego ust.

Drzę w jego objęciach, zanurzam dłonie w jego włosach. Metalowe palce są zimne w dotyku. Tylko Roën potrafi mnie przytulić tak, że czas staje w miejscu.

– Zītsōl... – Cofa się i dotyka łyzy na swojej twarzy.

Spuszczam wzrok i wycieram oczy. Nawet nie wiem, kiedy zaczęłam płakać.

Masuje mi skórę za uchem. Opieram czoło o jego czoło, a ręka zsuwa mi się z jego karku i zatrzymuje w miejscu, gdzie bark łączy się z metalową protezą.

– Boli?

– Tylko kiedy oddycham.

Kręcę głową.

– Ty i twoje żarciki.

– Gdybyś pozwoliła mi utonąć, nie musiałabyś ich więcej słuchać.

Uśmiecham się i całuję go w różowe usta.

– Następnym razem dobrze się zastanowię, zanim uratuję ci życie.

– Skoro już o tym rozmawiamy, to ustalmy pewne granice. Gdyby kiedyś przyszło ci do głowy ratować mi życie kosztem pewnego wystającego narządu, to dziękuję, ale wybieram śmierć.

– Bogowie! – Odpycham go.

– Jak to się mawia w twoich stronach? – Roën przekrzywia głowę. – Z piasku bicza nie ukręcisz?

– Następnym razem nawet nie kiwnę palcem.

Roën się śmieje, przyciąga mnie do siebie i kładzie mi dłonie na dole pleców. Zaraz jednak poważnieje. Wojenna rzeczywistość znowu wdiera się między nas.

– Słyszałem o twoim planie zbawienia świata – mówi. – Kiedy wyruszasz?

– Za parę godzin.

– Dobra. – Kiwa głową. – Będę gotowy.

– Nie! – Cofam się. – Musisz wyzdrowieć!

Roën zaciska zęby i chwytając się za ramię, staje na nogach.

– Roën...

– Jadę z tobą. – Jego metalowe palce drgają same z siebie. – Jesteś moim domem, Zitsöl. Nie myśl sobie, że tak łatwo się mnie pozbędziesz.

ROZDZIAŁ 83



AMARI

Będę dużo lepszą królową.

Ostatnie słowa, które wypowiedziałam do ojca. Przysięga złożona osobie, którą kiedyś byłam. Teraz, gdy stałam się tym, kim się stałam, zakrawa na drwinę.

Nie wiem, czy ojciec byłby przerażony moim postępowaniem, czy może mój upadek napełniłby go dumą. Wcale nie okazałam się od niego lepsza.

Jesteśmy siebie warci.

Atakuj, Amari.

Ciągnę się za włosy i żałuję, że nie mogę równie łatwo wyrwać się z jego szponów. Podszepty ojca są dla mnie takim samym więzieniem jak stworzona przez Kâmarū kamienna klatka.

Tak długo był blizną na plecach. Tyranem, którego pragnęłam zwyciężyć.

Jak mogłam pozwolić, aby jego duch stał się moim przewodnikiem?

Żółć z pustego żołądka podchodzi mi do gardła. Zaciskam zęby. Czuję cały ten ból, wszystkie pokurczone zwłoki. Co z tego, że chciałam dobrze? Jestem kolejną monarchinią terroryzującą kraj.

Sama jestem potworem, którego ścigam.

– Przynajmniej wreszcie wyglądasz na skruszoną.

Podnoszę głowę. Na zewnątrz kamiennej klatki stoi Zélie. Mimo że cień gór zakrywa jej pół twarzy, bije od niej blask.

– Nic ci nie jest... – Podnoszę ręce do oczu, ale to niewiele daje.

Zélie wygląda, jakby w jej sercu zapłonął nowy ogień. Mogłabym przysiąc, że czuję na skórze jego żar.

– Gdybyś wiedziała, że przeżyłam i jestem w wiosce, czy mimo wszystko wydałabyś rozkaz ataku?

Kurczę się w sobie. Świadomość prawdy odbiera mi resztkę szacunku do siebie samej.

– Żeby wygrać tę wojnę? – Zamykam oczy. – Tak. – Zakrywam usta w obawie, że będę krzyczeć albo wymiotować. – Nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia. Wiem, że nigdy nie zdołasz mi wybaczyć.

Obecność Zélie działa na moje serce jak młot. Zmusza mnie do stawienia czoła rzeczywistości, której nie chciałam do siebie dopuścić.

Jestem dzieckiem króla Sarana. Córką królowej Nehandy.

Wychowano mnie do zwycięstw za wszelką cenę, bez względu na liczbę ofiar.

– Przywróciliśmy im życie. – Zélie krzyżuje ramiona. – Nie zasługujesz, żeby o tym wiedzieć, ale... Wszyscy, którzy przez ciebie zginęli, powstałi z martwych.

– Co? – Kręcę głową z niedowierzaniem, jakbym się przesłyszała. – Oni żyją?

– Wszyscy co do jednego.

Nogi znów się pode mną uginają. Przemożna ulga rozdziera resztki mojej poszarpanej duszy. Nie wierzę własnym uszom. Nie umiem powstrzymać łez.

– Jak?

– Połączyliśmy nasze moce dzięki kamieniowi księżycowemu. Chani uzdrowiła ciała, ja przywróciłam im życie. – Spogląda na swoje złote tatuaże, jakby widziała w nich coś, czego ja nie widzę. – A teraz pozwoli nam to zdobyć Lagos i obalić monarchię.

Wstaję na nogach jak z waty.

– Zgotują wam rzeź.

– Nie, jeśli wszyscy się połączymy. Zakończymy wojnę i raz na zawsze zniszczymy monarchię. Nawet Nehanda nie zdoła nas powstrzymać.

Atakuj, Amari.

Słowa ojca cichną mi w piersi. Nie wiem, co powiedzieć. Ani co powinnam teraz czuć. Wszystko zaczęło się od tronu i może na tronie się zakończy. Lecz myśl, że korona stanie się niczym...

Kręcę głową.

– Pograżycie Oriszę w chaosie i cierpieniu...

– Lepsza anarchia niż tyrania, jaką znamy – odpowiada Zélie. – Korona nie będzie już kładła się cieniem na przyszłości Oriszy.

W grymasie na jej twarzy dostrzegam przeblysk współczucia.

Zélie uważa mnie za jedną z ofiar tego cienia.

Będę dużo lepszą królową...

Żegnam się z przysięgą, której nie jestem w stanie dochować. Przegrałam coś więcej niż wojnę.

Przegrałam swoje prawo do przywództwa.

– Kiedy ruszacie?

– Dzisiaj.

– Najpierw się połączycie?

Zélie otwiera usta, lecz nie wypowiada ani słowa. I nagle uzmysławiam sobie cel jej wizyty.

– Potrzebna wam ofiara.

Zélie pociera ramiona i odwraca wzrok w stronę górskich szczytów. Świst wiatru wśród ciszy wystarcza mi za odpowiedź.

Czuję się tak, jakby góra na mnie runęła. Dławiący strach ściska mi pierś.

Ale moja kara stanowi jednocześnie rodzaj wyzwolenia. Niespodziewaną szansę. Oto mogę naprawić wyrządzone zło.

Mogę dać im siłę, której potrzebują, by uratować królestwo.

– Zgadzam się.

Zélie obraca głowę z wyrazem osłupienia w srebrnych oczach.

– Jeszcze nie podjęłam decyzji.

– Nie musisz. Zrobię to. – Wypowiadam te słowa z drżącym sercem, ręce zaczynają mi się trząść. Ale jak inaczej mogłabym odpokutować krzywdy, które działały się z mojej winy?

– Nie. – Zélie kręci głową.

– Jakie masz inne wyjście? – pytam. – Musisz kogoś wybrać. Kogoś bliskiego.

Kąćki ust Zélie drżą od wzruszenia, nad którym nie potrafi do końca zapanować. Świadomość, że nawet po tym wszystkim, co zrobiłam, nie jestem jej całkiem obojętna, sprawia, że robi mi się jeszcze ciężiej na sercu.

– Zélie, proszę cię. – Chwytam kamienne słupki, które mnie od niej odgradzają. – Pozwól mi zrobić coś dobrze.

– Nie mogę.

– I nie powinnaś – rozlega się drugi głos.

Oglądamy się w jego stronę. Miarowy stukot drewna o kamień rozbrzmiewa coraz bliżej. Wreszcie z cienia wyłania się postać w pelerynie i opiera dłonie na kosturze.

– Mama Agba?

Jasnowidzka spogląda w przestrzeń między nami. Bije od niej dziwny smutek.

– To jeszcze nie twoja pora, dziecko. Zamiast niej weźcie mnie.

ROZDZIAŁ 84



ZÉLIE

Ulga na widok Mamy Agby szybko przeradza się w rozpacz.

– Nie.

– Tu nie ma o czym dyskutować. – Jasnowidzka kręci głową. – W tej wojnie i tak zginęło już mnóstwo dzieci.

– Powiedziałam: nie! – Odwracam się. – Znajdę inny sposób, tylko potrzebuję czasu.

– Nie masz czasu. – Mama Agba chwyta mnie za ramię i zwraca przodem do siebie. – Nehanda ogłosiła już koniec wojny. Pojmani przez nią magowie za parę dni zostaną straceni.

– Mamo Agbo...

– Tí o ò bá pa enu ù re. mo.! – Unosi kostur wysoko w powietrze. – Milcz i słuchaj!

Wzdrygam się odruchowo, czekając na uderzenie. Mama Agba wydmuchuje powietrze przez nos, po czym stawia kostur z powrotem na ziemi. Podpierając się nim, zbliża się do mnie. Nie potrafię jej spojrzeć w oczy. Gardło piecze mnie od pochopnie wypowiedzianych słów.

– Spójrz na mnie. – Kładzie mi pomarszczoną dłoń na policzku. – Zélie, spójrz na mnie. Jesteś moim sercem. Nie ma takiej rzeczy, której bym ci nie wybaczyła.

Otacza mnie ramionami i zapachem słodzonej herbaty. Napawam się wonią jej miłości i łzy same napływają mi do oczu.

– Nie pozwolę ci.

– Nie masz wyboru – odpowiada. – Magowie cię potrzebują.

– Ciebie potrzebują bardziej. – Ściskając w dłoni fałdy jej szaty, myślę o wszystkim, co zbudowała. I co uratowała. Gdyby nie jej wysiłki, magowie już dziesięć razy zdążyliby wyginać. Cała moja rodzina byłaby martwa.

Mama Agba bierze moją dłoń w swoją i dotykiem uśmierza mój niepokój. Nic nie mówiąc, prowadzi mnie krętą ścieżką z dala od klatki Amari. Patrzy na chmury płynące ponad skalną granią.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam o mojej *isipayá*? – pyta. – Kiedy przed laty dostąpiłam wyniesienia, ujrzałam siebie klęczącą na szczycie góry. Niebiańska Matka witała mnie z otwartymi ramionami. – Mama Agba zwraca się do mnie z błyskiem w mahoniowych oczach. – Pomyślałam wtedy, że zaglądam w zaświaty. Teraz rozumiem, że moja wizja od początku dotyczyła ciebie. – Całuje mnie w czoło i wyciera mi łzy rąbkiem szaty. Tuli mnie, gdy zanoszę się szlochem, buntując się przeciwko jej poświęceniu.

– Nie mogę – odzywam się ochryple. – Nie dam rady sama.

– Nie jesteś sama. Nosisz w sercu nas wszystkich. – Znow bierze moją dłoń i przykłada mi ją do piersi, splatając swoje palce z moimi. – Będziemy żyć dalej w każdym twoim oddechu. W każdym wypowiedanym przez ciebie zaklęciu. – Na jej ciemnej twarzy rozkwita uśmiech, marszczy skórę wokół oczu. – Jesteś dzieckiem bogów. Nigdy nie zostaniesz sama.

Na szczycie góry jest tak cicho, że moje kroki dudnią jak burzowe grzmoty. Dziesięciu magów stoi w kręgu. Amari, wciąż spętana kajdanami, patrzy zza pleców Tzaina.

Starsi chylą się w ukłonach i robią krok do tyłu. Ich postacie tworzą idealny okrąg. Brakuje już tylko środka.

Poradzisz sobie. Wbijam paznokcie w dłonie i występuję naprzód. Ostro zakończone kolumny otaczają nas ciasno na płaskim szczycie. Za rudym kamieniem zachodzące słońce maluje niebo na czerwono i pomarańczowo. Przypominają mi się dni, w których Mama chodziła po tej ścieżce, szykując się do roli przywódczyni Żniwiarzy.

Nosisz w sercu nas wszystkich. Będziemy żyć dalej w każdym twoim oddechu. W każdym wypowiedanym przez ciebie zaklęciu.

Obietnica Mamy Agby wypełnia mi duszę i przypominam sobie słoneczny blask przeświecający przez kręcone włosy matki. Dziś to moje białe włosy złocą się w promieniach słońca. Wstrzymuję oddech i wkraczam na środek.

Dakari z uroczystą miną na okrągłej twarzy wprowadza do kręgu Mamę Agbę. Słucham ze ściśniętym gardłem stukania jej laski o twardą skałę. Gdy wreszcie staje naprzeciw mnie, wszystkie tamy puszczaają. Nie mogę dłużej powstrzymać łez.

Mama Agba zbliża się w lśniącej zbroi, na szyi połyskuje srebrny kołnier. Jedwabna peleryna porusza się jak obłok na wietrze. Kâmarū wyrzeźbił jej nawet błyszczącą laskę. Białe loki na głowie Mamy Agby jaśniejają niczym korona.

Chyba jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie.

– *Nana...* – Na'ima zaczyna śpiewać pod nosem hymn Niebiańskiej Matki. Jej głos unosi się wśród ciszy przepelnionej naszym smutkiem.

Gdy inni dołączają do śpiewu, Mama Agba zamyka oczy i kładzie dłonie na sercu.

– Dostojny Dakari – zwraca się po chwili do starszego klanu Jasnowidzów, ocierając mu łzy z rudawych policzków. – Jesteś spełnionym marzeniem naszego ludu. Nigdy nie trać wiary w swoje możliwości. Ufaj temu, co widzisz.

Dakari kiwa głową i wyciera sobie nos. Mama Agba całuje go w czoło i mocno przytula. Potem niespodziewanie podchodzi do Kâmarū. Zatrzymuje się po kolei przed wszystkimi magami w kręgu, aby przekazać im słowa mądrości. Nawet w ostatnich chwilach wskazuje nam drogę.

Jasnowidzka do samego końca.

– Mój dzielny chłopcze. – Mama Agba tarmosi Tzaina za ucho. – Wyrosłeś na jeszcze dzielniejszego mężczyznę.

Nawet obolały Tzain śmieje się na te słowa. Ociera oczy i ściska jej dłoń.

– Dziękuję ci za wszystko.

Mama Agba przyciąga go do siebie i poklepuje czule po plecach.

– Troszcz się o nich. Ale nie zapominaj troszczyć się o siebie.

– Proszę, nie rób tego – mówi Amari głosem łamiącym się od płaczu.

Gdy Mama Agba staje przed nią, Amari zwiesza głowę. Na jej nadgarstkach wciąż pobrzękują metalowe kajdany.

– Nie myśl, że jesteś warta tylko tyle, ile twoje błędy. – Mama Agba chwytą ją za ramiona i Amari na dobre zaczyna płakać. – Nie pozwól, by jeden moment cię określił albo zniszczył. Niezbadane są wyroki bogów. Miej wiarę w ich plan. – Gdy Amari kiwa głową, Mama Agba całuje ją w policzek.

Staram się przygotować, ale to niemożliwe. Mama Agba już zwraca się ku mnie. Ciemną twarz rozjaśnia uśmiech łagodny jak zachód słońca za jej plecami. Porusza się z niezachwianą determinacją.

– Moja mała wojowniczką. – Pierwszy raz do oczu napływają jej łzy. Unosi mój podbródek i prostuje mi ramiona. – Już nie taka mała.

– Mamo Agbo... – zaczynam, ale brakuje mi słów. Nieważne, ile razy bym sobie powtarzała, że dam radę, tak naprawdę nie jestem gotowa, by rozerwać własne serce na pół.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam. – Ociera mi łzy i kładzie dłoń na piersi. – Każdy oddech. Każde zaklęcie. Masz serce ojca i ducha matki. Gdy idziesz walczyć, oni idą razem z tobą. Po dzisiejszym dniu ja też będę ci zawsze towarzyszyć. – Całuje mnie w czoło i ściska mi dłoń.

Trzymam ją w objęciach i chłonę całą sobą. Staram się zapamiętać każdą zmarszczkę na jej twarzy. Wdycham z jej włosów zapach oleju z masłosza.

Wreszcie Mama Agba pochyła głowę i klęka. Drżącą ręką chwytam jej dłoń, po czym sięgam po sztylet.

– Śmiało.

Delikatnie przeciągam ostrzem po wnętrzu jej dłoni. Krew z cienkiej czerwonej kreski spływa po ręce i świeci się białą. Gdy kciukiem kreślę na jej czole święty znak, Mama Agba wzdycha. Kładę jej dłoń na swoim mostku i szepczę zaklęcie.

– E tónná agbára yin.

Magia krwi rozjaśnia tatuaże na moich plecach. W chwili gdy pierwsza kropla krwi łąduje na ziemi, Mama Agba wydaje z siebie cichy jęk. Kamień, w który wsiąka krew, zaczyna skwierczeć i dymić.

Białe światło niczym pajęczyna rozchodzi się po szczycie góry. Gdy dosięga pozostałych magów, w moich skroniach rozlega się stukot dziesięciu serc.

Ba-bam.

Ba-bam.

Biją jak pioruny. Ich dudnienie przyzywa burzę. Wokół zrywa się wiatr, przed naszymi piersiami pojawiają się białe cząstki światła. Unoszą się w powietrzu jak świetliki o zmierzchu, jaśnieją coraz mocniej, w miarę jak recytuję zaklęcie. Łączą się w sploty i wędrują ku mnie.

– È tónná agbára yin.

Moje tatuaże jeszcze nigdy nie świeciły z taką siłą. Cząstki gęstnieją, magia przeplata się w powietrzu niczym nitki w gobelinie. Gdy dosięgają mojej piersi, ciało mi się napręża.

Siła unosi mnie w powietrze; razem z Mamą Agbą odrywamy się od skały. Ręce opadają jej bezwładnie, a pierś wypina się do góry. Wiatr rozwiewa jedwabną pelerynę.

– È tónná agbára yin! – Wypowiadam te słowa mimo bólu.

Magia krwi wnika w ciało Mamy Agby, rozświetla w nim wszystkie żyły. Najjaśniej świeci, gdy dociera do serca.

Z rozdzierającym smutkiem patrzę, jak skóra jej ciemnieje, robi się czarna niczym noc. Cząstki światła podobne gwiazdom przeświecają przez zbroję i jedwab.

W miarę jak Mama Agba unosi się coraz wyżej, zmniejsza się dystans między naszymi dziesięcioma sercami. Nasze tętna coraz bardziej zwalniają, jednoczą się na mój rozkaz w świętym rytmie.

– È tónná agbára yin.

Blask wokół Mamy Agby staje się oślepiający. Rozświetla nocne niebo jak spadająca kometa.

Nawet nie czuję, kiedy moje stopy znów dotykają ziemi. Moja pierś miarowo grzmi. Każde uderzenie przypomina grom z nieba.

Moc dziesięciu serc połączonych jednym rytmem.

Przykładam rękę do piersi i podnoszę wzrok. Choć trudno to wytłumaczyć, czuję, że pulsuje we mnie miłość Mamy Agby. I pomimo łez uśmiecham się do siebie.

– Títí di òdí kejì – szepczę, podnosząc z ziemi jej laskę.

Nie zawiodę cię.

ROZDZIAŁ 85



INAN

Sądziłem, że gdy ta chwila nadejdzie, będę rozdarty niepewnością. Że ból brzucha nie pozwoli mi się ruszyć. Ale gdy patrzę teraz na swoje odbicie w zwierciadle ojca, mam poczucie ogromnej ulgi. Bardzo długo nie wiedziałem, jak postąpić.

Dziś odcisnę swoje piętno jako król.

Puk, puk!

W drzwiach staje matka. Wygląda zjawiskowo w sukni ze szczerego złota. Kosztowna tkanina skrzy się kryształami i perłami. Na głowie ogromny zawój mieni się w blasku lamp. Po rumieńcach na policzkach zgaduję, że matka wypła dziś sporo czerwonego wina.

– Pięknie wyglądasz, matko.

Zadziera podbródek i szeleści lejącą się peleryną, która spowija jej ramiona.

– Czy wreszcie otrzeźwiałeś?

Kiwam głową.

– Rozumiem. Zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne.

Matka zrzuca maskę chłodnego spokoju i rozluźnia barki. W jej bursztynowych oczach widzę kobietę, którą darzę miłością. Kiedy porywa mnie w objęcia, robi mi się jeszcze ciężiej na sercu.

– Wiem, że nie zgadzasz się z moimi metodami, ale mam nadzieję, że kiedyś pojmiesz, że robiłam to wszystko dla ciebie. Do jutra pozbędziemy się wszystkich twoich wrogów. Wreszcie będziesz mógł bez przeszkód rządzić tym wielkim królestwem.

Poklepuję ją i wdycham aromat wody różanej. Wypowiada te słowa tonem niezachwianej pewności.

Zresztą to u niej normalne.

– Rozumiem, matko.

Cofa się i na wszelki wypadek osusza sobie oczy chusteczką, żeby nie uронić żadnej łzy. Potem sięga po dzbanek na komodzie ojca i rozlewa wino do kryształowych kieliszków. Jeden z nich wręcza mnie.

– Już dawno powinniśmy wznieść toast. – Unosi szkło w dłoni. – Za ład i porządek w królestwie!

– Za ład i porządek w królestwie.

Stukamy się. Matka bez ociągania upija tęgi łyk. Opróżniwszy kielich do połowy, zwraca uwagę na mój strój.

– Do twarzy ci w granatowym, ale dziś musimy mieć na sobie podobne kolory. – Wskazuje palcem szafę. – Twoja złota suknia powinna tam być. Efia sama ją uszyła.

– Doceniam twoje rady, matko, ale nie ma znaczenia, w co się ubiorę. – Odstawiam kryształ i spoglądam jej w oczy. – To koniec. Dziś wieczorem zlikwiduję monarchię.

Matka wybucha cienkim śmiechem. Długimi palcami chwyta się za serce.

– Wypiłeś za dużo wina?

Kręcę głową.

– Dokładnie tyle, ile trzeba.

Podniesione do ust palce nie są w stanie stłumić jej hałaśliwego śmiechu. Matka wzdycha i kręci głową.

– A już myślałam, że w końcu dojrzałeś.

– Bo dojrzałem. – Zbliżam się do niej. – I przejrzałem na oczy. Udajemy, że źródłem naszych cierpień jest magia, podczas gdy całe zło, które toczy Oriszę, zaczyna się i kończy tu, w pałacu. Czy nam się to podoba, czy nie. – Zaciskam pięść. – Amari dowiodła tego w Ibadanie. Tron wypacza nawet najczystsze serca. Dopóki istnieje, dopóty Orisza będzie rozdarta konfliktami.

– Nie mam ochoty słuchać tych bredni. – Matka dopija wino i odstawia kieliszek. – Nadal przeżywasz śmierć Ojorego. Zostań tutaj i dąsaj się jak dziecko, którym jesteś.

Odwraca się ku drzwiom, lecz gdy próbuje zrobić krok, uginają się pod nią kolana. Zatacza się na ścianę.

– Co się dzieje? – pyta nieco bełkotliwym głosem.

Podchodzę do niej i prowadzę ją z powrotem w stronę łóża ojca.

– Martwiłem się, że możesz rozpoznać własne środki usypiające. – Unoszę w palcach jedną z jej szmaragdowych fiolek.

Matka wbija wzrok w swój pusty kielich. Mój wciąż jest wypełniony po brzegi.

Widzę po jej twarzy, w którym momencie uświadamia sobie swój błąd.

– Ty parszywa mała g... – mówi głosem przechodzącym w niezrozumiały mamrot, skręcając się w spazmach.

Podłoga zaczyna drżeć, lecz matki nie stać na nic więcej. Słabnie w oczach, aż w końcu magia całkiem ją opuszcza.

Poprawiam kołnierz i patrzę, jak matka walczy ze sobą, by nie stracić przytomności. W końcu nieruchomieje z twarzą zastygłą w pogardzie.

– Mam nadzieję, matko, że podobała ci się gala – rzucam do niej na odchodnym. – To była twoja ostatnia.

ROZDZIAŁ 86



ZÉLIE

W milczeniu płyniemy wzdłuż wybrzeża Oriszy na łodzi napędzanej magią Nâo. Nie musimy ze sobą rozmawiać, wystarczy, że czujemy w gardłach bicie wszystkich naszych serc. Morska mgiełka powleka nam skórę słoną wilgocią. W naszych żyłach huczy nowa magia, której nie powstrzymają żadne wały ani umocnienia w Lagos.

Każdy oddech. Każde zakłęcie.

Trzymam się kurczowo słów Mamy Agby, zbliżając się do brzegów mojego dawnego domu. Melodia tych fal przenosi mnie na moment z powrotem do rybackiej łodzi Baby. Myślę o nim, ale nie patrzę w stronę lądu, bo nie chcę oglądać ruin Ilorinu. Po dzisiejszym dniu nasze królestwo nigdy nie będzie takie samo.

– Już niedaleko – zwracam się do reszty. – Możemy się ukryć na brzegu i doczekać zachodu słońca.

A potem ruszymy do ataku, myślę. Uratujemy naszych ludzi, a monarchia odpowie za wszystkie cierpienia, których była przyczyną.

Wyobrażam sobie Mári i Bimpe uwięzione razem z resztą naszej armii w lochach pałacu, czekające na egzekucję. Myślę o wszystkich, którzy stoją nam na drodze do zwycięstwa. O tytanach, którzy będą musieli zginąć.

– Odpocznijcie – mówię dalej. – Przygotujcie się. Nie wiadomo, co się wydarzy po zdobyciu pałacu...

– Zél! – woła mnie Tzain.

Obracam się w jego stronę. Zgarbiony spogląda w morze. Podążam za jego wzrokiem i nie wierzę własnym oczom.

Aż przechodzę na przód łodzi.

W oddali ponad falami rysuje się samotna chata.

Nâo kieruje nas w tamtą stronę. Mój umysł wypełnia się obrazami płonącego Ilorinu sprzed wielu miesięcy. Wciąż pamiętam tamten duszący zapach popiołu.

Cała osada poszła na dno morza. Nasz dom runął, a ja razem z nim. Lecz mimo to jakimś cudem wychynał teraz spomiędzy spienionych fal. Jakby wydarzenia ostatnich miesięcy całkiem go ominęły.

Podpływamy do trzcinowej ahéré. Tzain i ja wspinamy się na pomost, pozostali czekają w łodzi.

To wygląda jak sen.

Jak sen albo koszmar.

Moja stara chata stoi na drewnianych palach. To jedyne schronienie na morzu, jak okiem sięgnąć. Nigdzie ani śladu pożaru, w którym spłonęła. Ani śladu innych rzeczy utraconych tamtego dnia. Patrzę jednak na dom, w którym mieszkaliśmy z Babą, i mam poczucie, że odnalazłam brakującą część siebie.

Łapię Tzaina za ramię i podchodzimy bliżej, czekając, aż iluzja pryśnie. Gdzie tu sens? Od zewnątrz chata wygląda, jakby nigdy nie było tu żadnego pożaru.

Tzain dotyka palcami framugi drzwi. Znajduję na niej kreski, którymi Baba co miesiąc oznaczał nasz wzrost. Płakałam, że nie mogę dogonić Tzaina.

– Nie rozumiem. – Oddech zamiera mi w krtani, gdy wchodzę do środka.

Otoczają mnie trzcinowe ściany, niczym się nieróżniące od tych, które pieczołowicie wyplataliśmy z Babą. Wszystko na swoim miejscu: bawełniane posłania, leżąca w kącie piłka do agböna. Nawet czarna kalia w oknie. Jej płatki są aksamitne w dotyku, łodygę niedawno podcięto.

Jedyną rzeczą, której sobie nie przypominam, jest leżąca na moim łóżku paczka owinięta w pergamin, a na niej karteczka z wiadomością:

Przepraszam.

Znów tonę. Wracają do mnie słowa Inana sprzed kilku miesięcy i czuję się tak, jakby w mojej piersi otworzyła się ziejąca dziura.

Mogę odbudować Ilorin, powiedział. To będzie pierwsze, co zrobię.

Obiecał, że odbuduje mój dom. Nie sądziłam, że dotrzyma słowa. Ze ściśniętym gardłem rozwiązuję zasznurowaną paczkę. Ku mojemu zdumieniu wysypują się z niej dziesiątki listów.

Dlaczego? – zadaję sobie pytanie, sięgając po pierwszy z brzegu. Rozwijam go powoli, bojąc się tego, co znajdę w środku.

Czasem w nocy odwiedzasz mnie w snach. W te noce mogę na chwilę o wszystkim zapomnieć.

Potem na jawie doprowadzam się do szaleństwa rozmyślaniami o tym, jak mogło być...

Gardło mi się zaciska. Rzucam list na ziemię. *Odejdź stąd*, rozkazuję sobie. Lecz pokusa jest zbyt wielka. Podnoszę kolejny.

Cały czas myślałem, że wybieram królestwo kosztem serca. Byłem naiwny. Nie dostrzegałem, że ty jesteś jednym i drugim...

Łzy kapią na papier i rozmywają atrament. Jak śmie wkładać się z powrotem do mojego serca po wszystkich krzywdach, jakich od niego doznałam?

Rzucam pergaminy na ziemię, żałując, że nie ma ze mną Kenjona, który mógłby je od razu spalić. Moją uwagę przykuwa jednak brzęk jednego z upadających listów. Kiedy rozwijam pergamin, do ręki wpada mi brązowa moneta. Unoszę ją w dłoni za srebrny łańcuszek.

I wtedy sobie przypominam...

Co to?

Coś, czym możesz się bawić, nie robiąc sobie krzywdy.

To ja mu dałam ten kawałek brązu.

Czyżby miał go przez cały ten czas?

Ze łzami na policzkach rozpościeram pergamin.

Wiem, że ten list może wylądować na dnie oceanu, ale dopóki jest choćby cień szansy, że go przeczytasz, muszę to napisać.

Muszę spróbować naprawić to, co zepsułem.

Mógłbym cię przeproszać w nieskończoność i wciąż byłoby mało, ale przepraszam. Że cię skrzywdziłem, że tyle przeze mnie wycierpiałś.

Stało się dla mnie jasne, że prawdziwym przekleństwem Oriszy nigdy nie była magia. To my nim jesteśmy – mój ojciec, matka i ja. Nawet Amari jest skażona. Monarchia nas zatruwa.

Dopóki istnieje monarchia, dopóty nasz kraj nie ma szans na lepsze jutro. Dlatego pozostaje mi tylko jedno: skończyć z nią raz na zawsze.

Ściskam pergamin tak mocno, że prawie rozdieram go na pół. Nie wiedziałam, że król może w ogóle obalić monarchię.

Nie wiem, co będzie dalej, ale wiem, że czas tej władzy dobiegł kresu. Do końca życia będę robił wszystko, aby chronić królestwo, aby stać się człowiekiem, którym sądziłem, że mogę się stać, kiedy byłem z tobą.

A gdyby nasze drogi znów się przecięły, nie sięgnę po broń.

Jestem gotów zginąć z twojej ręki.

– Co to? – Tzain staje za mną.

Ocieram łzy i podaję mu list. Tzain przebiega wzrokiem i robi wielkie oczy.

– To jego robota?

Przytakuję.

Tzain pociera brodę.

– Niezła z was para – stwierdza, kręcąc głową. – Nawet gdy się zderzacie, to się splatacie.

Wpatruję się w brązową monetę. Mam ochotę rzucić ją w ocean. Nienawidzę Inana za to, do czego doprowadził. I siebie – za to, że znów pragnę mu uwierzyć.

– Co zrobisz?

– To, co muszę – odpowiadam ze wzruszeniem ramion. – Obietnice Inana nie mają znaczenia. Nasi ludzie wciąż są w niewoli. Trzeba zrobić wszystko, by ich stamtąd uwolnić.

Zapada cisza. Zapatrzona w pergaminy na podłodze chwytam Tzaina za rękę.

– A co z tobą i Amari?

Twarz brata wykrzywia bolesny grymas. Walczy ze sobą, żeby się nie rozplakać. Mnie też szczypią oczy. W tych ciężkich miesiącach Amari była chyba jedyną osobą, która umiała go rozweselić. Kochałam ją za to, nawet gdy miałam do niej mnóstwo pretensji.

– Było, minęło... – odzywa się w końcu. – Nie ma o czym mówić.

– Tzain, wiem, co do niej czujesz. To nie jest coś, co można w sobie tak po prostu...

– Ona prawie cię zabiła – wchodzi mi w słowo. – Dla mnie to zamknięty temat.

Opada na wierną replikę swojego starego łóżka. Dosiadam się do niego i ściskając w rękę brązową monetę, opieram głowę na ramieniu brata. Słucham szumu fal za oknem.

– Następnym razem zakochajmy się w rodzeństwie, które nie dziedziczy korony.

ROZDZIAŁ 87



ZÉLIE

Stoimy na wzgórzu z widokiem na Lagos. Burzowe chmury groźnie pomrukują, wiatr targa mi włosy i zacina coraz ulewniejszym deszczem.

Stolica tonie w pomarańczowym blasku latarni. Domy migoczą plamkami światła. Najmocniej jaśnieje pałac osłonięty potężnym murem.

Tzain trąca mnie łokciem.

– Gotowa?

Kiwam głową, nie odrywając wzroku od srebrnej bariery wysokiej na trzydzieści metrów, dwukrotnie wyższej od największych drzew w pobliskim lesie. Ale tytani i cênterzy jeszcze się zdziwią. Ten dzień przyniesie nam zwycięstwo.

Mamy ze sobą moc bogów.

Czuję ją w każdym uderzeniu serca, w każdym zakłęciu czekającym, aż je wypowiem. Nic nas teraz nie powstrzyma.

Chcieli wojny, więc do nich przyszła – pod same bramy.

Odwracam się w stronę Amari, wciąż skrepowanej kajdanami. Stoi z dala od nas ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Nie porusza się, nawet gdy daję Kâmarū znak, by ją uwolnił. Roën staje przy niej, kiwamy do siebie porozumiewawczo. Spoglądam ponownie ku murom Lagos.

– Za Mamę Agbę! – wołam. – Za Mâzelego!

– Za Babę i Mamę – dodaje Tzain.

– Za Zulajchę i Kwamego – szepcze Folake.

Kolejno wypowiadamy imiona tych, których monarchia nam odebrała.

– Bijcie się dla nich wszystkich! – wołam, ruszając przed siebie.

Tatuaze mi się rozpalają. Ich fioletowy blask tańczy wokół moich rąk, otacza moje ciało serpentynami światła. Gdy ogarnia nas wszystkich, zamykam oczy i skupiam się na dźwięku dwunastu serc bijących w jednym rytmie.

Nasza magia się miesza. Czas jakby zwalnia.

Szeptem wymawiam rozkaz.

– Ẹ ṭonná agbára yin!

Wybuch pulsującej energii rozrywa ziemię. Żwir i piach wzlatują w powietrze, z okolicznych drzew osypuje się kora.

Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, w strugach tęczy kolorów, które wypływają nam z oczu i ust. Ruszamy w dolinę trawieni ogniem boskiej mocy.

Kâmarū i Kenjon idą przodem, bije od nich blask potężnej aszê. Przez skórę Ziemiowca prześwieca szmaragdowe światło, Ogniarz jarzy się czerwono.

Gdy razem uderzają rękoma o ziemię, grunt pod naszymi stopami zaczyna drżeć.

Potem Kâmarū zaciska pięść i ziemia unosi się w powietrze.

Kenjon tworzy falę lawy, która rozlewa się po całej okolicy.

Jedna po drugiej wybuchają kopalnie majacytu, wyrzucając w niebo czarne chmury. Lawa sunie do przodu wśród kłębow ciemnego dymu.

– Obrona gotowa!

Rozlegają się sygnały alarmowe. Zaraz potem do ataku rusza pierwsza fala tytanów. Miotane w naszą stronę bomby majacytowe nie są w stanie nas dosięgnąć. Na rozkaz Jahiego zrywa się wichur, a Imani jednym gestem sprawia, że czarne chmury majacytu zmieniają kolor na pomarańczowy.

Gwałtowny podmuch wiatru łamie drzewa jak zapalki. Odrzuca żołnierzy w złotych zbrojach na mur i spowija ich przeobrażoną trucizną. Strzykają krwią i czernieją jak mieszkańcy Ibadanu.

– Zatrzymać ich za wszelką cenę! – woła jeden z tytanów.

Jęczą żelazne lawety dział. Armaty na murze rozbłyskują niczym fajerwerki. Spadające pociski wybuchają za nami, przed nami.

Królewskie wojsko rzuca przeciw nam wszystko, co ma, lecz to za mało, by nas spowolnić. Kâmarū skinieniem dłoni zatrzymuje kule armatnie w powietrzu. Tajfun Jahi odsyła je z powrotem, a Kenjon do każdej takiej przesyłki dorzuca własną ognistą kulę. Przedzieramy się przez wszystkie przeszkody, aż pozostaje nam ostatnia: sami żołnierze.

Legion lśniących złotem tytanów rusza hurmem do walki. Idą szeroką ławą na całej długości muru, w dłoniach płonie im ogień magii. Lecz dzięki mocy kamienia

księżycowego czuję ich duchy jak spadający deszcz.

Wyciągam palce przed siebie, zamykam oczy i sięgam po życie płynące w ich żyłach.

– Gan síbè.!

Wszyscy tytani zastygają w miejscu, a gdy zwieram pięść, wyrywając im dusze z ciał, padają w konwulsjach. Uśmiecham się, widząc, jak lądują w piachu.

Stajemy przed murem.

ROZDZIAŁ 88



INAN

Stoję na podium w sali tronowej i ręce trzęsą mi się od ciężaru decyzji, którą zaraz ogłoszę. Matka unieszkodliwiona, najtrudniejsze za mną. Teraz jeszcze tylko ludzie, których mam przed sobą.

Na długich stołach zastawionych srebrnymi półmiskami lśnią pieczone kury i fasolowe puddingi. Biesiadnikom dopisują humory, czerwone wino leje się jak woda. Arystokraci i oficerowie wirują na wypolerowanej marmurowej posadzce.

W górze nie ma już ojcowskich pieczęci; groźne śnieżne lampartusy zniknęły z całego pałacu. W ich miejscu połyskują granatowe flagi z wyhaftowanym gepardonem, którego matka postanowiła uczynić symbolem mojego panowania.

Patrząc na to zwierzę i myśląc o brązowej monecie, której już nie mam. Matce zależało na niezwykłym zwierzęciu.

Nie miała pojęcia, jak szybko te flagi znikną.

Ostatni raz przyglądam się sali tronowej. Czuję wagę tej historycznej chwili. Orisza już nigdy nie będzie taka sama. Po upadku monarchii kraj pogrąży się w chaosie.

Ale chaos będzie szansą. Zamykam oczy. Szansą na to, by na zgłiszczach wyrosło coś nowego. Wizja Oriszy nieskażonej przeszłością.

Staję przed tronem i unoszę rękę. Muzyka cichnie. Zbieram się w sobie i przemawiam do zgromadzonych:

– Dziękuję wam za przybycie. – Kiwam głową. – Ta wojna wiele nam odebrała. To wielka radość móc świętować jej zakończenie.

– Niech żyje król Inan! – rozlega się z tyłu sali.

Goście uśmiechają się i unoszą puchary. Ze ściśniętą piersią daję im znak, żeby je opuścili.

– Trudne czasy przynoszą trudne lekcje. Koniec wojny stwarza nam okazję do naprawienia błędów. Do stawienia czoła ciemnym kartom historii Oriszy. Potrzebna jest trwała zmiana. Namysławiając się, jaką drogę obrać, wróciłem do legend, które nie

wszyscy mieliśmy okazję poznać w dzieciństwie. Chciałbym teraz podzielić się z wami jedną z nich.

Przełykam ślinę w zaschniętym gardle. Żałuję, że nie wziąłem pucharu z winem. Nie mam teraz czego trzymać w ręku, za czym się schować. Moje palce zaciskają się jeden na drugim.

Dasz radę. Wyobrażam sobie w tłumie twarz Zélie. I Ojorego.

Dla nich, dla Oriszy, mogę wszystko.

– Na początku nie było nic. Zmieniła to dopiero Niebiańska Matka. Z jej to woli przyszli na świat bogowie w niebiosach. – Unoszę dłonie. – I ludzie na ziemi. Obdarzyła nas nie tylko życiem, lecz także magią, dzięki której mogliśmy zbudować to wspaniałe królestwo. Na początku jednak Oriszą zawiadywały klany. Ludzie rządząli się sami. – Robię krok do tyłu i opieram obie ręce na rzeźbionym tronie. – Pierwsi władcy pojawili się dopiero, gdy grupa magów nadużyła swoich darów. Stracili wtedy magiczne moce, lecz ich uczynki dały początek monarchii.

Nastrój na sali zaczyna się zmieniać, jak wtedy, gdy łagodny deszcz zwiastuje nadciągającą burzę. W tłumie biesiadników rozchodzą się szmery. Ktoś pyta, gdzie się podziała królowa.

– Zaproszono was tutaj na świętowanie nowej epoki i bez wątpienia będzie to nowa epoka. Upadek Oriszy ma związek z tym tronem. Tronem okupionym krwią niezliczonych ofiar.

W tłumie narasta wzburzenie, podnoszę więc głos.

– Zamierzam uporządkować sprawy królestwa. Potem instytucja monarchii zostanie zlikwidowana.

Ludzie zrywają się z miejsc. Zdezorientowani strażnicy nie dopuszczają ich do podium.

– Nie wolno ci! – krzyczy arystokrata.

– Glisty zamąciły mu rozum!

– Proszę was! – Unoszę ręce wysoko. – Wiem, że się boicie, ale z czasem zrozumiecie, że tak będzie najlepiej. Z odpowiednim wsparciem możemy zbudować coś lepszego niż monarchia. Ustrój służący wszystkim wspaniałym ludom naszej ziemi...

BUM!

Zamieramy w bezruchu.

To nie brzmi jak wybuch.

Bardziej przypomina ryk lworożca.

Odzywają się syreny. Daleko za oknami widać rozbłyśki tęczowego świata. Zbliżają się z każdą sekundą. Dopiero po chwili spostrzegam wyłom w murze obronnym. Prawda spada na mnie jak grom. Starsi dziesięciu klanów...

Przyszli po ludzi, których wzięliśmy do niewoli.

– Uciekajcie! – krzyczę. – Czym prędzej uciekajcie z pałacu!

Wybucho panika. Ludzie pchają się do wyjścia, każdy chce być pierwszy. Słysząc brzęk upadających pucharów, łoskot przewracanych stołów.

– Szukajcie schronienia! – wołam. – Rebelianci nadchodzą!

Gdy pryskają szyby, sala wypełnia się wrzaskiem.

ROZDZIAŁ 89



AMARI

Odłamki szkła skrzą się w powietrzu jak brylanty. Wiatr Jahiego przenosi naszych wojowników ponad chaosem na marmurową posadzkę. Czuję się tak, jakbym po długim śnie zbudziła się w murach własnego domu. Przed sobą widzę tłum ludzi pracujących do wyjścia z sali tronowej.

– Do ataku!

Gdy z ust Zélie pada rozkaz, rozpętuje się piekło. Magowie z rykiem ruszają naprzód, ich połączony gniew sieje spustoszenie. Imani swoim rudawym gazem kładzie cały pluton. Não zmienia beczki wina w tarany. Ogień Kenjona rozpełza się po malowanym suficie i spala flagi z nowym królewskim godłem.

Rozszalała magia niszczy salę tronową, tę złotą klatkę mojego dzieciństwa. Gdy Kâmarū rozbija tron, czuję ulgę.

– Trzymają ich w podziemiach! – woła Zélie, przedzierając się na korytarz.

Arystokraci i strażnicy schodzą jej z drogi. Starsi podążają za nią ku schodom.

Biegnę ich śladem, gdy nagle podłoga zaczyna się trząść. Odwracam się i widzę matkę; omal nie spada ze schodów, tak chwiejnym idzie krokiem. Jej peleryna ląduje na marmurowych stopniach.

– Nie! – woła matka.

Ten wrzask otacza mnie i więzi jak cela. Patrząc na nią, widzę siebie. Widzę drogę, na którą weszłam. Myślę o krwi, którą mam teraz na rękach. O spojrzeniu Tzaina, którego już nigdy nie zobaczę.

Matka opiera się o ścianę, mięśnie trzęsą jej się pod rozdartą suknią. Toczy dookoła przerażonym wzrokiem, lecz gdy spostrzega mnie, groza na jej twarzy przechodzi w pogardę.

– Ty... – Wyszczera zęby i staje o własnych siłach na drżących nogach.

Unoszę rękę do ataku, lecz matka posyła w moją stronę uniesiony z podłogi kawałek marmuru.

Siła uderzenia rzuca mnie na ścianę i pozbawia tchu.

Kuśtykając, matka zbliża się do mnie i wyciąga przed siebie trzęsącą się pięść. Spod marmurowej posadzki wyrasta słup ziemi, który trafia mnie prosto w klatkę piersiową. Krztuszę się i chwytam za płuca. Chwilę później kolejny cios odrzuca mnie w głąb korytarza. Upadam i toczę się po spękanych płytach. Kręci mi się w głowie, widzę jak przez mgłę. Gdy matka podchodzi bliżej, na oślep unoszę rękę.

– Stój! – krzyczę.

Z mojej dłoni wylatuje niebieska kometa. Mknie po spirali w stronę matki, która na próżno usiłuje osłonić się ręką. Ugodzona magicznym pociskiem wydaje z siebie zduszony jęk. Bursztynowe oczy wychodzą z orbit.

Kaszłąc krwią, podnoszę się z posadzki.

Atakuj, Amari.

Z wściekłością, która zagłusza ból, ruszam ku matce. Prowadzi mnie głos ojca, wciąż słyszę go w myślach.

Walcz, Amari.

Lecz gdy dłoń już mnie pali od napływającej magii, w mojej głowie rozlega się inny głos.

Nie.

To jedno proste słowo każe mi się zatrzymać. Zamyka moją magię w klatce, a mnie w zastygłej pozie.

– Na co czekasz? – prowokuje matka. Puder i barwiczka spływają jej po twarzy.

Ale ja opuszczam rękę i robię krok wstecz.

– To koniec – mówię. Raz już myślałam, że rozwiążę problem, zabijając ojca. I co? Stałam się potworem. – Przegrałaś, matko. Magowie przejmują władzę. Dni monarchii są policzone.

– Jesteś tchórzliwą zdrajczynią! – Matka wciąż walczy, próbuje zerwać pęta mojej magii, żyły występują jej na szyję. Krzyczy coraz niewyraźniej. – Jesteś nikim! Nie zdołasz zniszczyć tronu...

– Mylisz się! – Mój głos rozbrzmiewa echem w opustoszałym korytarzu. Dawni królowie i królowe spoglądają na mnie z portretów. Patrzą na nich i czuję moc swojej krwi. – Jeśli ostatnie miesiące czegoś mnie nauczyły, to tego, że potrafię dokonać wielkich rzeczy. Wiem, że stać mnie na więcej. Mogę i chcę być lepsza!

Cofam dłoń i matka z przeciągłym jękiem upada na ziemię.
– Nigdy nie byłaś wielka! – wrzeszczy. – I nigdy nie będziesz!
Lecz ja, nie zważając na jej krzyki, ruszam w stronę schodów.
I choć kuleję, każdy kolejny krok jest lżejszy od poprzedniego.

ROZDZIAŁ 90



ZÉLIE

– Pomocy!

Podziemia rozbrzmiewają głuchym wołaniem. Pędzimy po kamiennych korytarzach, mijamy sklepione przejścia i szerokie kolumny. Krzyki prowadzą nas w głąb labiryntu krętych tuneli. Rozglądam się za rebeliantami, aż wreszcie na końcu korytarza spostrzegam Mári.

– Dostojna Zélie!

Serce mi podskakuje na widok jej okrągłej twarzy wciśniętej między żelazne pręty. Po chwili do krat podbiega uwięziona w tej samej celi Bimpe.

Biegnę w ich stronę tak szybko, że prawie potykam się o własne nogi. Magowie z naszego sanktuarium, skuci łańcuchami, wołają o ratunek. W rozległej celi upchnięto setki ludzi; są tak stłoczeni, że nie widać końca.

– Prędko! – wołam. – Uwolnijcie ich!

Używamy magii do zerwania łańcuchów. Żelazne ogniwa topnieją za jednym dotknięciem dłoni Kâmarū, a Imani i Chani wyciągają nasze towarzyszki i towarzyszków na wolność.

Podbiegam do Bimpe i Mári i biorę je w ramiona. Ściskam je mocno, słucham ich szlochu i sama powstrzymuję łzy ulgi.

– Już dobrze. Jesteście bezpieczne. Przepraszam, że w ogóle pozwoliłam, żeby was...

Ktoś mija nas w biegu przy wejściu do celi. Tknięta przecuciem spoglądam w głąb korytarza – i zapominam o swojej radości.

To Inan.

Jego duch pociąga mnie za sobą niczym kotwica. Młody król gna do przodu w asyście dwóch żołnierzy.

Jeśli mam uwolnić Oriszę od jego tyranii, muszę to zrobić teraz.

– Idźcie za Imani – rozkazuję. – Ja muszę dopaść króla.

Z tłukącym sercem ruszam za Inanem. Zwycięstwo mamy w garści, ale jeśli nie pozbedziemy się jego, nie będziemy mogli spać spokojnie.

Im bardziej zbliżam się do Inana, tym głośniejsz rozbrzmiewają mi w duszy słowa z jego listów. Sączą się jak trucizna, przed którą nie całkiem potrafię się obronić.

Czasem w nocy odwiedzasz mnie w snach.

Cały czas myślałem, że wybieram królestwo kosztem serca. Byłem naiwny. Nie dostrzegałem, że ty jesteś jednym i drugim...

– Inan! – wołam, gdy zbiega po kolejnych schodach.

Staje jak wryty, aż wpadają na niego biegnący z tyłu żołnierze.

– Wasza Królewska Mość...

– Idźcie – rozkazuje im.

Żołnierze spoglądają skonsternowani.

– To sprawa między nami – dodaje, widząc ich wahanie. – Uciekajcie, póki się da.

Nie mając innego wyjścia, żołnierze ruszają dalej i po chwili znikają w cieniu. Ich kroki stopniowo cichną.

Inan zwraca się do mnie i wzdycha.

– Rób, co uważasz za słuszne. – Unosi ręce w powietrze. – Nie zamierzam z tobą walczyć.

Schodząc z ostatniego stopnia, przypominam sobie przyrzeczenie, które złożył mi w jednym z listów.

Ale gdyby nasze drogi znów się przecięły, nie sięgnę po broń.

Jestem gotów zginąć z twojej ręki.

Napisał prawdę...

Uświadamiam to sobie i drętwieją mi palce. Tzain miał rację.

Nawet gdy się zderzamy, to się splatamy.

Brazowa moneta, którą zostawił w mojej chacie, parzy mi szyję, gdy zmuszam się, by ruszyć w jego stronę.

– Skarbiec znajduje się w katakumbach pod ogrodami królewskimi – oznajmia. – Gdy to piekło się już skończy, pójdź tam z Tzainem i kimś, komu ufasz. Pamiętaj, by mądrze rozdzielić bogactwa. Co do wojska... – Inan urywa i zamyka oczy. – Zresztą sama dobrze wiesz, że musisz je zbudować od nowa. Tylko nie zapomnij oczyścić

wszystkich twierdz. Mamy w nich zapasy majacytu. Zbuntowani żołnierze mogą próbować użyć go przeciwko wam.

– Co ty robisz? – przerywam mu. – Dlaczego mówisz mi to wszystko?

– Żadna z osób wtajemniczonych w te sprawy nie dożyje jutra. Jediną szansą dla Oriszy jest twoje panowanie.

Jego słowa wiszą w ciszy między nami. Jest taki spokojny.

Jakby nie mówił o własnej śmierci.

Przełykam ślinę i robię krok w jego stronę. Gdy stajemy twarzą w twarz, Inan prawie się do mnie uśmiecha.

– Cieszę się... – Głos mu się łamie. – Cieszę się, że mogę cię znów zobaczyć.

– Nic nie mów. – Kładę mu dłoń na sercu.

Jego siła życiowa trzaska jak ogień pod moimi drżącymi palcami. Gdy zaczynam ją z niego wyciągać, sztywnieje. Kiedy tak patrzę, jak gaśnie w nim życie, staje mi przed oczami wszystko, co się między nami wydarzyło.

Widzę dzień, w którym nasze drogi przecięły się po raz pierwszy, na placu targowym. Czuję w żyłach wstrząs, jakiego wtedy doznałam.

Drżenie mojego kija skrzyżowanego z jego mieczem. Huk wodospadu.

Nóż rozcinający mi plecy.

Jego łapczywe usta na mojej szyi.

Czuję wszystko to, przed czym się bronię. Te wszystkie razy, kiedy wdzierał się do mojego serca.

– Przykro mi – mówi zduszonym głosem.

– Wiem – szepczę. Choć od dawna pragnęłam jego śmierci, teraz mam wrażenie, jakbym zabijała część siebie. Zaciskam dłoń, odcinając Inanowi dopływ powietrza. Serce mu zwalnia. Zamykam oczy, żeby nie patrzeć. – Żegnaj.

Nic już nie odpowiada, tylko się krztusi...

– Zélie! – dobiega mnie wołanie Roëna.

Odwracam się prędko i widzę, jak zbiega co tchu po kamiennych schodach. Ucieka przed ścianą bieli. W metalowej dłoni trzyma jakąś maskę.

Patrzę osłupiała, jak mi ją rzuca. Chwilę później spowija go chmura i natychmiast się przewraca.

Zaraz potem chmura dosięga mnie. Nie mam kiedy włożyć maski. Osuwam się na ziemię.

EPILOG



Budzi mnie palący ból. Głowa mi pęka, otwarte oczy napotykaają ciemność.

Smród moczu i wymiocin uderza w nozdrza, dławi, piecze w gardle. Próbuję wstać, lecz potykam się o łańcuchy.

Co jest, na litość Oi?

Z grymasem bólu przewracam się na drewnianą podłogę. Kostki i nadgarstki mam skrepowane grubym metalem, z jakim jeszcze nigdy się nie zetknęłam. Szamoczę się, grzechocząc łańcuchami wśród ciszy.

Mija parę chwil, zanim przypominam sobie białą chmurę. Gaz natychmiast pozbawił mnie przytomności; nie pamiętam nawet upadku. Gdy w końcu dociera do mnie prawda, robi mi się słabo.

Nie zabiłam go.

Nie wygraliśmy wojny.

– Nie! – krzyczę, waląc pięściami o deski podłogi. Rzucam się rozpaczliwie, próbuję rozerwać łańcuchy, aż brak mi tchu.

Już ich mieliśmy. Ja ich miałam. A mimo to monarchia w ostatniej chwili wydarła nam z rąk zwycięstwo.

Jakimś cudem wzięli nas do niewoli. I kto wie, co zamierzają z nami zrobić.

– Inan! – wyrywa mi się wściekle, choć nawet nie wiem, czy jest gdzieś w pobliżu.

Rozglądam się w mroku. Otacza mnie mnóstwo osób stłoczonych jedna przy drugiej, związanych takimi samymi łańcuchami. Myślę o Mári, o Roënie, o Tzainie. Ilu z nas zdołało uciec? Ilu magów trafiło razem ze mną do niewoli?

Podłoga się kołysze. Spoglądam do góry, ku wątlęmu światłu z zewnątrz. Próbuję strząsnąć z siebie mgłę, która spowija moje ciało i umysł. Muszę się dowiedzieć, dokąd nas zabierają.

Po ciemku natrafiam na czyjaś nogę. To Amari. Przysuwam się do niej i wspinam się po jej nieprzytomnym ciele. Wyciągam szyję i podnoszę oczy do szyby.

Robi mi się słabo.

Żadnych piaszczystych dróg ku szubienicom. Żadnych okopconych hebanowców.


To, co widzę, w ogóle nie jest Oriszą.

Otacza nas otwarte morze.

Patrzę na fale ciągnące się aż po horyzont i przesywa mnie lodowaty dreszcz.

Ktoś nas wywiózł z naszego kraju.

I nie mam najmniejszego pojęcia, dokąd płyniemy.



MAGIA POWRÓCIŁA DO ORISZY,
ALE TO NIE KONIEC WALKI O WŁADZĘ.
WOJNA DOPIERO SIĘ ZACZĘŁA!

DZIECI PRAWDY I ZEMSTY

2 tom cyklu DZIEDZICTWO ORISZY

Zachwycająca trylogia inspirowana afrykańską mitologią



Poznajcie Tomi Adeyemi, nową J.K. Rowling!

„Entertainment Weekly”

TOM 1



TOM 3 w przygotowaniu



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6028-7

EAN 9788327160287

U.WD.FAN046.1.01.01